ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.

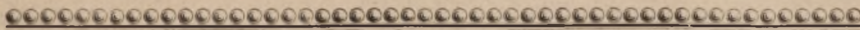
1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono d. 31 Maja 1894 r.



JESZCZE SŁOWO O IZBIE WYŻSZÉJ
I POŁOŻENIU PARLAMENTARNÉM
W ANGLII [1].

Zostałem skarcony niedawno przez mych przyjaciół Anglików, żem usiłował nadać polityczne umotywowanie ustąpieniu „wielkiego starca" (*great old man*, a w skróceniu *G O M)* z widowni politycznéj. „My, w Anglii, nie umiemy kłamać" — odpowiadali mi surowo synowie Albionu, od których trudno jest wydobyć słowo prawdy. Kategoryczne te oświadczyny nie przeszkodziły mi jednakże z bogobojnymi i prawdomównymi liberałami angielskimi w „*chat*" (pogawędka) sam na sam prowadzonéj, doszukiwać się tajników dymisyi dobrowolnéj Gladstone'a.

Ustąpienie Gladstone'a z roli sternika rządów angielskich nastąpiło niespodziéwanie. Wprawdzie na kilka tygodni przed dokonanym faktem, jedna z wieczornych gazet tutejszych, mianowicie *Pall Mall Gazette*, oznajmiła rychłe wycofanie się Gladstone'a z areny politycznéj. Wiadomości téj nie ufano wszakże; zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy wodza partyi liberalnéj wyrażali tylko oburzenie z powodu téj „kaczki" dziennikarskiéj. Postępowanie *Pall Mall Gazette* usprawiedliwiano tylko tém, że wydawcy pisma są amerykanie. „To jest humbug amerykański, którego żaden Anglik-by sobie nie pozwolił", oświadczali z hypokryzyą dziennikarze „Anglicy", zazdrośni swoją drogą o laury tego humbugu. *Pall Mall Gazette* nie pozwalała wszak-

---

[1]) Podajemy ten artykuł dla uzupełnienia wszechstronniejszego kwestyi ciekawéj, która w poprzednim zeszycie była już omawiana. (*Przyp. Red.).*

że zbić się z tropu; codziennie podawała ona długie wyciągi z innych pism, w których piętnowano godne tylko innych narodowości jéj manipulacye oszukańcze; zdawało się, że według *Pall Mall Gazette* inne narodowości powinny sobie za chlubę poczytywać, jeśli Anglicy obdarzają je epitetami nieuczciwości. Wytrwałość amerykańskich humbugistów zaczęła już niecierpliwić publiczność, gdy pewnego dnia reklamy wszystkich pism wieczornych zaanonsowały ustąpienie ośmdziesięcioletniego starca, którego życie jest zrośnięte z rozwojem współczesnego przeobrażenia się parlamentaryzmu angielskiego.

Powtarzam, że krok ten ze strony Gladstone'a był zupełną niespodzianką zarówno dla stronnictwa liberalnego, które obawiało się ciężkich następstw takiego kroku, jak i dla stronnictwa konserwatywnego, łudzącego się nadzieją wielkiego rozprzężenia w szeregach wolnomyślnych. Jeśli postanowienie Gladstone'a było piorunem, który oszołomił oba obozy, to dla każdego, nawet powierzchownie obeznanego ze stosunkami politycznemi Anglii, bynajmniéj nie było tajemnicą, że stronnictwo liberalne ulega transformacyi, która może być decydującą co do jego przyszłości, jako stronnictwa rządzącego.

W saméj rzeczy: parlament angielski, który był zawsze wyrazicielem dwóch odłamów—torysów i whigów—jednéj tylko klasy społecznéj, mianowicie własności ziemskiéj, ulega od sześćdziesięciu lat stałemu przekształcaniu się zarówno w swym składzie, jak i w swéj treści. Już w końcu XVIII-go wieku izba gmin zaczyna być widownią nowych tendencyi, które powstrzymane zostały udziałem Anglii w koalicyi przeciw Francyi. Ale od 1815 roku dzięki pokojowi, który następuje po kongresie wiedeńskim, struktura społeczna Anglii ulega szybkim przemianom. Skorupa XVIII-go wieku rozpryskuje się prawie z każdym dniem i „przemysłowe społeczeństwo" rośnie jak na drożdżach. Nawet dawny „przemysł rolniczy", by użyć tego wyrażenia, ulega wielkiemu wstrząśnieniu; zaprowadzenie maszyny przenosi przetwarzanie wełny i t. d. z okręgów wiejskich do miast. Zmiany zachodzące w stosunku własności nieruchoméj do ruchoméj dokonywają się tak szybko, że idą zdaje się, w parze z szybkim ruchem maszyneryi nowoodkrytéj.

To nowe kształtowanie się stosunków własnościowych wyradza także nowe różniczkowania grup społecznych. Z jednéj strony występuje na scenę *middleclass*—klasa średnia, — która zaczyna być rzetelnym wyrazem nowosformowanéj potęgi angielskiéj; z drugiéj strony, przerzucona ze wsi do miast ludność pracująca, jakkolwiek ekonomicznie zależna i wyzyskiwana, nabiéra jednak samodzielności wskutek zupełnego zapanowania gospodarki pieniężnéj, co odrazu nadaje jéj życiu

wyraz zupełnego odosobnienia. Odosobnienie zaś przy społecznéj zależności, odosobnienie wzmożone poczuciem siły, wynikającéj z olbrzymiéj aglomeracyi, doprowadza do szybkiéj świadomości swego bytu, jako grupy społecznéj.

Takie transformacye społeczne musiały się odźwierciedlić i w maszyneryi politycznéj, w parlamencie angielskim. To téż widzimy, jak od 1815 r. zaczyna się szereg ruchów „reformujących" izbę gmin. Ostatnie prawa reformy parlamentarnéj z ubiegłego dziesiątka lat już dzisiaj ulegają nowéj dyskusyi i ulegną bez zaprzeczenia nowym zmianom.

Treść więc parlamentu angielskiego została zmienioną już od reformy z r. 1832. Ale treści téj nie odpowiadała może zmiana w formie, to jest w osobistym niejako składzie członków izby gmin. Przeglądając kalendarze parlamentarne, widzimy, że w 1789 roku na 558 członków izby gmin *(commoners)* było: 216 parów irlandzkich lub synów parów angielskich, 190 squires, 50 oficerów armii, 35 członków z kompanii indyjskiéj, 36 prawników, 31 wielkich kupców. W roku 1864, a zatém po reformie z r. 1832, po ruchu czertystów i po zupełnym przewrocie ekonomicznéj struktury Anglii, pomimo istnienia izby wyższéj, znajdujemy w izbie niższéj 71 baronetów, 34 lordów, 7 wicehrabiów, 4 hrabiów, 2 baronów, 1 markiza, 47 *honorables* [1]),—a zatém 166 członków, stanowiących bezpośrednio arystokracyę. Reszta członków po większéj części związana jest z arystokracyą pośrednio, pozostawiając demokratycznemu mieszczaństwu bardzo niewielką ilość miejsc.

Trzeba tu zaznaczyć, że mieszczaństwo angielskie nie bardzo się dobijało honorów zarówno w ciele prawodawczém, jak i w administracyi państwowéj. Dbałe o swe prawa i stojąc na straży swych interesów, szukało ono swych orędowników dla siebie nie w swém własném łonie, ale w szeregach liberalnéj lub nawet radykalnie nastrojonéj arystokracyi. Szybkie przemiany zachodzące w technice przemysłowéj, potrzebna rzutkość i znajomość rzeczy wobec produkcyi dla wszechświatowego rynku, pochłaniały cały czas i wszystkie zdolności mieszczaństwa. Jeszcze dziś spotykamy w Anglii przekonanie o gburowatości mieszczaństwa i to w takim wysokim stopniu, że nasi zaściankowi

---

1) W Anglii starsi synowie książąt, markizów, hrabiów i wicehrabiów przybierają tytuł o jeden stopień niżéj od ojcowskiego; młodsi zaś synowie książąt i markizów otrzymują tytuł lordów; młodsi zaś synowie hrabiów i wicehrabiów, oraz wszyscy synowie baronów noszą tytuł *honorable*'ów.

szlachcice poczuliby się wobec arystokratyzmu tutejszego karmazynowymi demokratami naiwnego, rozumie się, pokroju.

Taki wszakże stan skromności mieszczaństwa mógł trwać tylko dopóty, dopóki rozwój techniki i monopol przemysłowy Anglii absorbował wszystkie siły zarówno bogatéj, jak i średniéj *middleclass*. Złotonośna kura przemysłu angielskiego przestała wszakże znosić swe wzbogacające jaja z chwilą, gdy kontynent europejski prawie w każdym swym zakątku począł widzieć powstające narodowe lub krajowe przemysły. Emancypacya Europy od przemysłu angielskiego, szybki rozwój Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj wywołał w Anglii z początku ostre i chwilowe, dziś już stałe zastoje. Prywatna inicyatywa (t. j. przemysł) nie była już w stanie zająć wszystkich sił, albo raczéj „profesyi" intelektualnych. Część téj nowopowstałéj, *unemployed* (niezajętéj) inteligencyi, przerzuciła się do dziennikarstwa i do literatury, w któréj rozpoczęła walkę o równouprawnienie swe w polityce. Początkowe naiwne skargi na upośledzenie, przypominające naszą beletrystykę z początków „pracy organicznéj", przeszły wkrótce w sformułowanie interesów całego drobnego mieszczaństwa angielskiego, szukającego sojusznika w zorganizowanych rzemiosłach (*trades unions*).

To też nie dziw, że w tym samym czasie, gdy tacy przewodnicy liberalizmu angielskiego, jak Gladstone, Morley, a nawet i przebiegły sir Harcourt pozostawali w dawnych tradycyach whigizmu, mając dla nowych dążności tylko, również tradycyjną, zasadę *non resistance* (nie opiérania się), młode pokolenie liberalne weszło na zupełnie inne tory, formując szeregi „nowego radykalizmu", który rekrutuje się—począwszy od Asquith'a, Acland'a, Sydney-Buxton'a — członków dzisiejszego ministeryum—i dochodząc do prawicy Fabianów, tak zwanéj inteligencyi socyalistycznéj [1]).

Bądź co bądź, ostatnie lata były świadkami inwazyi prawdziwéj *middleclass* do izby gmin, inwazyi krewkiego i dobijającego się siły politycznéj elementu drobno-mieszczańskiego, który przez ubiegłe sto lat nie upomniał się o należne mu w maszyneryi politycznéj miejsce. Elementy te pełne miłości i posłuszeństwa dla wodza swego, dla Gladstone'a, rozprawiały i myślały w odmienny od starszego pokolenia,

---

[1]) Jeszcze dziś słowo socyalizm ma w Anglii zupełnie inne znaczenie, niż na kontynencie. Zresztą Anglia po dziś dzień nie posiada poważnego politycznego ruchu robotniczego. W przyszłości podamy szkic „inteligentnego" socyalizmu w Anglii, począwszy od sentymentalnych panienek, a kończąc na bogobojnych pastorach.

sposób. Widać było, że nowe interesy i nowe warstwy zajęły miejsce dawnych, zawsze gotowych do walki *commoners*.

Kiedy Gladstone w 1885 roku wystąpił z projektem *home rule*'u, był on do tego zmuszony nietylko przez stanowisko, jakie Parnell zajął, ale i przez odczutą potrzebę odrodzenia partyi liberalnéj. Dokonana w 1884 roku reforma wyborcza sprowadziła do izby gmin nową i dość pokaźną większość liberalną, złożoną z 331 przeciw 249 torysom. Klinem jednak wchodził Parnell na czele 86 posłów irlandzkich, decydując w ten sposób o losach partyi liberalnéj, jako stronnictwa rządzącego. Gladstone był zatém zmuszony do ustępstw na rzecz Irlandyi przez prostą rachubę polityczną. Nie trzeba jednak być jednostronnym: torysi wraz z Irlandczykami rozporządzali zaledwie 335 głosami, a zatém nie byliby w stanie przy większości 4 głosów i to niepewnych, wytworzyć maszyneryi politycznéj, funkcyonującéj regularnie. Gdyby więc Gladstone nie chciał wziąć na siebie *odium* przesadnego zarzutu separatyzmu, mógł on dopuścić do sojuszu Parnella z torysami. Sojusz taki nastąpiłby tylko za cenę pewnych ustępstw autonomicznych na rzecz Irlandyi, pozostawiając w ten sposób partyę liberalną wolną od zarzutu zachcianek separatystycznych. Ale Gladstone, przyjmując zasadę *home rule*'u dla Irlandyi, wziął tę sprawę w ręce nietylko jako konieczny krok polityczny. W jego umyśle zasada ta przedstawiła się jako kwestya sprawiedliwości, oraz jako ogniwo w ogólnym ruchu samorządu lokalnego, rozwijającego się w Anglii. Wódz partyi liberalnéj nie mógł zatém pozostać obojętnym i trzymać się polityki wyczekiwania. Przeciwnie, Gladstone sądził, że hasłem, sprawiedliwości dla Irlandyi odrodzi on ruch liberalny, nada mu więcéj życia i sprowadzi energiczne odmłodzone szeregi w znaczniejszéj nadto liczbie.

Rzeczywistość zawiodła jego nadzieje i jeśli dopiéro w 1872 r., choć w części liberalne stronnictwo odzyskało utracone z 1885 r. pozycye, stary wódz wolnomyślnych przekonał się zarazem, że przekwit industryalnego rozwoju Anglii, wyrodził w szeregach jego własnego stronnictwa tendencye, których znaczenia liberalizm z 1848 roku niedocenil.

Stronnictwo liberalne, które w roku 1892 wyszło z urny wyborczéj, bynajmniéj nie jest ciałem jednolitém, łatwém do rządzenia. Nie mówimy już o tém, że partya liberalna ma słabą większość (od 20 do 50 głosów), tylko dzięki 80 głosom irlandzkim; większość zaś posłów irlandzkich daleka jest od przekonań liberalnych, a wybrana

z kraju nieprzemysłowego, często nie zdaje sobie nawet sprawy z interesów i potrzeb, zrodzonych przez wielki przemysł. Widzimy więc już jedną trudność, którą miał Gladstone. Inna trudność, to skład liberalnego stronnictwa, złożonego z wolnomyślnych staréj szkoły, z radykałów również starego pokroju, oraz z ludzi nowych, popartych przez stronnictwo robotnicze. Utrzymać wszystkie te odcienie w karbach dyscypliny partyjnéj było zadaniem niełatwém. Gladstone przezwyciężył wszystkie te trudności, które wynikały z samego składu partyi liberalnéj. Pozostały jednak inne, zrodzone z wyniku wyborów w 1892 roku.

Wybory te dały stronnictwu liberalnemu większość tylko dzięki 80 głosom irlandzkim; bez tych głosów stronnictwo Gladstone'a jest w mniejszości. „Platformą" wyborczą z 1892 roku, była kwestya samorządu irlandzkiego. Już więc z tego względu projekt *home rule*'u był pierwszym punktem porządku dziennego; zresztą tylko za tę cenę mógł Gladstone liczyć na poparcie posłów irlandzkich. *Home rule* uchwalony przez izbę gmin, został odrzucony przez izbę lordów. Nadto w izbie niższéj konserwatyści rozpoczęli z Gladstone'm grę w ślepą babkę; opozycya, złożona z torysów i liberałów, unionistów, oświadczała się gotową do dyskutowania wszystkich projektów reform wewnętrznych, zastrzegając tylko swą nieufność do rządu, usiłującego zerwać jedność państwową. Wprawdzie magr. Salisbury pomógł o tyle Gladstone'owi, że izbę lordów namówił niejako od odrzucenia projektu prawa o odpowiedzialności przemysłowców w wypadkach nieszczęśliwych, którym ulegają robotnicy. O ile ludność pracująca mogła być obojętna na losy projektu prawa *home rule*'u, o tyle została ona rozdrażnioną przez ten niebaczny opór Salisbury'ego. Stronnictwo liberalne wyzyskało téż to niezadowolenie i posłuszne Gladstone'owi, który rzucił lordom rękawicę, rozpoczęło antilordowską agitacyę. Ale agitacya ta nie jest prowadzona żywo i wielkiego zainteresowania nie budzi; rozpoczętą została zawcześnie, a dziś izba lordów będzie już ostrożniejszą. Zresztą agitacya ta nie ma jasnéj formuły. Izba lordów ma być *mended or ended* (poprawioną albo zakończoną t. j. zniesioną). Ale ani Gladstone ani cała prawica liberalizmu nie chcą „zakończenia" izby lordów, nie chcą tak radykalnéj reformy konstytucyjnéj. Co zaś do „poprawienia" jéj, t. j. do zreformowania, nie zachodzi tego żadna potrzeba. Izba lordów nie stanowi dla izby gmin przeszkody, gdy ta ostatnia ma za sobą silny wyraz opinii publicznéj, gdy ma w kraju imponującą większość. Zreformowanie zaś izby lordów mogłoby wywołać tylko jéj wzmocnienie, bo racyonalne umotywowanie, a tego izba

gmin wcale sobie nie życzy: zarówno liberali jak i torysi. Powstawało zatém trudne do rozwiązania zagadnienie. Co robić nadal? Irlandczycy domagali się powtórnego wprowadzenia projektu *home rule*'u. Ale krok ten nie był krokiem pozytywnéj polityki, bo negatywny rezultat był więcéj niż pewnym; co najwyżéj powtórne i bezowocne dyskusye zniechęciłyby i tych wyborców, których Gladstone już przekonał o potrzebie „sprawiedliwości" dla Irlandyi. Dalsze rządy z tak słabą i od posłów irlandzkich zależną większością okazały się niemożliwemi. Rząd mógł się znaléść w mniejszości w każdéj chwili. Powstało jedyne wyjście: rozwiązać izbę i rozpisać nowe wybory. Taki wszakże krok, bez rękojmi, że nowe wybory dadzą rządowi liberalnemu poważniejszą większość, byłby krokiem rozpaczy i w najlepszym razie mógłby przywrócić partyę liberalną do *status quo*. Krewcy radykali żądali przeprowadzenia projektu reformy wyborczéj i nowych wyborów na podstawie zdemokratyzowanego nowego prawa wyborczego. A jeśli izba lordów odrzuci reformę wyborczą? Będziemy wtedy — odpowiadali radykali— mieli zapał demokratycznych wyborców w walce z izbą lordów o rozszerzenie praw politycznych. Radykali wszakże zapominają o tém, że torysi zgodzą się na reformę wyborczą w zasadzie, ale żądać będą jednoczesnego zreformowania okręgów wyborczych, czego znów w zasadzie rząd liberalny nie może odmówić. Zreformowanie okręgów wyborczych znaczy wszakże zmniejszenie ilości posłów irlandzkich i oto dlaczego przy przeprowadzeniu reformy wyborczéj rząd może być pobitym. Jakież więc może być wyjście z tego położenia?

Szukając odpowiedzi na to zapytanie, Gladstone nie mógł nie przypomnieć sobie sprawy reformy wyborczéj z 1884 roku, która dokonaną została przez kompromis, zawarty między nim a Salisbury'm. Taki sam kompromis okaże się i teraz koniecznym, a rząd liberalny nie będzie mógł odmówić liberałom-unionistom uregulowania okręgów wyborczych. Wobec wszakże Irlandczyków, Gladstone czuł się skrępowanym w sprawie nawiązania stosunków z liberalnymi członkami opozycyi konserwatywnéj. Inna okoliczność przedstawiła się Gladstone'owi w niezmiernym wzroście „nowego radykalizmu". Gladstone pojmował przyszłość tego kierunku, rozumiał nawet, że od sojuszu mieszczaństwa liberalnego ze związkami fachowymi pracujących zależy utrzymanie się pierwszego, jako partyi rządzącéj. Pojmować pewien kierunek, a kierować nim, są to jednak dwie rzeczy różne. Że Gladstone zrozumiał nowowytworzone stosunki—dowodzi to jego głębokiego rozumu politycznego,—że nie czuł się na siłach w 84 roku życia stanąć

na czele tego kierunku — dowodzi to jego dobréj wiary i sumienności politycznéj [1]).

Kwestya oddania steru nad stronnictwem liberalném przedstawiła się zatém Gladstone'owi jako punkt wyjścia z dzisiejszéj zawiłéj sytuacyi. Tylko „nowy człowiek", mogący uwzględnić tendencye „nowego radykalizmu", może zapewnić partyi liberalnéj zwycięstwo. Jeżeli partya liberalna przystąpi do nowych wyborów z rezultatem społecznych reform, z platformą rozszerzenia prawa wyborczego, z programem odpowiedniéj demokratycznéj reformy administracyjnéj, — to, poparta przez miasta fabryczne, zdoła ona, wzmocniona, objąć rządy, opiérając się na znacznéj i samodzielnéj, t. j. od irlandzkich głosów niezależnéj, większości; wtedy także izba lordów nie odmówi sankcyi nowemu projektowi samorządu dla Irlandyi, po stronie któréj znajdzie gromki i odrodzony wyraz opinii publicznéj.

Tém samém rozstrzygnęła się dla Gladstone'a kwestya, kto ma być jego następcą. „Honory" należały się sir Harcourt'owi, najstarszemu porucznikowi G. O. M., człowiekowi niezmiernéj popularności i intrygantowi pierwszego kalibru. Gdyby Gladstone oddał kwestyę następstwa pod głosowanie powszechne, to sir Harcourt byłby okrzyknięty wodzem znaczną większością. Ale Harcourt jest przecie tak samo człowiekiem „staréj" szkoły, tylko bez daleko sięgającéj intuicyi Gladstone'a; przy Harcourcie wyrazem teoretycznym partyi byłby Morley, to uosobienie doktryneryzmu liberalnego. Harcourt i Morley nietylko nie dorośli do sytuacyi, ale zniszczyliby nawet tę zgodę, która w partyi liberalnéj dziś istnieje... I dlatego to Gladstone wybrał młodego, więcéj sympatyą niż uznaniem cieszącego się hrabię Rosebery, członka izby lordów.

Nowy premier odrazu nakreślił swoją wytycznię polityczną, swój „nowy program". Kwestyę samorządu irlandzkiego postanowił on zawiesić aż do otrzymania nowéj i silniejszéj większości w izbie gmin. A zatém na porządek dzienny występują teraz reformy polityczne, kwestya kościelna w Szkocyi i Walii, oraz, co najważniejsze, kwestye naprawy stosunków społecznych. W jedném ze swych przemówień, już jako naczelnik rządu, Rosebery bardzo drastycznie przedstawia potrzebę „polityki pracy" *(labour policy)*. Zanim przytoczymy jego słowa, nadmienimy, że Rosebery, który za czasów Gladstoe'na piastował urząd ministra spraw zagranicznych, zjednał sobie popularność mas właśnie dlatego, że jego polityka zagraniczna zupełnie jest odmienna od

[1]) W ostatniéj chwili czytamy, że operacya oczna, jakiéj ma uledz Gladstone, odroczoną została do czerwca, a zatém nietylko słaby wzrok jest przyczyną dymisyi.

polityki Gladstone'a, który w 1877—1878 roku występował przeciw Austryi. I dziś nowy premier zajął się ukompletowaniem floty angielskiéj, co bardzo pochlebia patryotyzmowi angielskiemu. Ale oto Rosebery zabiéra głos i mówi proroczo do swych słuchaczy: Trzeba miéć silną marynarkę, piękna to rzecz patrzéć na sztandar narodowy, powiéwający na przestworzach oceanu... ale to nie dosyć. Rząd musi miéć i co innego na uwadze. Dawne hasła, dawne stronnictwa już kończą swój żywot. „Już widzę w tym kraju naszym gromadzące swe siły nowe stronnictwo, dziś jeszcze bez nazwy, stonnictwo, które różni się od utrwalonych naszych partyi, stronnictwo, które mówi nam donośnie: Biada waszym izbom (niższéj i wyższéj), biada waszym partyom, biada waszym bezowocnym i długim dyskusyom! Dosyć już próżnych gawęd! Do rzeczy i dopracy dla ludu". Jaką zaś ma być ta praca, wyjaśnia Rosebery dokładnie: reformy ekonomiczne, polityka pracy. Ośmiogodzinny dzień roboczy, rozszerzenie prawodawstwa fabrycznego, oraz reformy administracyjne z nadaniem praw organom municypalnym nawet z zakresie gospodarki miejskiéj i gminnéj—oto nowe zadanie rządzącéj partyi liberalnéj!

Takie oświadczyny nowego premiera musiały wpłynąć na opinię publiczną. Zarówno liberali, jak i torysi odgadli znaczenie nowych dróg, jakie Rosebery otwiéra dla stronnictwa swego. Przeciw Rosebery'emu oświadczyli się tylko radykali staréj szkoły, którzy w „nowym radykalizmie" widzą odstępstwo od politycznéj frazeologii. W ich oczach Rosebery jest lordem, członkiem izby wyższéj, któréj oni chcą „koniec położyć". Ale i Rosebery nie jest zwolennikiem izby lordów; nie postawiłby on tamy agitacyi antilordowskiéj, gdyby ona istniała. Wykazaliśmy wyżéj, że nie przybrała ona rozmiarów, mogących upoważnić ministeryum do rozpoczęcia zwycięskiéj walki. Zarzucają Rosebery'emu jego lordowstwo, ale doprawdy trudno podnosić kamień, który Labouchère, młodszy syn lorda, ciska w Rosebery'ego, starszego syna, a zatém i następcy w parostwie. Zresztą stronnicy Labouchère'a, jeśli takowi istnieją, sami nie występują z niczém określoném, a nie pojmując faktycznego gromadzenia się nowych sił społecznych, stoją oni pod względem tendencyi reformatorskich znacznie po za arystokratą i lordem Rosebery'm.

A jednak, wobec słabéj większości, którą ma rząd, pierwszy lepszy kapral ze strony radykałów narazi go na porażkę i na potrzebę rychłego rozpisania nowych wyborów. Zanim jednak rząd bliżéj swą politykę określi, zanim czynami zdoła dać się poznać — rozpisanie nowych wyborów bynajmniéj nie jest dlań pożądane. Wprawdzie, zdaniem naszém, nadzieje torysów i unionistów osiągnięcia większości są udane tylko i nieszczere, bo nikt ze sztabu opozycyi nie łudzi się na-

dzieją co do tėj większości. Opozycya wszakże już wiele zyska, wielkie odniesie zwycięstwo, gdy partya liberalna nie wyjdzie z nowych wyborów znacznie wzmocnioną, gdy wróci w dzisiejszym swym składzie, to jest bez silnego poparcia kraju i narażona na odstępstwo ze strony Irlandczyków.

Przypatrzmy się horoskopowi, który wystawiają wybory uzupełniające. Wogóle od wyborów z r. 1892 było 42 wybory uzupełniające, w których liberali utracili jedno miejsce, nie zyskawszy żadnego. Jeśli się przypatrzymy ilości oddanych głosów w powyżéj zaznaczonych 42 okręgach, to otrzymamy następujące dane po odtrąceniu głosów w Newcastle.

W okręgach wyborczych, gdzie odbyły się wybory uzupełniające za czasów Gladstone'a, padło głosów w r. 1892:

na liberałów	85,909	
na unionistów	79,529	
Większość liberałów w 1892 roku .	6,380	głosów

Przy uzupełniających wyborach było głosów:

na liberałów	87,189
na unionistów	83,252
	3,937

a zatém większość liberalna utraciła 2,343 głosy.

Duce Rosebero miało miejsce siedm wyborów uzupełniających. W okręgach tych w r. 1892 mieli.

liberali	29,572	głosów
unioniści	25,939	„
co liberałom dało większość .	3,633	głosów

Głosowanie zaś z ubiegłego miesiąca wykazało głosów:

liberalnych	30,402	
unionistowskich . . .	28,055	
co zredukowałoby większość do .	2,347	głosów

Do tėj zredukowanéj większości należy jednak dodać 1,221 głosów, które w okręgu Mid Lancashire padły na kandydata robotniczego Smellie [1]) (w roku 1886 Keir Hardy miał zaledwie 617), a redukcya większości liberalnéj dojdzie zaledwie do 65 głosów.

Liczby te wskazują nam: 1) że stronnictwo liberalne będzie zmu-

[1]) W Anglii kandydat mający względną większość przechodzi, wobec braku ścisłych wyborów. Dlatego zaliczamy głosy Smellie'go do liberalnych.

szone wejść w kompomis ze stronnictwem robotniczém; 2) że „polityka pracy", jakkolwiek dopiéro co zapowiedziana, wpłynęła już na wyborców, albowiem redukcya liberalnéj większości, silniejsza za czasów Gladstone'a, zeszła teraz do nieznaczącéj liczby 65 głosów; wreszcie 3) że rozwiązanie izby na dziś byłoby zawczesnym, a zatém błędnym ze strony rządu liberalnego krokiem.

Inna grupa polityczna również nagli rząd do rozpisania nowych wyborów, mianowicie Irlandczycy. Stanowisko tego stronnictwa jest dziś zaprawdę trudne. Dzięki Parnellowi zdobyło ono dla siebie głos decydujący w parlamencie angielskim, ale, nie umiejąc zapanować nad osobistemi ambicyami, straciło zawcześnie swego genialnego wodza. Spadkobiercy Parnella stanowią dwie grupy parlamentarne: parneliści w liczbie około 10, grający rolę nieprzejednanych krzykaczy, oraz narodowcy (70-ciu posłów), którzy stanowili ogon partyi gladstońskiéj. Ogon ten pozbawiony głowy przestał się poruszać i tém samém utracił swą życiową siłę. Dziś narodowcy muszą tańczyć według gry kapelmistrza liberalnego. Tę nie do zazdroszczenia sytuacyę, w którą narodowcy sami się wepchnęli, usiłują wyzyskać parneliści, oskarżający swych antagonistów o zbezczeszczenie imienia irlandzkiego. Zawstydzeni swém własném niedołęstwem, narodowcy zaczynają sami na siebie z podełba patrzéć i zamiast lekami karmią się żółcią. To też codziennie zjawiają się nowe pogłoski o schyzmie wśród Irlandczyków, pogłoski, które się nie sprawdzają, ale które powagę i byt stronnictwa podkopują. Naszém zdaniem, Irlandczycy nie sprawią kłopotu rządowi, póki nie zajdzie jakaś wewnętrzna kłótnia osobista, która doprowadzi do sojuszu grupy Healy'ego z parnelistami. Healy jako reakcyonista z zasady, będzie szukał okazyi popisania się ze swą „zachowawczością", ale przedtém musi się on wyléczyć z Redmondowstrętu—co nie jest rzeczą łatwą.

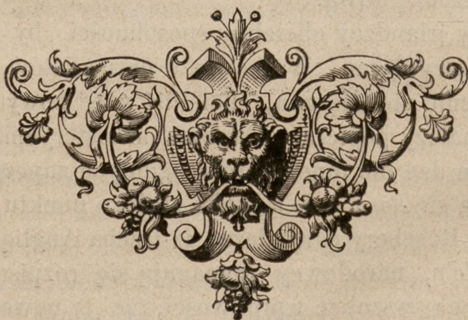
Narodowcy irlandzcy chcieliby sposobności, by swym wyborcom wykazać swój patryotyzm. W obawie o parnellistów, wyzyskujących dzisiejsze położenie niedołęstwa, chcieliby więc nowych dowodów dla wyborców, że należy popiérać liberalne ministeryum. Ale Rosebery dziś nie może im dać nic innego prócz ogólnych zapewnień. Narodowcy zaś domagają się *home rule*'u, jako stałego punktu porządku dziennego. Gdy zaś Rosebery oświadcza, iż trzeba Anglię przekonać o potrzebie *home rule*'u, narodowcy domagają się rozpisania nowych wyborów. Nie ulega wszakże wątpliwości, że te nowe wybory na dziś byłyby zawczesnemi.

Rozdrażnienie Irlandczyków ma jednak wielkie uzasadnienie. Projekt *home rule*'u, który Rosebery przedstawi w razie zwycięskich

wyborów, różnić się będzie od projektu gladstonowskiego. Ale i projekt Rosebery'ego będzie zadawalniającym dla Irlandyi, bo współczesny ruch irlandzki nie jest ruchem państwowo-separatystycznym, na co Irlandya nigdy nie posiadała, a témbardziéj dziś nie posiada sił twórczych, ale kwestyą autonomicznéj administracyi, mogącéj zaabsorbować miejscowe siły. Zresztą wszystkie te gniewy dziś nie mają racyi bytu. Liberali angielscy mogą zawsze dać zupełnie słuszną odpowiedź: zrobiliśmy, co było w naszéj mocy.

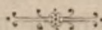
Rząd więc ma dziś do zwalczenia nietylko opozycyę parlamentarną, ale i niedoświadczenie parlamentarne „nowych radykałów", oraz rozdrażnienie anti-parnellistów, umiejętnie wyzyskiwane przez parnellistów i torysów. Rząd przytém ma tę niedogodność, że prawo parom angielskim zabrania wstępu do izby gmin. Przewódzca więc partyi rządzącéj, inspirator nowego kierunku, premier Rosebery przykuty jest do ławki w izbie lordów, pozostawiając rolę *leader*'a w izbie gmin sir Harcourtowi. Otóż ten ostatni potrafi zawsze poróżnić Healy'ego z Redmondem lub pogodzić Dillona z Healy'm, ale nie będzie miał dostatecznéj inicyatywy, by uspokoić prawe skrzydło liberalizmu lub uśmierzyć „nowy radykalizm" niedoświadczonych, bo młodych jeszcze i nowicyuszów w życiu parlamentarném. Już raz rząd był w mniejszości, wczoraj zaś miał zaledwie większość j e d n e g o głosu. Przesilenie więc może nastąpić lada dzień, pomimo że w interesie partyi liberalnéj byłoby odroczenie chwili odwołania się do opinii publicznéj.

Wacław Nadolski.



SIOSTRY MALINOWSKIE.

POWIEŚĆ *).



XII.

Upłynęło kilka lat od zamążpójścia Wandy i od nieszczęść, które spłynęły na dom doktorstwa Klimowiczów. Maniuta przez bardzo długi czas jeszcze była niepocieszoną. A o Wandzie i o jéj zamążpójściu nie debatowano w jéj domu nigdy. I nie wymawiało się imienia jéj siostry, ponieważ losy Wandy i jéj zamążpójścia łączyły się z wspomnieniami o zmarłych dzieciątkach. Wreszcie czas naturalnie zagoił jéj rany. Bóg, jakgdyby wysłuchał próśb doktora, na pocieszenie zesłał podobnego, jak dwie krople wody, do Edmunda — tłustego, zdrowego chłopaka — Julka, a w rok potém spełniło się jéj wieczne marzenie posiadania córki, dla któréj oddawna było postanowione imię Zośka. Maniuta, drżąca teraz po stracie dwojga dzieci, przed każdym wiaterkiem, który wiał na jéj dzieci, zajmowała się teraz mniéj gospodarstwém i służbą, jakoteż gośćmi i przyjęciami i postawiła sobie wyłącznie za cel życia swoją hultajską trójkę: Czesława, Julka i Zośkę, których codziennie kąpała, ważyła, owijała flanelami, tuczyła gałkami surowego mięsa i poiła chinowemi winami, kroplami, koniakami, nie spuszczając ich na chwilę z oka.

---

*) Dokończenie.—Patrz „Ateneum“ za kwiecień r. b., str. 229.

Doktór powrócił do swoich zajęć. Zanurzył się w pracy. Czuł się zadowolonym. Nie miał jednéj wolnéj chwili. I śród pracy nieraz uśmiéchał się sam do siebie. Tylko od czasu do czasu, nagle, bez żadnéj przyczyny, śród snu, przy jedzeniu, w drodze od jednego pacyenta do drugiego — ściskało go coś bezwiednie w piersiach i zaraz analizował swój stan:

— Co to jest? Przecież nie miałem dziś żadnego zmartwienia?— i zaraz po chwili dodawał sobie w duszy:

— Aha!—Wiem... to—to!

Troskę mógł zagłuszyć, ale istniała ona w nim nieco bledsza, lecz niewzruszona! Teraz wiedział już, co miały oznaczać te chwile, kiedy wypadały mu książki, kiedy zmuszony był badać powtórnie pacyenta, kiedy nie odpowiadał żonie na jéj pytania i za każdym razem powtarzał sobie w duszy:

— Aha! Jest—zmora!

A w tym czasie Maniuta powtarzała bez końca:

— Nie słyszysz, czy co, u Boga? Pytam się ciebie już po raz dziesiąty: co robić z Zosią, która nie lubi mléka i w żaden sposób nie chce wypijać dziennie więcéj nad sześć szklanek?

A on roił sobie:

— To dziwne, to dziwne! Więc nie wybiję jéj sobie z myśli, gdybym nawet na głowie stanął. Nie zniknie mi z przed oczu jéj postać z matową okrągłą twarzyczką i pieprzykiem na policzku.

I słyszy głos, z jakim mówi, uśmiéchając się i pokazując w tym uśmiéchu swoje białe ząbki.

— Ach! Dajcież mi pokój z tém wiecznéem zamążpójściem. Więc cóż ja jestem temu winna, że mnie nikt nie chce?

— Miłość, miłość! — szeptał sobie w duszy. — Co za dziwne uczucie! Więc dlatego, że ma pieprzyk na policzku, że oko trochę większe, cerę trochę bielszą, jest mi milszą, niż najserdeczniejszy przyjaciel, droższą niż matka, siostry, żona, dzieci i świat cały? Uczyniłbym dla niéj wszystko, co zechce, i zdolny byłbym do najwięszych ofiar — jedynie dlatego, że jest piękna. A może nawet nie jest tak piękna, tylko m n i e się tak wydaje. Czyż to nie głupota—takie uczucie?... Ale jeśli ono daje szczęście?... Lepiéj jest być szczęśliwym, niż rozsądnym! Lecz jeśli nie daje nam szczęścia, jeno żal, wstyd przed samym sobą, wyrzuty sumienia... Precz, precz! widmo!

Przewodził sobie ręką po czole.

Wyciérał sobie oczy i z większą gorączkowością zabiérał się znowu do dalszéj pracy.

— Wiész, Maniu — mówił pewnego razu swojéj żonie pomieszany — ci wielcy panowie mają swoje kaprysy. Ten mój najlepszy pacyent—hrabia z Opatówki, nie chce w żaden sposób jechać na konsultacyę do Warszawy bezemnie. Zachciało mu się, abym go tam odwiózł i był obecnym przy konsultacyi. A to jest niemożliwe.

— Dlaczego? To nie kaprys, ale dowód, że ma do ciebie zaufanie. Zresztą przez drogę zapewne nie ty go będziesz pielęgnował, ale kamerdyner, felczer, służba.

— Ale jakżeż chcesz, abym opuszczał wszystkich pacyentów?

— Egzaltujesz! Cóż się stanie twoim pacyentom przez kilka dni?

— Ależ pomyśl, moja duszo, tyle lat nie byłem w Warszawie — bronił się coraz bardziéj, pragnąc być zwalczonym.

— Właśnie dlatego warto, abyś pojechał odświéżyć się trochę i opowiedział, jak się rodzice miéwają, co słychać u Wandy, czy ten jéj synek Żorż, dobrze się chowa? Co robi Janinka? Nic o nich nie wiemy. Albo stryj Franek? Przecież go dawniéj bardo lubiłeś!

— Więc chcesz koniecznie, abym jechał?

— Naturalnie. Zresztą mam sprawunki. Chciałabym, abyś mi kupił ekstraktu mięsnego dla Zosi, flaneli dla Czesława i skrzynkę butelek z kefirem. Jeden termometr do mierzenia temperatury dzieci, a drugi do ich kąpieli—zresztą ja ci to wszystko napiszę.

— He! Podług rozkazu jaśnie pani. Jadę z hrabią do Warszawy. A możebyś i ty tam przyjechała?

— Co? A dzieci? Mam je tu same z boną i ze służbą zostawić? Winszuję ci tego konceptu!

I po kilku dniach doktór wyjechał do Warszawy, wyrwany z ciszy swego zakątka. I odżył, usłyszawszy ostatni przeciągły świst lokomotywy, pędzącéj z jeszcze większą siłą ku stacyi.

Uśmiécha się na samą myśl, że ujrzy wszystkich swoich dawnych kolegów, przyjaciół, tego dziwaka i cygana—stryja Franka, poczciwego starego Malinowskiego i mamę Malinowską, którą, pomimo jéj wszystkich wad, ogromnie lubił. Ujrzy wreszcie i ją, Wandę, w czerwonéj bluzce, z pękiem kwiatów w ręku. Lecz prawda! Tyle czasu upłynęło. Musiała się zmienić. Pobladła, posmutniała. Będzie spędzał u nich dni całe, jak ojciec; będzie się bawił z małym Żorżem, jak ze swoim wnukiem. I to ich powitanie pierwsze!

— Bardzo jestem ciekawy wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego...

Nazajutrz rano, odwiedziwszy w hotelu jeszcze przed umówioną konsultacyą swego pacyenta, załatwiwszy najpilniejsze sprawunki i zjadłszy obiad, pobiegł przedewszystkiém do starych Malinowskich.

Starzy byli temi niespodziéwanemi odwiedzinami na seryo uszczęśliwieni. Nawet mama Malinowska, która się troszkę zestarzała, choć werwy jeszcze nie straciła, zapomniała ze wzruszenia o swojéj roli dystyngowanéj teściowej, na któréj przyjęcie patrzy pani Kogutkiewiczowa i świat cały, — była szczerą, naturalną, przyjemną i mądrą. Ze wzruszenia nawet wydostała ze śpiżarni butelkę wina, które, coprawda, wykrzywiało usta i które rozléwała oszczędnie w bardzo ładne maleńkie kiéliszki.

Z początku rozmowa naturalnie toczyła się o Maniucie, o jéj zdrowiu, o dzieciach, na co mama Malinowska wtrąciła:

— Wiem, wiem o wszystkiém. Ona z dziećmi zanadto wyprawia. Naturalnie, przechodziła ciężkie zmartwienia. Ale gdybym ja bliżéj niéj była, to by nieraz za to odemnie porcyę odebrała.

Stary Malinowski i doktór roześmieli się.

— Chociaż — ciągnęła daléj — córki zamężne matek nie słuchają. Zdaje im się, że same mają więcéj rozumu. A Zdzisław i Ernest mogli się przekonać, że nie jestem narzucającą się teściową i nie lubię wścibiać swoich trzech groszy tam, gdzie mnie o to nie proszą. Póki panny są u mnie, ja rządzę podług mego głupiego rozumu, a późniéj łamcie sobie głowę.

— Bardzo naturalnie — potwierdził stary — od czegóż mąż? Niech rządzi, niech panuje. Bardzo naturalnie, w garści niech trzyma wszystko ostro. Hi, hi — śmiał się dobrodusznie.

— A Wanda? — udało się wreszcie doktorowi wtrącić, przyczém się zaczerwienił. — Nic mi rodzice o niéj nie mówią. Jak się miéwa, co porabia, czy zdrowa?...

— Oh! doskonale teraz wygląda. Roztyła się. Taka baba się z niéj zrobiła.

— Roztyła się?

— Pewnie Zdzisław ją odwiedzi...

— Naturalnie, naturalnie.

— A to dziś najlepiéj. Ona właśnie w niedzielę o godzinie 5-téj przyjmuje.

— Jakto przyjmuje?

— O! bo ona się teraz taką arystokratką zrobiła, że bez kija nie przystępuj. Ma tylko stosunki z hrabiami, z książętami, z konsulami. Kompletnie jéj się w głowie przewróciło.

Stary machnął ręką.

— W głowie jéj się przewróciło — ot co — potwierdził za żoną.

— Zrobiłam swoje. Mówiłam jéj raz jeden drugi. Dość już się z nią namordowałam, kiedy była panną. Nie mogę więcéj sił dla niéj

tracić! Mam jeszcze córkę w domu. Ja nie rozumiem ich życia. Może jestem za stara, nie znam się na teraźniejszych wymaganiach i stosunkach. Ale Zdzisław sam się przekona, czy nie mam słuszności. Żeby tylko majątku nie stracili!...

— Ha! żeby tylko majątku nie stracili, to grunt! — westchnął stary.

— Jadę do nich zaraz. Może mama ze mną pojedzie?

— Za wysokie progi na moje nogi. Oni tylko mnie odwiedzają i Janinkę posyłam; może jéj się tam jaka partya trafi. Sama do nich nie chodzę.

— A więc do widzenia.

Wsiadł w dorożkę i pojechał do Milerów. Drzwi otworzył mu służący z niepozorną miną garsona czwartorzędnéj restauracyi, jednak we fraku trochę wytartym i w nicianych, białych rękawiczkach. Doktór minął salę z ustawionemi pod ścianami czarnemi meblami, krytemi wiśniowym atłasem z takiemiż portyerami u drzwi i okien, z żardinierkami sztucznych kwiatów i wszedł do buduaru perłowego, z imitacyą gobelinów i etażerkami figurek z nowosaskiéj porcelany.

Na kozetce i fotelikach siedziały dwie damy i trzech mężczyzn. Jedną z pań, bardzo ożywionych rozmową, była ona—Wanda.

Boże wielki! jaki ten czas jest w swoich figlach okrutny. Poprostu dla zabawy robi z ludzi drogich nam i bliskich — zupełnie kogo innego, i jakiemi nadzwyczajnemi posiłkuje się ku temu środkami! Pozornie to niby ta sama osoba, ten sam głos, przystojna, rysy niby te same, a zupełnie, ale to zupełnie inna. Jaka nieinteresująca! Mama Malinowska miała słuszność. Wanda roztyła się. Z owéj ładnéj figurki nie pozostało ani śladu. I teraz kiedy powstała z kanapy na spotkanie szwagra ze słowami:

— Witam pana, co za miła niespodzianka — wskutek swojéj tuszy, wydawała się zupełnie małą, czworograniastą.

Doktór nie spuszczał z niéj oczu. Twarz jéj biała, matowa — stała się świecącą, ostrą, czerwoną; pod brodą zarysowała się fałda, oczy straciły blask, może od lornetki, któréj nie odejmowała teraz prawie od oczu. W mowie nabrała jakiéjś maniery *quasi*-dystyngowanéj damy. Ubrana była w ciężką jedwabną suknię przeładowaną dżetami, koronkami, aksamitem, jedną z tych, w jakie kobiéty się często stroją, nie aby piękniéj wyglądać, lub podobać się komuś, bo im na tém wcale nie zależy, lecz jedynie, aby wzbudzić zazdrość innych kobiét.

Teraz spojrzał na niego.

Ten pogardzany przez niego kiedyś Miler, wyglądał dziś zupełnie sympatycznie; stracił swoją dawną pewność siebie i zadowolenie i nie nosił ani czerwonych krawatów, ani brylantów. Tylko jego jasne oczy patrzyły na świat jeszcze poczciwiéj, niż dawniéj. Ruda czupryna tak już nie raziła, bo się przerzedziła. I cała twarz pozbyła się swojéj pulchności—wybladła, a na czole, dawniéj bezmyślném, widać było teraz jakąś bruzdę, pod którą musiało się ukrywać cierpienie, troska. Od czasu do czasu, kiedy do niego mówiono, popadał w zadumę, lecz wnet przytomniał i toczył daléj obojętną, salonową rozmowę.

I podczas téj sekundy, kiedy doktór egzaminował ją od stóp do głowy i Milerowi przypatrywał się badawczo — ona, sznurując buzię, przedstawiała go:

— Państwo pozwolą: mój szwagier Zdzisław Nałęcz-Klimowicz z Borowa, państwo konsulostwo Goldfiszowie, baron Radoszyński.

Zwróciła się do doktora. — Jak się Maniuta miewa? i nie czekając odpowiedzi, bawiła swoich gości.—Bo trzeba państwu wiedzieć, że najprzyjemniejsze czasy w mojém życiu przebyłam u nich. Ich Borów jest rzeczywiście miejscowością prześliczną. Mają wszystko: lasek, sadzawki, konie, park, pałacyk prześliczny. I flirtowaliśmy ze sobą na dobre, wszak prawda? I sąsiedztwo mają takie ożywione, takie miłe. Czy Łupinkowscy często u was bywają? To prawdziwe typy staréj szlachty z ich przyzwyczajeniami, tradycyami, gościnnością, z całym dworem rezydentów i świty. A pan Marcinkowski i Karczmarski. Ot, to młodzież, któraby tu w karnawale robiła furorę. Ludzie bogaci i doskonale wychowani. Pamiętam ich wszystkich. Pan do nas na długo?

— Przyjechałem na bardzo krótko z hrabią, który jest chory.

— Patrzcie państwo — przerwała mu trochę zaczerwieniona. — Takich serc w mieście się nie spotka: odwozić chorego przyjaciela! Prawda, że to sąsiad; znają się od tak dawna i żyją w takiéj przyjaźni.

— A synek pani zdrów? — rzuciła ze swoich wąskich ust pani konsulowa, nie porzucająca ani na chwilę swego półuśmiechu, z którego można było wyczytać naprzemian wszystko, co się komu podoba: uprzejmość, zdziwienie, aprobatę, zachwyt... Podobno była trochę głuchą, z czém się bardzo kryła.

— Zdaje mi się, że wyjechał ze swoją angielką na spacer.

Zadzwoniła na służącego, a kiedy się zjawił wydała rozkaz:

— Jeżeli pan Georges nie wyjechał jeszcze, to powiedz, aby pofatygował się tu z panną Jackson.

Lokaj odszedł.

Do salonu po chwili weszła miss Jackson, typowa koścista angielka, trzymająca za rękę sześcioletniego Georges'a, ubranego pretensyonalnie w koronki i aksamity, z długiemi rudemi lokami. Chłopczyk, bardzo nieładny, był podobny do ojca. Ta sama barwa włosów i te same oczy niezdecydowanego koloru. Przytém był widocznie skrofuliczny: miał bardzo cienkie nóżki i oczka zaczerwienione. Ukłonił się jak nakręcona lalka.

— *It is too cold already.—Be so good and remain to day at home*— odezwała się Wanda językiem zrozumiałym jedynie dla Anglików, zamieszkujących conajmniéj ćwierć wieku Warszawę.

— *Yes*—odrzekła miss Jackson.

Georges pobył w salonie jeszcze krótką chwilkę. Znowu kazano mu się ukłonić i odprowadzony za rękę, odszedł z miss Jackson do swego pokoju.

Lokaj w swoich białych rękawiczkach roznosił teraz bardzo niezgrabnie herbatę w cienkich filiżankach.

Goście zabawili jeszcze chwilę. Teraz bawił Miler panią konsulową, która nie porzucała swego konwencyonalnego uśmiechu osoby głuchéj, a Wanda rozmawiała z konsulem i z baronem Radoszyńskim.

Doktór nie spuszczał z niéj oczu.

Teraz w uśmiechach, jakiemi raczyła barona, typowego ze swemi długiemi, rzadkiemi bakenbardami i konsula Goldfisza z charakterystyczną nadętą wargą bankierską — przebijało coś odrobinkę podobnego do jéj dawnéj kokieteryi.

Oczy nabiérały dawnego blasku i głos jéj dźwięczał têm dawném srebrem. Siliła się na dowcipy i znać było, że chce być przyjemną.

I znowu ten sam żal do niéj w nim wezbrał: mniejsza, że na niego nie uważa, lecz jak można kokietować barona i takiego Goldfisza. Przecież oni podobać się kobiécie nie mogą, więc ona to wszystko udaje i kłamie.

Wanda śmiała się z jakiegoś dowcipu konsula do rozpuku.

Goście zaczęli powstawać z siedzeń. Poczęły się żegnania, ze strony gości bardzo dystyngowane, trochę zimne — ze strony Wandy trochę przesadnie usłużne i ugrzecznione.

Nareszcie zostali sami—Miler, Wanda i doktór.

— Prawda, jacy to mili ludzie ci konsulostwo i baron, jakie ma piękne ułożenie, prawda?!

Nikt jéj na to nic nie odpowiedział.

Lokaj zaanonsował im, że waza już na stole i że panicz z panną Jackson już czekają. Miler zapraszał doktora serdecznie, aby z nimi zjadł obiad, lecz kiedy oświadczył, że jest już po obiedzie, — Miler domagał się uporczywie, aby im przynajmniéj towarzyszył przy stole.

Wanda milczała. Pomimo to doktór pozostał. Doznawał uczucia człowieka, wiedzącego, że coś ukochanego utracić musi. Pomimo bólu, chciał przynajmniéj przedłużyć życie tego uczucia konającego, skazanego na zagładę.

Minęli wielką, pyszną jadalnię ze stylowemi meblami, z mnóstwem imitacyi starych fajansów i sreber platerowanych. Nie jadali w niéj jednak obiadów. Stół bardzo skromnie nakryty był w sypialni pomiędzy łóżkami. Wanda, trochę zawstydzona, tłómaczyła się, że obiad mają dziś skromny, ponieważ w niedzielę przed *five o'clok*'iem jadają bardzo sute *dejeuner dinatoir* i żadnego apetytu do obiadu nie mają. Jakoż obiad ten, obsługiwany przez lokaja w białych rękawiczkach, składał się, według tradycyi mamy Malinowskiéj, z rosołu i sztuki mięsa z ćwikłą, bez kawałeczka séra, bez naparstka czarnéj kawy. Miler, pomimo sutego *dejeuner dinatoir*, nalał sobie dosyć cienkiego rosołu, a miss Jackson, widocznie w bardzo złym humorze, zgarniała z półmiska resztki sztuki mięsa. Wanda, sztucznie uśmiechnięta, rzucała na jedzących owe spojrzenia mamy Malinowskiéj, kiedy ongi dzieci za dużo cukru do herbaty brały i zdawało się, że lada chwila wyleci z jéj ust szereg aforyzmów dziedzicznych:

— Do żołądka ci nikt nie zajrzy, a jak cię widzą, tak cię piszą. Jeżeli wydajesz rocznie 1,200 rubli, to powinnaś tak rządzić, aby wyglądało, jak gdybyś wydawała 2,400.

Rozpoczęta rozmowa toczyła się podczas obiadu daléj.

— Prawda, że mamy przyjemne kółko znajomych? — rozpoczęła znowu Wanda. — Nie mogę się użalać; mam dość szczęścia do ludzi. Widział pan, jak ci goście mnie psują swą uprzejmością i *prewenansami*.

— Pewnie bywają u was ci wszyscy artyści malarze, rzeźbiarze, o których mi pani dawniéj tyle opowiadałaś?

— Ale skąd znowu! Wyszłam z tego wszystkiego. To byli cyganie. Mamy teraz towarzystwo zupełnie inne. Naprzykład baron, prawda, jaki miły człowiek! Bywa tu w pierwszych towarzystwach, jest członkiem klubu. *A propos* — zwróciła się do męża — czy zamówiłeś u niego beczułkę wina, lub cygara. Ty wiesz, że on się obraża...

— To baron winem i cygarami handluje?—zapytał doktór z prowincyi.

— To tak, dla przepędzenia czasu—odrzekła zmieszana — a raczéj, aby pokazać, że arystokracya także powinna brać się do przemysłu. Ale konsulowa ma maniery dworskie; z domu księżniczka Zgórska.

— Tylko on, typowy bankier, bardzo nadęty i niesmaczny.

— Eh! Pan nie znasz tych stosunków; są przyjmowani w pierwszych domach—zwróciła się do męża—czy obstalowałeś kosz kwiatów dla prezesowéj. Pamiętaj, że pojutrze już są jéj imieniny. Trzeba téż będzie wziąć kiedy lożę na Włochów i ich zaprosić. Wiész, wydają wielki raut w sobotę.

— Spotkałem ich dziś rano w ogrodzie.

— I nic mi o tém nie mówisz — rzekła, ogromnie tém zajęta. — I cóż? Wspominali ci co o raucie?

— Ani słowa. Ale wiem, że zaproszenia są już rozesłane.

— No, ale mówmy o czém inném; te rzeczy nie mogą zajmować doktora. Wié pan, mój mąż nie chce wierzyć, że wy na wsi wydajecie przeszło 5,000 rubli rocznie, przyjmując takich Łupinkowskich i ekonomów, jak Kacperski i Marcinkowski. A ja, żyjąc w mieście, wydając wieczory i obiady i przyjmując u siebie śmietankę Warszawy, wydaję zaledwie 8,000 rubli, a wygląda u nas tak, jak gdybyśmy conajmniéj wydawali 16,000.

— Wiem, moje dziecko — mówił smutnie Miler, — że ty jesteś oszczędną i dobrą gospodynią. Cóż, kiedy i 8,000 rubli rocznie nie jestem w stanie wydawać.

— A! to, już nie moja wina, że twoje dystylarnie teraz nic nie przynoszą. Ależ ja dla twoich interesów, nie dla siebie oszczędzam każdy grosz, aby módz prowadzić dom, przyjmować gości i utrzymywać stosunki. Doktór świadkiem, że najszczęśliwszą czułam się na wsi, leżąc gdzieś nad błotem i słuchając słowików.

— Moja droga, nie sprzedam przez twoje stosunki ani jednéj beczki spirytusu.

— Tak, ale trzeba myśléć o Żorżu, któremu majątku się i tak nie zostawi. Niech będzie kiedyś przynajmniéj przyjmowanym w świecie, niech ma stosunki, nie tak jak ty, który, żeniąc się ze mną, nie znałeś żywéj duszy po za swemi fabrykantami.

— Moja duszo — rzekł w końcu podrażniony — nie wiem, czém są gorsi moi fabrykanci od twoich baronów i żydów, którzy w dodatku jeszcze ceregiele z nami robią.

— Gdyby mnie nie chcieli, to szeroko możnaby jeszcze o tém

mówić, dlaczego i czy specyalnie to ja jestem przyczyną—zapaliła się trochę, lecz wnet cofnęła się i uśmiechając się, kończyła. — Posiadasz dziwny dar irytowania mnie przy ludziach. Doktór może sobie teraz pomyśléć, że my całemi dniami do oczu sobie skaczemy; szczęściem, że to nie obcy.

Lokaj zameldował, że powóz jaśnie pani już zajechał.

— Tak cię prosiłem — biadał Miler — abyś dziś na spacer nie jechała. Szkapy takie zmęczone rozwożeniem beczek ze spirytusem.

Przypomniała sobie cały nietakt jego rozmowy, zmarszczyła brwi, i hamując się, z prawdziwą już złością w oczach, wycedziła:

— Ach! jesteś dziś niemożliwy. Jestem pełnoletnią i wiem, co czynić — zwróciła się do lokaja — powiédz pannie Jackson, aby się z Żorżem pośpieszyła. Jedziemy w aleje. I zobacz, czy stangret ma na sobie kapelusz lakierowany i czy wyprane rękawiczki.

Doktór się żegnał.

— Nie wpadnie pan do nas na obiad? Przecież pan zabawi tu kilka dni?

— Nic nie wiem. To nie zależy odemnie. Jestem tu, jak państwu mówiłem, z chorym, który moją wolę krępuje. Może się już nie zobaczymy.

— A więc proszę ucałować odemnie Maniutę i dzieci — spieszyła Wanda, gotowa już do spaceru. — A piszcie téż od czasu do czasu do mnie. Do widzenia.

— Do widzenia.

Uf! zbiegał prędko po schodach, także licho pozujących na wspaniałość, marmurowych z odpowiedniemi sztukateryami, z ohydnym posągiem, trzymającym latarnię gazową. Zbiegł coprędzéj, aby nie widziéć tego blichtru, tego fałszywego komfortu mieszczańskiego.

— Uf! co za karykatura kultury!—złapał się za głowę. — Co za rozczarowanie! Nie, nie, nie! Było już trochę zbyt silne, zbyt nagle, zbyt nieoczekiwane.

Znalazł się nakoniec na ulicy.

— O! ten czas, ten czas, w którym się ludzi ukochanych nie widzi! Jak on zmienia wszystko, wszystko, wszystko! do szpiku kości. I jak zbyt śmiały lekarz, nie zważający na bóle, wycina, wyrzyna gangrenę, nie troszcząc się, że chory może umrzéć przy tak nagłéj operacyi. A jednak tak najlepiéj. Albo... albo! albo śmierć, albo życie. Czuje, teraz jest już ocalony. Ta jego miłość, ten ideał, który powi-

nien był w jego pojęciu bujać ponad ziemią, bo ziemia była niegodną; co się z niéj zrobiło, co się z niéj zrobiło!

I po głowie mu chodził ten Nałęcz-Klimowicz i jego Borów z pałacem i parkiem, i ta śmietanka towarzystwa, te biédne szkapy, zmęczone całotygodniową robotą, ciągnące jéj ekwipaż na spacer i angielszczyzna i ta fałszywa, marna, mieszczańska dystynkcya i ta mowa zmanierowana —co za oszukiwanie siebie i ludzi, co za nędza moralna, co za pustka w duszy, aż litość bierze. Czuł do niéj żal, nic więcéj — żal za swoją omyłkę nie do darowania. Pomyśléć, że on chorował z miłości wtedy, kiedy ona dla swoich ambicyjek sznurowała usta, kokietując tego śmiesznego konsula i barona, ajenta win i cygar. Ależ przy niéj mama Malinowska ze swoim ciasnym chłopskim sprytem, ze swoją zabiegłością i pracowitością jest jeszcze bohatérką; w porównaniu z nią jest Kornelią, matką Grakchów, z temi nocami, które spędzała bezsennie, myśląc o przyszłości dzieci; kiedy ona jest śmieszna i marna, ale to taka marna, jak mała nadęta pchełka.

Wychowanie, które stara dawała córkom, nie ma co mówić, było karykaturą wychowania, ale Wanda dopiéro jest karykaturą téj karykatury.

I przypomniał mu się jéj Böcklin, Puvis de Chavannes, Mallarmé i Verlaine. Co znaczy gmach, budowany na tandetnych fundamentach?... lada powiew wiatru... i cała budowa runie! Z dawnego nic pozostało nic!

I co się z niéj zrobiło?!

Doktór wstąpił do swego chorego. Lekarze wszyscy stwierdzili, że był dotąd jaknajlepiéj leczony, że jednak do wyjazdu za granicę jest jeszcze zbyt słabym, zadecydowali, iż powinien wracać do domu. Doktór oświadczył uszczęśliwionemu choremu, że go odwiezie, ponieważ i on opuszcza dziś Warszawę. Poszedł tylko jeszcze pożegnać się z rodzicami żony.

Siedzieli przez chwilkę we troje. Starzy bez końca pytali się o Maniutę, o dzieci, o praktykę; czy odkłada co na stare lata i o inne szczegóły domowe. I doktorowi przyjemném było to zainteresowanie się jego sprawami. Poczciwego starego, choć mało znał, kochał jak ojca. I po przyjęciu u pani Milerowéj rozgrzéwał się tu z lubością, jak po nieoczekiwanéj zimnéj kąpieli.

Nareszcie drzwi się otworzyły i weszła jakaś młodziutka, wiotka, bardzo kształtna panienka. Doktór grzecznie zerwał się z siedzenia.

— Zdzisław jéj nie poznaje. To Janinka!...

Zaczerwienili się oboje.

Jakżeż mógł ją poznać? Była maleńkiém dzieckiem. Nie obliczył się z latami. Sądził, że jest teraz brzydkim podlotkiem, a zastał śliczną dorosłą panienkę.

Janina nie była podobną ani do Wandy, ani do Maniuty. Wyprostowana, jak młoda topola, była wysmukła i wpasie tak cienka, że można ją było objąć dziesięcioma palcami. Miała typ młodéj angielki z dobrego domu. Twarzyczka, o rysach drobnych, bardzo delikatna; na czole niebieszczą się żyłki. Wargę wierzchnią miała zbyt krótką, tak, że usta zawsze wydają się otwarte, niby na pół uśmiechnięte, na pół żdziwione i widać białe ząbki. Musiała wiedziéć o tym swoim typie i nie wychodziła z roli panienki dobrze wychowanéj, trochę naiwnéj. I ubraną była odpowiednio do tego. Sukienkę nosiła krótką, kołnierzyk marynarski i kapelusik *à l'enfant*. W ręku trzymała safianową tekę ze złoconym napisem: *Musik*.

Zaczęła go kokietować swoją minką Popielki, albo panny Réchenberg z komedyi francuskiéj. Może słyszała coś o nim, że jest romantykiem i że daje sobie głowę zawracać, choć on był zimny i nie kontent, że jego serdeczne sam-na-sam ze starymi zepsuło to wejście obcéj mu zupełnie osoby.

— Nie poznałbym pani nigdy — mówił oschłym tonem, jakiego używał czasami dla swoich pacyentek. — Ile właściwie pani sobie lat liczy?

— Ach! jaki pan niedyskretny! Mam lat szesnaście, ani tygodnia więcéj—to dla świata. A tu dla nas, pst! aby nas tu tylko nikt nie nie słyszał—skończyłam już 19-cie.

— Pani już sobie lata odejmuje?

— Czy Zdzisław wié — wtrąciła się matka — uparła się, aby nie kłaść długiéj sukni.

— Naturalnie. Kiedyż sobie odejmować lat, jak nie teraz? Mężatce wolno mieć tyle lat, ile jéj się podoba, a o nas mówią zaraz: stara panna. Nawet na bale nie chcę chodzić—szczebiotała daléj, dziwnie łącząc sprycik mamy Malinowskiéj z naiwnością gapiątka,—aby nie mogli obliczyć, że od kilku lat jestem już dorosłą.

Wypowiedziała to wszystko, jak dziecko, nie pojmujące morału bajki, którą wyrecytowało na pamięć. I zdawała się nie pojmować niestosowności tego wszystkiego, co mówiła, uważając tę rzecz za jasną jak słońce.

— Rozumek ma, co? — z tryumfem szepnęła do ucha doktorowi stara i zwróciła się do Janinki.

— Możebyś zagrała co na fortepianie Zdzisławowi? nie słyszał cię jeszcze.

Doktór nie zachęcał i Janinka, jak gdyby intuicyjnie przeczuwając poniewczasie, że pierwszy jéj monolog nie zrobił może wrażenia, szczebiotała trochę z innéj beczki.

— Oh! nie, mateczko! Nie lubię się popisywać temi wszystkiemi salonowemi kawałkami Godarda, Griega. Fortepian nie może dać pojęcia tego, co się chce wyrazić — szczebiotała swoim naiwnym głosikiem, jak nakręcona katarynka. — Zgadzam się zupełnie z zadaniem nowego dramatu muzycznego, który ściśle łączy się z akcyą i daje nam pełne wrażenie. Naprzykład dawna „Łucya z Lamermooru", albo „Lunatyczka" — to jest poprostu śmieszne. Dopiéro Wagner... pan lubi Wagnera? To jeszcze nic w porównaniu z włoskimi veristami. Ja przepadam za włoskimi veristami. Naprzykład Mascagni, to jest już taki geniusz, jakiego ziemia nie widziała. Pan nie zna nic Mascagni'ego? Jakto można nie znać Mascagni'ego! Naprzykład *intermezzo* z „Cavalleria Rusticana", albo „Amico Fritz", albo „Rantzau". Chociaż Leoncavallo jest może większy. Naprzykład „Pajace", to już taki dramat muzyczny, że już nie wiem.

Doktór jednak, ten mięki romantyk, którego kobiéty tak łatwo uwodziły, był dziś niezwalczony.

Nie, już go ta nie weźmie na Leoncavalla. Miał już dość sióstr Malinowskich. Oh! dosyć zupełnie. Wiedział, co znaczy ten Godard Maniuty, Puvis de Chavannes Wandy i Mascagni Janiny.

— Wiem, wiem już—mówił sobie w duchu.—Mascagni, Leoncavallo, weryzm, wiem; nie jestem wcale tego ciekaw.

Poznał już dobrze ten realizm, potém symbolizm, teraz weryzm, tę całą sztukę zastosowaną do przemysłu, te tandetne sztukaterye budowanych na spekulacyą domów, które odpadają zaraz po sprzedaży. I przypomniały mu się słowa wieszcza, porównywającego pewien poemat do wspaniałego „gmachu, piękną architekturą stawianego, jak wzniosły kościół, ale w kościele... Boga nie ma".

W gmachach mamy Malinowskiéj ileż było nagromadzonych rupieci najniepotrzebniejszych, tandety, powykrzywianych balastów, odpadków—brakowało tylko jedynie spełniania obowiązków, szczerości, ciepła, prawdy, poezyi i miłości. Jak we wzniosłym kościele, w którym jest wszystko, „ale... Boga nie ma".

XIII.

Mamie Malinowskiéj ostatecznie szczęściło się. I Janinka zrobiła świetną partyę. Wanda wzięła ze sobą siostrę do Ostendy. Tam

poznał ją lwowianin pod pięćdziesiątkę podchodzący, niejaki Kowalski, bardzo elegancki pan, z monoklem w oku i z różą w butonierce. Był łysy i leczył się na mlécz pacierzowy; podobno ongi bardzo lubił zabawę i balet wiedeński. Pomimo to fortuny nie zmarnował. Posiadał we Lwowie piękną kamienicę, odziedziczoną po ojcu, właścicielu hotelu i restauracyi i jeździł, znanym w mieście amerykanem, zaprzężonym w pyszne konie.

Janina swoją minką wiecznie zdziwionego dziecka odrazu podbiła go na zabój. Przyjechał za nią do Warszawy i w ciągu dwóch miesięcy uwiózł ją już jako swoją żonę do Lwowa.

— Dużo-by pomógł rozum téj sklepiczarki Malinowskiéj—syczała na ucho kumoszkom pani Kogutkiewiczowa—gdyby te jéj sroki nie były w istocie ładne, jak na złość ładne, jedna w drugą.

Klimowiczowie i tym razem nie mogli przybyć na ślub. Dzieci znowu im się rozchorowały i oboje drżeli, aby nie spotkało ich nieszczęście, jak ongi podczas ślubu Wandy. Lecz dzieciom nic w istocie nie groziło i skończyło się tylko na strachu, jednak o wyjeździe na ślub mowy już być nie mogło.

I znowu czas płynął sobie daléj a daléj. Maniuta kąpała, ważyła i tuczyła swoje dzieci; doktór odwiédzał chorych, wieczorami pisywał do pism lekarskich, wertował książki i dzienniki, których coraz większe zapasy ku utrapieniu żony z Warszawy sprowadzał.

Lecz nagle przyszła chwila, że miał tego duchowego pokarmu na pewien czas dosyć. Czuł się opitym po szyję. Czuł, że nowych zapasów już nie trawi i że książki odbijają się teraz o jego głowę, jak o mur. Zamknął bibliotekę. Był spragniony towarzystwa; nie ludzi obcych, z którymi nic nas nie łączy, nie kolegów nawet i nie przyjaciół, bo i ci są w gruncie obcymi. Łaknął rodziny: siόstr, szwagrów, braci i bratowych. Matka jego, od czasu kiedy wydał córkę jéj, a swoją siostrę za mąż, przemieszkiwała u niéj, het, daleko w ustroniu jakiémś; posyłał jéj tylko miesięczną pensyjkę i życzenia wesołych świąt i imienin. Panie te nie bardzo godziły się z Maniutą i doktór czuł dobrze, że matka jego należy już więcéj teraz do swojéj córki i do zięcia, niż do niego i do synowéj.

Pozostawali więc Malinowscy. Nie kochał już Wandy — tém lepiéj. Czuł dla niéj teraz tylko, jak należało, przyjaźń szwagra. Kiedy nie brał jéj na seryo, jak dawniej—to miała zawsze urok przyjemnéj i niezłéj kobiéty, z resztkami dawnego wdzięku, przebijającego się czasem w mowie, w uśmiechu, w jakiémś dawném przyzwyczajeniu lub w ruchu.

Do starych Malinowskich czuł zawsze przywiązanie syna. Do

brze mu tam było. Lubił ten ich porządek, jéj spryt i jego poczciwość; lubił to ciche mieszkanko, którego znał każdy kąt i z którém łączyło go tyle wspomnień. Chciał téż widziéć koniecznie swego faworyta, tego starego dziwaka stryja Franka, lecz sam do Warszawy już-by jechać nie chciał. Brakowałoby mu gdérania żony i płaczu dzieci, i zagadnął Maniutę:

— Słuchaj, Maniu. Czemu my właściwie nie wybierzemy się kiedy razem do Warszawy, zobaczyć swoich, odetchnąć stołeczném powietrzem?... Przecież tu zdziczéć można. I jaka z ciebie warszawianka, co nie ciekawa przez tyle lat ujrzéć swojego gniazda.

— E! co mnie tam już teraz Warszawa obchodzi.

— To źle, zobaczysz tam nowe sztuki w teatrze, nowe mody.

— Mnie tam mody teraz tylko w głowie! Naturalnie, przyjemnie-by mi było zobaczyć rodziców. Ojca już tyle lat nie widziałam. Ale nigdy nie zdecydowałabym się zostawić tu dzieci na łasce służby.

— A dlaczegobyśmy nie mieli zabrać dzieci? Pogoda sprzyja; taka jazda i na zdrowie im posłuży. Zresztą zobaczą raz miasto i niech rodzice poznają swoich wnuków.

Podczas téj mowy Maniucie oczy aż świeciły.

— A! z dziećmi! to rzecz zupełnie inna.

Wiedziała, że jéj dzieci są ładne, domyślała się, że są nawet ładniejsze od Żorża, choć go tak po wielkopańsku chowają. Będzie się miała czém chlubić w mieście przed znajomymi i przed dawnemi koleżankami. Wyobrażała sobie, jak się za jéj trójką na ulicach oglądać będą. Zresztą, obiecywała swoim dzieciakom przy każdéj łyżce tranu i każdym kawałku mięsa:

— Jak będziecie jedli, będziecie grzeczni, to pojedziecie do babci do Warszawy.

I w główkach dzieci roiła się Warszawa, jako wielkie ciastko lukrowane i babcia, jako piramida, z któréj spadały bez końca cukierki.

I Maniuta po krótkim namyśle oświadcza mężowi.

— Jeżeli chcesz koniecznie, to jedźmy do téj Warszawy.

Po upływie tygodnia zaciszne i spokojne od zamążpójścia ostatniéj córki mieszkanko starych Malinowskich wrzało ruchem i zgiełkiem. W saloniku ulokowano doktora i Maniutę, w jadalni mieściła się bona z dziećmi, których w całym domu było pełno i bez końca zarzucały pytaniami starych:

— Babuniu, dlaczego tu na ulicach tak ciągle jeżdżą? a u nas w Borowic to wcale po szosie nie jeżdżą?

— Babuniu, dlaczego dziadzio ma takie białe włosy, a nasz tatuś ma takie czarne włosy?

A doktór, uszczęśliwiony, że jest między swoimi, chodził po pokojach i zaciérał dłonie.

Dnia pewnego byli zaproszeni na obiad do Milerów.

Od pierwszéj chwili przyjazdu stosunki pomiędzy paniami były trochę zaostrzone. Maniucie zdawało się, że Wanda traktuje ją niby z góry. Nie mogła téż jéj darować tego, że mało pieściła i zachwycała się jéj dziećmi i zarzucała jéj, że jest nienaturalną i nieszczerą. Wanda rzeczywiście rozmowna aż do zbytku z konsulową — dla siostry miéwała uśmiéchy bardzo wyrozumiałe, ale trochę ironiczne i protekcyonalne.

— Nie wiem — mówiła teraz Maniuta — może w arystokracyi nie jest przyjęte brać ze sobą dzieci na proszony obiad i Wanda nic mi o dzieciach nic wspomniała, ale wolałabym darować jéj obiad, niż spędzić dzień bez dzieci.

Kiedy weszli do paradnéj jadalni, spostrzegła, że nie ma wcale dziecinnych nakryć przy stole.

— Nie obawiaj się — rzekła ze swoim ironicznym uśmiéchem Wanda — dzieci z miss Jackson i z twoją niemką mają nakrycie gdzieindziéj.

— To bardzo arystokratycznie — rzekła z wymuszonym uśmiéchem Maniuta — u mnie w domu takiéj dworskiéj etykiety nie ma.

— Moja duszo. Co innego na wsi, a co innego w mieście. Do nas bardzo często ktoś na obiad przychodzi.

— Przecież i my, chociaż na wsi, z ludźmi żyjemy.

— No, tak, ale widzisz, moja duszo, z takimi tam Łupinkowskimi wielkich ceremonii robić nie trzeba, a my mamy zupełnie tu inne stosunki.

— Moja kochana! A cóż za nadzwyczajne stosunki wy tu posiadacie? Łupinkowscy są starą dziedziczną szlachtą, kiedy rodzice twoich konsulów sprzedawali podobno na ulicach zapałki.

Mężowie musieli użyć całéj swéj polityki, aby burzę zażegnać, a przynajmniéj stłumić i jakoś im się to z pozoru udało.

Do pokoju wszedł lokaj, meldujący wizytę pana barona. Wanda rzuciła w stronę męża spojrzenie i po sekundzie namysłu szepnęła lokajowi:

— Powiedz panu baronowi, że nas nie ma w domu — a potém dodała półgłosem mężowi: — Musisz iść do niego jutro i przeprosić go. Powiész mu, że byłam niezdrowa.

Maniuta rzuciła znaczące spojrzenie mężowi. Nie trudno było się domyśléć téj komedyi.

Panie bardzo zimno się pożegnały. W domu dopiéro Maniuta wybuchła:

— Uważałeś, ona wstydziła się nas przed swoim baronem. Żona dystylatora wódek wstydzi się żony doktora, dlatego, że nie sznuruję ust i nie ubiéram się w atłasy i brylanty, jak jéj żydowice. Ależ to są kpiny! Ale ona usłyszy jeszcze odemnie takie *verba veritatis*, jakich w życiu nie słyszała. Zobaczysz.

— Ależ, moje życie, przywidziało ci się z tym baronem.

— Ale kiedy ja spostrzegłam już od kilku dni, że ona wstydzi się ze mną i mojemi dziećmi pokazywać się na ulicy. A kiedy zaprasza nas do siebie, to zamyka dom na cztery spusty, aby żywéj duszy nas nie pokazać.

— Mówisz tak, jak gdyby tobie naprawdę zależało na tych jéj stosunkach. Przecież to lepiéj, że jesteśmy bez obcych, sami—jedynie w swojém kółku. Jest się téż o co gniéwać! Tyleście lat się nie widziały i nie wiadomo, kiedy znowu się zobaczycie. Zawsze jest twoją siostrą.

— Nie. Ona nie jest moją siostrą. Co mam z tobą mówić, kiedy wy, mężczyzni, na tém wszystkiém się nie znacie. Ja lgnęłam do niéj całém sercem, a ona nawet dziecka mego nie popieściła. Jest nienaturalną, nieszczerą, wymuszoną komedjantką, z tém wieczném cedzeniem swojém: moja duszko. Nauczyła się tego zapewne od jakiéj swojéj konsulowéj. Moja noga u niéj więcéj nie postanie. Daruję jéj te obiady śliczne na pięknych talerzach, gdzie każdy kąsek jest wyliczony. Pieczyste było spalone. A wiész, dla dzieci zabrakło rosołu. I może lepiéj, że im nie dali jeść! — takie jedzenie mogłoby im zaszkodzić. Dzieci błagały mię, aby ich tam więcéj nie brać, bo ten panicz Żorż nie chciał się z niemi bawić. Nie dziwię się, że jest takiém chuchrem, jeżeli mu jeść żałują. A ta angielka Mickson czy Jackson była dla Fraulein Emmy tak impertynencką, że poczciwa Emma, opowiadając mi o tém, aż się rozpłakała. Ty się wiecznie za wszystkimi ujmujesz, a szczególniej za Wandą, która przecież była twoim ideałem. Ale możesz ją bronić, ile ci się podoba—powtarzam, że moja noga w jéj domu nigdy już nie postanie. Inne przyjęcie mi się od niéj należało.

Doktór machnął ręką. Nie czuł w sobie siły do zwalczenia tak potężnych kobiécych argumentów. Nie miał zresztą czasu na te plotki. Biegł do stryja Franka, który leżał w szpitalu chory, o czém doktór przedtém nie wiedział.

— Dlaczegoście mi o tém nie pisali, dlaczegoście nie wspomnieli nawet? Możebym coś zaradził, możebym w czém i pomógł. Wiem

przecież, że rodzice nie są Krezusami. Jakże można było to mi ukrywać. Biédny człowiek, biédny człowiek — ubolewał, szczerze tą wiadomością wzruszony.

— Mój drogi; niestety, i ja dla mego szwagra nie byłam w stanie uczynić, coby należało—mówiła zaambarasowana mama Malinowska—co do was, staram się zawsze moim dzieciom tylko wesołych wiadomości udzielać. Nie chcę, aby moi zięciowie mieli kłopoty z rodziną swoich żon.

Nie słuchał jéj objaśnień; pochwycił za kapelusz. Maniuta, pomimo swojéj krzykliwości, zawsze poczciwa — uparła się mu towarzyszyć. Sprzeciwił się stanowczo temu, twierdząc, że może jaką chorobę ze szpitala wnieść dzieciom do domu.

— Jeżeli to tak — to naturalnie iść nie mogę. Jeszczeby tego brakowało, aby dzieci mi się rozchorowały—odrzekła rozbrojona.

I doktór mijał znane mu oddawna długie korytarze szpitala z czerwono lakierowaną podłogą, z szeregiem oszklonych drzwi, na których widniały czarne tabliczki z białemi napisami. Znał dobrze tę unoszącą się dokoła duszną atmosferę lekarstw, te jęki tu i owdzie śród ciszy głuchéj, rozlegające się przez otwarte drzwi sal, w których u obu ścian podwójnym szeregiem wydłużały się żelazne łóżka z tabliczkami, na których krédą wypisane były: data przyjścia, nazwisko i łacińska nazwa cierpienia. A z bieli grubéj płóciennéj pościeli wyglądały znękane, biédne ofiary chorób bezlitośnych, wyrafinowanych i skombinowanych, którzy ostatkiem sił zrywali się, rzucali bluźniercze pytanie:

— Dlaczego tak strasznie cierpimy? Dlaczego ta choroba, tak potężna, tak silna — pastwi się nad nami? Dlaczego? Przecież dość już tego było. Nie mamy już sił... takie męki! Jakżeż można nie miéć litości!?

Wkoło niego tu i owdzie uwijali się posługacze w białych fartuchach, felczerzy z instrumentami, lekarze, spełniający swoje zajęcia z obojętnością urzędników, przychodzących codziennie do swego biura i sunęły, jak widma, siostry z różańcami u pasa, w czépcach z wielkiemi białemi skrzydłami, o białych smutnych twarzach, jakby z innego lepszego jakiegoś świata, zdjętych z obrazka, z marzenia, z fantazyi. Zdala dochodziły pobożne śpiéwy, płynące jakby z nizin ku niebu. To kaplica szpitalna z górną owalną galeryą, sięgającą korytarza, roztaczała się tu u jego stóp ze swojemi żółtemi płomykami świéć u ołtarzy, dziwnie odbijającemi śród dnia białego.

Wszedł wreszcie do wskazanéj numerem sali. I jako lekarz, przyzwyczajony do całéj zgrozy choroby, sunął niewzruszony śród mąk

tych skazanych na cierpienia terminowe, dożywotnie, lub na śmierć, szukając pośród nich stryja Franka.

Wreszcie stanął przed jego łóżkiem i mimowoli zadrżał.

— Wielki Boże, więc to już tak z nim!

Przed nim na łóżku, z głową bezwładnie obwisłą na cienkiéj poduszce, leżał stryj Franek spuchnięty z twarzą fioletową, nie mogący tchu złapać, z okiem, w którém malował się cały ogrom jego cierpienia.

Poznał doktora i z trudem wybełkotał:

— Dziękuję ci. Pamiętałeś o mnie. To tak przyjemnie zobaczyć znajomą twarz. W ładnym stanie mnie zastajesz, co? Tak, tak, mój drogi, dobry koniec. Umiéram w szpitalu.

Doktór usiadł przy jego łóżku i wyszukiwał słów pocieszenia, czując w głębi, jak są banalne, płytkie i nieodpowiednie do całéj grozy stanu biédaka. I nagle jemu—lekarzowi, dla którego choroba była codzienném zjawiskiem i sposobem do utrzymania siebie i swojéj rodziny, duże, nieoczekiwane łzy spłynęły po policzkach.

Chory je spostrzegł i sprawiły mu one więcéj ulgi, niż owe pocieszenia. Wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję ci — wybełkotał po raz drugi, oddychając ciężko.— Byłeś zawsze poczciwym człowiekiem. Mojém marzeniem było zamieszkać u ciebie na wsi. Nie śmiałem się narzucać. Teraz nie będę już nikomu ciężarem.

A doktorowi aż serce się krajało na ten straszny epilog ziemskiéj wegetacyi człowieka, poczciwszego w gruncie od bardzo wielu innych, a ukaranego tak ciężko jedynie za to, że nie potrafił myśléć w życiu o zrobieniu karyery.

Doktór powstał z siedzenia i żegnając się z chorym, przyobiecał, że go dziś jeszcze odwiedzi. Teraz poszedł do kancelaryi szpitalnéj i zapłaciwszy zgóry za chorego, zażądał bezzwłocznie przenieść go do osobnego pokoju, dawać mu inne jedzenie, specyalną usługę i polecił go szczególnéj opiece i łasce miejscowego lekarza, w którym poznał swego szkolnego kolegę.

Tymczasem stosunki między siostrami śród bezczynności coraz więcéj się zaogniały. Plotki i komeraże unosiły się teraz w powietrzu. Niemka dolewała ognia, rozpowiadając, co jéj mówiła nienawistna Angielka, a nawet dzieci uparły się, aby nie całować rączki cioci Wandy, która jest brzydka i nie dała im nawet rosołu i nie chciały się bawić z Żorżem, którego nie kochają, bo jest dumny.

Wyidealizowany przez doktora pobyt w Warszawie w ciepłém kółku rodziny, stawał się coraz przykrzejszy. Nie odzywał się już słówkiem w téj sprawie, aby jéj nie pogorszać, pomimo to czuł, że bomba lada dzień wybuchnie.

Maniuta, chcąc się zrewanżować siostrze za wydany dla niéj obiad, zaprosiła ją do teatru do loży. Wanda przyszła do niéj przeprosić ją, iż iść z nią nie może, ponieważ ma tego wieczoru raut u prezesostwa, co w gruncie było nieprawdą, gdyż, ku wielkiemu jéj zmartwieniu, na ten raut nie była zaproszona. W pokoju jadalnym zebrana była cała rodzina: starzy Malinowscy, córki i doktór.

Maniuta przyjęła tę odmowę za osobistą zniewagę.

— Prawdopobnie przy twoich wielkich stosunkach wstydzisz się ukazać się ze mną publicznie w teatrze.

— Moja duszo, zrobiłaś się teraz tak dziwną, że nie umiem wcale znaleść odpowiedzi na twoje ciągłe pretensye.

— Bo ja nie umiem obwijać słów w bawełnę — odrzekła, przesadzając ciągle wobec jéj sztucznych manier swoją rubaszność i krzykliwość. — U mnie, co na sercu, to na języku. Jestem chłopką i mówię prosto z mostu. Twoje pozowanie na wielką damę jest śmiészne i gdybyś nie była moją siostrą, to przecież ja, Klimowiczowa, któréj przodkowie męża byli szambelanami i kasztelanami, nigdy nie zgodziłabym się żyć z żoną pana Milera, którego dziad sprzedawał wieprze.

— Nie słyszałam dotychczas nic o twoich szambelanach; wiem tylko, że twoja świekra, najzacniejsza kobiéta, trzymała uczniów na stancyi i całowała ręce tych zbogaconych na wieprzach, aby oddawali do niéj swoich synów.

— To niech żałują, że tego nie uczynili, bo ich synowie kończyliby w takim razie, jak jéj synowie—uniwersytety i nie potrzebowaliby zakładać szynków, czy téż dystylarni.

— Moja droga, wszelka dyskusya z chłopką jest niemożliwą.

— Jak śmiész nazywać mię chłopką?

— Przecież sama się tak nazwałaś.

— Tak, ale mnie wolno było to uczynić, a tobie—wara.

Stały naprzeciwko siebie czupurne, roziskrzone i zaperzone, jak dwa koguty. Te, te, te, te... Kiedy świat i pani Kogutkiewiczowa na nich nie patrzyły — nie potrzebowały grać komedyi. I cała w nich dystynkcya, wychowanie bez gruntu, bez ideałów rodzinnych przepadała i zaczerwienione, iskrzące i krzykliwe zarzucały się potokami słów, z rękami założonemi na biodrach, jak przekupki mieszczki, niby wytworne z wierzchu, panna Lange ze swoją dawną koleżanką, m-lle Angôt z operetki.

Starzy cichaczem się wynieśli z pokoju; doktór pochwycił za kapelusz i pobiegł do stryja Franka. Był już na swojém nowém siedlisku, w obszernym, powietrznym, zacisznym i jasnym pokoju, z wygodném łóżkiem, zasłaném cieńszą bielizną i z zawieszonym po nad nim Chrystusem ukrzyżowanym.

Przed łóżkiem był stolik, na którym stała filiżanka bulionu i krzesło wyplatane. Okno otwarte było na obszerny ogród szpitalny, który wkradał się tu ze swojém niebem, szmerem cienistych drzew i świergotem ptaków. Wyraz téż oczu chorego zmienił się nie do poznania.

Oparty o poduszki siedział teraz na swojém posłaniu, w oczach nie było już tego znękania, owéj niemej rozpaczy! przeciwnie, tliło coś podobnego do radości.

— No, jakżeż tu na nowém mieszkaniu, co?—zapytał doktór także już teraz śmielszy z nim i zadowolony.

Chory pochwycił go za rękę, którą pociągnął nagłym, nieoczekiwanym przez doktora ruchem do swoich ust i pocałował. I teraz daléj, nie wypuszczając dłoni jego ze swego uścisku, mówił upojony, jak ongi przy winie w knajpce:

— Wierz mi, to nie to powietrze, nie ten ogród i drzewa mię ocaliły, ale myśl, że obchodzę jeszcze kogoś na świecie. Po twojém wyjściu, jeszcze tam na sali, śród téj nędzy, było mi zaraz lepiéj. Twoje łzy mię ocaliły. I bratowa przecież mię tu odwiedzała z miną, która niby ma być smutną, a jest oschłą i nadętą — przynosi mi nawet pomarańcze, na które zbiéra pewnie grosze po jednemu przez cały tydzień. Ale widzisz, ona robi to tylko, aby spełnić obowiązek przyzwoitéj kobiéty, ponieważ podług niéj, wypada, aby tak uczyniła każda porządna bratowa—mówił z ową wieczną niechęcią, jaką czuł dla Malinowskiéj, drażniącéj go przez całe życie swoim porządkiem i spełnianiem obowiązków.—I kiedy mówiła—ciągnął daléj—swoim milutkim głosikiem:

— No, jak się masz, kochany szwagrze?

Zdawało mi się, że słyszę:

— Jeszcze żyjesz? Trzeba nie mieć ambicyi.

— I czułem w każdém jéj spojrzeniu słowa:

— Widzisz, ja spełniam swój obowiązek wobec szwagra; przychodzę tu, przynoszę ci nawet pomarańcze. A ty? Czy powinieneś przyjmować bez końca moje poświęcenia? Jesteś zawalidrogą, nikomu niepotrzebnym. Na co ci życie? Powinieneś już nakoniec mieć trochę ambicyi i umrzéć.

— A ja nie chcę umiérać, choć po różach nie stąpałem. Chcę widzieć jeszcze drzewa, niebo, słońce, słyszeć ptastwo i ten szum wiatru. Zresztą boję się śmierci... Nie żyć naraz—to przecież okropność.

Słuchaj, nie mówiłem o tém nigdy nikomu, nie żaliłem się, nie utyskiwałem, nie oskarżałem, ale to ona mię zgubiła, ona—moja żona. I ten ból nie opuści mnie do chwili, w któréj mię wrzucą do grobu. Bo ja ją kocham teraz—dziś, jak w pierwszéj chwili poznania... Nie powinna mnie była porzucić... Byłem wietrznikiem, bez woli, słabym, to prawda... Ale przecież 99-iu na stu mężczyzn jest podporą kobiét. Nie sztuka jest wydawać pieniądze, kiedy ma się za męża takiego posłusznego wołu roboczego, jak ten poczciwiec Malinowski. Zadanie mojéj żony było większe; przyznaję, takich nicponi, jak ja — jest niewielu... Ale mogła ona jedna poświęcić się dla mnie, prowadzić mię na pasku. Byłaby uczyniła ze mną wszystko, coby chciała. Ale ona nie chciała... Może nie wszystkie żony są takie, jak ona... Wiem o tém, są idealne matki, żony, bohatérki—wiem o tém, ale powinno ich być więcéj; ale nie powinno być ani jednéj takiéj, jak ona... Bo co mi z tych innych przyjdzie, kiedy ja natrafiłem na taką... Nie powinna mnie była porzucać... Nie domyślała się może, jakiéj dopuszcza się zbrodni: odjąć komuś głowę i puścić samotnego kalékę śród obcych ludzi. Nie pojmowała tego, bo mnie nigdy nie kochała prawdziwie. Byłem niegdyś dobrą partyą, a ona, choć piękna—nie miała posagu. Kiedym utracił majątek—opuściła mię, jak obawiająca się niewygód prawna metresa, która skończyła ostatecznie na bezprawiu. Bo widzisz, my żenimy się z niemi z miłości, a one wychodzą za nas, bo nikt lepszy się nie zdarza. Nie widziałeś jéj nigdy. Wygląda dziś, jak przed dwudziestu laty. Bawi teraz w Nicei. Przed trzema laty była w Wiedniu. Sprzedałem zégarek i pojechałem, aby zobaczyć ją i córkę zdaleka. — Sięgnął pod poduszkę. — To jéj ostatnia fotografia robiona w Paryżu, a to moja córka, Lola. — Rzucił się na poduszkę. — Ach! Jestem bardzo marnym, że chce mi się jeszcze żyć na świecie.— Pochwycił doktora za rękę, którą znowu chciał do ust przycisnąć. — Wieś, wieś, tam zapomnę, tam ożyję. Weźmiesz mię do siebie, prawda? Będę piastował twoje dzieci, będę twoim sługą, a jeżeli mi rzucisz czasem przyjazne spojrzenie, jak psu, będę ci wdzięczny, będę szczęśliwy.

Cóż miał odpowiedzieć na te wszystkie projekty skazańca, którego dni były policzone? Musiał grać komedyę i układał sielankę przyszłych dni, spędzanych w Borowie.

— Moje dzieciaki cieszą się na samą myśl, jak będą na kolanach stryja targać mu wąsy. Maniuta szykuje już pokój słoneczny. Znajdzie się též i pracownia, w któréj będzie się lepiło posągi do naszego ogródka.

Nie mógł więcéj mówić. Coś mu w gardle przeszkadzało. Uścisnął choremu rękę i przyrzekając, że dziś jeszcze do niego wpadnie — wybiegł.

W domu u Malinowskich wysiedzićć już teraz było niepodobieństwem. Nie było końca plotkom i kłótniom. Maniuta podrażniona, w ciągłéj jakiéjś ekscytacyi, w ciągłém uzbrojeniu, choć nikt na nią nie napadal, stała się tak nieznośną, jak nigdy. Teraz wystąpiła z żalami do matki.

— Wiem, że Wanda była zawsze mamy faworytką, że Wanda ma zawsze racyę. Wanda jest mądra i wykształcona, a ja jestem głupia i nieznośna, zła gospodyni i rozrzutnica, choć wtedy, kiedy Wanda marzy jeszcze w łóżku o swoich książętach, ja od kilku godzin jestem już na nogach w kuchni i przygotowuję śniadanie. Wiem, że teraz nie należy do szyku zajmować się zdrowiem dzieci. A mama także jest arystokratką i Wanda imponuje mamie swoim powozem i końmi, choć ja bym nie zamieniła ich na swoją zwyczajną bryczkę i szkapy, które nie mają wprawdzie świécącéj uprzęży, ale im gnaty tak nie sterczą. Ale wszystko, co ma Wanda, jest najlepsze. I niech mama się nie zapiéra, że mama więcéj kocha Żorża, niż moje dzieci.

— Ty wiész — broniła się mama Malinowska — że ja własnych dzieci pieścić i cackać nigdy nie potrafiłam. Choć musiałam was kochać, jeżeli od ust sobie dla was odejmowałam.

Zresztą na te wszystkie jéj żale o ile mogła, nic nie odpowiadała, straciła już dawną werwę.

Rzeczywiście wolała Żorża, bo był grzeczniejszy i nie walał w saloniku jéj mebli, które ostatecznie wielkiemi wysiłkami i sztuką pokryła czerwonym rypsem. Sprytnéj mieszczce, Brandbuszównie, te zatargi pomiędzy córkami wydawały się tak błahemi, że ich wcale nie odczuwała. Cóż ją to wszystko mogło obchodzić teraz, kiedy je dobrze za mąż wydała.

— Szczęśliwe są, że je takie głupstwa zajmują. Ja większe troski miałam w życiu na głowie.

I kiedy Maniuta, wybuchając, straszyła ją teraz ustawicznie: Już mnie tak prędko teraz tu znowuż nie zobaczycie — mama Malinowska myślała sobie w duszy:

— Najlepiéj niech nie przyjeżdża. Nie mam dla niéj ani mieszkania, ani wygód, do jakich się teraz przyzwyczaiła. Dość się z niemi naharowałam. Są, dzięki Bogu szczęśliwe. Nie żądam od nich za to niczego, ale niech mi dadzą pokój. Nie mam już sił!

Raził ją już ten zgiełk w domu: krętanina, krzyk dzieci, od których odwykła. Ciągle obawiała się, żeby sobie głów nie porozbijały,

a kiedy spojrzała na swoje niedawno lśniące od czystości mieszkanko, na mebelki kryte czerwonym rypsem, do których zbliżały się teraz dzieci z rączkami zawalanemi masłem, a ona nic im powiedzieć nie mogła z obawy, aby Maniuta się nie obraziła, brała się za głowę, chrząkała, wychodziła z pokoju, aby na to nie patrzéć i czuła się bardzo nieszczęśliwą.

Klimowiczowie postanowili wreszcie wyjechać stanowczo nazajutrz. Doktór po wczorajszéj wizycie chciał tylko jeszcze raz pożegnać się ze stryjem Frankiem. Kiedy wrócił ze szpitala, Maniuta, jak zwykle, zapytała go z zaciekawianiem:

— No, jakżeż? Stryjowi lepiéj?

— Lepiéj, zupełnie nawet dobrze.

— ?!

— Tak, niestety! już po wszystkiém! Nie żyje.

— Biédny Franciszek — wzdychała bardzo zaambarasowana mama Malinowska. — On wprawdzie nigdy nie lubił za życia ostentacyi, jaki tam był to był, Bóg z nim; ale należałoby mu w każdym razie jaki-taki pogrzeb wyprawić; choć kilku księży, choć jednę mszę.

Doktór uspokoił ją w zupełności pod tym względem. Wszystko już było zarządzone. Nie zbyt bogato, lecz przyzwoicie: katafalk, kwiaty, msza, księża, karawan parokonny, karety, klepsydry i ogłoszenia w kuryerze.

Mama Malinowska westchnęła i jak na dobrą bratowę przystało, wyjęła chustkę z kieszeni i zaczęła sobie wycierać nos i oczy.

— Biédny Franciszek, jaki był to był, ale serce miał dobre; może nawet zanadto dobre.

Odpięła czerwone kwiaty od kapelusza i z pudełek, w których były odłożone miedziaki dla wodziarza, na węgle, na naftę i na drzewo, wyjęła kilkanaście złotych, pobiegła na miasto i, chodząc od sklepu do sklepu, wytargowała wreszcie cieniutki welon z czarnéj krepy. Za trumną posuwali się z pospuszczanemi głowami, w czerni żałobnych sukien starzy i obie siostry Malinowskie z mężami.

Złączone wspólną żałobą, kroczyły tuż obok siebie, nie przemawiając już dziś ani słowa. Oglądały się tylko ukradkiem od stóp do głowy, bardzo wrogie, bardzo na siebie rozżalone. I ani im przez myśl nie przeszło, że to był ich wspólny krewny, który je na ręku nosił; nie pomyślały w téj chwili o wspólnym pokoju, o wspólnych lekcyach, zabawach, o całém wspólném dziecięctwie i szły obok siebie, jak obce, złe, pamiętając tylko obrazy i słowa, któremi się obrzuciły.

— Jakżeż ona wygląda—myślała Wanda—jak stara kobiéta; nie ma żadnéj figury. I jak się nie zna na niczém. Jak można do żałoby ubiérać się w aksamitny kaftan. Czy można żyć z takimi ludźmi?

— Co za komedyantka!—myślała Maniuta — przechyla głowę na ramię męża, aby myślano, że jest bliską omdlenia. Biédny stryj Franek, dobrze się na niéj poznał, nigdy jéj nie lubił. Nigdy sobie nie daruję tego, żem go nie odwiedziła.

A kondukt sunie daléj a daléj z śpiewem księży, światłami pochodni i turkotem karet. Przechodnie, zdejmując czapki z głowy, obojętnie mu się przypatrują.

Tylko na Powązkach, kiedy trumnę na pasach zsunięto już w otchłań grobu, Wanda doszła do doktora cała wzruszona, aż się zadziwił; a ona biadała:

— Ach! Boże mój! nic mi o tym pogrzebie nie mówiliście. Gdybym była wiedziała... Jakżeż można żałować pieniędzy w takich razach. Nie znacie państwo wcale zwyczajów miasta. Biedny stryj, tyle jeszcze sobie zasłużył, aby mieć porządny karawan w cztery konie i trochę więcéj kwiatów i księży. Przecież wstyd doprawdy przed światem. Jakżeż to można!? Dlaczegoście mi nic o tém nie mówili? Nigdybym na to nie przystała.

Z powodu pogrzebu wyjazd Klimowiczów znowu odłożono. A dzieci wciąż płakały.

I Maniuta biadała:

— One mi się tu rozchorują jeszcze! Żadnych wygód tu nie ma. Duszno i przeciągi. To tobie zachciało się téj podróży — wyrzucała mężowi—a teraz wyrwać się z téj Warszawy nie można.

Chodziła z kąta w kąt — brakowało jéj służby. Przyzwyczajona do własnego domu, nie miała się tu gdzie ubrać, a w nocy sypiać nie mogła. A spotykane na ulicach koleżanki z pensyi bardzo mało się jéj dziećmi zachwycały. Były zimne, grzeczne, ale nieszczere i obojętne, a bardzo wiele z nich siliło się na to, aby powiedzieć jéj coś nieprzyjemnego. I często odnajdywała na ich ustach owe uśmiéchy, które ją tak u Wandy oburzały.

Mąż pocieszał ją, że, z małemi zmianami, mógłby to samo powiedzieć i o swoich kolegach.

Wreszcie, odprowadzeni na stacyę przez rodziców i Milera (Wanda pożegnała ich bardzo grzecznym liścikiem, w którym usprawiedliwiała się, że jest cierpiącą i nie wychodzi z domu)—odjechali nakoniec z dziećmi do siebie, do Borowa.

Mieli już téj podróży po szyję, a dzieciaki w wagonie aż do góry skakały.

— Oh! już nas tak prędko Warszawa nie zobaczy — powtarzał teraz już za żoną i doktór.

XIV.

Stara Malinowska po ich odjeździe odetchnęła. Oczyściła meble, wyfroterowała podłogi, wyprała firanki u okien i mieszkanko jéj znowu zaświeciło od czystości. Było w niém znowu cicho, błogo, przyjemnie.

Dość już w życiu dla dzieci zrobiła, nie żąda od nich wzamian niczego, lecz niech już jéj dadzą pokój. Czuje się zmęczoną. Do Wandy nie chodzi nigdy: za wysokie progi na jéj nogi. Tylko Wanda od czasu do czasu do niéj wpada płakać na ciężkie czasy, na to, jak fabryka źle idzie i chce, aby matka litowała się nad nią, kiedy ona przy tych złych czasach wydaje prawie tyle miesięcznie, ile jéj matka wydawała na rok. A Wanda utyskuje daléj, że mąż nie ma teraz grosza kredytu i wydziera sobie włosy z głowy, bo z powodu braku obrotowego kapitału, nie może czasami przyjmować nowych obstalunków. A kiedy przychodzi dzień wypłaty robotników, to rozpacz prawdziwa. Kiedyś musiała nawet zastawić swoje brylantowe kolczyki.

I po chwili zaraz, zapominając o tych nieszczęściach, opowiada matce, że wzięli abonament na operę i że wydaje raut taki, jakiego Warszawa jeszcze nie widziała.

— Jeżeli czasy tak ciężkie, na cóż te zbytki?—pyta matka.

— Moja mamo, gdybym miała sobie odmówić téj jedynéj przyjemności, teatru i nie widzieć u siebie ludzi — wolałabym życie sobie odebrać. Zresztą mama nie zna teraźniejszego świata. Na co mają wiedzieć, jak stoimy w interesach? Myśmy weszli teraz do najlepszego towarzystwa. To jest nawet i dla męża potrzebne. Nie zostawimy Żorżowi majątku, niech ma przynajmniéj wyrobione stosunki.

I mama Malinowska milknie. Wiadomo, że dzieci nie słuchają rodziców. Cóż na to może zaradzić? Wanda nie zniosłaby przecież teraz jéj gniewów; zresztą, czuje to stara, że gniéwać-by się już nie potrafiła. I rzeczywiście nie zna teraźniejszego życia i stosunków. Wanda ma więcéj rozumu od niéj. Jak sobie pościele, tak się wyśpi. Mama Malinowska zrobiła się teraz trochę egoistką. Myśli o tém, aby nie chorować. Spracowane nogi teraz często dolegają i w krzyżach coś łamie. Jeżeli o kogo się kłopocze — to o męża. Przez tyle lat zaniedbywała go dla dzieci. A on biédaczysko przez całe życie pracował jak koń, a pieniądze wciąż dawał i dawał: to na lekcye francu-

skiego, to na muzykę, to na bale, to na kapelusiki, to na pantofelki. Na omnibus do biura sobie żałował. Teraz za to mama Malinowska drepce koło niego.

Stary nie chodzi już do biura. Wysłużył całą emeryturę. Teraz sypiają sobie dłużéj, a stara codziennie przynosi mu do łóżka kawę ze śmietanką. Jest ich teraz tylko dwoje; mogą sobie pozwalać na zbytki. Na obiad jadają teraz często kotlety wieprzowe, czasami nawet kuraka. Do herbaty kupują pół funta rozmaitości. Mama Malinowska sprawiła sobie nad łóżko dwa nowe dywaniki. Miodowe miesiące ich ongi trwały tak krótko. Nie było czasu wtedy myśléć. Przybywały troski, kłopoty. Teraz dopiéro są pogodni, myślą o sobie i uśmiechają się do siebie, jak młodzi małżonkowie.

Na dworze panuje jesień, piękna jeszcze pomimo ogołoconych drzew, z ziemią, miękko usłaną szeleszczącemi liśćmi. W ogrodzie dokoła cicho i spokojnie. Prześliczny świegot ptastwa, ni burz, ni wiatrów. A słonko choć złote i ciepłe, nie pali, lecz grzeje tak lubo i przyjemnie.

I cała natura, wyczerpana śniegami zimy, burzami wiosny, słońcem i zmęczona rodzeniem licznego potomstwa płodów i kwiatów — zdaje się mówić, niby okręt przybijający z połamanemi masztami do portu.

— No, nareszcie dojechaliśmy. Niech sobie myśli o tych wszystkich kłopotach—rok następny.

I starzy Malinowscy wychodzą teraz codziennie rano na spacer. On chudy, siwy, zgarbiony, a mama Malinowska trochę otyła drepce obok niego w swoim kapeluszu z czerwonemi kwiatami.

— Ładny dziś dzień, stary. Co?

— Oh! ciepło, jak w lecie.

Uśmiechają się do siebie. Jest im dobrze. Lecz teraz nie chodzą do ogrodu Saskiego, nieznośnego ze swoim kurzem i wiecznemi tłumami. Tamten spacer, to była pańszczyzna, konieczna, kiedy oprowadzali córki na pokaz. Teraz chodzą sobie do zacisznego ogrodu Krasińskich. Łączy ich tyle wspomnień. Tu się kiedyś poznali. Tu bywali, jako narzeczeni. Były to czasy, kiedy nie myślano jeszcze o szyku i o blichtrze. Dopiéro późniéj mama Malinowska, posiadając córki na wydaniu—odgadła węchem kupca, pojmującego, że nie należy pozostawać w tyle, lecz iść wraz z modą i gustami, że pod tym znakiem zwycięży.

— No, teraz, dzięki Bogu, wszystko się skończyło. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Z ogrodu chodzą sobie na kwaśne mléko do mleczarni, a czasami

na Podwale do cukierni na kawę ze śmietanką. W ogrodzie spotykają się ze swoimi znajomymi, nie dla zaszczytów, ale dla przyjemności. Są ze sobą szczerzy i lubią się wzajemnie. Usunęli się z walki życia. Nie wydzierają sobie z ust kęsa chleba, z wielkich ambicyi skwitowali, nie zazdroszczą sobie, lubią się wzajemnie—są szczęśliwi.

A słonko, jak wielki dyplomata, jednakowo każdego łechce, jednakowo dla każdego świeci, jednakowo grzeje, aby zazdrości nie było. A wielkiego nieba, rozciągającego się ponad drzewami ogołoconemi z liści dla wszystkich starczy.

I siedzą sobie na ławkach, grzeją się, głowami kiwają i gwarzą i gwarzą poczciwie i naiwnie, jak grzeczne dzieci.

— Tak, tak moja pani Kogutkiewiczowa.

— Tak, tak moja pani Malinowska.

Obie panie żyją teraz w jaknajwiększéj zgodzie. I pani Kogutkiewiczowa wydała za mąż już obie córki, wprawdzie nie świetnie, bo starszą chociaż za właściciela kamienicy na ulicy Piwnéj, ale garbusa, obchodzącego się z żoną źle, a młodszą za wdowca z kilkorgiem dzieci na wsi, ciężko wyżywiającego się na zadłużonym folwarku. Ale na panny był już ostatni czas. Były nie młode i nie ładne, a maleńką fortunkę się zjadło na baliki i herbatki dla konkurentów. I stara żyje teraz z maleńkiéj emeryturki. Nie martwi się losem córek.

Bo na cóż to się przyda. Grosza im dać nie może, bo sama nie ma. Dość się już z niemi nakłopotała. Niech teraz mężowie o nich myślą. Ona chce jeszcze przez te kilka lat żyć dla siebie, chce oddychać powietrzem i grzać się na słońcu.

Teraz panie z mężami siedzą na ławce. Panowie mówią o pogodzie.

— Ale pogoda też się ustaliła!

— Dzięki Bogu!

— A jak na zdrowie posłuży!

Wspominają o dawnych czasach, kiedy były młode u swoich rodziców, kiedy bawiły się i tańczyły, kiedy mężowie ich się starali.

— Tak, tak moja pani Kogutkiewiczowa, inne czasy były.

— Tak, tak moja pani Malinowska, inne, zupełnie inne.

Kiedy zmęczeni powrócili pod wieczór ze spaceru, zapalono lampę wiszącą w jadalni, a stary ubrał się w swój wygodny szlafrok i zabierał się do kuryera—kucharka przyniosła im list, który na nich czekał, list ze Lwowa od Janinki.

Mąż włożył na nos okulary, poprawił światło lampy i czytał na głos, kiedy stara, zajęta cérowaniem pończoch, słuchała nadstawiając z zaciekawieniem ucha, stępionego trochę w ostatnich czasach.

„Drodzy Rodzice!

„Cóż mam wam o sobie więcéj powiedzieć? Nie wyprowadziłam się z mego pięknego mieszkania, ani nie oddaliłam mojéj doskonałéj kucharki. Win w piwnicy mego męża także nigdy nie zbraknie, bo o tém zawsze myśli. A więc dobrze jem, śpię i piję moje ulubione wino Muscat-Lunel. Nie czuję się zdrową, ale lekarz oświadczył mi, że mi nic nie jest. Tém lepiéj. Jakaś choroba nerwów; któż jéj teraz nie ma. Nic więcéj. Lato, jak wam wiadomo, spędziliśmy w Wiesbadenie; jak to brzmi ładnie, prawda? To nie to, co: byłam w Otwocku! Z Wiesbadenu przejechaliśmy Renem do Kolonii. Stamtąd wyruszyliśmy do Paryża. Naturalnie, drodzy rodzice, nie wymagacie, abym opisywała wrażenia z podróży, bo nie jestem ani poetką, ani pensyonarką. Paryż jest rzeczywiście bardzo dużém miastem. Chcecie, abym wam coś powiedziała o mężu? Mój mąż jest bardzo szczęśliwym człowiekiem (naturalnie po za swojemi artretyzmami) kocha się we mnie, myśli ciągle, aby mi dogodzić, aby mnie zabawić, rozerwać. Troszczy się bezustannie o moje zdrowie, interesuje się bardzo czemu jestem smutna, cieszy się, kiedy jestem wesoła. Szczęśliwy człowiek! Jego jedyném marzeniem, które jednak nigdy prawdopodobnie się nie spełni, jest zostać ojcem, ale mnie wcale nie zależy na tém, aby wszystkie jego marzenia się spełniały. Jest i tak dość szczęśliwy. Zresztą, wystarcza mi oryginał. I nie jestem wcale spragnioną posiadać jeszcze kilka jego fotografii z jego łysiną i artretyzmami, nudnych i chorych jak on. Na szczęście, jestem zupełnie co do tego spokojna.

„Pytacie się, jak spędzam wieczory? Teraz nastał czas rautów, koncertów i teatru. Mamy zaabonowaną lożę. Ale teatr nie jest o wiele zabawniejszy od rautów.

„Jednéj rzeczy sobie nie mogę nigdy darować, to téj dawnéj troski o znalezienie męża. Wielki Boże, jakie panny wszystkie są naiwne, kiedy obawiają się, że to szczęście im ucieknie, że trzeba je coprędzéj łapać! Gdzież się podziały te dobre panieńskie czasy, kiedy się miało jakiś cel, z którym się żyło od rana do nocy, kiedy się zasypiało z marzeniem o jakiéjś idealnéj przyszłości, kiedy się żywiło różne nadzieje, niepokoje, zwątpienia i troski z owém wieczném straszydłem przed oczyma — staropanieństwo! to wszystko już się skończyło! A jednak tamto było prawdziwe życie, chociaż jeździło się do Otwocka, nie do Wiesbadenu. A teraz, kiedy dopłynęło się do portu, kiedy wiem, że nic mnie już nie czeka ani lepszego, ani gorszego, że już dosięgłam wszystkiego i że ta wegetacya trwać będzie aż do grobu—smutno...

„Ale to są wszystko nerwy, prawda?

„Bo widzisz, kochana mateczko, że obie Kogutkiewiczówny (podobno także za mąż już poszły?) pękają z zazdrości i twierdzą, żem zrobiła karyerę—cóż mi z tego przyjdzie? Zresztą, nie widzą ani mego powozu, ani moich pięknych sukien, ani Wiesbadenu. Przyjechać po to umyślnie do Warszawy? Wyrosłam już z tego. Nie chcę już widzieć nawet Warszawy (wy, kochani rodzice, stosownie do obietnicy, z któréj was nie zwalniam, odwiedzicie przecież kiedyś waszą najmłodszą córkę). Jestem tak inna, taka inna! Cóż ja-bym teraz tam robiła Aleje, ogród Saski i ci wszyscy studenci uniwarsytetu i ci młodzi urzędnicy z biur, którzy się za mną oglądali, jak się to wszystko musiało zmienić — i czasy i ludzie. Pojmuję Maniutę, któréj—podług waszego listu — Warszawa się już tak nie podobała. Wolę jéj nie widzieć i mieć ją taką w marzeniach, jaką ją zostawiłam. Jestem teraz filozofką, prawda? Cóż chcecie, kochani rodzice, kiedy się przez całe dni nic nie robi, nic się do roboty nie ma i nic się robić nie chce. Bo ja wogóle nic nie chcę. Bo cóż mogę chcieć i cóż mogę zmienić? Najwięcéj mnie jednak nudzą bale, na których zjawiam się zwykle w przepysznych tualetach. Dziwi was; ja, która przepadałam dawniéj za balami. Ha! Dawniéj to co innego. Chciało się zwycięstw, chciało się zawracać chłopcom głowy, a teraz po co? Aby plotkowano?

„Ale ty, kochana mateczko, która masz taki wielki rozum — powiédz mi, co mam robić teraz, kiedy mam już męża i o przyszłości więcéj myśléć nie potrzebuję. Zresztą nie, nie. Odpisujcie mi tylko prędko, jak się miewacie, co robicie, jak czas spędzacie, czy widujecie często panią Kogutkiewiczową i czy pomnik na grób biédnego stryja Franka, o którym wam pisałam, że życzę sobie, aby był jaknajpiękniejszy i jaknajbogatszy i na który wam pieniądze niezwłocznie poślę, czy jest już zadecydowany i obstalowany. Możebyście téż przesłali mi plan pomnika. Pozatém, wszystko co dziś w tym liście pisałam, są brednie. W braku lepszego zajęcia chciałam się wprawić w styl i pokazać wam, kochani rodzice, jakie wasza córeczka potrafii pisać wypracowania. Czy mi się udało, co? Proszę mnie zawsze bardzo kochać, jeszcze więcéj niż Maniutę i Wandę, które są starsze, są bliżéj was i mają własne rodziny i może mniéj dlatego myślą o was, niż kochająca was do zgonu

Córka

Janina."

Stary odłożył list na stół i począł chrząkać, jak zwykle, kiedy zamierzał coś powiedziéć, a nie wiedział, czy znajdzie słowa, malujące jego myśl i czy tę myśl podzieli jego magnifika.

— Hm, hm. Z tego listu nie wydaje się bardzo zadowolona — wykrztusił w końcu.

— Mój Boże! Gdybym się jeszcze chciała frasować o ich głupie troski. Wanda płacze, że nie może wejść do arystokracyi, Maniuta ciągle utyskuje, że ją rodzina zamało kocha, ta znowuż nudzi się. Za dobrze im jest! Tylko ja Panu Bogu codziennie dziękuję za szczęście, jakie im zesłał.

— Ale, widzisz duszko, ten jéj mąż jest może bardzo tego... bardzo dla niéj dobry, ale musi być... tego... nie bardzo, jakby to powiedziéć?...

— Gdyby nawet! cóż to szkodzi?

— Jakto cóż to szkodzi?—rozśmiał się jowialnie.

— Wam mężczyznom zawsze głupstwa w głowie. Śmiéj się — nawet wtedy, kiedy byłam młodą, byłabym wolała, abyś był o trzydzieści lat starszym i abym nie była przechodziła tych wszystkich trosk i nędzy, jakie codziennie znosiłam. A jeszcze ukrywać się z nią trzeba było przed ludźmi. Nogi sobie zerwałam, na trzewiki nieraz nie było. One o tém pojęcia nie mają. Za dobrze im jest. W głowach im się przewraca.

— Co do tamtych dwóch starszych—prawda. Ale Janina zawsze ma męża starego.

— Co to jest stary mąż? Stary mąż taki dobry, jak każdy inny— ciągnęła daléj, odzyskując trochę dawnéj werwy—jeżeli tylko dla żony jest dobry i pieniędzy jéj nie żałuje. Ładny, piękny i bogaty i ze wszystkiemi zaletami może istniéć tylko na księżycu. A tu na ziemi każdy musi miéć jakąś wadę. I ona, choć młoda i ładna — jedną wadę miała. Była goła, jak święta turecka. Żałuje panieńskich czasów! Czy słyszał kto coś podobnego?! Przez całą ostatnią zimę chodziła w letnim paltociku, bo zimowe były już tak zniszczone. Zapomniała o tém. A teraz, kiedy nasze dochody się jeszcze zmniejszyły — coby robiła? Za lekcyami musiałaby po mieście całemi dniami biegać, albo szyć dla magazynów, albo na wsi niańczyć dzieci u Maniuty?! Co tam długo o tém mówić.

Machnęła ręką i umilkła.

Stary rozkładał na stole karty do rumla, którym od pewnego czasu zapełniali sobie wieczory.

— Naturalnie, naturalnie — mruczał, przejęty grą — trzy króle, trzy damy; byt zapewniony, to grunt.

Światło lampy zawieszonéj nad stołem rzucało złote blaski na

ich, zmęczone życiem, pomarszczone twarze. W jadalni było ciepło, zacisznie, spokojnie.

— Piętnasty sekwens, teremajor, reszta—wszystko głupstwo.

— Wszędzie dobrze, w domu najlepiéj — mówiła uszczęśliwiona Maniuta, rozpakowując kufry i odrzucając bieliznę do dużego prania.

— Wszędzie źle, jeno w domu u siebie jest dobrze. Tylko tu jest szczęście, tu pośród tych czterech własnych ścian, śród żony i dzieci. Tu w tym zakątku cała poezya życia.

Po owéj niefortunnéj wyprawie po ciepło familijne i przyjacielskie—rozkoszowali się swoim własnym kątem oboje.

Teraz z sąsiadów nikt prawie do nich nie zaglądał. Doktór nie grywał w karty, a Maniuta, wiecznie zajęta, nie była zbyt interesującą gospodynią. Omijano dom, w którym rozchodził się po mieszkaniu ten nielubiany przez gości gwar dzieci, będących tu na pierwszym planie. Zresztą stosunki okoliczne zupełnie się teraz pozmieniały.

Dla Łupinkowskich nastały teraz ciężkie czasy. Stary chorował. I ona bardzo już zestarzała, wyschła, skurczyła się, jakby za życia w ziemię wrastała. Gospodarstwo szło jaknajgorzéj: budynki się waliły, owe duże cugowe i zarazem wierzchowe szkapy pozdychały. A ani jedna z panien nie wyszła zamąż. I pan Karczmarski dał w końcu nura. Teraz nie było już mowy o wydawaniu balików i wyprawianiu świąt. Sami mało co jeść mieli. Jeszcze mléko, kartofle i jarzyn trochę się znajdowało, lecz na mięso, wiktuały i sprawunki w miasteczku rzadko kiedy grosz się znalazł.

Żywa dusza teraz do Łupinek nie zaglądała, chyba doktór Klimowicz, leczący darmo starego, przywożący mu wina i lekarstwa, które, jak twierdził, jako lekarz sam darmo otrzymywał. Most był załamany, a boczna droga zarosła i opuszczona. Obie panny w domu bardzo pogodzone już z losem, nie rozpaczające, raczéj apatyczne — zajmowały się ogródkiem, w którym zawsze kwitły wielkie georginie, słoneczniki, a latem dzikie róże i trochę rezedy, prały, szyły i gotowały. Nabrały też różnych talentów: potrafiły same dach słomą załatać, szyby w oknach skleić, uprząż na konie zreperować, nawet ubranie ojcu szyły. Chodziły w wiecznie podartych trzewikach. I pan Marcinkowski opuścił te strony. Zaślubił jakąś znacznie starszą od siebie, otyłą babę, właścicielkę łazienek w Lublinie, podobno bogatą.

Strata dawnego towarzystwa nie bardzo martwiła doktora, no-

wych jednak stosunków zawierać już nie chciał. Nie był mizantropem, życzył wszystkim jaknajlepiéj, chciał jednak żyć teraz sam dla siebie, dla żony i dzieci; choć nie miał żalu do nikogo. Ludzie są takimi, jakimi są. To trudno. Miałże nienawidziéć Wandę, dlatego iż fałszywie wyobrażał sobie kiedyś, że ona stworzona z jakiéjś innéj gliny, z mgieł i obłoków, tak jak gdyby on sam nie miał także rozmaitych wad i ułomności ludzkich. I dlatego teraz uśmiecha się, kiedy pomyśli o Wandzie. Ze swoją śmieszną i nadętą buzią, z blagami o stosunkach z arystokracyą i przedstawiającą go uroczyście: mój szwagier Nałęcz-Klimowicz—była mu z tém wszystkiém sympatyczną. Cóż mógł na to zaradzić?

A biédna Janinka, któréj życie nic innego ofiarować nie mogło ponad wegetacyą u boku człowieka starego i schorowanego. I nie było innéj rady. Zgodzić się na to musiała. Czyż nie biédna?

Albo starzy Malinowscy? Pomijając starego, siedzącego już zbyt wyraźnie pod pantoflem żony, ale najzacniejszego w gruncie człowieka, lecz i mama Malinowska ze swoim filisterskim i małomieszczańskim, ciasnym rozumkiem i ze wszystkiemi należnemi doń wadami, czyż nie była w gruncie najlepszą małżonką i matką?

A Maniuta, któréj nie mógł dawniéj darować, że jest tak mało interesującą!

Boże! gdyby wady, jakie w ludziach dostrzegać musimy, miały zmniejszać nasze uczucia — ładne byłoby życie! Trzebaby nienawidziéć rodzonych braci. Należy nie widziéć w ludziach wad—jeno ich zalety. Ot i cała sztuka życia.

Rozejrzał się dokoła po swoim pokoju. Na kominku palił się ogień. Biblioteka była otwarta, na stole leżały rozrzucone gazety i książka, którą czytał. Fotele były miękie.

Na dworze się ściemniało. I cały świat przybrał na siebie tę szarą barwą późnéj jesieni. Drzewa ogołocone z liści sterczały ze swemi nagiemi gałęziami. W powietrzu czuć wilgoć. Dokoła pusto, szaro, smutno.

A dészcz niezmęczony, wielkiemi jednostajnemi smugami wciąż pada z nieba i pada. I doktór spostrzega zgarbionego pod parasolem jedynego na dworze człowieka, drepcącego z trudem wśród kałuż i błota. Poznaje go. To pan Karczmarski, w wiecznéj swojéj pogoni za wintem, składa wizytę mieszkającemu w pobliżu sędziostwu. I doktór powraca do swego bujaka, na którym z rozkoszą wyciąga nogi przed kominkiem i uśmiechnięty puszcza kłęby dymu z cygara. Służąca wnosi do pokoju lampę, roztaczającą dokoła jakieś niezwykle miłe światło, przyćmione abażurem.

I cały pokój przybiéra barwę jeszcze przyjemniejszą. I jeszcze tu dziś lepiéj, jeszcze weseléj dokoła. I doktorowi nie chce się już nawet myśléć o niczém. Tylko uśmiéch, nie schodzący z jego ust, zdaje się mówić bezwiednie:

— Żyć—przyjemnie.

Naraz drzwi się otworzyły i politykując, weszła jego chwacka trójka: wysmukły Czesław, biały, tłusty Julek i ledwie od ziemi odrosła gadulska Zośka.

— O! jak żyć przyjemnie!

— Czegoście tu chcieli?—pyta ojciec, któremu na widok tych zuchów omało oczy z radości nie wyskakiwały.

— No—drażnił się z niemi—kiedyście już zobaczyli, co tatuś robi, możecie sobie teraz odejść, prawda? co?

I widząc ich smutne miny, porozdawał im łakocie, przechowywane umyślnie dla nich w biurku i usadowił wszystko troje na swoich kolanach i tulił ich ciepłe ciałka z całych sił do swoich szerokich piersi, a one całowały tatusia po rękach. I on odczuwał cały ogrom szczęścia ze zrozumieniem, lubując się tém, że wié, jaki jest w téj chwili szczęśliwy. Z uczuciem, jakie posiadać może tylko niezbyt młody ojciec, lecz człowiek starszy, wiedzący już, co to jest cierpienie i rozumiejący urok wiosny, słońca i dzieci.

— Dzieci, dzieci!—powtarzał—czyż jest coś na świecie naiwniejszego, milszego i piękniejszego. Teraz wy żyjcie, bądźcie szczęśliwe, tylko tego pragnę, tylko o to starać się będę.

Lecz nie chcąc ich zbytnio nudzić pieszczotami, zwolnił ich z uścisku.

— No, możecie bawić się tu w tym pokoju — rzekł, robiąc im święto—widzę, że macie lejce, bawiliście się w konie, co?

— Tak, proszę tatusia — opowiadał, jak zwykle, bardzo dobitnie Czesław, wymawiając wyraźnie literę *r*—ja byłem stangretem, a Julek był koniem.

— A Zośkę wzięliście do zabawy?

— Ona była panią, proszę tatusia.

— Ja byłam panią — potwierdziła Zośka, przejęta tém, że ją bracia dopuścili do zabawy, wdzięczna im bardzo za to — pełna wiecznie dla nich uszanowania i śród zabawy z nimi mniéj wymowna i bardzo potulna.

— A nie biliście jéj, nie drażniliście się z nią? — zapytał szczęśliwy, jak gdyby był w niebie.

— Niech się tatuś jéj spyta. Drażniliśmy się z tobą, powiedz.

Zośka za nic w świecie nie przyznałaby się do tego i nie oskarżyła. Taka już była ich etyka. I musieli bardzo jéj dokuczyć, aby płaczem wybuchła.

— A więc do zabawy! zaprzęgaj swego konia, bierz swoją panią i biegajcie tu naokoło stołu. Tylko ostrożnie, bo woźnica nigdy swojéj pani nie wywraca.

Ale tłusty Julek, bardzo nieszczęśliwy dziś od samego rana, bo i wypadł z huśtawki i był potém niegrzeczny i mama go ukarała, uparł się teraz i nie chciał się bawić.

— No, Julek! żwawo do zabawy—zachęcał go ojciec.

— Nie—odrzekł z bardzo śmiésznym lakonizmem.

— Dlaczego?—zapytał ojciec, z trudem wstrzymując się od śmiéchu z oczyma, błyszczącemi miłością, któréj dzieci naturalnie wyczytać nie mogły.

— Może chcesz, aby Czesław był koniem, a ty woźnicą, dobrze?

— Nie—odrzekł, zlekka zaciskając buzię.

— To wiész co — mówił ojciec, którego bawiło dziś to, że Julek jest niegrzeczny — ja będę koniem, a ty będziesz trzymał bat w ręku, zgoda?

— Nie—zaciął Julek. I nagle wybuchł długo powstrzymywanym płaczem. Był dziś doprawdy bardzo nieszczęśliwy. Okazało się bowiem, że prócz owéj huśtawki i kary matki — ojciec jemu jednemu przez zapomnienie dał tylko karmelek, a nie dał czekoladki.

Teraz obrzucił go cukierkami i łakociami i obiecał mu trąbkę nową i piłkę, bąka i inne cudowności i wziął go znowu na rękę i całował i uspokajał i tulił do swoich piersi biédnego Julka, który był prześliczny ze swoją zaczerwienioną apetyczną twarzyczką, z wielkiemi łzami, które płynęły z niebieskich, jak chaber oczu po tłustéj białéj buzi. I taki był śmiésznie nieszczęśliwy ze swoim dniem fatalnym, w którym spadł z huśtawki, był ukaranym przez mamę i nie dostał czekoladki!

Wreszcie śród karmelków potok łez trochę ustał. Jeszcze jedno ciężkie westchnienie i pogoda miała już nastać.

— Więc chcesz się bawić?

— Chcę—odrzekł Julek i uśmiéchnął się, ociérając sobie, maleńkim kułaczkiem ostatnie już łzy.

— Ale tatuś będzie koniem—upomniała się o obietnicę Zośka.

I tatuś był koniem, dali mu léjce, krzyczeli: wio! wio! i biegali i biegali naokoło stołu. Późniéj tatuś położył się z niemi na dywanie. Julek siadł mu na kozła na plecy, Zośka usiadła na jedném kolanie,

Czesław na drugiém. I przewracali tatusia i całowali go i śmieli się i bawili.

W drzwiach ukazała się Maniuta. I oczy jéj zabłysły szczęściem. Ale uważała sobie za obowiązek być groźną i rzekła, źle się maskując:

— Na nic mi dzieci zepsujesz.

— He! to wiesz co? Możeby je oddać gdzie na wychowanie z domu. Bo widzisz, to trudno! Ja nie potrafię być takim ostrym ojcem, jak ty jesteś matką. Z ciebie—to istna macocha.

Domyśliła się żartu.

— Tak, tak, macocha. Drwijcie sobie ze mnie. A nie ukarałam dziś Julka?

Wzięła go teraz na rękę i zaczęła całować.

— A więc tak—mówiła do uśmiéchającego się męża—a więc tak, kocham je może zanadto, cóż mam robić? To są moje bale, to są moje arystokratyczne stosunki, moje teatry — wszystko. Nie zazdroszczę nikomu. Kocham je, oby tylko w zdrowiu się chowały.

Siedzieli teraz tuż przy sobie na kanapie. Zdala Czesław oglądał w książce obrazki, Julek zdrzémnął się na kolanach matki, Zośka, owiązawszy rączkami szyję ojca, tuliła się we śnie do jego piersi. Na stole paliła się lampa, na kominku trzaskał ogień.

— Więc kochasz tak te swoje pociechy? A ich ojca?

— E! daj mi pokój.

— Powiédz—upiérał się jak Julek—kochasz mię?

— Jakiś ty dziwny doprawdy czasami, aż złość bierze. Kogóż mam kochać? powiédz, kogo, kogo? moich kochanków? Kogóż na świecie mam prócz ciebie? i czy jest gdzie człowiek porządniejszy, lepszy, szlachetniejszy? Może mąż Wandy, może Miler? Ty wiész, że nie lubię romansów, ani deklamacyi. Ale gdyby Pan Bóg miał kiedy ciebie przedemną zabrać, jak dzieci kocham, ani chwili bym się nie wahała—kamień do szyi i do wody.

Przyłożyła chustkę do oczu, ona, co nie była romantyczną; a on całował ją po rękach, tulił dzieci, rozglądał się po ciepłym, jasnym, miłym pokoju i czuł się szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy...

Na dworze deszcz wciąż daléj bił monotonnie grubemi kroplami o szyby, wiatr świszczał, a śród czarnéj nocy zamigotało światełko. I doktór podszedł do okna. To pan Karczmarski, który ongi nie dał się złapać Łupinkowskiéj, wychodził ze swoją latarką przed herbatą od sędziowstwa, u których wint się prawdopodobnie nie sformował i którzy gościa nie zatrzymywali. I pan Karczmarski, nie chcąc wido-

cznie wracać do swego zimnego pokoju kawalerskiego, skierował teraz swe kroki ku mieszkaniu pocztmistrzów.

A jesienny deszcz lał wciąż jak z cebra, wiatr świszczał. Na dworze błoto i czarno jak w rogu. I w ręku pana Karczmarskiego, posuwającego się widocznie w ciemności bardzo wolno, ostrożnie i z trudem, czerwone światełko latarki jeszcze zdaleka, het, gdzieś miga. A w głowie jego zapewne świta jedna ciężka myśl:

— A może i pocztmistrzów dziś w domu nie ma?

Alfred Konar.



Akademia południowo-słowiańska
w Zagrzebiu.

Roku 1892 skończyła dwudziestopięciolecie swéj działalności jedna z najpoważniejszych w świecie słowiańskim instytucyi, Akademia południowo-słowiańska w Zagrzebiu. Działalność jéj tyle była płodną przez ćwierć wieku swego istnienia, iż godzi się rzucić okiem na nią i rozejrzéć się w jéj pracach i wydawnictwach.

Mężowie odrodzenia narodowego w Chorwacyi już w dobie tak zwanéj „ilirskiéj," w czasach działalności Gaja, Babukicza i Janka hr. Draszkowicza, marzyli o założeniu towarzystwa uczonego, w którém mogłaby się jednoczyć działalność naukowa narodu. A ponieważ ruch ich miał w programie zjednoczenie wszech Słowian, na południu osiadłych, więc w pragnieniach owych mężów leżało to, aby instytucya mogła ogarnąć nie jeden pojedyńczy narodek, lecz całe południe słowiańskie, Chorwatów, Serbów, Bulgarów oraz najbliższych Chorwatom i geograficznie i językowo Słoweńców.

Myśl ta bardzo prędko znalazła wyraz swój w uchwałach sejmowych, z lat 1836, 1843, 1845 i 1847. Snadź byłaby prędko doczekała urzeczywistnienia, gdyby nie nieszczęsna epoka od r. 1850 do r. 1860, doba absolutyzmu i biurokracyi, gdy niedawno zmarły minister Bach powstrzymać usiłował rozbudzony już ruch narodowy i wznowić tradycye germanizacyjne cesarza Józefa II-go. Ale właśnie, gdy naród ledwie zdołał przetrzéć oczy po téj smutnéj epoce, znalazł się

mąż, który, występując w charakterze szlachetnego mecenasa narodowego, położył kamień węgielny dla przyszłéj instytucyi. Był nim biskup sremsko-bośniacki Józef Jerzy Strossmayer.

Dziwne to były okoliczności, które r. 1849 wyniosły na biskupstwo ze stolicy w Djakowie młodego, bo ledwie trzydziestopięcioletniego kapłana, profesora, syna ubogich rodziców z Osieka. Naonczas znano go jedynie jako zdolnego nauczyciela, a ponieważ dyecezyę opuścił z obawy przed Madziarami stary biskup Kukowicz, powierzono jedno z najbogatszych w Austryi biskupstw w ręce, które poczytywano za energiczne, nie przeczuwając, że będą one szczodremi dla wszystkich potrzeb duchowych narodu, nie mającego nigdzie na świecie protektorów i mecenasów.

Siódmego grudnia r. 1862 na posiedzeniu konferencyi „bańskiéj" biskup Strossmayer złożył pierwszą sumę 50,000 złr. na założenie Akademii. Do tego daru dołączył list do ówczesnego bana barona J. Szokczewicza, gdzie wypowiedział po krótce poglądy swoje na zadanie podobnéj instytucyi. Baron Szokczewicz nie był człowiekiem zdolnym do należytego zrozumienia sprawy. Syn prostych rodziców graniczarskich, karyerę całą zawdzięczał służbie wojskowéj i doszedłszy do stopnia generała, godności barona i bana królestwa „Trójjedynego" po Jelaczieczu, był tylko wykonawcą „befelów" z Wiednia i nic więcéj. Najlepiéj go charakteryzuje pomnik grobowy na cmentarzu w Winkowcach małéj mieścinie na Pograniczu Wojskowém, cały zapisany tytułami urzędowemi nieboszczyka... po niemiecku. Taki „banus" nie mógł, jak należało, poprzéć idei znakomitego patryoty, więc sprawa poszła zwykłą drogą biurokratyczną, według znanego powszechnie „szlendryanu" austryackiego, wędrując od jednéj kancelaryi do drugiéj, zmieniana, poprawiana, przerabiana. I następca Szokczewicza, baron Lewin Rauch, nie wiele dbał o przyszłą akademię. Sfery urzędowe zajęte były wtedy przeprowadzeniem ugody z Węgrami. Między samemi Chorwatami sprawa akademii liczyła nie mało nieżyczliwych, a przynajmniéj wątpiących — co bodaj na jedno wychodzi. „Zwracano uwagę jak mówi ś. p. Fr. Raczki [1]) — na ubogi kapitał duchowy w narodzie chorwackim, na nierozwinięte stosunki towarzyskie, na pilniejsze potrzeby oświaty, na niski stopień rozwoju umysłowego w porównaniu z wysokim postępem u innych narodów."

Najwięcéj budziła niechęci, a w kołach urzędowych podejrzenia, nazwa akademii „południowo-słowiańska." Nawet gorący patryoci dopominali się, aby akademia była jedynie „chorwacką," ale założy-

1) Ljetopis r. 1892.

ciel na tym punkcie okazywał się nieustępnym. Jako wychowaniec pierwszéj epoki odrodzenia narodowego tak zwanego „iliryzmu,“ ujmował chorwackość jedynie w połączeniu z resztą Słowiańszczyzny południowéj, z Serbami, mającymi tenże sam język co i Chorwaci, daléj ze Słoweńcami i Bulgarami. Błędnym okazał się wywód owéj jedności od prastarego plemienia Ilirów, które ze Słowianami żadnéj nie miało łączności, dla tego nazwa „ilirska” upaść musiała pomimo zaciekłéj obrony Gaja i Babukicza — jedynie zakaz urzędowy z roku 1842 nadał jéj pewien urok i wiarę u narodu. Skoro z nastaniem nowéj ery nie było już przeszkody urzędowéj dla „iliryzmu,” ten jednakże nie zmartwychwstał wcale, pozostał jako piękne i uroczyste wspomnienie i musiano go zastąpić czém inném, a gdy nic się nie nadawało pod tym względem, należało poprzestać na terminie geograficznym, który miał jeszcze i tę dogodność, że właściwie nie urażał nikogo. Zapewne jest to dziś do pewnego stopnia utopią owa jedność cywilizacyjna i duchowa narodów słowiańskich na południu, ale to, co jest dzisiaj marzeniem, jutro może stać się rzeczywistością, a pojutrze zaliczyć się do przeżytéj i zużytéj tandety. Szeroki więc był pogląd biskupa Strossmayera na zadanie i doniosłość przyszłéj akademii, a jeżeli rzeczywistość niecałkiem odpowiedziała jego oczekiwaniom, nic to nie ujmuje ani jemu, ani zwolennikom wielkiéj idei. Pomimo wszelkich przeszkód, niechęci ze strony wrogów i własnych nawet rodaków, akademia otwartą została 28 lipca 1867 r., jako „Akademia południowo-słowiańska nauk i sztuk pięknych *(Jugo-slawenska akademija znanosti i umjetnosti).*”

Zapał przy otwieraniu akademii był ogromny, Zagrzeb dnia tego miał uroczyste święto, jakiego pokolenie ówczesne nie pamiętało; okrom wielkiego zjazdu Chorwatów, znalazło się niemało obcych gości i naród witał z uniesieniem zapowiedź nowego żywota, ponieważ w oczach jego powstawała instytucya, która miała być organem i schronieniem najpoważniejszéj czynności naukowéj. Cieszono się tembardziéj, że to była w Austryi pierwsza akademia słowiańska — krakowska bowiem dopiéro w cztery lata późniéj powstała.

Statut Akademii zatwierdzony był przez cesarza Franciszka Józefa jeszcze 4 marca 1866 r., a szczegółowy regulamin wyszedł z kancelaryi dworskiéj do spraw chorwacko-slawońskich dopiéro 17 stycznia 1867. Na statucie obok cesarza i na regulaminie podpisani są Milan baron Kusewicz i dr. Edward Jelaczicz Buzimski.

Protektorem Akademia obrała sobie bardzo słusznie wspaniałomyślnego założyciela swego, biskupa Strossmayera, prezesem zaś głównego historyka, kanonika d-ra Franciszka Raczkiego, członka

wielu towarzystw naukowych zagranicznych, który nadto w sprawie założenia był prawą ręką biskupa [1]). Dokonano także wyboru prezesów oddziałowych, mianowicie w oddziale historyczno-filologicznym prezesostwo objął dr. Raczki, w oddziale filozoficzno-prawnym dr. Paweł Muhicz, wysoki urzędnik krajowy, a w oddziale matematyczno-przyrodniczym dr. Józef Krasosław Szlosser-Klekowski, także nie mało ważna figura urzędowa.

Na témże posiedzeniu mianowano ośmiu członków honorowych, samych uczonych pozakrajowych. Zostali nimi: Jan Gawrilowicz, były regent serbski (za małoletności księcia Milana), Wacław Aleksander Maciejowski, znakomity lingwista i naonczas profesor w uniwersytecie wiedeńskim, dr. Franciszek Miklosicz, Słoweniec rodem, historyograf czeski dr. F. Palacky, dr. Jan Emanuel Purkynie, Pogodin, Szrezniewski z Petersburga, oraz wielki lingwista, profesor w Jenie, dr. August Schleicher. Dzisiaj żadnego już z tych członków honorowych nie ma pomiędzy żyjącymi.

Akademię pomieszczono tymczasowo w Górném Mieście w tak zwanym „Domu Narodowym,” który patryoci chorwaccy nabyli na akcye od hrabiów Draszkowiczów i przeznaczyli początkowo na muzeum narodowe. Rozumie się, że w téj — skromnéj zresztą — budowie Akademii było ciasno, pomyślano więc wkrótce o zbudowaniu dla niéj własnéj siedziby i w tym celu wybrano miejsce w Dolném Mieście na placu Zrińskiego (Zrinjski trg). Plan wygotował budowniczy wiedeński Schmidt w stylu najpiękniejszego renesansu i wykonano go z gustem i przepychem tak, iż przypomina najwytworniejsze budowle nowoczesne wiedeńskie. Miasto Zagrzeb darowało grunt pod budowę, 60,000 złr. ofiarował znowu biskup Strossmayer, 100,000 dano z funduszów krajowych, a z funduszów saméj Akademii przeszło 68,000 złr., resztę dodali wspaniałomyślni przyjaciele Akademii. W czasie pamiętnego trzęsienia ziemi gmach ten ucierpiał niemało tak, iż naprawa kosztowała około 14,000 złr.

Trudno sobie wyobrazić coś równie uroczego jak położenie owego gmachu. Przed nim rozciąga się młody jeszcze, lecz rozkoszny wirydarz, zdobiący się ciągle posągami i popiersiami znakomitych mężów ze krwi chorwackiéj. Obrońca Sigetu, Mikołaj Zriński, w bogatéj szacie bańskiéj, dzierży szablę junacką, między popiersiami widzimy biusty słynnego miniaturzysty Ciovia (wł. Glowicza) i malarza Medulicza, noszącego u Włochów przydomek Schiavone, czyli Słowianin; obaj ci mężowie, lubo żyli i działali pomiędzy Włochami, pochodzili z czystéj krwi chorwackiéj. Z tyłu Akademii pomieszczono po-

[1]) Kanonik Raczki zakończył swój zasłużony żywot 13 lutego r. b.

sąg św. Jerzego na koniu zabijającego smoka; posąg ten zdobił do niedawna piękny park zamiejski, zwany Maksymirem. Dokoła Akademię otaczają w przyzwoitéj odległości piękne pałace i domy prywatne, a między innemi wysoki dom „Maticy chorwackiéj," a na dobitkę z tyłu wzniesiono wspaniały i obszerny dworzec centralny. Podróżny, przybywający koleją żelazną do Zagrzebia, wjeżdża w najpiękniejszą część miasta.

Na dole mieści się oddział archeologiczny Muzeum narodowego, przeniesiony tutaj z „Domu Narodowego," gdzie dotąd pozostały zbiory przyrodnicze, do tegoż Muzeum należące. Zawdzięczają je Chorwaci wiekopomnemu budzicielowi swemu, Ludwikowi Gajowi. Jeszcze r. 1829 rzucił on myśl założenia Muzeum i zwrócił się do Akademii prawniczéj w Zagrzebiu, aby zechciała tymczasowo przyjmować i chować starodawne pamiątki, do nadsyłania których wezwał rodaków. Początek dał skromny lekarz prowincyonalny, Adolf Ladenhaufen, który z miasteczka Kutiny nadesłał Akademii nieco starych monet i przedmiotów archeologicznych, a w dwa dni potém od p. Kisitka z Brezowicy nadeszło kilkadziesiąt sztuk pieniędzy rzymskich. Nadsyłano coraz więcéj darów, a Gaj już r. 1836 podał sejmowi chorwackiemu projekt stowarzyszenia naukowego wraz z biblioteką publiczną i muzeum narodowém. Sejm ochoczo pochwycił pomysł Gaja i uchwalił założenie towarzystwa *Culturam nationalem pro scopo habens* i wykonanie zlecił banowi Wlasiczowi i biskupowi Alagowiczowi, którego mianowano protektorem przyszłéj instytucyi.

Wszelako i ban i biskup, który zresztą wkrótce umarł, mało dbali o całą sprawę, a w Wiedniu i w Peszcie podejrzliwie poglądano na wszelkie usiłowania mężów odrodzenia i poczytywano sobie za zadanie nie dopuszczać do rozwoju umysłowego Chorwatów, zbyt już jawnie rozwijających chorągiew swéj indywidualności narodowéj. Tymczasem za staraniem hr. Janka Draszkowicza otworzono „Czytelnię narodową," w r. 1842 powstała „Matica ilirska," a ludzie dobréj woli wciąż nadsyłali materyał dla przyszłego muzeum, nawet składano pieniądze na urządzenie tego. Nadzwyczaj energicznie odezwał się w gazecie narodowéj szlachetny mecenas Stefan Mlinaricz, pobudzając do nowych wysiłków i utyskując, że starodawne pamiątki chorwackie rozłażą się po świecie i w Wiedniu i w Peszcie „cudzą nędzę przykrywają." Istotnie w stolicy Węgier gromadzono masami starożytności, które miały niby przedstawiać światu wspaniałość i bogactwo kultury madziarskiéj, a których ogromna większość była pochodzenia słowiańskiego.

Nakoniec, gdy r. 1846 od hr. Karola Draszkowicza kupiono gmach, nazwany teraz „Domem narodowym," zbiory znalazły już od-

powiednie dla siebie pomieszczenie. Dary w przedmiotach i pieniądze popłynęły teraz obfitszym potokiem. Zarząd Muzeum powierzono adwokatowi dr. Dragutinowi Rakowcowi, który umarł prędko i zostawił w spadku dla Muzeum bogatą bibliotekę. Po nim zajmował urząd kustosza major M. Sabljar, zapamiętały zbieracz, który instytucyę owę już dawniéj darami swemi zbogacał. Sabljar wiele pracy poświęcił urządzeniu a gdy r. 1865 umarł, nie prędko znaleźli się równie pracowici i dbali następcy. Z założeniem Akademii, Muzeum przeszło pod jéj zarząd. Obecnie zbiory rozdzielono; przyrodnicze pozostały na dawném miejscu w „Domu Narodowym" i zarządza niemi prof. Spiro Brusina, znany dobrze w świecie uczonym przyrodnik, zwłaszcza specyalista w dziedzinie malakologii, znawca mięczaków morza Adryatyckiego; archeologia zaś przeniosła się do nowego gmachu akademickiego i zarządza tym oddziałem uczony prof. Symeon Ljubicz.

Główném zadaniem Muzeum jest — rozumié się — gromadzić starożytności, znajdujące się na ziemiach królestwa Trójjedynego oraz na południu słowiańskiém. A jest to terytoryum bardzo pod tym względem bogate, gdyż nie mówiąc już o szczątkach przeszłości słowiańskiéj, Chorwacya i Slawonia, a zwłaszcza Dalmacya obfitują w wykopaliska z czasów rzymskich. Jednakże nie brak tutaj i przedmiotow z innych dziedzin. Przedewszystkiém zasługują wielce na uwagę starożytności egipskie, znajdujące się w zbiorze, który nosi nazwę Kollera. Jest to cząstka ogromnego zbioru starożytności, należącego niegdyś do podmarszałka austryackiego, barona Franciszka Kollera, który, przez dziesięć lat mieszkając w Neapolu, nagromadził mnóstwo przedmiotów archeologicznych najrozmaitszego rodzaju. Po śmierci barona r. 1829 muzeum królewskie w Berlinie zakupiło bogaty jego zbiór naczyń grecko-etruskich, naczyń z terrakoty i szkła starodawnego, daléj wyroby z miedzi i przedmioty sztuki cyzelowane. Starożytności egipskie długi czas, pomimo że znawcy tacy jak Lanci liczyli zbiór ten do znakomitszych, kupca nie znajdowały, rodzina więc zmarłego zbieracza zaproponowała kupno doktorowi Fr. Raczkiemu. Lubo zarząd cesarskiego gabinetu starożytności w Wiedniu ocenił ją i to dość nizko na 7,000 złr., gotową była ustąpić ją za 3,000 złr. z warunkiem tylko, aby w nowém muzeum imię dawnego swego właściciela nosiła. Biskup Strossmayer natychmiast ofiarował na ten cel 1,000 złr., sypnęli pieniędzmi także i inni dobrodzieje i Muzeum znalazło się niemal niespodzianie w posiadaniu zbioru, którego należytéj wartości i znaczenia na razie jeszcze nieoceniano.

Dopiéro w r. 1869, gdy bawił w Zagrzebiu znakomity egiptolog, H. Brugsch, zbiór Kollera został należycie obejrzany, uporządkowany

a po części opisany. Brugsch ocenił ważność tych przedmiotów dla studyów staroegipskich. Są tam skarabeusze z napisami i bez napisów, jako symbole śmierci i odrodzenia po zgonie, posążki Ozyrysa, Izys i innych bogów, posążki ludzi, papirusy z napisami, naczynia, a między innemi kanopy, czyli naczynia, zawierające w sobie zabalsamowane wnętrzności mumii, daléj mumie i kilkanaście tablic grobowych z napisami.

Między mumiami jest jedna niesłychanie ważna. Muzeum otrzymało ją od księdza Eliasza Baricza, który znowu dostał ją w spadku po bracie swym Michale Bariczu, urzędniku dworskiéj kancelaryi węgierskiéj w Wiedniu. Baricz, mieszkając w Wiedniu, wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł wzięcia w dzierżawę na lat sześć gazety *Pressburger deutsche Zeitung.* Zrobiwszy pieniądze na téj spekulacyi, Baricz robił korzystne spekulacye z domami, miał ich kilka w Wiedniu, gdzie nawet jedna ulica nazywa się „Barich-Gasse.” Skoro w r. 1848 zniesiono nadworną kancelaryę węgierską, bogaty Chorwat, wziąwszy emeryturę, wyjechał na wschód i w Egipcie nabył owę mumię, którą żartobliwie nazywał siostrą króla węgierskiego. A miał on u siebie niczły zbiór starożytności. Po śmierci bogacza r. 1859 mumię podarował brat jego Muzeum, gdy jeszcze była jedynym przedmiotem egipskim.

Są to śmiertelne zwłoki jakiejś niewiasty, ma nieźle zachowane rudawe włosy i na czole i na ramionach widać pewne ślady pozłoty. Powijaki odwinął jeszcze nieboszczyk Baricz: umieszczono je osobno w drugiéj szafie oszklonéj. Na nich znajduje się jakieś dziwne pismo, które długo stanowiło zagadkę dla uczonych. Brugsch oglądając cały zbiór egipski, nie mało sobie nad owém pismem nałamał głowy i w końcu wyznał, że podobnego pisma jeszcze w żadnym napisie egipskim nie spotkał.

Na zjeździe filologów niemieckich r. 1872 Brugsch przedstawił skopiowaną przez siebie cząstkę napisu, a ponieważ powijaków nie można było posyłać do Lipska, jak sobie tego panowie filologowie życzyli, zaraz r. 1873 zjawił się w Zagrzebiu inny egiptolog profesor L. Reinisch, który nie umiał rozwiązać zagadki. Nie lepiéj udało się egiptologowi angielskiemu Burtonowi, dla którego kopię napisu zdjął F. Proby Cautley. Zagadka teraz niesłychanie uczonych zajmowała. Prof. J. Krall w Wiedniu wyrobił sobie to u rządu chorwackiego, iż mu r. 1891 powijaki na pewien czas przysłano. Wiele to trudu kosztowało, zanim Krall przy pomocy różnych znawców zbadał dokładnie napis, który jednak odrazu był poznał jako pismo etruskie. Napis zagrzebski o wiele przewyższa wszystkie znane dotąd napisy etruskie,

gdyż zawiera w sobie przeszło 1,200 wyrazów, oddzielonych od siebie punktami. Dotąd najdłuższy napis etruski znajdował się na pewnym grobie w Perudżii i zawierał w sobie sto dwadzieścia pięć wyrazów. To, że znajduje się na płótnie, przywodzi nam na pamięć *libri lintei*, które były w użyciu u Rzymian conajmniéj przez osiem wieków. Powijak ów więc był niczém innem, jeno szczątkiem takiéj księgi płóciennéj, który słusznie woluminem nazwać by można.

Jakim sposobem to pismo etruskie dostało się na mumię egipską? Świadczy to poniekąd o obszernych stosunkach Egiptu ze światem starożytnym, zwłaszcza drogą handlową. Po rozwalinach nadnilowych znajdowano papirusy z pismem greckiem, łacińskiém, hebrajskiém, syryjskiém, arabskiém i perskiém, a na jednéj mumii ukazały się ułomki poctów greckich. Bardzo być może, iż nieboszczka była rodem z Etruryi, a może téż po prostu w braku innego płótna pod ręką użyto takiéj lnianéj książki etruskiéj, będącéj na podorędziu.

Prof. Krall odczytał wprawdzie napis etruski, kazał odfotografować na dziesięciu tablicach, ale nie mniéj wytłomaczyć go nie zdołał, gdyż język etruski dotąd stanowi nadzwyczaj ciemną zagadkę. Może być, iż porównanie owego tekstu zagrzebskiego ze znanemi już przedtém napisami rzuci pewne światło na tyle tajemniczą kwestyę filologiczną. W każdym razie powijaki mumii zagrzebskiéj słusznie można poczytywać za cenną ozdobę zbiorów archeologicznych Akademii.

Z pamiątek celtyckich Muzeum posiada nieco monet, wykopanych w saméj Chorwacyi, gdyż tutaj już w IV wieku przed Chr. mieszkali Skordiskowie, naród celtycki. Numizmatów rzymskich jest tutaj ogromna ilość, zwłaszcza bardzo dużo familijnych. Kamieni grobowych z napisami, biustów, naczyń i innych przedmiotów starorzymskich dostarczyła Dalmacya, zwłaszcza Splet (Spalatto), owa siedziba Dyoklecyana po abdykacyi. Ztamtąd téż pochodzi prześliczna statua Apollina, przedmiot podziwu ze strony wszystkich miłośników sztuki klasycznéj. Owa nieoceniona ozdoba Muzeum o mało nie stała się ofiarą pamiętnego trzęsienia ziemi w r. 1877; spadła z piedestału na ziemię i cudna głowa utrąciła się i odleciała daleko. Pomimo to uszkodzenia nie doznała i sam posąg ocalał tak, iż z przyprawioną umiejętnie głową po dawnemu budzi podziw w zwiedzających akademię.

Pomimo szczeréj pokusy nie będziemy rozwodzić się dłużéj nad zbiorami archeologicznemi i przejdziemy do drugiéj ozdoby Akademii, mianowicie do tak zwanéj Strossmayerowéj galeryi obrazów. Jest to nowy dar wspaniałomyślnego mecenasa, który tak po królewsku naród

swój obdarowuje. Jako miłośnik i znawca sztuk pięknych kupował chętnie obrazy, zwłaszcza bawiąc we Włoszech, i zdobił niemi ściany pałacu swego biskupiego w Dyakowie, mając ciągle na myśli oddanie swéj galeryi na usługi narodowi. I wspaniałomyślny mecenas bynajmniéj nie zamierzał, by dopiéro po zgonie jego zbiór ten został własnością narodową, ale bez wahania rozstał się z miłym sobie skarbem i kazał przewieść go do Zagrzebia do Akademii, gdzie galeryę uroczyście otwarto 9 września 1884.

Zajmuje ona kilka sal na drugiém piętrze gmachu. Obrazy nie wiszą, jak zwykle, po salach, ale na drewnianych ścianach, ustawionych w formie parawanów tak, iż na mniejszéj przestrzeni większą ilość obrazów pomieścić zdołano.

Przedewszystkiém zwracają uwagę znawców trzy nader stare pomniki szkoły bizantyjskiéj, dyptych (to jest okładka z książki) ze słoniowéj kości, przedstawiający z jednéj strony Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus, błogosławiącém światu, a z drugiéj Jezusa, depczącego dzikie zierzęta na znak zwycięstwa swego nad pogaństwem. Na innym dyptychu widzimy świętych Pańskich, malowanych z tą sztywnością, która znamionuje wszelkie postaci na obrazach tejże szkoły. Trzeci obraz przedstawia Jezusa jako króla świata, któremu kłaniają się wszyscy święci, ludzie, zwierzęta, słońce, księżyc i chóry anielskie. Jest to ilustracya pieśni o trzech młodzieńcach z tekstem starosłowiańskim.

Z najstarszéj szkoły włoskiéj galerya posiada dwa cenne obrazki Fr. Angelica, „Śmierć jakiegoś pustelnika" i „Stygmatyzacya św. Franciszka" — cztery inne są tylko kopiami z tegoż samego malarza. Na pierwszym rozbójnicy napadają pustelnika i zadają mu śmiertelne rany, a święty mąż, umierając, pisze krwią te słowa: *Credo in unum Deum.* Święty Franciszek z Assyżu klęczy przed krucyfiksem, z którego idące promienie przeszywają mu ręce nogi i bok prawy; uniesienie i zapał religijny głęboko przejmuje widza. Ze szkoły Giotta i Sieńskiéj jest dwadzieścia kilka obrazów, wszystko niewiadomych malarzy; dla historyi Słowian południowych ma pewną ważność obraz z połowy wieku XV, przedstawiający Jezusa Chrystusa, który ukazuje się na łowach królowi bośniackiemu Stefanowi Tomaszowi. Król ten był heretykiem z sekty Patarenów, wielce rozkrzewionéj w Bośnii i Hercegowinie; w skutek tego widzenia został katolikiem. Przy obrazie znajduje się genealogia królów bośniackich, napisana cyrylicą na pargaminie; jest to późniejszy dodatek, gdyż sam obraz jest najniewątpliwiéj pędzla włoskiego.

Z szkoły florentyńskiéj, która uganiała się za krasą niewieścią

do tego stopnia, iż w Madonnach jéj widzimy raczéj urodziwe włoszki aniżeli matkę Zbawiciela, galerya posiada kilka Madon niewiadomych mistrzów, jedna tylko „Święta Rodzina” jest utworem pędzla Filipina Lippia, syna znakomitego Filipa Lippia. Z XVI wieku widzimy tutaj obrazy Filipa Mazzole, Daniela de Volterra Ricciarelli, Franciszka Radbolini, „Madonna” Jana Chrzciciela Salvi Sassoferato oraz kilkanaście innych obrazów niewiadomego pędzla. Jasna rzecz, że na Rafaela biskup Strossmayer zdobyć się nie mógł, jednakże w galeryi znajduje się pięć starannych kopii Rafaelowskich. Za to oryginalnym wytworem pędzla Correggia jest „Chrystus na krzyżu,” trzymany we właściwym temu mistrzowi, żółtawym półcieniu, kupiony został w Rzymie i stanowi ozdobę galeryi. Znakomity Overbeck wielce go chwalił. Drugi obraz, przypisywany Correggiowi „Jezus w ogrodzie Getsemańskim” został tak przez późniejszych restauratorów popsuty, że należycie ocenionym być nie może. Świetnym także nabytkiem jest kupiony w Rzymie obraz „Święta Rodzina,” którą znawcy oraz akademia malarska w Wenecyi przypisali jednogłośnie Tycyanowi. Temuż mistrzowi przypisują obraz „Amorki.”

Piękny dar zrobił biskupowi Strossmayerowi malarz Consoni, mianowicie darował mu Tintoretta „Portret rodziny weneckiéj.” Podobno jest to obraz rodziny samego malarza. Wielką wartość posiada „Koronowanie Bogarodzicy” Parysa Bordonego, tém większą, że obrazy tego mistrza są bardzo rzadkie i ledwie jaki dziesiątek na pewno przypisywany mu być może. Gwidona Reni jest „św. Sebastyan,” jemu także przypisują „Zdjęcie Jezusa z Krzyża.” „Święty ewangelista Mateusz” oraz „św. Hieronim” wyszły z pod pędzla Spagnoletta. Są tu także trzy krajobrazy Salwatora Rosy, na jednym widzimy ucieczkę do Egiptu. Wiktora Carpaccia posiada Muzeum dwa obrazy; są to „św. Sebastyan” i „św. Marek męczennik” — twórcę ich historyk Kukuljewicz-Sakcinski poczytywał za Chorwata, rodem z Istryi, jednakże napis na pierwszym obrazie „P. Victor Karpathius, Venetus 1514” obala owo twierdzenie.

Niewątpliwie Chorwatem z Dalmacyi był słynny malarz Andrzéj Modulicz, którego nawet nazywano Schiavone t. j. Słowianinem. Urodził się r. 1522 w Szebeniku, ale cały żywot spędził we Włoszech i umarł r. 1582 w Wenecyi — liczy się także do szkoły weneckiéj. Zarzucają mu rysunek powierzchowny, ale przyznają znakomity koloryt i nadzwyczaj chwalą figury niewieście oraz głowy starców. Lubił malować alegorye. W Muzeum zagrzebskiém znajdują się Medulicza alegorye nauk, prawdy, śmierci, arytmetyki, pedagogiki, etnografii, geografii i polowania — a nadto „św. Mikołaj,” „Kronos,” „koncert,”

„anioł lecący," „Mars i Wenera." Dla dopełnienia tego zbioru malarz Simonetti skopiował „portret Medulicza," malowany przez niego samego, a znajdujący się w galeryi Pitti we Florencyi.

Ze szkół staroniemieckiéj, holenderskiéj i flamandzkiéj Muzeum zagrzebskie posiada oryginałów bardzo niewiele, ale zato mają one wielką wartość historyczną. Śliczny obrazek „Narodzenie Jezusa" przypisuje się Łukaszowi Leydenowi, Holbeinowi zaś „Portret." Nader charakterystyczną jest „Trójca święta" szkoły kolońskiéj z XV wieku. Na obrazie Bóg Ojciec siedzi na tronie w stylu gotyckim i trzyma na łonie zmarłego Jezusa, Duch święty unosi się w postaci gołębicy, a Trójcę świętą otaczają aniołowie z insygniami śmierci Chrystusowéj.

Z flamandzkich obrazów galerya może poszczycić się „Portretem poety" pędzla Van Dycka; obraz ten należy do najlepszych pomiędzy nieśmiertelnemi tworami największego portrecisty w przeszłości. Uwagę miłośników sztuki zwracają także „Madonna z jabłkiem" Kwintyna Mettsysa, oraz „Zuzanna między dwoma starcami," przypisywana Florisowi, zwanemu Rafaelem flamandzkim. „Taniec wiejski" i „Bijący się wieśniacy," żywe i piękne obrazy rodzajowe, przypominają pędzel Teniersa, niestety, wyszły nie z pod jego pędzla, ale są utworem któregoś z lepszych uczniów jego szkoły.

Kopie, których w galeryi jest spory poczet, mają także znaczną wartość; wiele z nich pochodzi ze znanéj Aroundel society w Londynie.

Nowoczesnego malarstwa galerya posiada cenne płótna. Biskup Strossmayer jest wielkim zwolennikiem romantyczno-chrześciańskiéj szkoły Overbecka, zwanego nowożytnym Nazareńczykiem, albo Fr. Angelico XIX-go stulecia. Z jego naśladowców Steinle dał galeryi „Świętą Weronikę" i „Eliasza wziętego do nieba," a Leopold Kuppelwieser „Pokłon Trzech Króli" i „Madonnę ze świętymi." Najlepszego po Overbecku malarza religijno-nowoczesnego, Gebharda Flatza obraz przedstawia „Jezusa po zmartwychpowstaniu, ukazującego się Maryi." W „Pożegnaniu Hektora z Andromachą" wenecyanina Hayesa (ur. 1791) widzimy utwór jednego z najlepszych kolorystów XIX wieku.

Budując swą sławną katedrę w Djakowie, biskup Strossmayer sprowadził do malowania fresków Włocha Consoniego i Bawarczyków A. Maksymiliana Seitza, oraz syna jego Ludwika. W galeryi znajdujemy Ludwika Seitza „Madonnę" oraz Consoniego „Trójcę świętą" i „Cyryla i Metodego przed papieżem." Na tym ostatnim obrazie odmalowany jest w świcie apostołów słowiańskich biskup Strossmayer z jednym ze swoich kanoników d-rem Worszakiem.

Do ozdób galeryi należy śliczny obraz Jarosława Czermaka, do-

brze znany z rozmaitych reprodukcyi „Raniony Czarnogórzec.” Na noszach junacy niosą przez wąwóz górski ranionego wojewodę, na którego czcigodnéj twarzy maluje się ból fizyczny, ale zarazem rezygnacya duchowa. Ta rezygnacya oraz poważny smutek na obliczach konwoju, robi na widzu wielkie wrażenie.

Ceniąc bardzo naszych malarzy, biskup nabył niewielki rozmiarami, ale niemniéj znakomity obraz Matejki „Śmierć króla Przemysława.” Autorowie katalogu pp. Kraszniawi i Ciro Truhelka okazali tak małą znajomość historyi, że zatytułowali — nie wiedzićć na jakiéj podstawie — ów obraz jako „śmierć ostatniego księcia polabskiego,” dając dowód, że zarówno dzieje Polski jak i historya Słowian polabskich są dla nich *terra incognita.*

W Rzymie biskup Strossmayer prosił Siemiradskiego i Wilhelma Kotarbińskiego o wykonanie dla niego dwóch obrazów stosownie do oznaczonéj im z góry ceny. Pierwszy dał mu roskoszny „krajobraz Kampański,” tonący w jasnych, palących promieniach włoskiego słońca. Drugi w obrazie „Ucieczka do Egiptu” schwycił nader trafnie efekty nocy podzwrotnikowéj, ale utwór jego stał się raczéj przepysznym krajobrazem, aniżeli sceną z dziejów biblijnych. Sam biskup przyznał, że obaj malarze dali mu dzieła, o wiele przewyższające wartością swą skromną cenę, którą im ofiarował.

Do tych trzech obrazów polskich przybyła świeżo prześliczna „Dziewczyna,” studyum H. Siemiradzkiego, które ofiarował galeryi wraz z trzydziestu innemi obrazami adwokat J. Ružicz.

Malarstwo chorwackie jest jeszcze bardzo młode i w galeryi liczy zaledwie kilka utworów. Połowicznym chorwatem jest słynny kolorysta Salghetti Drioli, rodem z Zadra w Dalmacyi, zmarły r. 1877. Jego „Mały Mojżesz u Faraona” cieszył się wielką sławą, już to dzięki sile kolorytu, już to dla wierności tła dziejowego, która przed pięćdziesięciu laty budziła podziw owoczesnych egiptologów. Między dzisiejszymi malarzami chorwackimi pierwsze miejsce przyznają Mikołajowi Maszicowi, urodzonemu r. 1851. Maszicz chodził do szkół w Krakowie, malarstwa zaś uczył się w Wiedniu i w Monachium. Jego „Letnia idyla” i „Pasterka gęsi nad Sawą” pomimo wad swoich, chwyciły trafnie krasę przyrody chorwackiéj, „Liczanin” zaś przedstawia nader typową postać byłego graniczara, na wpół chłopa, na wpół wojaka. Małe obrazki dają nam poznać nazwiska Medowicza i Bukowca, dwóch wiele obiecujących młodszych malarzy chorwackich.

Osobną salę poświęcono kartonom i miniaturom. Strossmayer, zamierzając prowadzić budowę katedry w siedzibie swéj, w Djakowie, zamówił kartony do niéj u pierwszego z „Nazareńczyków” Fryderyka

Overbecka. Genialny starzec narysował czternaście kartonów, pełnych tego ducha szczeréj, naiwnéj pobożności, jakie znamionują utwory męża, który w formach nowoczesnych odnowił tradycye szkoły religijnéj przed-rafaelowskiéj. Jako wykonawcę swoich idei rekomendował Maksymiliana Seitza, urodzonego w Monachium r. 1811, ucznia Corneliusa i Hessa. Ale Seitz, lubo wychowany i wykształcony w tych tradycyach, nie miał odwagi do wykonania pomysłów wielkiego mistrza nowoczesnego malarstwa religijnego i kartony, jako nie urzeczywistnione szkice, pozostały u biskupa i obecnie zdobią galeryę zagrzebską, budząc podziw prawdziwych znawców. Obok kartonów Overbecka są jeszcze trzy inne, utworu wspomnionego już Consoniego.

W tejże saméj sali znajdują się miniatury z XV wieku, po części szkoły włoskiéj, a po części francuskiéj. Poczet ich świeżo pomnożyło „Ukrzyżowanie" z napisem: „Don Julio Clovio de Crouatia inventor" i rokiem 1568. Jest to tylko miedzioryt, kopia z największego miniaturysty, którym tak słusznie szczycą się Chorwaci. Był on istotnie ich rodakiem, właściwie nazywał się Glowicz, a nazwisko Clovio przybrał dopiéro we Włoszech, gdzie żył, działał i żywot zakończył.

Na pierwszém piętrze gmachu akademii pomieszczono salę posiedzeń, czytelnię oraz bibliotekę. Początek téj ostatniéj dało r. 1868 zakupno księgozbioru historyka Kukuljewicza-Sakcińskiego, poczém kupiono także i inne biblioteki pojedyńczych uczonych. Już to dary, już to kupno zwiększały ją ciągle, a nadto ważném źródłem stała się wymiana publikacyi ze stu z górą uczonemi towarzystwami i instytucyami uczonemi w świecie słowiańskim, germańskim, romańskim. Stosunki Akademii zagrzebskiéj sięgają aż do Ameryki. Książek biblioteka liczy około 16,000, rękopismów poczet przechodzi 1,100, a dokumentów jest przeszło 30,000. Zwłaszcza bogatą jest Akademia w „slavica" wszelkiego rodzaju.

Kiedy Akademia r. 1867 rozpoczęła swoję działalność, literaturę naukową chorwacką zastała w nader nieuciesznym stanie. Aczkolwiek nie brak było ludzi, oddanych nauce, ale brakowało im pomocy materyalnéj, choćby na wydawanie prac swoich, nie mówiąc już, że budzenie ruchu naukowego za pomocą subsydyów nie istniało wcale. Najwięcéj jeszcze pracowano nad lingwistyką i dziejami. Prace naukowe tego rodzaju wychodziły w organie towarzystwa historycznego „arkiv" i w piśmie „Knjiżewnik," gdzie znajdowały się cenne rozprawy Raczkiego, Kukuljewicza, Mesicza i innych. Akademia przedewszystkiém rozpoczęła wydawać czasopismo p. t. *Rad* (Prace) *jugo-*

slavenske akademije znanosti i umjetnosti. Pierszego roku (1867) wyszedł tylko jeden zeszyt, ale potém corocznie wydawano po cztery, a od r. 1879 po pięć (lubo niezawsze) zeszytów. Z tych dwa poświęcano pracom wydziału matematyczno-przyrodniczego, inne zaś wydziałowi filologiczno-historycznemu i filozoficzno-prawnemu. Około 500 większych i mniejszych artykułów mieści się na kartach czasopisma, a między niemi prace niepowszedniego znaczenia.

Przedewszystkiém tutaj należy zwrócić uwagę na prace długoletniego prezesa Akademii, kanonika Raczkiego. Znakomity historyk, znany już dawniéj ze swego żywotopisu Cyryla i Metodego, oraz dziejów sekty Bogomilów i Patarenów, w *Radzie* dał cały szereg prac i studyów, stanowiących podwalinę historyografii chorwackiéj, a nawet południowo-słowiańskiéj. Z większych rzeczy zwłaszcza należy podnieść następnie: „Walka Słowian południowych o niepodległość państwową w XI wieku," „Chorwacya przed XII wiekiem," „Biała Chorwacya i Biała Serbia" (rozprawa o praojczyźnie Chorwatów i Serbów, ciekawa i dla nas), „Ruch na południu słowiańskiém w końcu XIV i na początku XV wieku." „Stan wewnętrzny Chorwacyi przed XII stuleciem" i tyle innych. W tomie LXVIII znajdujemy nekrolog Wacława Aleksandra Maciejowskiego pióra Raczkiego. Maciejowski, uczczony tytułem członka honorowego, czuł się w obowiązku przyczynienia się do prac Akademii, stąd w *Radzie* znajdujemy jego „Pogląd na najnowsze prawodawstwo słowiańskie, mianowicie polskie i ruskie," „Poliscy albo Polane najwięcéj przyczynili się rolnictwem do cywilizacyi Europy, a zwłaszcza Niemiec," oraz polemikę z d-rem Hanielem, obecnym profesorem uniwersytetu czeskiego w Pradze, który przedtém piastował profesurę w uniwersytecie zagrzebskim i był członkiem Akademii.

Niepowszednim pracownikiem historycznym był zmarły r. 1878 ks. Mateusz Mesicz, profesor uniwersytetu. Na kartach *Radu* mamy jego rozprawy z dziejów Chorwacyi w wieku XVI, o Berisławicach, o Krzysztofie Frankopanie, a nadto o Dymitrze Zwonimirze, przedostatnim królu chorwackim. Dzisiaj katedrę po Mesiczu zajmuje prof. Tadeusz Smiciklas, autor dwutomowéj „Historyi chorwackiéj," wydanéj przez „Maticę" (r. 1879 i 1880); dzieło to otworzyło mu wrota Akademii. W *Radzie* znajdujemy jego artykuły: „Obrona i rozwój idei chorwackiéj od 1780 do 1835 r." — to jest porywy odrodzenia narodowego przed stanowczém i tyle płodném w rezultaty wystąpieniem Ludwika Gaja, daléj „Myśli i czyny biskupa Strossmayera," oraz „Żywot i dzieła Jana Kukuljewicza Sakcińskiego." Kukuljewicz, zmarły r. 1889, był jednym z najpilniejszych pracowników historycz-

nych w Chorwacyi. Przez lat 57 od r. 1832 napisał on z jakie tysiąc większych i mniejszych prac i artykułów, nawet dość szczęśliwie próbował swoich sił w poezyi i był bardem doby odrodzenia. Nadto po r. 1842 na stanowisku urzędowém bojował za prawa narodu i języka chorwackiego. W r. 1848 był jednym z głównych pomocników bana Jelaczicza. On to przywiózł z Pesztu zebrane niegdyś z Chorwacyi akty i dokumenty, z których złożono archiwum, za dzisiejszego bana Khuen-Hederwarego tak bezprawnie po raz wtóry do Pesztu zabrane. Za czasów absolutyzmu Bachowskiego, Kukuljewicz założył „stowarzyszenie historyi południowo-słowiańskiéj i starożytności,” a potém przy zmianie systematu r. 1861 mianowano go wielkim żupanem zagrzebskim, którą to godność piastował aż do r. 1867. Nad nauką pracował aż do samego zgonu, stojąc przy tém na czele „Maticy chorwackiéj.” Dziś prezesowstwo „Maticy” zajmuje po nim ku niemałéj chlubie i pożytkowi instytucyi, jego biograf, prof. Smiczyklas. Kukuljewicz w *Radzie* drukował bardzo ważne rozprawy „Pannonia Rzymska,” „Chorwaci na wojnie za następstwo tronu,” „Templaryusze i Szpitalnicy św. Jana w Chorwacyi” oraz „Pierwsi koronowani władcy Bulgarów, Chorwatów i Serbów i ich korony” — mowa tu jest o Symeonie bulgarskim, Tomisławie chorwackim i Stefanie Nemaniczu serbskim.

Ks. Jan Tkalczicz należy do lepszych pracowników historycznych. Zwłaszcza ciekawą jest jego praca w *Radzie* „Walka narodu chorwackiego za dom Andegaweński przeciwko królowi węgierskiemu Arpadowcowi Andrzejowi III.” Niemałą wartość posiada praca Ognioslawa Utieszenowicza „Żywotopis kardynała brata Jerzego Utieszenowicza, zwanego Martinusius.” Ów kardynał był pierwotnie mnichem z zakonu paulińskiego, w tym charakterze bawił czas jakiś w klasztorze jasnogórskim w Częstochowie. Potém grał ważną rolę na dworze króla węgierskiego Jana Zapolskiego i umarł, zgładzony przez skrytobójców, których podobno nasłał nań cesarz Ferdynand I, Zapolskiego współzawodnik.

Dzieje literatury miały cały szereg pilnych pracowników. Stosunkowo mało dla *Rada* pracował dr. W. Jagicz, obecnie zajmujący w Wiedniu katedrę po Mikloszicu. Drukowane w *Radzie* artykuły są po większéj części referatami literackiemi. Większe znaczenie mają jego „Materyały do poezyi ludowéj słowiańskiéj,” „Trubadurowie i najstarsi lirycy chorwaccy” oraz „Materyały do paleografii głagolickiéj.” Zmarły r. 1889 Janko Jurkowicz pisał w *Radzie* między innemi „O komice ludowéj” i „O charakterach niewieścich w naszych pieśniach ludowych.” Prof. Fr. Maixner zajmował się wpływem lite-

ratury łacińskiéj na starochorwacką w Dalmacyi i Dubrowniku, czego dowodem są jego artykuły w *Radzie*, a szczególniéj „Żywot i działalność Rajmunda Kunicza,” znanego z przekładu Iliady na język łaciński. Na kartach organu Akademii stoczyli zaciętą walkę o epopeję Gundulicza dwaj profesorowie uniwersytetu zagrzebskiego, Armin Pawicz i dr. Franciszek Markowicz. Pawicz w artykule „O kompozycyi Osmana Gundulicza” starał się obniżyć wartość tyle cenionéj epopei dubrownickiéj, chluby literatury chorwackiéj, a zarazem dowodził, że Gundulicz pierwotnie utworzył dwie epopeje „Władysław” i „Osman” i dopiéro późniéj z nich obu jednę całość zlepił. Na to w odpowiedzi napisał Markowicz obszerną pracę „Ocena estetyczna Osmana Gundulicza,” w któréj, rozebrawszy wszechstronnie epos dubrownicki, porównawszy z Iliadą, Enejdą, Jerozolimą i Orlandem, wykazuje wysoką jego wartość estetyczną oraz jedność pomysłu i kompozycyi. Po „Ocenie” Markowicza wystąpienie Pawicza z artykułem „Władysław Gundulicza” było strzałem spóźnionym a zarazem chybionym. Markowicz dał jeszcze w *Radzie* artykuł „O Dubrawce, dramacie Jana Gundulicza,” daléj monografie „O d-rze Dymitrze Demetrze, jako dramaturgu doby ilirskiéj,” „Książę Medo-Puczicz” (zmarły r. 1882 literat w Dubrowniku). W charakterze profesora filozofii ocenił także „Działalność filozoficzną Rugiera Józefa Boszkowicza” (matematyka i filozofa dubrownickiego z przeszłego wieku), oraz „Treść etyczną naszych (t. j. chorwackich) przysłów ludowych.” Z prac prof. Pawicza obchodzi nas jeszcze bliżéj artykuł: „Dwie stare pieśni ludowe chorwackie.” Przygotowując wydanie „Dzieł Gundulicza,” w jednym z rękopismów Osmana znalazł dwie pieśni starochorwackie, z których pierwsza opiewa śmierć króla Władysława Warneńczyka. Pieśń tę przełożył na polski język Aleksander Chodźko i drukował wraz z pieśniami starochorwackiemi o królu Janie III Sobieskim w wydawnictwach Akademii krakowskiéj.

Jeden z młodszych akademików prof. dr. Miliwoj Szrepel podał w *Radzie* między innemi ciekawe studyum „O poezyi łacińskiéj Juniusza Restego.” Resti należał do tego koła poetów łacińskich z Dubrownika, które składają Benedykt Stay, poeta w rodzaju Lukrecyusza, Rajmund Kunicz, tłómacz Iliady na łacinę, Bernard Zemanja, Jerzy Fericz, Faustyn Gagliuffi, epigramatyk. Sam Resti pisał elegie, epigramaty, ale prawdziwym mistrzem okazał się w satyrach swoich. Obecnie Akademia wydała pisma Restego pod redakcyą profesora Nodila Nadka, czém zrobiła wielką przysługę literaturze.

Łukasz Zore z Dubrownika podał w *Radzie* kilka cennych studyów nad Guuduliczem (Alegorye w „Osmanidzie” Gundulicza; ma-

teryały do oceny literacko-dziejowéj „Aryadny" Gundulicza; materyały do oceny literacko-dziejowéj „Wstydliwego kochanka" Gundulicza, O kompozycyi „Osmana" Gundulicza) a nadto studyum „Cyganka" Andrzeja Czubranowicza i „Materyały do badań nad pieśniami heroikomicznemi dubrownickiemi" [1]).

Dla studyujących poezyę ludową ciekawemi są badania L. Ziny nad „metryką pieśni ludowych," szczególniéj „Szkic naszéj metryki ludowéj z uwzględnieniem wierszy innych narodów a zwlaszcza Słowian."

Muzyka ludowa Słowian południowych ma znakomitego znawcę i badacza w Franciszku Ksawerym Kuchaczu, autorze ogromnego, bo 2,000 numerów liczącego zbioru pieśni ludowych z melodyami i wielu studyów muzycznych. W *Radzie* Kuchacz drukował „Przyczynek do dziejów muzyki południowo-słowiańskiéj."

Wspomniony już wyżéj Nodilo Nadko, profesor historyi powszechnéj w uniwersytecie zagrzebskim, znany ze swych prac włoskich z historyi papiestwa, wydrukował w *Radzie* obszerną pracę „Religia Serbów i Chorwatów głównie na podstawie pieśni, podań i gwary ludowéj." Wielka to i obszerna praca, owoc pilnych studyów nad poezyą ludową u Słowian południowych, któréj rezultaty jednak krytyka specyalistów należycie ocenić i sprawdzić powinna. Tegoż rodzaju jest studyum jednego z młodszych akademików prof. d-ra T. Mareticza „Studya z wierzeń i podań u Chorwatów i Serbów." Mówiąc nawiasem, dr. Mareticz wygotował przekład „Pana Tadeusza," wydany kosztem „Maticy chorwackiéj." W rozprawie swéj nie ugania się za wywodami mitologicznemi, ale chwyta objawy etymologii ludowéj, metafor i personifikacyi w pieśniach i podaniach i stara się wykazać ich podstawę psychologiczną. Inne artykuły mają charakter lingwistyczny, jak np. „Słowa ruskie i czeskie w literackim języku chorwackim." Jako uczeń prof. Miklosicza, dr. Mareticz napisał po jego zgonie krótko ujęte „Żywot i prace literackie d-ra Fr. Miklosicza."

Niestrudzonego i nader płodnego badacza posiadają Chorwaci w ks. Szymonie Ljubiczu, wspomnionym już kusztoszu Muzeum. Lju-

---

[1]) Do dziejów literatury odnosi się rozprawa d-ra M. Murka „Przekład bulgarski i serbski księgi o siedmiu mędrcach, źrodło jéj i krótki rzut oka na inne redakcye słowiańskie." Książkę tę, o któréj Görres powiedział, że jest bardziéj rozpowszechniona od wszystkich dzieł klasycznych. Serbowie i Bulgarzy dostali w tłomaczeniu dopiéro w naszym wieku; przekład czeski i polski pochodzą z XVI wieku, ruski dokonany jest z polskiego.

bicza „Ogledalo” jest rodzajem chaotycznéj nieco i więcéj bibliograficznie ujętéj literatury chorwackiéj, co przypomina „Historyę literatury polskiéj” Feliksa Bentkowskiego. Na kartach *Radu* niemało wydrukowano artykułów Ljubicza. Jedne mają charakter badań dziejowych, jak o stosunkach między Dubrownikiem i Wenecyą (trzy oddzielne rozprawy) lub „Walka o głagolicę na Loszinju.” To znowu Ljubicz ogłasza „Szkice archeologiczne,” albo „Nowe źródła do epigrafii dalmackiéj.” Inne rozprawy odnoszą się do numizmatyki, inne mają znaczenie bibliograficzne.

Niepowszednią sławą jako statystyk i geograf cieszy się prof. dr. Piotr Matkowicz. W *Radzie* obok innych rozpraw, ogłosił cały szereg rozbiorów podróży po półwyspie Balkańskim. Autor sięga jeszcze do epoki przed wojnami krzyżowemi, daléj śledzi krucyaty Waltera de Poissys, Boemunda, Roberta Normandzkiego, Rajmunda Tuluskiego, cesarza Konrada, Ludwika VII, króla francuskiego, Henryka Lwa, daléj podróże pisarzy z wieków XIII, XIV, XV, między innemi Filipa Bonacorsi i Jana z Lobkowic. Z wieku XVI rozbiéra obok innych ciekawe podróże Antoniego Wranczicza i Antoniego Pigafette; nie zapomniał także o dwóch poselstwach polskich E. Otwinowskiego z roku 1557 i Andrzeja Taranowskiego z r. 1569. Obie te podróże ogłosił był, jak wiadomo, Kraszewski w „Bibliotece polskiéj” Turowskiego. Dr. Matkowicz robił bardzo pilne poszukiwania na tém polu, czego dowodem jest artykuł „Dawniejsze podróże rękopiśmienne w bibliotekach weneckich.” Wydobył także z zapomnienia Jerzego Husa, Chorwata z Rasinii, słynnego podróżnika z wieku XVI, oraz zbadał „Stosunki handlowe pomiędzy Dubrownikiem i Włochami środkowemi.” Inne artykuły świadczą o samodzielnych studyach nad orografią własnego kraju.

Lingwistyka miała znaczny poczet pracowników. Na pierwszém miejscu należy postawić zmarłego w r. 1882 d-ra Jerzego Daniczicza, rodem Serba. Daniczicz piastował godność profesora filologii słowiańskiéj w „wielkiéj szkole” w Belgradzie. Szowinizm serbski, który od Chorwatów domagał zrzeczenia się krain chorwackich, a nawet imienia narodowego, nie dozwolił Danicziczowi, człowiekowi sprawiedliwemu i umiarkowanemu, pozostać spokojnie na stanowisku, uczony więc filolog, już wtedy znany rozgłośnie ze swych prac, opuścił Serbię i osiadł w Zagrzebiu, gdzie został przyjęty otwartemi rękoma. Mianowany jednym z pierwszych akademików już 10 lipca 1867 r., a zatem na pierwszém posiedzeniu Akademii postawił wniosek wydawania „Słownika języka chorwackiego albo serbskiego.” Wniosek przyjęto jednogłośnie i Daniczicz był pierwszym jego redaktorem. Pomimo

ogromu pracy z tego powodu, znajdował czas na monografie i artykuły, drukował już to w *Radzie*, już to w *Starinach;* w pierwszym między innemi opracowywał kwestye akcentu serbo-chorwackiego.

Następca jego w pracy nad słownikiem, Mateusz Waljawec, podał w *Radzie* cały szereg prac lingwistycznych, z tych szczególniéj ważną jest „Szczątki optatiwu w języku starosłowiańskim” — wypracował także bardzo szczegółowo kwestyę akcentu w języku słoweńskim.

Dziś „Słownik” redaguje Piotr Budmani z Dubrownika, obecnie profesor gimnazyum w Zagrzebiu, autor dwóch cennych rozpraw, drukowanych w *Radzie* „Dyalekt dubrownicki, jakim się dziś mówi” i „Pogląd na historyę naszéj gramatyki i leksykografii.”

Franciszek Kurelac, zmarły r. 1874, przez całe życie oddawał się pracy nad rozwojem i udoskonaleniem języka chorwackiego. W gorliwości swojéj podawał nieraz postulata językowe i ortograficzne, które się nie przyjmowały, ale cieszył się dobrze zasłużoną sławą wybornego stylisty. Już w podeszłym wieku mianowany akademikiem, zasilał *Rad* pracami etymologicznemi, które, pomimo suchości przedmiotu, pisywał z wrodzoną sobie werwą i humorem. Kurelac znał wiele języków, umiał wszystkie słowiańskie, zwłaszcza polski, którym władał wcale biegle w mowie ustnéj. Stąd jego rozprawy przedstawiają niemało interesu i dla naszych lingwistów. Biografię jego napisał kanonik Adolf Weber p. t. „Vjekopis Franje Kurelca.” Weber, który przez patryotyzm pisał się Weber-Tkalczewicz, znany jest w literaturze chorwackiéj między innemi z przekładu „Pana Podstolego” i „Irydiona” — w *Radzie* drukował rozprawy z dziedziny lingwistycznéj, o stylu, o poezyi chorwackiéj i inne.

Do dziedziny lingwistyki należą jeszcze rozprawy i artykuły Jana Broza (tłomacza wielu rzeczy z polskiego), Mareticza, Szrepela, Brezicza, Czrnczica, prof. Leopolda Geitlera, Czecha rodem, Jagicza. Nawet Franciszek Miklosicz, mianowany zaraz z początku istnienia Akademii członkiem honorowym, drukował w *Radzie* trzy rozprawy.

Na polu prawoznawstwa organ Akademii miał kilku dzielnych współpracowników. Przedewszystkiém uderza nas w oczy imię twórcy prawodawstwa czarnogórskiego d-ra B. Bogiszicza, rodem z Dubrownika, czas jakiś profesora uniwersytetu w Odessie. Bogiszicz zajmował się bardzo pilnie i z nader pomyślnym skutkiem zbieraniem zwyzwyczajów prawnych ludowych, o czém poniżéj mówić będziemy. W *Radzie* zdawał sprawę z postępu zbierania owych zwyczajów, nadto podał „Główniejsze rysy prawa familijnego pisanego w Dubrowniku.”

Jest tam także kilka jego recenzyi, między innemi krytyka dzieła Romualda Hubego: „O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-bizantyjskiego u narodów słowiańskich”.

Ze sprawozdaniem krytycznėm „Zbiornika” Bogiszicza wystąpił prof. Jaromir Hanel. W organie Akademii Hanel drukował „Szkic historyi literatury prawa czeskiego”, oraz „Żywot prawny w gminie miasta Spletu”. Zmarły r. 1876 słynny historyk czeski, Franciszek Palacky w nim znalazł swojego biografa, a właściwie nekrologistę. O prawie serbskiém pisał Serb dalmacki, Bożydar Petranowicz. Jeszcze zasługuje na uwagę praca d-ra Konstantego Wojnowicza, do niedawna profesora uniwersytetu w Zagrzebiu: „Ustrój sądowy rzeczypospolitéj Dubrownickiéj”, oraz rozprawy prof. Urbanicza.

Nad wszelkie spodziéwanie znaczny poczet przyrodników stanął pod chorągwią Akademii. Ze starszych przedewszystkiém zasługują na uznanie dwaj nieżyjący już botanicy: d-r Józef Szlosser-Klekowski i Ludwik Wukotinowicz; obu im flora chorwacka bardzo dużo zawdzięcza. Rówieśnik ich d-r Bogosław Szulek, Słowak z rodu, pozostaje przy życiu. W *Radzie* Szulek między innemi sięgnął do dziejów przyrodnictwa w „Poglądzie na botanikę u Słowian w pierwotnéj dobie, w szczególności u Chorwatów”, „Dlaczego Słowianie czczą lipę”? Ponieważ Szulek należy do zwolenników teoryi ewolucyjnéj, przeto podobnie jak Quatrefages zajmował się „Poprzednikami Darwina”, oraz „Najstarszemi śladami człowieka”. Śledząc rozwój nauk przyrodniczych w Chorwacyi, skréślił w *Radzie* „Nasz postęp w naukach przyrodniczych w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu”. Z pod pióra jego wyszły nekrologi słynnego budziciela narodu słoweńskiego, Jana Bleiweissa doktora medycyny i weterynaryi, oraz dwóch nieżyjących już członków honorowych Akademii, Czecha Jana Emanuela Purkyniego, znanego fizyologa (um. r. 1869) i Włocha, Roberta de Visiani, profesora uniwersytetu w Padwie i senatora (um. r. 1878). Szulek w literaturze chorwackiéj znany jest z dzieł szkolnych i popularnych; z tych ostatnich wyborną napisaną „Chemię dla wszystkich” wydała „Matica chorwacka”. Gorąco przywiązany do swéj drugiéj ojczyzny, stawał w obronie jéj praw i wydał dwa dzieła, ważne pod względem politycznym: „Ustawa chorwacko-węgierska” i „Nasze prawa”, nadto redagował niejednokrotnie pisma narodowe i poumieszczał w nich wiele artykułów treści politycznéj, historycznéj i przyrodniczéj, okrom tego ułożył niejedną książkę dla młodzieży.

Obecny prezes Akademii, ks. Jan Torbar, b. dyrektor wyższéj szkoły realnéj w Zagrzebiu, należy do dzielniejszych przyrodników w Chorwacyi. Okrom artykułów specyalnych, jak: „O meteorytach”,

„O anemometryi", „O zorzy północnéj" i t. d., przedstawił publiczności chorwackiéj „Kopernika w życiu i nauce", nadto „Rogera Boszkowicza i jego działalność na polu astronomii i meteorologii", „Boszkowicza elementa materyi wobec dzisiejszéj atomistyki", oraz „Optykę Marka Antoniego de Dominis". Roger Józef Boszkowicz, znakomity matematyki astronom przeszłego wieku, urodził się w Dubrowniku r. 1711. Czterech braci Boszkowiczów, oraz siostra Anna Róża odznaczyli się w literaturze i nauce, ale Roger o wiele przewyższył ich wszystkich. Wykształcony w Dubrowniku i Rzymie u Jezuitów, wstąpił do ich zakonu i zajmował profesurę w kilku miejscach we Włoszech. Podróżował wiele po Europie, bawił dłuższy czas w Paryżu i w Londynie, nawet w drugiéj połowie zeszłego wieku zawadził o Polskę, gdzie król Stanisław August przyjął go nader uprzejmie. Boszkowicz zajmował się matematyką, astronomią, fizyką, nadto tworzył wiersze łacińskie, szczególniéj trafne dystychy, a nawet ślady, że pisał pieśni chorwackie, przynajmniéj jednę z nich, dość obszerną, treści religijnéj, Kukuljewicz odnalazł pomiędzy papiérami jego siosty Anny i brata Piotra, którzy znani są ze swych poezyi chorwackich. Roger napisał około 90 dzieł i w nauce, zwłaszcza w fizyce, niejednę rzecz naprzód posunął.

Z uczonych chorwackich, bawiących i działających zagranicą, Akademia, a potém uniwersytet ściągnęły do Zagrzebia dwie niepospolite siły, geologa, d-ra Jerzego Pilara i zoologa, Spirydyona Brusinę. Pilar kończył nauki na obczyźnie, w Brukselli i Paryżu i tam dał się poznać nader poważną pracą *Les révolutions de l'écorce du globe* (Bruxelles, 1869). Po niemiecku pisał „O elektryczności drogi ziemskiéj, jako przyczynie epok lodowych" (1872). Powołany do Zagrzebia w r. 1870 na kustosza Muzeum narodowego, w pięć lat potém został profesorem geologii i mineralogii w uniwersytecie, piastując zarazem godność członka Akademii. W *Radzie* znajdujemy cały szereg artykułów specyalnych, między innemi opisał „Trzęsieniu ziemi w Dyakowie 24 marca 1884 r." Do historyi nauk w Chorwacyi dał ważny przyczynek „Postęp mineralogii i geologii w Chorwacyi, Slawonii i Dalmacyi od r. 1835 do 1885". Gdy w końcu r. 1881 umarł w Wiedniu znakomity geolog d-r Ami Boué, Pilar uczcił go w *Radzie* nekrologiem. D-r Pilar zmarł 19 maja 1892 r., zostawiając po sobie pamięć nietylko znakomitego uczonego, ale jeszcze wybornego i gorliwego profesora, a nadto człowieka wszechstronnego wykształcenia i niesłychanéj pracy.

Spirydyon Brusina przybył do Zagrzebia niemal równocześnie z Pilarem i zajął stanowisko w Muzeum narodowém. Przedtém już był w świecie naukowym dobrze znany ze swych prac o mięczakach morza

Adryatyckiego, pisanych po włosku, oraz po francusku i po niemiecku. Po otwarciu uniwersytetu, Brusinę powołano, jako niepospolitą siłę naukową, na profesora zoologii. Po chorwacku ciągnął w *Radzie* daléj swe prace nad fauną morza Adryatyckiego, mając na uwadze nietylko mięczaki, ale ssące, mieszkające w tém morzu. Regestrował także działanośé ziomków na polu zoologii w artykułach: „Nauki przyrodnicze, zwłaszcza zoologiczne w ogóle i u nas", „Jedno dziesięciolecie naszéj literatury zoologicznéj (1867—1877)" i „Zoologia i Chorwaci".

D-r Michał Kiszpaticz, profesor szkoły realnéj w Zagrzebiu i docent uniwersytetu, dobrze jest znany publiczności ze swych nader zajmująco pisanych dzieł popularnych przyrodniczych, które drukowała *Matica* chorwacka. W *Radzie* ogłaszał sprawozdania z działalności komitetu w kwestyi trzęsienia ziemi w Chorwacyi r. 1883, 1886, 1887 1888 i 1889; nadto wyniki swoich badań mineralogicznych w górach Fruszkich, slynnych zkądinąd z całego szeregu klasztorów prawoslawnych, które pobudowali pobożni Uskocy, zbiegi z pod jarzma tureckiego.

Że człowiek na najniższém stanowisku społeczném może być użytecznym nam, daje dowód Dragutin Hirc, autor licznych a cennych opisów topograficznych, który przez wiele lat zajmował skromne stanowisko nauczyciela szkoły normalnéj w małém miasteczku nadmorskiém Bakrze. Pomimo uciążliwéj pracy swego powołania, Hirc zajmował się naukowo-przyrodniczém zbadaniem okolicy i między innemi opracował dla *Radu* artykuł „Flora okolicy bakarskiéj". Inny jego artykuł nosi tytuł: „Południowo-zachodnia wyżyna chorwacka pod względem oro- i hydrograficznym".

Pomiędzy współpracownikami *Radu* w oddziale matematyczno-przyrodniczym znajdujemy trzech Czechów, rzeczywistych członków Akademii i profesorów uniwersytetu w Zagrzebiu. Z tych W. Dworzak ocenił w *Radzie* „działalność Boszkowicza na polu fizyki", D-ra Gustawa Janeczka mamy tutaj cały szereg badań chemicznych. oraz przyczynek „Do teoryi trzęsienia ziemi", rozprawy zaś d-ra Karola Zahradnika odnoszą się do dziedziny matematyki czystéj.

Osobny dział wydawnictw Akademii stanowią krytyczne przedruki starych pisarzy chorwackich. Jak dotąd, wyszło tomów siedmnaście i znajdujemy w nich znakomitych pisarzy dalmackich i dubrownickich, jak Marka Marulicza, najstarszego poetę dalmackiego, Maurusa Wetranicza, autora cudnego poematu „Remata", satyryka i komedyopisarza Naljeszkowicza, A. Czubranowicza, autora tyle wysławianéj „Cyganki", która licznych znalazła naśladowców, Saby Bobaljewicza, pełnego uczucia, co przypomina romantyków nowoczesnych, który więcéj

jeszcze zasłynął, jak poeta włoski, znakomitego komedyopisarza Deržicza, wielkiego epika Gundulicza, płodnego epika, liryka i dramatyka Palmaticza, Barakowicza, autora „Wili słowiańskiéj", bogatéj w szczegóły obyczajowe i kilka innych. Wydania te akademickie są tém cenniejsze, że starzy autorowie, stanowiący chlubę literatury chorwackiéj, znani byli ledwie szczupłemu kółku uczonych, gdyż przechowywali się w rękopisach, albo w nader rzadkich wydaniach dubrownickich i weneckich. Teksty wydane są krytycznie z przytoczeniem waryantów na podstawie porównania rękopismów i edycyi drukowanych, nadto podane są życiorysy pisarzy i uwagi krytyczne co do ich tekstów. Krytyka literacka jest tu zazwyczaj bardzo skromna, gdyż o nią właściwie wydawcom nie chodziło. Żmudnéj pracy wydawniczéj poświęcili czas tacy uczeni, jak Kukuljewicz, Jagicz, Raczki, Budmani, Pawicz, Waliawec, Daniczicz i inni. Nie poprzestając bardzo słusznie na autorach, którzy pisali po chorwacku, wzięto się obecnie do pisarzy łacińskich i na początek prof. Nodilo Nadko przygotował wydanie poezyi wspomnionego już satyryka i epigramatyka Juniusza Resti.

Drugiém wydawnictwem Akademii są *Starine* (starożytności). Są to krytyczne przedruki materyałów do dziejów i kultury, odnoszących się do wszystkich Słowian południowych. Pod tym względem Akademia była tak gorliwa, że ogłosiła znaczną część latopisów, żywotopisów i apokryfów serbskich, opracowanych przez takich uczonych Serbów, jak Jerzy Daniczicz, Stojan Nowakowicz, b. minister oświecenia w księstwie Serbskiém i Stojanowicz. Ten ostatni wydał kilka latopisów serbskich, mianowicie Studenicki, latopis Hadži-Jordana, Sjenicki, Podgoricki i latopis Werkowicza. Nowakowiczowi *Starine* zawdzięczają ogłoszenie między innemi całego szeregu ciekawych apokryfów serbskich, jak np. apokryf o Enochu, o sporze Jezusa Chrystusa z szatanem, słowo proroka Jeremiasza o wzięciu Jerozolimy, Dziecięctwo Jezusa Chrystusa, Dzieje św. apostołów Andrzeja i Mateusza, Dzieje św. apostoła Tomasza w Indyi, Powieść o antychryście, Ewangelia apokryficzna Jakóba i t. d. Zebrał on także legendy o św. Jerzym w literaturze staroserbskiéj i w literaturze ludowéj. Ciekawemi są także jego: „Podania ludowe o bitwie na Kosowém polu, zapisane w pierwszéj połowie XVIII wieku". Daniczicz umieścił w *Starinach* kilka nader cennych pomników, między niemi teksty serbskie Ewangelii Nikodema i Powieści Józefowéj, oraz „Powieści indyjskiéj, przezwanéj Stefanit i Ichnilat", która to powieść, a raczéj romans moralny, u nas nosi tytuł „Historyi o Barlaamie i Jozafacie". Ciekawe jest także jego „Proroctwo despota Stefana Lazarewicza". Na początki cywilizacyi południowo-słowiańskiéj rzuca światło „Rękopis

Władysława Gramatyka" (t. j. literata według rozumienia greckiego), zawierający w sobie „Żywot św. Cyryla", „Pochwałę św. Cyryla i Metodego", oraz „Żywot Hilaryona mogleńskiego".

W *Starinach* znajduje się także nieco pomników bułgarskich, zwłaszcza ksiąg świętych z początków piśmiennictwa. Bardzo cennym jest „Żywot Aleksandra Wielkiego" w redakcyach serbskiéj i bułgarskiéj, ogłoszony przez prof. Jagicza. Starobizantyjski ten romans pseudo-historyczny, przedstawiający bohatérskiego króla Macedończyków niby jakiegoś paladyna średniowiecznego, znany był dobrze i na Wschodzie i na Zachodzie. Przekład łaciński z XVIII wieku Gwidona z Kolumny, Messeńczyka, dostał się i do literatury naszéj w spolszczeniu Lenarta z Bończy [1]); w czeskiéj obok przekładów prozaicznych były przeróbki poetyckie, stanowiące ozdobę literatury staroczeskiéj. Redakcye serbska i bułgarska są bliższe oryginałowi greckobizantyjskiemu.

Rozumié się, że dziejom i literaturze chorwackiéj *Starine* najwięcéj kart poświęciły. Cenne pod tym względem są pomniki, ogłoszone przez Raczkiego, Ljubicza (najwięcéj ze stosunków Dubrownika, Dalmacyi i Istryi z Włochami), daléj M. Magdicza („Przyczynki do historyi Uskoków w Senju), Tkalczicza (przyczynki do historyi Zagrzebia) i innych. Dla nas ważnemi są: „Wiadomość Szymona Judy Sidicza o oblężeniu tureckiém miasta Wiednia 1683 r.", wydanana przez Jana Kukuljewicza Sakcińskiego i „L. Komulowicza wiadomość i listy (r. 1593—4) o poselstwie do Turcyi, Siedmiogrodu, Mołdawii i Polski", wydana przez Jezuitę Pierlinga i opatrzona uwagami Fr. Raczkiego.

Okrom tego Akademia wydaje *Monumenta spectantia historiam Slavorum meridionalium*, których wyszło już przeszło dwadzieścia tomów. W *Monumentach* S. Ljubicz ogłosił cały szereg dokumentów, odnoszących się do stosunków Słowian południowych z rzecząpospolitą wenecką, między innemi *Commissiones et relationes Venetae.* Raczki dał spory tom „Dokumentów historyi chorwackiéj, odnoszących się do peryodu starożytnego". Kilkotomowy zbiór dokumentów i pomników, dotyczących Pogranicza wojskowego, wydał na jaw wspomniony już historyograf miast chorwackich Radosław Lopaszicz. Jest także kilka tomów pomników dubrownickich (*Monumenta Ragusina*). Nadto cenne *Acta Bulgariae ecclesiastica* wydał ojciec Euzebiusz Fer-

---

[1]) „Lenart z Bończe" napisano w rękopiśmie „Żywota Aleksandra", a nie „Lenart z Balic", jak to mylnie Maciejowski, Wójcicki i inni historycy literatury podają.

mendżin, definitor zakonu Franciszkanów w Rzymie. Historyą słynnego spisku bana Piotra Zrińskiego i Franciszka Frankopana, który skończył się tak tragicznie straceniem obu w mieście w Wiener Neustadt, wyjaśniają *Acta*, które zebrał i zredagował dr. Baltazar Bogiszicz.

Do dziejów prawa odnoszą się *Monumenta historico-juridica Slavorum meridionalium.* Dotąd wyszło dopiéro kilka tomów części pierwszéj, noszącéj tytuł *Statuta et leges* i zawierają w sobie „statuta i prawa” miast i wysp dalmackich, które, ciesząc się samorządem, układały dla siebie kodeksy praw, niekiedy nader trafnych, a zawsze pełnych odrębnego charakteru.

Z oddzielnych książek, wydanych kosztem akademii, na pierwszém miejscu należy postawić wspomniony już „Słownik języka chorwackiego czyli serbskiego”. Jak już mówiliśmy, na pierwszém posiedzeniu swém Akademia za inicyatywą Jerzego Daniczicza przyjęła projekt ułożenia słownika i natychmiast zabrano się do pracy. Prócz materyału, który znajdował się we wszystkich dawniejszych słownikach chorwackich i serbskich, począwszy od XVI stulecia, skupiano ze wszech stron wyrazy, już to z mowy potocznéj, już z mowy ludowéj we wszech okolicach, wyciągano materyał z pieśni i opowieści ludowych, z dokumentów i pomników chorwackich i serbskich, począwszy od wieku XII-go, z pisarzów aż do Wuka Karadżicza i Ludwika Gaja. Praca owa trwa ciągle, przynosząc coraz to nowe zasoby. Lat trzynaście minęło od przyjęcia wniosku Daniczicza, zanim r. 1880 przystąpiono do drukowania zeszytu pierwszego. Sam wnioskodawca był pierwszym redaktorem „Słownika”, ale rychła śmierć oderwała go od pracy, kiedy do druku tomu drugiego przystępował (r. 1882). Po nim krótki czas pracę redakcyjną prowadził M. Valjavec, ale ustąpił miejsca Piotrowi Budmaniemu, który został sprowadzony z Dubrownika i objął posadę profesora gimnazyum w Zagrzebiu, a zarazem redakcyę „Słownika”. Mąż ogromnéj wiedzy lingwistycznéj, znawca wielu języków słowiańskich i obcoplemiennych, jest osobą bardzo odpowiednią do podobnego zadania, godnym następcą Daniczicza. Dotąd wyszły trzy grube tomy, a wychodzi obecnie czwarty z literami *I*, *J* i *K*. Metodę zastosowano najbardziéj postępową, a „Słownik” jest nietylko składem wyrazów, ale i obrazem dziejów języka.

Okrom tego Akademia wydała kilka specyalnych słowników, jako to: „Słownik terminologii lekarskiéj”, pracę przedwcześnie zgasłego medyka i poety d-ra Jana Deżmana, oraz d-ra Bogusława Szulka *Jugoslavenski imenik bilja*, t. j. słownik botaniczny. Do działu wydań

lingwistycznych należy odnieść także d-ra Tomasza Mareticza „Historyę pisowni chorwackiéj głoskami łacińskiemi”.

Dzieje literatury chorwackiéj, oprócz wydania rozlicznych starych pomników piśmienniczych, pozyskały piękną pracę prof. d-ra W. Jagicza p. t. „Historya literatury narodu chorwackiego i serbskiego”. Niestety, uczony ten i utalentowany pisarz poprzestał na tomie I, obejmującym dobę starodawną, czyniąc tém wielką krzywdę zarówno Chorwatom, jak i Serbom, którzy dotąd nie posiadają historyi swego piśmiennictwa, gdyż pobieżne i tendencyjnie krzywdzące Chorwatów dzieło Stojana Nowakowicza niewielką wartość posiada. Pewną gałąź literatury traktuje dzieło prof. Arnima Pawicza „Historya dramatu dubrownickiego”.

Bardzo cennemi są dwie prace prof. d-ra Baltazara Bogiszicza, mianowicie dzieło bibliograficzne „Prawa pisane na południu słowiańskiém”, oraz nieoceniony „Zbiornik obecnych zwyczajów prawnych u Słowian południowych”. Książka ta powstała w szczególniejszy sposób. Prof. Bogiszicz ułożył nader trafny kwestyonaryusz i rozesłał na wsze strony osobom upatrzonym z góry, które wydawały się zdolnemi do odpowiedzi na te pytania. Przysyłały one krótsze lub dłuższe odpowiedzi i te, uszykowane według pewnego porządku, złożyły się na gruby tom, pełen treści, tom, dający nader bogaty w szczegóły obraz ustroju społecznego ludowego narodów, które najdłużéj zachowały znamiona starosłowiańskie, jak np. wspólność majątkową rodową, czyli tak zwaną *zadrugę*. Mówimy narodów, albowiem prof. Bogiszicz nie ograniczył się tylko do ludu chorwackiego, ale jeszcze wciągnął do swéj pracy znawców ludu serbskiego i bułgarskiego.

Z dziedziny historycznéj osobno wyszły nakładem Akademii głównie „Akty o spisku bana Piotra Zryńskiego i księcia Franciszka Frankopana”, zebrane przez Fr. Raczkiego (1873 r.). Po raz wtóry r. 1888 dokumenta te wydał prof. Bogiszicz w *Monumentach*, o czém już wyżéj mówiliśmy. Także nakładem Akademii wyszedł tom drugi dzieła znanego archiwisty watykańskiego Augusta Theinera: *Vetera monumenta Slavorum meridionalium, maximam partem nondum edita, ex tabulariis variis deprompta et collecta*. Akademia nabyła także na własność tom pierwszy tego monumentalnego dzieła, wyszły w Rzymie r. 1863, podobnie jak tegoż roku drukowane Kukuljewicza-Sakcińskiego: „*Monumenta historica Slavorum meridionalium*. Tom I. Dokumenty chorwackie.”

Dodajmy do tego kilka pięknych prac z dziedziny nauk przyrodniczych, jak Pilara: *Flora fossilis Sassedana*, Szlossera-Klekowskiego i Wukotinowicza: *Flora croatica* i inne, a będziemy mieli wcale po-

każny szereg dzieł, które wraz z *Radem*, *Starinami*, „Starymi pisarzami chorwackimi”, *Monumentami*, okazują nader gorliwą i płodną działalność członków akademii.

A członków tych poczet nie jest znowu tak liczny; Akademia zagrzebska oszczędniejszą jest w mianowaniu akademików od swéj siostrzycy praskiéj. Prezesem jéj był aż do roku 1886 dr. Franciszek Raczki, kanonik infułat kapituły zagrzebskiéj, i byłby aż do zgonu piastował tę godność, gdyby nie to, że z powodów politycznych r. 1886 ban nie chciał zatwierdzić jego wyboru, gdyż uczony kanonik, jako zwolennik i przyjaciel biskupa Strossmayera, nie cieszył się względami obecnego rządu chorwackiego, którym kieruje ban Khuen-Hederwary. właściwie nie samodzielny naczelnik kraju, ale satrapa madziarski, Wybrano więc po długich ceremoniach d-ra Pawla Muhicza, urzędnika, stojącego na wysokiém stanowisku. Obecnie od r. 1891, gdy znowu rząd nie zatwierdził wyboru Raczkiego, prezesem Akademii został ks. Józef Torbar, zasłużony pracownik na polu nauk przyrodniczych, jak to już widzieliśmy, b. dyrektor szkoły realnéj w Zagrzebiu. Torbar, urodzony w r. 1824, z rodziców stanu wieśniaczego, już czterdzieści lat z górą pracuje i działa w dziedzinie nauk i oświaty narodowéj.

Członków honorowych poczet jest nader mały, gdyż cały ich szereg, jak Schleichen, Purkynie, Erben, Palacky, Pogodin, Gawrilowicz, Visiani, Sreznewski, Ami Boué, Maciejowski, Kukuljewicz-Sakciński, Miklosicz, Schulzer-Müggenburski i Grot, zeszedł już do mogiły. Pozostali tylko Aristo Kunik, członek akademii w Petersburgu, Mendelejew, słynny chemik, Dyonizy Sztur, dyrektor instytutu geologicznego w Wiedniu, oraz Jan Rossi, *commendatore* i prezes muzeów watykańskich w Rzymie.

Wydziałowi historyczno-filologicznemu prezydował dr. Raczki; okrom niego członkami są: dr. Jagicz, profesor w Wiedniu, Symeon Ljubicz, b. dyrektor Muzeum archeologicznego w Zagrzebiu, dr. Piotr Matkowicz i Armin Pawicz, profesorowie uniwersytetu w Zagrzebiu. Mateusz Valjavec, b. profesor gimnazyum tamże, dr. Fr. Maixner, inspektor szkolny, Piotr Budmani, profesor gimnazyum oraz profesor uniwersytetu Nadko Nodilo, Tadeusz Smiczikłas i dr. Tomisław Mareticz. Śmierć zabrała zasłużonych pracowników Brezicza, Kurelca, Mesicza, Daniczicza, Geitlera i Raczkiego.

Na czele wydziału filozoficzno-prawnego stoi dr. Franciszek Vrbanicz, profesor uniwersytetu, nadto znajdujemy tutaj d-ra Muhicza, b. prezesa Akademii, tylekroć wspomnionego Bogiszicza, d-ra Jaromira Hanela, profesora uniwersytetu w Pradze, d-ra Franciszka Markowicza,

profesora filozofii w uniwersytecie zagrzebskim, znanego estetyka i poetę, oraz d-ra Konstantego Vojnowicza, który do niedawna zajmował katedrę w uniwersytecie w Zagrzebiu, a obecnie prowadzi adwokaturę w Dubrowniku. Zmarli już Bożydar Petranowicz, Suboticz, kan. Weber, tłómacz „Irydiona", Janko Jurkowicz, Szuhaj, dr. Błażéj Lorkowicz, ekonomista, oraz Mirko Bogowicz, pisarz i poeta jeszcze z doby iliryzmu.

Prezesem wydziału matematyczno-przyrodniczego jest dr. Karol Zahradnik, Czech rodem profesor uniwersytetu, prócz niego członkami wydziału są wspomnieni już Torbar prezes Akademii, Szulek, piastujący godność jéj sekretarza, profesor uniwersytetu Janeczek, Dworzak, oraz dr. Michał Kiszpaticz, profesor szkoły realnéj i docent w uniwersytecie. Nie ma już między żyjącymi Wukasowicza, Bleiweissa, męża odrodzenia słoweńskiego, Szlossera-Klekowskiego, Wukotinowicza i niezapomnianego Pilara.

Szereg członków korespondentów przedstawia się dość pokaźnie, między nimi są tacy zdolni literaci miejscowi, jak dr. Miliwoj Szrepel i Jerzy Arnold. Pomiędzy obcymi znajdujemy nazwiska rodaków naszych, prof. Adolfa Pawińskiego i zmarłego już d-ra Romualda Hubego.

Publikacye swoje Akademia wymienia z 145 stowarzyszeniami uczonemi i redakcyami, między innemi z redakcyami „Ateneum" i „Wisły" w Warszawie. Majątek jéj w roku 1866 wynosił około 200,000 złr. — obecnie, dzięki ofiarności swego mecenasa i niejednego z patryotów chorwackich — rząd nie płaci obecnie żadnéj subwencyi — przekroczył sumę 400,000 złr. Akademia posiada swój pałac nadto jeden dom w Zagrzebiu, a drugi do spółki z „Towarzystwem św. Hieronima," wydającém książki dla ludu.

Bronisław Grabowski.



RONDA SMĘTNE.

Jarosławowi Vrchlickiemu.

Rondo.

Piszę rondo, gdy w duszy głębinie,
Jako struga srebrzysta w dolinie,
To w mchach skryta i traw aksamitach,
To w słonecznych znów pluszcząc odświtach,
Miękka, śpiewna melodya się winie.

Jako świegot ptaszęcy w gęstwinie,
Refren płynie, i rwie się, i ginie,
Kiedy, w marzeń żeglując błękitach,
Piszę rondo.

I sam nie wiem, dlaczego to czynię,
Lecz w powitań czy żegnań godzinie,
Na gór szczytach, przy gwiazd chryzolitach,
Na samotnych grobowcach i płytach,
Lub gdy z ócz Jéj blask tęskny mi skinie,
Piszę rondo.

Trzy doby.

Daléj pragnie młodość wrząca,
Nieskończonych w przestrzeń dróg,
Zapatrzona w blaski słońca,
Wsze zapory w prochy strąca,
Pochód jéj — piorunów huk!

Pierzchły złudy. Z bóstw tysiąca
Jeden snadź się ostał bóg:
Nawyknienia moc, gnająca
Daléj...

Starość śle siwizny gońca
Człek dość brzemię życia wlókł,
Spocząć pragnie noga drżąca —
Lecz myśl kracze, jako kruk:
„Snadź i w śmierci nie ma końca,
Daléj!"

Śpiąca królewna.

Rondo dla panny Heleny Z.

Jak woń fijołków, z duszy mi wionie,
Przed główką w płowych loczków koronie,
Piosenka słodka, prosta a rzewna:
Cicho! zaklęta śni tu królewna!
Cicho! nie budźcie serca w jéj łonie!

O kwietne, rośne, wiosenne błonie!
O kryształowe jeziorne tonie!
O przeczuć gędźbo, cicha, niepewna,
Jak woń fijołków!

Czas przyjdzie: lato skwarne rozpłonie,
Serce rozdzwoni się w złotym dzwonie,
I nuta uczuć popłynie śpiewna.
Dziś, lilij krewna, niech śni królewna,
Niech sny jéj białe owioną skronie,
Jak woń fijołków!

Pokłon.

Rondo dla Ksawerego Hrubanta.

Smutku! Z łona wszechistnienia
Tchnienie twe się rozpromienia
I na dnie radosnych szałów,
Jak brzęk cichy w szkłach kryształów
Nieuchwytne budzi drżenia.

Tyś ów puhar upragnienia,
Gdzie tęsknica się wypienia
W bezmiar, precz od ziemskich kałów
Smutku.

Z pokolenia w pokolenia
Wstrząsaj dusze aż do rdzenia!
W łzach chorałów, w skrach zapałów,
Cześć ci, ojcze ideałów,
Tajny wieszczu nieskończenia,
Smutku!

Napis na grobie.

„Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada ścięty...”
— O wiejskich dzwonów dalekie lamenty!
O ciszy skrytych pośród niw cmentarzy! —
Nieboskłon ogniem zachodu się żarzy,
W szafir ciemnieją blade firmamenty.

— O, aromaty macierzanek, mięty! —
W dal cicho płyną srebrne chmur okręty.
Dusza w woń cała roztapia się, marzy,
Jako kwiat...

„Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada...” Ścięty,
Bezbrzeżny spokój, bez żądz, bez ponęty...
O, nędzo lśniących żywota miraży!
— Cicho! coś w grobie, czy we mnie się skarży,
Coś, mrąc, trwa jeszcze w woni nieujętej,
Jako kwiat.

Wizya.

Konwulsyjnie w przestrzeń wyciągnięte ręce,
W nieukoju wiecznym, w pragnień wiecznéj męce,
Widziadłem olbrzymiém, kędy zwrócę oczy,
Wieją w nieskończoność powietrznéj przezroczy,
Mrocząc blaski wschodów, zachodów rumieńce.

Cień z nich czarny pada na starce, młodzieńce,
Na wieńce dziewicze, na ochocze żeńce,
Na glob, co się wiecznie—dokąd? dokąd?—toczy
Konwulsyjnie...

Te błagalne ręce, te ręce—szaleńce,
Prężące się wiecznie ku szczęścia jutrzence,
Co snadź nie zabłyśnie na niebios roztoczy!
„Nigdy!"—„Wiecznie!"—„Nigdy!" — — Serce krwią się
Jakby je polipy zgniotły sturamieńce [broczy,
Konwulsyjnie...

Twórcy.

W marzenia świat gdyś zbłądził raz,
W ten czarodziejski wonny las,
Gdzie śpiącą się królewnę budzi, —
Nie wracaj już pomiędzy ludzi,
Pod grobu raczéj skryj się głaz!

Po arabeskach greckich waz
Płaz przemknie ci, ślad ujrzysz skaz...
O, precz! (za-ż wiész, co bardziéj łudzi?)
W marzenia świat!

Tyś dał, coś miał. Tyś krasę kras
Z bezkresów stargnął w przestrzeń, czas,
Dał kształt, którego kał nie zbrudzi,
Tchnął żar, że mróz go nie wystudzi,
Tyś ducha pchnął, co gasł śród mas,
W marzenia świat!

Jeszcze rondo.

Rondo, jak brylant pod słońcem, błyska.
Jak święta Gralu z opali miska,
Tęcz, barw i świateł mieni się zorzą,
A nie jest piewcy ciężką obrożą,
Lecz płodem tajnych mocy igrzyska.

Rzucam rym nakształt greckiego dyska:
Sam wraca, w myśli gwałtem się wciska,
Składa się w strofy, a strofy tworzą
Rondo.

Eolska gędźba! dla dum kołyska!
Cóż mi symplistów urągowiska?
W krągłe kielichy kwiaty się mnożą,
Kolisto usta w całus się złożą,
Kolistym rytmem samo wytryska
Rondo.

Miriam.



ZE ŚWIEŻYCH DZIEJÓW NASZÉJ KOMEDYI.

JÓZEF BLIZIŃSKI.*)

VI.

Otrzymawszy propozycyę nabycia wsi Bóbrka w sanockiéj ziemi, Bliziński ją kupuje i zamierza stale się tam osiedlić. Bolesław Prus zazdrości mu nowéj majętności, która tak odpowiada artystycznéj naturze, bo wiąże się z tradycyą, przekazaną w powieściach Kaczkowskiego, jako gniazdo Nieczujów, i posiada położenie nadzwyczaj malownicze.

Żegnany serdecznie przez przyjaciół, opuszcza [1]) Bliziński 3 marca 1876 roku Warszawę ukochaną, nie przypuszczając ani się spodziéwając, aby ją opuszczał na zawsze...

W Krakowie, w bibliotece jagiellońskiéj robi poszukiwania... hydrograficzne; poznaje się ze Smolką i Sokołowskim, z Lucyanem Siemieńskim, Bałuckim, Powidajem, Mannem, Rostafińskim. Stąd wysyła korespondencye do warszawskich „Nowin niedzielnych". Właśnie wiosna rozwijała swe najpiękniejsze kwiaty, kiedy Bliziński przyjechał do Bóbrki i... oczarowany nią został.

---

*) Dokończenie.—Patrz „Ateneum" zeszyt majowy r. b., str. 258.

1) Pamiętnik.

Las i rzeka, doliny i wzgórza, dużo zieleni, cudne górskie powietrze—oto przymioty miejscowości téj, uderzające na wstępie. Tylko pracę należało podjąć nad wzniesieniem dworu i trzeba było pobudować stodoły.

Energicznie i szybko wziął się Bliziński do dzieła, a rezultat pokazał, że jest obdarzony smakiem prawdziwie artystycznym: dwór i ogród wyglądały wkrótce prześlicznie.

Widok roztaczał się z téj nowéj siedziby przepiękny: na krańcach horyzontu majaczył Beskid i Połoniny, tuż u stóp ogrodu płynęła wartka rzeczka. Górzystą część posiadłości nazwał Bliziński swoją Szwajcaryą, doliny zyskały miano Niderlandów. Było tu spokojnie i poetycznie.

Mając taki krajobraz cudny przed oczami i pędząc cichy żywot ziemianina wraz z swą małżonką, zabral się Bliziński do pracy nad „Panem Damazym". Tylko w téj Bóbrce Blizińskiéj — jak się odtąd zwała wioska, którą sąsiedzi potém ochrzcili Damazówką — mogło powstać dzieło tego znaczenia, tego charakteru i téj piękności, co ta komedya, osnuta na tle szlacheckiém, pełna nieporównanéj prostoty, pełna równowagi i oblana łagodném światłem optymizmu, a przecież nawskroś prawdziwa. Wszystko, co Bliziński odziedziczył we krwi, wszystko, co widział, wszystko, co odczuł i czego doświadczył — wszystko to teraz pod wpływem czarodziejskim pięknéj natury zaczęło przyoblekać się w formy plastyczne. Postaci idealne, które zaludniały wyobraźnię autora, wcielają się w żywych, realnych ludzi; sytuacye układają się w pełen ekspresyi dramat — słowem, przychodzą na świat nieśmiertelne kreacye „Pana Damazego".

Kilkudziesięcioletnie doświadczenie, cały szereg studyów głębokich, najsumienniejsza życia szlacheckiego i wsi naszéj znajomość— znalazły teraz sposobność do uwidocznienia się. Bliziński umiał odmalować obraz ziemianina naszego wpośród otoczenia, w jakiém tenże działa. Rodzina nasza ma tutaj swoją niepospolitą, prawdziwą charakterystykę: jéj dodatnie i ujemne strony uosobione są w postaciach żywych, pełnych dramatycznéj siły. Zanim się Bliziński zabrał do wielkiéj komedyi, najpiérw przeżył 49 lat pośród tych ludzi, których miał odtworzyć — „czekał na natchnienie, o którém wiedział, że przyjdzie" [1]).

Czas tworzenia „Pana Damazego" jest najszczęśliwszą i najspokojniejszą chwilą w życiu autora. Po dłuższym pobycie w Warszawie, osiadłszy znowu na upragnionéj wsi, mając swobodną głowę, — ode-

---

1) Pamiętnik.

tchnął — i wciągając w swe piersi zdrowe powietrze Bóbrki, począł tworzyć dzieło wielkie.

„Pan Damazy”, to rzeczywistość widziana, odczuta i świetnie odmalowana, to prawda i piękno naszego życia, którego tętno biło w sercu i umyśle Blizińskiego.

Fredro dał wizerunki i typy społeczeństwa, które się rozwijało i działało przed rokiem 1830, Bilziński odportretował rzeczywistość z lat późniejszych, nam bliższych, — rzeczywistość, niosącą w obrazie tym wieść o sobie w przyszłość daleką.

Jak historyk maluje wizerunki wybitnych osobistości politycznych i przez to podaje charakterystykę swego czasu, tak Bliziński, stwarzając „Pana Damazego” charakteryzował za pomocą artystycznych środków ludzi zwykłych, składających się na społeczeństwo nasze, ludzi, których do szpiku kości znał, bo wśród nich wzrósl, bo ich głęboko pokochal.

I z pod pióra jego wyłaniać się poczęły jedna po drugiéj postaci, zrodzone na naszym gruncie, ożywione tchnieniem czysto rodzimém. W „Panu Damazym” są zgromadzone nie fotografie ludzkie, ale portrety, malowane pędzlem umiejętnym, który na każdéj twarzy zarysował piętno pochodzenia i charakteru danego osobnika.

Tytułowa postać komedyi zawiéra w sobie wszystkie rozproszone dotąd części składowe moralne i materyalne polskiego szlachcica.

„Damazy”, to suma wszystkich właściwości, jakie posiada zbiorowy nasz ziemianin, wychowany w atmosferze rodziméj. Jestto w dramatyczną akcyę i dramatyczną kolizyę wprowadzone indywiduum, pełne tych pierwiastków — dodatnich czy ujemnych — które razem tworzą indywidualność oryginalną, swojską.

Damazy przybędzie odwiedzić bratowę-wdowę, choć jéj zbytnio nie kocha, ostro skarci złe obejście z daleką krewną, Mańką, córce, Helence, każe serdecznie pierwszą ucałować, bacznie się we wszystkiém rozejrzy,—a choć tam nie jest w literaturze biegły — po bohatersku się zachowa, na podstęp bratowéj się oburzy, rejentowi krzyknie, aby pokazał testament, który w formie zapisu od Tykalskiéj odbierze, podłość napiętnuje z taką szczerą gwałtownością i prawdą uczucia, że wzbudzi naszą sympatyę nieograniczoną i do serc wszystkich przemówi.

Obok stoi dziwnie pociągająca figura poczciwéj, prostéj kobiéciny, Tykalskiéj, która usuwa się samowolnie w jak najciaśniejszy kąt, pozwala siostrze zagarnąć wszystko, chociaż wié, że się to jéj należy. Potulna, dobra, zahukana Tykalska jest znowu taką nieporównaną,

a z życia wziętą postacią. Któż z nas podobnéj Tykalskiéj nie znał, albo jéj nie widział?

Rejent poprostu mistrzowski. Figura to ujemna, ale co to za typ, jak malowany! Każdy muskał na nim znać. Rejent poluje na dobry interes, jak chart na zająca — i węszy z wiatrem zdobycz. Słusznie o nim mówi Zygmunt Sarnecki [1]), że „w rejencie zniknął dzielny, choć chytry Milczek, a wyrósł pokątny, powiatowy Bajdalski".

Ma jednak rejent syna Genia, którego Bliziński skréślił za jednym zamachem, a który jest postacią sympatyczną, pełną humoru, ratującą reputacyę ojca. Syn posiada dobre serce i dzielny charakter pod pozorem lekkości i wesołego usposobienia. Kiedy tchórzliwy Seweryn wywija się podle ze stosunku z Mańką i odwraca się od niéj w chwili krytycznéj, Genio podaje jéj rękę i zachowuje się po rycersku. „Pozytywizm", jaki wyznaje, nie przeszkodził mu być dżentelmenem i obrońcą słabéj, dobréj, a w gruncie nieszczęśliwéj dziewczyny.

Bo niewinną jest Mańka, jakkolwiek postąpiła lekkomyślnie, będąc szczerą wobec Seweryna, który uczucie ku niéj kłamał bezczelnie. Mańka, to dziewczę z wielką namiętnością i ukrytym w głębi smutkiem.

Pierwotnie Mańka miała być kokietką [1]), polującą na rejenta, ale Bliziński wprędce plan ten zmienił, a tym sposobem stworzył oryginalną i wysoce dramtyczną postać, choć naszkicowaną zaledwie paru rysami. Mańka idzie za popędem serca, kocha Seweryna, bo jéj mówił jedwabne słówka, lecz gdy przyszło do stanowczéj z jego strony decyzyi, a niepoń projektuje dziewczęciu konszacht z uczuciem, Mańka go odtrąca i zrywa z nim węzły na zawsze.

Równie dobre, tylko łagodniejsze stworzenie jest Helenka, córka Damazego. Patrząc na nią, widzimy typ polskiego dziewczęcia; zalatuje od niéj woń łąk i pól szerokich, które wypiastowały jéj czystą duszyczkę. Helenka, jak jéj poprzedniczka Zosia z „Pana Tadeusza," ma taki wdzięk szczerości, prostoty i prawdziwego piękna, że pociąga i przykuwa do siebie. Jej ukochany Antoś wart takiéj dziewczyny, więc téż łączą się oboje w związek, z którego znowu pożytek dla rodziny i społeczeństwa wypłynie. Pani Żegocina, dosadnie zarysowana, jest uosobieniem złego serca, złych instynktów, złéj wogóle natury niewieściéj.

Wszyscy ci ludzie żyją, działają, kochają i nienawidzą. Czyny ich mają głębokie uzasadnienie w pobudkach, jakie rządzą ich wolą.

---

1) „Niwa", z września 1877 r.

2) Pamiętnik.

Sytuacye niewyszukane, proste — posiadają w sobie siłę dramatyczną i wspierają ekspresyę. Nad całym utworem panuje rozlane dokoła jasne światło, które przenika wszędzie — tak, że nawet cienie nie są czarnemi tylko plamami, lecz przeciwstawieniem logiczném kolorytu. Słowem — „Pan Damazy," w szczegółach i w ogólnym tonie, w malowaniu poszczególnych figur jako téż ich działań — należy do najlepszych utworów dramatycznych nietylko u nas, stoi obok najpiękniejszych komedyi Fredry i króluje wraz ze „Ślubami Panieńskiemi" i „Zemstą" w dziedzinie dramatu polskiego.

Komedya zostawia po sobie w duszy słuchacza niezatarte wrażenie, sączy w pierś wiarę w nieskazitelność naszego charakteru, broni od zwątpienia. Pomimo ujemnych postaci, jakie w utworze tym także występują, całość oddziaływa pokrzepiająco. Artyzm zaś w przeprowadzeniu figur i akcyi zlewa się z treścią komedyi, tworząc z nią niezrównaną harmonię doskonałości. Staropolski prawdziwie humor i pełen wykwintności dowcip otaczają „Pana Damazego" wesołością, która śmieszy serdecznie.

Utwór ten zaczął Bliziński w listopadzie 1876 r. i pisał nadzwyczaj szybko. Nigdy — ani przedtém, ani potém — nie był tak dobrze usposobiony, jak wówczas, nigdy robota nie szła z takim zapałem. W końcu grudnia komedya była podmalowana, w połowie stycznia — gotowa! Autor wyobraża sobie całą akcyę, żyje z osobami, chodząc po pokoju, rozmawia z nimi [1]).

Ani gospodarstwo, ani przeszkody z młocką, ani obmyślanie miejsca na budowę dworu, ani słownik geograficzny — nic nie zdołało zamącić pracy: utwór szybko rósł, wreszcie dnia 13 stycznia 1877 r. Bliziński posyła „Pana Damazego" na konkurs do Krakowa — zadowolony najzupełniéj z ukończnego dzieła.

Teraz rozpoczyna się pilne śledztwo przebiegu posiedzeń konkursowych.

Do sędziów należeli: Lucyan Siemieński, Maryan Sokołowski, Stanisław Tomkowicz, Aleksander Szukiewicz, Stanisław Koźmian, Antoni Kłobukowski i Karol Estreicher.

Ze sprawozdania komisyi konkursowéj okazuje się, że „Pan Damazy" zyskał niezwyczajne powodzenie w ciągu odczytywania komedyi. „Przedstawia ona — są słowa sprawozdania — typy czysto rodzime. Jak Niemcy mają swoją komedyę mieszczańską, tak my mamy komedyę szlachecką... Co za prawdziwa, co za naturalna ga-

[1]) Pamiętnik.

lerya postaci. Obrobienie sztuki misterne. Wiele przytém świeżych myśli i sytuacyi, a cały ton sztuki nader szlachetny."

W dniu 18 marca 1877 r. nastąpiło głosowanje: „Panu Damazemu" jednomyślnie przyznano pierwszą nagrodę w kwocie 600 złr.

Uwieńczony autor gospodaruje tymczasem zajadle, wznosi dwór w Bóbrce, odpowiada na listy i jest bardzo szczęśliwy, najszczęśliwszy w życiu. Zewsząd nadchodzą powinszowania, każda scena pragnie mieć pierwszeństwo w otrzymaniu sztuki. Dla Warszawy chwyta „Pana Damazego" Doroszyński, płacąc autorowi 600 rs. Bliziński radby był ujrzéć to ukochane swe dzieło w teatrze „Rozmaitości," ale dyrekcya, ze względu na wielkie ogranie komedyi podczas letniego sezonu w ogródku, na teraz odmówiła jéj wystawienia w dłuższém piśmie, do autora wystosowaném. Dyrekcya się broni przed zarzutem, jakoby rzuciła „klątwę" na utwór Blizińskiego i przytacza swoje racye, odmowę uzasadnia i wystawienie „Pana Damazego" odkłada na późniéj [1]).

Pomny zachęty, jaka go spotkała na początku zawodu literackiego od nestora powieściopisarstwa, Bliziński teraz za to się wywdzięcza i ofiarowuje „Pana Damazego" J. I. Kraszewskiemu, który pospiesza z natychmiastową odpowiedzią, pełną serdecznéj życzliwości i przyjaźni. „Goniłem was myślami po świecie — pisał Kraszewski — cieszyłem się powodzeniem, choć nie wszystko, coście wydali i napisali, czytałem. O „Panu Damazym" bardzo pochlebne zdanie pisał mi Estreicher. Wasze notatki hydrograficzne, leksykograficzne i etnograficzne przypomniały mi moje przez lat 20 robione archeologiczne i artystyczne, które ostatecznie poszły w kąt, alem się dużo przez nie nauczył" [2]).

Niezależnie od wielce pochlebnéj odpowiedzi, Kraszewski o utworze Blizińskiego rozpisał się w „Biesiadzie Literackiéj" [3]), podnosząc wysoko zalety „Pana Damazego".

Cała poważna krytyka literacka zaśpiewała pochwalną Blizińskiemu kantatę. Posłuchajmy co wybitniejsi krytycy teatralni o „Panu

---

[1]) W zbiorach Blizińskiego znajduje się ten list, podpisany przez b. prezesa teatrów warszawskich, p. S. Muchanowa, datowany 8 listopada 1877 r.

[2]) List ze zbiorów Blizińskiego.

[3]) W „Listach z Zakątka" „Biesiada Literacka" Nr. 136 z 1878 r: „Komedya Blizińskiego jest rzeczywiście może ze wszystkich tych zjawisk dramatycznych najważniejszém, bo ona jest rzeczywiście oryginalną, z życia wziętą, samoistną. W innych pismach odbijają się studya obcych dramaturgów, pewne naśladownictwo mimowolne, oglądanie się na formy powszechnie przyjęte. Bliziński jest samym sobą i naszym..."

Damazym" piszą. Władysław Bogusławski tak bardzo trafnie komedyę charakteryzuje [1]): „Kiedy „Marcowy kawaler" ukazał się na scenie, powitaliśmy Blizińskiego, jako niepospolity talent, pełen świetnych zapowiedzi. W ciągu lat kilku talent ten wzmagał się w pewnych kierunkach, chwiał się w innych, aż zmężniał i na pewnym stanął gruncie w komedyi „Pan Damazy", słusznie premiowanéj na konkursie krakowskim. Twórca „Pana Damazego" przedstawia się nam dziś jako komedyopisarz z krwi i kości, jako autor sceniczny z temperamentu. Dzięki troskliwemu podsycaniu swéj twórczości materyałem z życia, Bliziński chroni się od maniery, siłę odradzającą stanowi dla niego pilna obserwacya, która obejmuje coraz szerszą sferę spostrzegania, wybiega w rozleglejsze coraz widnokręgi, sięga w coraz głębsze serca ludzkiego zakątki. Zdobył Bliziński w tych wycieczkach jeszcze jeden skarb nieoceniony, bez którego nie ma prawdziwego komedyopisarza: poezyę, a znalazł ją, nie opuszczając szlaków rzeczywistości, — bo życie odpowiada poezyą na zapytanie, które mu stawia uczucie, filozofią na zagadnienia przez myśl do rozwiązania rzucone."

Innym razem [2]) ten sam krytyk wypowiada o Blizińskim sąd taki: „Oto prawdziwy wielki talent, jedyny następca Aleksandra Fredry; dba on o pochwycenie prawdy życiowéj ze wszystkiemi jéj przejawami i odcieniami. To myśliciel co nie filozofuje, to poeta, co nigdy nie wpada w sentymentalizm. To talent szeroki, z molierowskiéj wielkiéj szkoły..."

Zygmunt Sarnecki w te słowa określa wartość komedyi [3]): „Doskonalszego typu od „Pana Damazego" żaden pisarz polski nie stworzył, i dlatego to powiemy szczerze: komedya Blizińskiego, w naszém przekonaniu, stanowić będzie epokę w piśmiennictwie dramatyczném polskiém. Typem jest Tykalska, pokrewna postaciom z „Pana Tadeusza". Zarzut robi Sarnecki postaci Mańki, że jest niewykończona, tymczasem właśnie ta szkicowość, a pomimo to wyrazistość, nadaje jéj piętno bardzo wymowne.

Kazimierz Zalewski w liście do Blizińskiego mówi, że jest wprost komedyą zachwycony.

Stanisław Krzemiński tak się o utworze tym wyraża [4]): „Najważniejszém znamieniem, czy téż właściwością nowéj komedyi, — właściwością, nakazującą uznać utwór za jednorodny z komedyami Fredry, jest przeniesienie środka ciężkości z intrygi na charaktery."

---

[1]) „Kur. Warsz.", nr. 175 z r. 1877. — [2]) „Revue d'art dramatique", 1889 a. — [3]) „Niwa" z września 1877 r. — [4]) „Kłosy", nr. 684 z r. 1878.

Kazimierz Grzymała (Stanisław Grudziński) mówi [1]): „Pojawienie się takiego dzieła, to święto literackie. Natchnienie szczere, prawdziwe, w miłości poczęte, było mu ziarnem. Taki Genio z pozytywizmu wziął część jego najlepszą — metodę rozumowania, lecz nie poświęcił mu skrzydeł młodości, ani gorętszych uderzeń serca, ani popędów szlachetnych..."

Lewestam gorąco się również odzywa [2]): „Pan Damazy" jestto jeden z utworów bardzo nielicznych, co do których sąd publiczności i krytyki zgodzi się bezwątpienia z wyrokiem sądu konkursowego. Dawno nie pamiętamy tak pełnego werwy i życia obrazu, takiego bogactwa charakterystyki... Dawno nie spotykaliśmy się ze szczegółami tak szczęśliwie pochwyconemi i zestawionemi tak umiejętnie, z taką tryskającą z samego wnętrza siłą komiczną, z takim dowcipem dyalogu... Bliziński, nie wiemy dlaczego, nie mógłby stanąć na czele własnéj szkoły?..."

Mógł Bliziński z „Pana Damazego", który szeroko imię jego rozsławił, być dumnym i zadowolonym!...

Chwile zasłużonego odpoczynku spędza teraz na wycieczkach do Iwonicza i Lwowa. Nad Pełtew przybył w drugiéj połowie 1877 r., spotyka się tu z Zalewskim i wraz z nim bawi się doskonale w gronie tamtejszych literatów.

Złoty humor, dobre usposobienie, swoboda myśli — musiały znaleść swe ujście w utworze lekkim, wesołym, któryby tchnął właśnie taką pogodą, jaka w téj chwili panowała w duszy Blizińskiego. Rzuca więc pod koniec 1877 r. szkic komedyjki „Mąż od biédy", gdzie maluje przyjacielski, serdeczny stosunek dziedzica do ekonoma.

Pan Dawnoski przywiązany jest do swego oficyalisty i dobrze mu życzy, również jak żona jego Kasia. Oboje pomimo pozornie złych intencyi, z jakiemi wchodzą do domu Szymelskiego, prędko odzyskują do niego zaufanie, nawet pośredniczą w pogodzeniu go z rozgniéwaną na męża od biédy żoną, Ludwiką.

Z obrazka wieje powietrze wsi naszéj, widać rys patryarchalnego stosunku dobrego pana do sługi, nieraz u nas w przyjacielski związek zmienionego.

Bliziński sypnął tu znowu po pańsku mnóstwem drobiazgów, artystycznie podanych, które lśnią i bawią. Dowcip co chwila przebiega jak błyskawica i oświeca dyalogi. Ta Ludwika, rozkoszująca się

---

[1]) „Tygodnik Powszechny", nr. 470 z r. 1878.—W tém samém piśmie niepospolitą charakterystykę porównawczą Blizińskiego napisał Maryan Gawalewicz.

[2]) „Kłosy", nr. 633 z r. 1877 (Pokłosie).

czytaniem jakiegoś kryminalnego romansu, w komizmie swoim jest nieporównana.

W dniu 7-ym lutego 1878 r. „Mąż od biédy" wyszedł z pracowni autora w pełni wykończony, wesoły, pewny powodzenia, które też wszędzie uzyskał.

Pod koniec roku odezwał się Bliziński w kwestyi językowéj [1], dyskutując o wątpliwościach ortograficznych i polemizując w téj mierze z Karlowiczem, który rozwiązywał je na podstawie słoworodu, czego dziś—według zdania Blizińskiego — robić nie można, bo mamy za mało zebranych prowincyonalizmów. Nadto zwraca się do dziennikarzy, aby nie używali cudzoziemskich wyrazów tam, gdzie są nazwy polskie.

Zresztą zapanowała cisza, bo interesy chwiać się zaczęły.

„Cały rok był kiepski: golizna..." notuje w pamiętniku i nie może zabrać się do pisania. Dopiéro 23 grudnia 1878 r. przychodzi mu szczęśliwa myśl do nowéj komedyi: „Co świat na to powié?", późniejsze „Rozbitki".

Zaraz z Nowym Rokiem zaczyna tworzyć, ale z początku szło ciężko—i autor miał tylko „bezowocne podrywy" [2].

Stopniowo myśli cisną się coraz tłumniéj, tak nawet tłumnie, że autor nie wié czy podoła ich obrobieniu: „jeżeli się uda, będzie bardzo dobra komedya" [3]. Idzie coraz lepiéj... Już druga, trzecia scena gotowa, już cały akt uplanowany...

Z Warszawy nadchodzi wieść, że Doroszyński da za nową komedyę 1,000 złr.: „Trzeba pisać!..." notuje Bliziński w „Pamiętniku" — i daléj do dzieła! „Idzie mi, nie idzie; idzie, nie idzie!" ciągle pisze i poprawia przez styczeń i luty. Dnia 10 marca 1879 r. notuje: „Dziś skończyłem 52 lat! *Vivat!* Dzień prześliczny, dlatego pomimo pełnéj głowy „Czarnoskalskich", cały dzień zajęty byłem wytykaniem tarasów i klombów przed oknami..."

Tak sobie urozmaicając pracę, prowadził akcyę „Rozbitków", którym przeszkodziła znowu nafta w Bóbrce, co miała tam wytrysnąć, ale... nie wytrysła, choć się Bliziński nią do końca życia łudził.

Przerwy te i różne „czarne myśli" sprawiły, że pierwszy akt „Rozbitków" był ukończony aż 31 stycznia 1880 r.!...

Tymczasem ze wszystkich stron wołają o komedyę [4]. Dyrek-

---

1) „Nowiny", nr. 175 z r. 1878. — 2) Pamiętnik. — 3) ibidem.

4) Dnia 7 października 1881 r. pisał z Warszawy do niego Kazimierz Zalewski, dowcipnie zachęcając do roboty i pośpiechu. List ten przepisuję z autografu:

cye teatrów pragną ją mieć jak najrychlej. Lecz rok cały upływa, zanim w lutym 1881 r. Bliziński skończył akt trzeci.

Pisane wprawdzie długo, są przynajmniéj te trzy akty „Rozbitków” doskonałe, — gorzéj poszło z czwartym. Skleił go Bliziński, śpiesząc się okropnie, to téż zakończenie „Rozbitków” wypadło słabo w porównaniu z początkiem dzieła. Chciał on ten akt przerobić, wiem nawet, że pierwszą rzeczą, do jakiéj po ostatniéj chorobie wziąć się pragnął, być miała właśnie zamierzona ta przeróbka. Plan był gotowy: Strasz uciec miał z Zuzią, zamiast się niby pojedynkować się z Czarnoskalskim. Śmierć nie dozwoliła wykonać zamiaru.

Po klasycznéj, pogodnéj komedyi: „Pan Damazy”, gdzie oko autora pieściło się obrazem pięknéj duszy człowieka, gdzie na twarzach bohatérów sztuki widać było rozlaną dobroć, otwartość, serdeczność,— skierował się Bliziński w inną sferę, odtworzył inne natury... „Roz-

---

Kochany mój, drogi Józku!

Quousque tandem Catilina! Są rozbitki — nie ma rozbitków, przysłał akt, pół aktu — dwie sceny, pół sceny — monolog! A dosyć już tego! Cóż to ty sobie myślisz leniuchu szkaradny! dotąd miałeś do czynienia z aktorską hałastrą, ale teraz ja Agamemnon sam występuję do walki i to w dniu samym śmierci Offenbacha. *Quos ego* neptunowskie grzmotem piorunu rzucam Ci na lewe ucho, a w prawe trąbię wielką surmą dziennikarskiéj reklamy: „Rozbitki albo życie” i to zaraz nie zwlekając, natychmiast mi się zwijać, bo ja w tym kwartale przy końcu muszę druk rozpocząć. Mamy nowego prezesa, zaraz Ci komedyę wystawią i dobrze zapłacą—zajmiemy się tém z Pluniem (Pląskowski) — pieniędzy będzie w bród, dwa folwarki dokupim i stodołę postawim murowaną, a śpichrze chyba z granitu, tylko przysyłać natychmiast i ani mrumru!

Swoją drogą legitymuj-no się proszę, co Ty robisz. Wyrazu nie pisałeś do mnie od roku—o wszystkiém zapomniałeś — ja przysiągłbym, że Ty nawet wobec kobiét już zapominasz, na co cię Bóg stworzył. Ocknij się Leniuchu! Obudź się! przecież sztandaru komedyopisarzy nie nosi się bezkarnie. I cóż potomność powié, patrząc na nasz hufiec przez tubę perspektywiczną, gdy zobaczy, że chorąży zasnął w roku pańskim 1879, i choć inni pchali z tyłu, on chrapał i chrapał. Dyabła warta taka kawalerya. Swoją drogą mieliśmy tu sto pociech u Plunia z Twoim współpracownikiem Kalicińskim, który, jak wiész, pewno każdą komedyę na współkę z Tobą pisze, a miał przy „Rozbitkach” wiele wątpliwości z francuzczyzną i radził się Plunia, czy to aby zupełnie po parysku. Ale jeżeli już on był nawet zupełnie zadowolony z dwóch pierwszych aktów, a dodać należy, że jest bardzo wymagający, to dlaczego nie przysłałeś reszty. Hę, co?

Jak mi odpiszesz, to Ci wypalę ogromny list z warszawskiemi historyami, od których będziesz skakał jak Kalchas lub znów rozbeczysz się jak bóbr, co nawet Bóbrce dobrze zrobi na wypadek posuchy, ale teraz nie zasłużyłeś na wiadomości o słońcach i gwiazdach, które nas oświecają i grzeją, a są Twoimi braćmi w Apollinie, choć nie wiem czybyś ich do przedpokoju przyjął, a co muzy, to już chyba po małéj kąpieli do chlewika Helikońskiego zamknąć ich każą.

bitki" są to ludzie zrujnowani przedewszystkiém moralnie, są to postaci z pewném kosmopolityczném usposobieniem. Nie należą oni do sfery szlacheckiéj, bo się pną wyżéj; ani do sfery pańskiéj, bo pomimo tytułów, jakie noszą — prawdziwą arystokracyą nie są, ani téż do mieszczaństwa, bo się go taki Dzieńdzierzyński wypiéra. Są to więc ludzie z po za wszelkich obozów, ludzie przeważnie znikczemniali — prawdziwe rozbitki.

Szambelanicostwo Czarnoskalscy obojętni na wszystko, co nie jest interesem, gotowi sprzedać honor, dziecko — w swym ujemnym charakterze wyglądają okazale. Sam Czarnoskalski z pozorami pańskiemi łączy zupełną brutalność cynizmu, którym jest nawskroś przesiąknięty: rozbitek to czystéj wody.

Żona i córka stoją tuż obok niego. Tylko syn Władysław buntuje się trochę, ale nie ma po temu siły.

Jeden Kotwicz-Dahlberg-Czarnoskalski był w pomyśle autora arystokratą. Bliziński malował tę postać z natury, patrzył na nią i fotografował nawet. Tak owa słynna scena z końca drugiego aktu, scena Dzieńdzierzyńskiego z Kotwiczem, kiedy ten ostatni zamyka rachunek z wista i... pożycza jeszcze dla okrągłości cyfry—jest wzięta żywcem z rzeczywistości.

Dzieńdzierzyński z tą francuszczyzną, budzącą wybuchy śmiechu, z tém przysłowiowém: *savez-vous quoi*, *c'est bon* — jest wyborną postacią dorobkowicza, który będzie zawsze wzorem innych podobnego rodzaju figur.

Ale ze wszystkich najdosadniejszym jest Strasz, upostaciowanie błędów, grzechów i śmiesznostek, — człowiek, który nasiąknął złem i rozpustą na warszawskim bruku — i już tego złego pozbyć się nigdy nie zdoła.

Strasz i Kotwicz są w akcie trzecim odmalowani z nieporównanym artyzmem, z zacięciem, temperamentem i siłą istotnie dramatyczną.

Łechcińska w galeryi kobiécych postaci Blizińskiego zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Charakter jéj godny Kotwicza, więc téż dwie te pokrewne dusze grawitują ku sobie. Będzie z nich para imponująca w brzydocie moralnéj.

W „Rozbitkach", jakkolwiek psychologia pesymizmem trąci, może dlatego właśnie wywiera głębokie wrażenie, nasuwa poważne refleksye, każe zastanawiać się i myśléć. Wielki talent Blizińskiego pokazał tu po raz pierwszy, że umié zajrzéć głębiéj w dusze ludzkie, że potrafi spojrzéć w otchłań złego, nie bojąc się zawrotu.

Pomimo pewnych niedokładności w budowie komedyi, pomimo

słabości czwartego aktu, znać w „Rozbitkach”, że autor wzniósł się pod względem psychologicznym o jeden stopień wyżéj i ogarnął szerszy jeszcze niż przedtém widnokrąg [1]).

„Rozbitki” przyjęte były przez publiczność naszą wszędzie z zapałem [2]) i są do dziś dnia witane gorąco [3]).

Niepowodzenia materyalne, zagmatwania finansowe wpływają odtąd ujemnie na twórczość Blizińskiego, gniotą go, odbiérają zdolność do pracy, męczą w okropny sposób. W ciągu 1881 r. wysila się tylko fantazya jego na humoreskę: „Sielanka pana Michała”, w roku 1882-im pisze Bliziński obrazki: „Mój pierwszy frak” i „Ostatni figiel pana Wojszczyca” — wszystko rzeczy drobne, bez wybitnéj wartości artystycznéj, ale utworów autora „Pana Damazego” i „Rozbitków” poszukiwały redakcye pism i drukowały od razu.

Najlepszą humoreską z téj doby jest bezwątpienia: „Mój pierwszy frak”, rzecz oceniona prywatnie przez Sienkiewicza, zbyt po przyjacielsku, ale bądź co bądź dowcipna. „Czytałem humoreskę — pisał Sienkiewicz—w domu głośno. Oboje z żoną naśmieniliśmy się co dusza raczy. Wesołe, prawdziwe — słowem: wyborne” [4]). W parę miesięcy potém otrzymał Bliziński list od Jeża, który gorąco mu za list dziękował i nadmieniał, że może się kiedy w Galicyi spotkają.

Nie spotkali się nigdy...

VII.

„Jak goły na świat przyszedłem, tak jestem dzisiaj na tę pamiątkę golusieńki.” Tak w pamiętniku swoim rozpoczyna Bliziński rok 1883-ci [5]).

---

[1]) Zalewski w każdym liście do Blizińskiego z r. 1881 chwali „Rozbitków“ i nie pozwala nic poprawiać w trzech aktach, drukując je w „Wieku“: „Każdy ci może pozazdrościć, — nad Strasza i Dzieńdzierzyńskiego lepszych postaci nigdy nie stworzyłeś.“

[2]) Z artystów wsławili się jako doskonali interpretatorowie: Roman Żelazowski, świetny w roli Strasza, i Paulina Wojnowska nieporównana Łechcińska.

[3]) We Lwowie za dyrekcyi Miłaszewskiego „Rozbitki“ źle wystawione nie podobały się, potém za Dobrzańskiego wznowione, w doskonałéj obsadzie, miały olbrzymie powodzenie.

[4]) Zbiory.

[5]) W tym roku odbiéra list od Schwab-Polabsky’ego z prośbą o pozwolenie na przekłady utworów na czeski; kilka z nich ukazało się w druku. Również i po niemiecku istnieje parę tłómaczeń. Np. „Wiener Allgemeine Zeitung“ (N. 3,043

Było więc z majątkiem źle, był niepokój o przyszłość. Lekarstwem i pociechą na to jedyną—no i wsparciem materyalném — praca literacka. Powstają tedy znowu humoreski [1]), postępuje daléj słownik i t. d. A po dość szybkiém stosunkowo obrobieniu kończy Bliziński d. 20 października 1883 r. „Ciotkę na wydaniu", gdzie prześlicznie maluje przygody małżeńskie i wpływy poboczne tu działające.

Jakim znawcą życia rodzinnego był Bliziński i jak umiał drobiazgi codzienne chwytać, cudnie szlifować i bogato oprawiać—przekonywa właśnie „Ciotka na wydaniu".

Emilia kocha swego męża, Augusta, ale ulega bardzo ciotce Filomenie, staréj pannie, która nieci pomiędzy małżeństwem niezgo dę. Z rzeczywistości są tu podpatrzone rysy powszechnie znane, a przedstawione świetnie. Ta trzecia osoba, stająca między mężem i żoną, zwykle z rodziny téjże pochodząca, mąci spokój domowy, jątrzy męża, dogryza mu, drażni, wymawia swoje problematyczne dobrodziejstwa... Mąż zniecierpliwiony dziękuje cioteczce za wszystko — i stara się pozbyć jéj z domu.

August robi to samo z ciotką Filomeną, któréj wyświadcza nawet dobrodziejstwo, bo ją swata i żeni z przyjacielem, starym kawalerem, Hilarym. Emilia odzyskuje swobodę względem męża — i szczęście na nowo w tém gniazdku rodzinném zakwita.

Rodzajowy ten obrazek malowany jest z precyzyą, z satysfakcyą wewnętrzną: czuć w nim prawdę z każdego słowa i zdania, drgającego życiem. Scena maryaszowa Hilarego z Filomeną była stworzona daleko wcześniéj — bo 1881 r. — zupełnie oddzielnie: autor tu ją zużył doskonale i ubarwił nią całość wybornie. Przysłowia maryaszowe Hilarego są przepyszne.

Oddawna miał już w głowie Bliziński pomysł komedyi, którą naprzód nazwał: „Na stypie". Teraz pod sam koniec 1883 r. powrócił do niéj, zaczął szkicować charaktery i nowy dał jéj tytuł: „Szach i mat". Potrzebne objaśnienia prawne do sceny testamentowéj, najlepszéj według autora, czerpie z ust prawników, pyta się o zdanie Koźmiana i Zalewskiego, radzi adwokatów i pisze powoli, bardzo powoli. Już „Echo muzyczne i teatralne" drukowało początek komedyi, już wołało o skrypt, gdy na Blizińskiego spadły interesy ciężkie bardzo. Przez rok prawie cały 1884-ty pisać nie może.

---

z 15-go sierpnia 1888 r.) zamieściła przekład „Składkowego obiadu", p. t. „Das Bankett".

[1]) „Co za szkoda!" („Rola", 1883, nr. 1 i 2); „Pierwsze fiasco" („Echo muz. i teatr.", 1883, nr. 11); „Baba" (napisana w r. 1882, drukowana w r. 1883 w „Przeglądzie lit. i art. Bartoszewicza").

Gospodarstwo, jak wiadomo, pod rządami literata nie szło, piękna Bóbrka nie dawała dochodu; Blizińskiego ogarniała rozpacz. Zdecydował się wreszcie sprzedać majątek. Niestety, trafił na kupca bez pieniędzy, musiał się z nim potém procesować półtrzecia roku.

Wszystko to spowodowało chorobę. A tu „Szach i mat" na drugim akcie, „Echo" dopomina się,—autor otrzymuje listy z wyrzutami...

Istotnie smutne było jego położenie...

Mimo zakazu lekarza, Bliziński, czując się moralnie zobowiązanym do wykończenia roboty, pisze dalszy ciąg komedyi. Nic dziwnego, że trzeci akt jest nerwowy, szkicowany zaledwie, i czwarty nie wykończony jak należy. We wrześniu 1885 r. koniec „Szacha i mata" został wysłany do Warszawy.

We Lwowie i Krakowie grają komedyę w listopadzie, pod tytułem: „Karyerowicz"; nazwa zła, co późniéj sam autor przyznaje i do „Szacha i mata" powraca.

Pomimo niejednolitości w budowie, nierówności w akcyi — komedya ma wiele zalet, zwłaszcza pod względem charakterystyki osób, prowadzonéj doskonale z małemi wyjątkami. Postać Alfreda tylko, bohatéra sztuki, jest zupełnie chybioną, a przez to oś komedyi nadwyrężona, oraz całość zachwiana.

Autor starał się złe naprawić i sztukę przerobił; przeróbki drukiem nie ogłosił.

Przepyszną figurą jest tu rejent Szeliga, od Bajdalskiego różny, człowiek uczciwy, prawy, który dla dobrego jedynie celu używa wybiegów. Umié on z ludźmi postępować, zna ich słabostki, namiętności i ukryte pragnienia; z téj znajomości ich natury korzysta, wiodąc akcyę ku szlachetnym wynikom. Szeliga należy do tych osobisci, które odrazu jednają sobie powszechną sympatyę. Jest ona téż niepodzielnym udziałem rejenta ze strony publiczności, która z zajęciem śledzi jego postępowanie.

Obok rejenta przesuwają się inne postaci, nie mniéj interesujące od niego, bądź co bądź wyraźne i barwne. Są to nieosobliwe kreatury Byłkiewicza i Grdyńskiéj, figura pozującego na Katona samoluba Hordakowskiego, płochy Fruński, dwie pary zakochanych — wszystko sylwetki dobrze nakreślone. Talent przezwyciężył przeszkody, spowodowane rozstrojem fizycznym i moralnym autora—i zajaśniał tu właściwym sobie, choć chwilami przyćmionym trochę blaskiem.

Dziwna rzecz, jak Bliziński w wyborze tematu zeszedł się tym razem z autorami „Testamentu Cezara Girodot", Belot'em i Villefort'em. Lecz można twierdzić stanowczo, że sztuki francuskiéj nie znał. W pamiętniku nie ma śladu o tém, a wiadomo, jak Bliziński szczegóło-

wo każdą rzecz tu notował. O komedyi téj nigdzie nic. Nadto w rozmowach ze mną, kiedyśmy roztrząsali treść wszystkich jego utworów— nie napomknął ani słówka, a biorąc jego prawdomówność pod uwagę, jestem pewny, że byłby tego nie ukrywał. Zresztą pomimo podobieństwa sytuacyi jest w dwóch tych komedyach taka odrębność typów, taka oryginalność, swojskość działających w „Szachu i macie" postaci, że przyjąć należy, jako rzecz niewątpliwą, iż utworu paryskich swoich kolegów nie czytał, na scenie zaś nigdy go nie widział.

W roku 1886 Z. Sarnecki zaproponował spółkę napisania razem z Blizińskim komedyi. Treść zaczerpnięta była z powieści Sarneckiego: „Złote serce". Bliziński się zgodził, trzy akty już gotowe przejrzał, uwagami swemi uzupełnił, trochę je obrobił i czwarty akt sam dopisał. Ostatni więc akt w „Lekkoduchu" jest właściwie pióra Blizińskiego i to przerobiony z powieści—oraz wykończona według pomysłu jego postać Goldenkrantza.

Komedya ma wiele błędów i wad organicznych, którym Bliziński zaradzić nie był w możności. Talent jego był tak samodzielny, oryginalny, niepodległy, że nie umiał dać sobie rady z cudzym pomysłem. Napróżno się w tym kierunku wysilał: zlać się w jedną całość z inną fantazyą, pójść tym samym co tamta szlakiem, było dla wyobraźni Blizińskiego niepodobieństwem. Czuł, że sytuacyom brak głębszego umotywowania, że potrzeba osoby perspektywicznie w sztuce ustawić — ale zrobić tego nie potrafił.

Bohatér, który ma być lekkoduchem, Stanisław, artysta-malarz, nie wypełnia sztuki, jest zamały i chyba tylko przez głęboką miłość dla żony swéj, Janiny, zasługuje na pierwsze między innymi miejsce. Franciszek, goniący za interesami i osamotniający żonę, hr. Jerzy, polujący na cudze żony, lichwiarz Urban, mszczący się na Stanisławie za obejście, jakie go spotkało, dwóch—bez czci i wiary—reporterów: wszyscy działają tu w równéj mierze. Tylko Goldenkrantz i Florka, jego małżonka, mają wszelkie cechy wykończonych postaci scenicznych. „Lekkoduch", jak się tego spodziéwać należało, nie miał powodzenia i legł na scenie.

Po tém nieszczęśliwém współpracownictwie z Sarneckim, zabrał się Bliziński do przeniesienia na papiér komedyi w jednym akcie p. t.: „Mąż w drodze", — utworu, który był już „w głowie napisany" jeszcze w październiku 1875 r.

Komedya ta, jakkolwiek nie bez wybitnych zalet, nie należy do najlepszych dzieł Blizińskiego. Jakoś zamało w niéj tego zacięcia humorystycznego, téj werwy, która w innych utworach tak pociąga nas i sprawia, że owiani jesteśmy atmosferą dowcipu i wesołości.

Ten Jazdowski, konduktor kolejowy, który będąc mężem, ciągle prawie znajduje się w drodze i nie może spełniać należycie obowiązków względem żony, oraz nie pilnuje jéj — wygląda zablado. Daleko już lepszy jest jego brat cioteczny, kapitan Rymgajłło, który ma energię i za siebie i za męża—safandułę. On jeden ożywia komedyę i akcyę posuwa skutecznie naprzód. Inne postaci rysują się zlekka bardzo i nie odznaczają się wybitném piętnem.

„Mąż w drodze", wystawiony 1887 r. we Lwowie, a potém w Krakowie, miał średnie powodzenie.

VIII.

Od pewnego już czasu nosił się Bliziński z myślą zamieszkania na stałe w Krakowie, do czego namawiali go bliżsi znajomi, którzy, wiedząc o jego złych interesach materyalnych, radzili, aby, sprzedawszy wszystko, osiadł w mieście i oddał się literackiéj pracy. Szkoda było drogiego czasu, traconego bezpowrotnie na walce z nieprzyjaznemi okolicznościami, szkoda była wielka dla literatury, że ten pisarz, zamiast mićć do czynienia jedynie z piórem, musi borykać się z losem na wsi i męczyć się położeniem bez wyjścia. Po ostatniém dziesięcioleciu pobytu w Bóbrce, należał się Blizińskiemu wypoczynek w mieście, dokąd ciągnęła go Biblioteka Jagiellońska, towarzystwo literacko-artystyczne, teatr — wszystkiego był spragniony. Z Krakowa tak niedaleko do Warszawy; Bliziński się spodziéwał, że zajrzy tam, aby po wielu latach niebytności znowu spojrzéć po kochanych ulicach rodzinnego miasta, wyciągnąć ręce ku przyjaciołom, uścisnąć wszystkich serdecznie... A tak dużo miał tam przyjaciół szczerych i otwartych!...

W połowie tedy 1888 r. opuszcza ze łzą w oku Damazówkę swoją, wita z uśmiéchem mury starożytne Jagiellonów grodu.

Jestto ostatnia doba życia i działalności Blizińskiego.

Wkraczam w nią z głębokiém wzruszeniem, ponieważ to jest chwila, w któréj miałem szczęście zbliżyć się do znakomitego pisarza, aby go ocenić, jak należy i—ukochać...

Mieszkał wtenczas przy Małym Rynku, wysoko, bo aż na trzeciém piętrze, ale był bardzo z lokalu zadowolony, gdyż miał dużo powietrza i światła.

Kiedy weszliśmy do składu jednéj redakcyi, zaczął nam młodym i początkującym — ten mąż dojrzały i wielki pisarz przewodniczyć,

strofować, za błędy językowe ganić. Dola i niedola dziennikarska, którą pędziliśmy wspólnie, zacieśniła między nami węzły. Dla gromadki młodych literatów był on wyrozumiały i dobry.

W wolnych chwilach odbywaliśmy razem spacery po plantach, zachodzili na pogadankę przy kuflu piwa do ulubionego przezeń Hawełki. A już przedstawienia w teatrze nie opuszczaliśmy nigdy.

Lubił téż Bliziński w karnawale puścić się na redutę, gdzie wesołości i śmiéchowi oddawał się chętnie, bo zawsze czuł się młodym, bo ta zdrowa, niczém nie nadwerężona natura pełna była sił żywotnych do ostatka.

Otoczenie krakowskie, stosunki ze sferami obywatelskiemi, wejście w zażyłość z towarzystwem tamtejszém — sprawiło, że twórczość Blizińskiego odżyła nanowo i wydała teraz jeden z najpiękniejszych kwiatów, jakie posiada nasza literatura dramatyczna. Kwiatem tym— „Dzika różyczka".

W prześlicznym jednoaktowym obrazku zamyka się głębokie, wielkie uczucie, które tu zwłaszcza znalazło dla siebie kształt oryginalny, a wysoce piękny.

Dziadek i babka Radomirowie, dwie ich wnuczki, Karolina i Rózia, ciotka, panna Izydora, dwóch młodzieńców: hr. Brunon i Stefan Tolicki, oraz para służących: mamka Róży, Dorota i jéj mąż, Kociuba, oto ludzie, którzy w tym dramaciku występują, mając w sobie skarby głębokiego sentymentu.

Radomirowie kochają swe wnuczki bardzo gorąco: są one dla nich drogą spuścizną po dzieciach, które pomarły, zostawiając dwie siérotki na Bożym świecie... Pod okiem państwa Radomirów, którzy żałobę w sercu zachowali na wieczną po zmarłych pamiątkę, — wyrosły dwie dziewczynki: Karolina ma właśnie narzeczonego, Stefana, a Różyczka czeka na męża dla siebie.

Przybywa w odwiedziny po raz pierwszy, do domu pp. Radomirów, hr. Brunon, niedawno w okolicy zamieszkały, chcąc sąsiedzkie zawiązać stosunki. Hrabia Brunon, trzeźwo patrzący na świat, nie lubi egzaltacyi, ironicznie traktuje wszelkie porywy — więc z lekkiem sercem wkracza w progi tego domu, właśnie w wigilię szesnastéj rocznicy smutku, jaki tu zapanował. Ale dość było pierwszego spotkania z Rózią, a potém rozmowy z mamką jéj, Dorotą, która przed nim maluje żałobę, aby w duszy hrabiego nastąpił przewrot — zrozumiał i odczuł, pod jakim znajduję się dachem; pełen szacunku, zbliża się do czcigodnych staruszków, korzy się przed nimi — serce zaś oddaje czarownéj a dziko tu rosnącéj Różyczce.

Nigdy Bliziński nie poruszył takich głębokich tonów, nigdy nie dotknął z takiém uczuciem tych strun, dziwnie tęskną wydających melodyę. Z przywiązania Radomirów do wnuczek wydobył tyle rzewności, w postać Rózi wlał tyle sentymentu, zaszczepił w nią takie proste uczucie, hr. Brunona wyposażył takim poczciwym gruntem moralnym, że wskutek tych dodatnich czynników całość wywiera harmonijne, podniosłe wrażenie. Nigdy Bliziński nie był takim, jak tu, poetą. Nie ma w „Dzikiéj Różyczce" zwykłego humoru autora poprzednich komedyi, jest nastrój wysoki, powaga i nieograniczona rzewność uczucia. „Dzika Różyczka", grana najpierw przez amatorów w Krakowie, spopularyzowała postać autora w mieście. Bliziński przemówił tak serdecznie do publiczności krakowskiéj, że odtąd stał się jéj ulubieńcem: ilekroć późniéj afisz teatralny zapowiadał jakąkolwiek komedyę jego — widzowie zapełniali salę i urządzali sympatycznemu autorowi owacyę. Wywoływaniom nie było nigdy końca...

Siadywał Bliziński w starym teatrze obok Estreichera w loży komisyi artystycznéj — w loży tak zwanéj „znawców" — i śledził pilnie grę artystów, zaglądając często za kulisy, gdzie dziatwie Apollina rad nieraz udzielał, albo pochwałę wyrażał. Tam go nazywano zawsze „dziadziem", który to przydomek bardzo lubił, zwłaszcza jeżeli go wymawiały usta ładnéj artystki.

W Krakowie Bliziński, wierny swéj zasadzie strzeżenia mowy naszéj od różnych naleciałości, wydał broszurkę p. t. „Barbaryzmy i dziwolągi językowe", gdzie zebrał około 150 wyrazów obcych, używanych błędnie i niepotrzebnie. Jestto nader trafnie ułożony materyał w sprawie ważnéj i pożytecznéj. Autor, którego ucho nie zatraciło w sobie wrażliwości na czystość języka naszego, zasługuje na wszelkie uznanie, iż zwrócił uwagę na potrzebę czujnéj baczności, aby dobrze mówić i dobrze pisać po polsku.

Sam zaś tak o sobie mówi [1]):

„Miałem w tych dniach interview — chciałem powiedzieć rozmowę, ale powstrzymuję się w skrajnych zapędach — otóż miałem interview z reporterem pewnego pisma.

Interviewujący (wszakże tak ma brzmieć imiesłów od słowa „interviewować", wprowadzonego gwałtem przez jednego z uprawiaczy niwy politycznéj?), interviewujący tedy, mając napisać sprawozdanie

[1]) „Kuryer Warszawski", Numer Noworoczny 1889.

z mojéj książeczki, postanowił wycisnąć coś ze mnie, wyciągając na słówka.

Po wstępném powitaniu, zagadnął mnie w ten sposób:

— Pan napisałeś broszurkę p. t. „Barbaryzmy i dziwolągi językowe?"

— Tak jest, panie.

— W samym tytule zbajałeś się pan.

— Jakto, panie?

— „Barbaryzm" nie jest wyrazem naszym.

— A jakże to powiedziéć po polsku?

— Ja nie wiem, ale to pańska rzecz.

— Widzi pan: Linde pisze, że „barbaryzm" jestto sposób mówienia regułom składni przeciwny, a wypisał to żywcem z Krasickiego, więc sądziłem...

— Pan jesteś samouczek. „Skądże czerpałeś poważne, naukowe podstawy do swojéj pracy?"

— Ależ, łaskawy panie, ja nie mierzyłem tak wysoko... mniemałem. że spełniam obowiązek obywatelski, potępiając wybryki językowe...

— Przez ten czas, jaki poświęciłeś na gromadzenie głupstw, mogłeś pan napisać parę aktów komedyi, a to podobno pański fach.

— Tak powiadają, ale nie zawsze jest się w usposobieniu... a że zasadą moją jest: *nulla dies sine linea*...

— Bardzo pięknie, ale pan własne błędy pomijasz milczeniem.

— Ja popełniam podobne błędy?... Proszę o cytaty.

— Wszak pan, jeżeli się nie mylę, jesteś autorem komedyjki p. t. „Marcowy kawaler"?

— Tak jest, panie.

— Dlaczegożeś go pan nie zatytułował: „Bezżeniec"?

— Istotnie... ale stało się.

— Daléj, pomijając już kawalera, używasz pan takich wyrazów, jak: projekt, sytuacya, para, zamiast dwójka, sukcesya, atrament, kałamarz...

— Pan żartujesz...

— Więc pan udajesz tylko językoczyściciela, ale nim nie jesteś...

— Staram się przynajmniéj...

Reporter wyszedł z tém przekonaniem, że Bliziński „ma bzika" kiedy się takiemi sprawami zajmuje. Te dowcipne uwagi o sobie świadczą, ile Bliziński miał humoru i że go nawet wobec siebie nie szczędził.

Napróżno tylko zabiérał się do dziennikarstwa, które dostało od niego zaledwie parę korespondencyi, jeszcze z czasów kujawskich, kilka recenzyi teatralnych, drukowanych w Krakowie. Rzeczy te krytycznych znamion nie posiadają, ale jest w nich zawsze dość trafnych, zdrowych spostrzeżeń, które recenzyom jego nadają wartość pewną.

W roku 1889 napisał humoreskę p. t. „My tak zawsze" [1]), gdzie przedstawia naszą niezaradność w drobnych nawet rzeczach. W sposób dowcipny opowiada tu, jak czterech jegomościów, jadących w jednym wagonie z Przemyśla do Chyrowa, nie porozumiawszy się z sobą, wynajmują oddzielnie od faktora wózek. W drodze, pod jedną spotykają się karczmą, bo konie odmówiły posłuszeństwa. Tylko ostatni podróżny, zawiódłszy się na faktorze, wziął porządną choć drogą furmankę. Trzéj inni zatrzymują go przed karczmą, dopłacają i dopiéro razem udają się w drogę, gdyż mają cel jednakowy.

— Dobrze nam tak—konkluduje któryś z podróżnych;—mogliśmy byli porozumiéć się zaraz w wagonie.

— Co prawda, to prawda... tylko że...

— Jakie: że?...

— Ano takie, że u nas bez faktora-żydka ani rusz...

Inny drobiazg [2]): „Michał Bałucki i jego czarna magia", zawiéra dowcipną anegdotkę, opowiedzianą przez Blizińskiego z powodu podanéj w pismach warszawskich wiadomości o pobycie Bałuckiego w Warszawie podczas premiery z „Ciężkich czasów", kiedy autor téj komedyi nie wyjeżdżał z Krakowa wcale.

W trzech nowelkach, noszących ogólny tytuł: „Psoty małżeńskie" [3]), odtworzył różne pozycye męża: raz jego „Nieszczęście" z powodu niespodzianego powrotu żony, — potém dzieje „Męża na urlopie" i wreszcie roztrząsania nad tém „Co ją mogło obrazić?", kiedyindziéj pisze znowu „Śluby kawalerskie" [4]).

Wiemy, jakim był Bliziński wielbicielem płci pięknéj i lubił poruszać tematy, mające z nią związek. Pewnego razu proszono go, aby aforyzm napisał, więc tak się wyraził:

„Wezwano mnie, abym napisał kilka słów o kobiétach. Cóż może w tym przedmiocie powiedziéć człowiek, dźwigający na barkach siódmy krzyżyk, a do tego żonaty? To chyba, że jeszcze i w ósmym

---

[1]) „Kur. P.", nr. 32 z r. 1889.

[2]) „Kur. P.", nr. 39 z r. 1889.

[3]) Rok 1888-my.

[4]) „Kur. P." z d. 16 grudnia 1891 r.

krzyżyku (jeżeli go doczeka), nie przestanie być ich wielbicielem. Sądzę, że może zrobić to wyznanie bez niebezpieczeństwa dla nikogo" [1]).

W albumie p. Heleny Römerówny, 12-go grudnia 1890 r. tak przemawia:

„Na coby się przydały wszystkie zebrane tu zdania i aforyzmy, gdyby nie miały stać się kiedyś wspomnieniem, a raczéj przypomnieniem osób, które je kreśliły, gdyby nie uprzytomniały ich postaci? Otóż pragnąłbym, aby panna Helena wspomniała sobie kiedyś, że w młodości poznała człowieka, który pomimo podeszłych lat sympatyzował zawsze z młodzieńczą wiarą, z młodzieńczemi porywami, uważał pesymizm za coś chorobliwego i nie wątpił w przyszłość..."

Uwielbienie dla płci pięknéj nie przeszkadzało mu jednak ujemne cechy niewieście piętnować za pomocą ironicznych humoresek.

Taka „Suknia z Paryża" [2]) mieści w sobie wyborną charakterystykę panny, która, nie chcąc wyjść za starszego od siebie pana Aleksandra, stawia warunek, aby jéj ślubną suknię sprowadzono z Paryża. I właśnie, kiedy wszystko już gotowe do wesela trzeba nieszczęścia, że suknia się przypadkiem spaliła. Panna Regina nie chce już słyszéć o panu Aleksandrze ku wielkiemu zmartwieniu rodziców. Na początku téj humoreski jest ciekawy bardzo opis konkurów z przed lat kilkudziesięciu.

Zamieszkawszy w Krakowie, był Bliziński zadowolony zupełnie i miał umysł swobodny. Nie przelewało mu się—to prawda, lecz biédy nie zaznał, a kłopotów się pozbył od gospodarstwa nieodłącznych [3]). Bliziński przylgnął do krakowian, dobrze i cicho mu tu było. Mając dosyć tutaj znajomych, często odwiedzał przyjaciół i życzliwych, przyjmowany wszędzie z otwartemi rękami. Po za rędakcyą i biblioteką Jagiellońską, gdzie dzięki Estreicherowi, znalazł zajęcie — resztę czasu spędzał albo u znajomych, albo w domu.

W połowie maja 1889 r. spotkaliśmy się na Rynku. Bliziński wziął mnie pod rękę i szepnął do ucha:

---

[1]) „Jednodniówka Akademicka" z r. 1890.

[2]) „Kur. P.". 1890 r., n-ra 260—264.

[3]) Dla pomnożenia swoich dochodów przedsięwziął w ostatnich czasach wydawnictwo „Teatrów amatorskich". Wyszło w Krakowie tego wydawnictwa Józefa Blizińskiego 13 książeczek, które zawierają poprawione ręką jego teksty, odznaczające się istotnemi zaletami. Wydawnictwo zaczynało miéć powodzenie.

— Nie wydrukujesz pan zaraz tego, co ci powiem?

— Z pewnością nie!... — odpowiedziałem skwapliwie, wiedząc o tém, że nie lubi, aby wspominać o jego rozpoczętych pracach—a domyślając się, iż to chce mi zakomunikować.

— Otóż, mam myśl do dużéj komedyi, dramatu nawet!... O, powiadam panu, będzie to rzecz zupełnie oryginalna—coś, czego jeszcze nigdy nie poruszyłem...

Przerwał. Zacząłem go prosić, aby mi więcéj co nadmienił.

— Późniéj, późniéj...—odrzekł.

Ilekroć w ciągu półtora roku potrącałem o tę kwestyę, zbywał mnie krótko:

— Daj mi pan pokój... Nie pytaj się...

Wreszcie w listopadzie 1890 r., nie pytany wcale, rzucił te wyrazy.

— Na dobre się biorę...

I znowu upłynęło dwa lata. Aż za jednéj méj u niego bytności, spotkała mnie niespodzianka.

— Dobrze żeś pan przyszedł—odezwał się na wstępie.—Mam panu dać coś do przeczytania, ale daj mi pan wpierw słowo, że nikomu nie piśniesz nic, ani mrumru...

— Daję słowo...

Z pod staréj bibuły, która mu za podkładkę do pisania od lat wielu służyła i którą chował starannie do biurka, wydobył kilka ćwiartek szarego papiéru.

— Czytaj pan...

Spojrzałem: był to początek nowéj komedyi...

Jak na wielką zdobycz, rzuciłem się na zwój tego papiéru.

— Tylko mi pan nie połknij czasem tego... — rzekł cicho, tonem żartobliwym, choć najwidoczniéj rad był z tego, że się mógł nowém dziełem pochwalić.

Wyglądał wtedy świetnie. Na twarzy igrał dobroduszny, sympatyczny uśmiech jego, oczy miały serdeczny, przyjacielski wyraz. Zdrowie duszy i ciała tryskało z téj fizyognomii zacnéj i otwartéj: życie całe uczciwego człowieka biło z téj pięknéj, męskiéj twarzy wielkiego komedyopisarza.

Siedzieliśmy w pracowni jego przy ulicy Karmelickiéj nr. 15. Był to duży, o trzech oknach, pełen powietrza pokój, ozdobiony kilkunastu oryginalnemi obrazami pędzla krakowskich malarzy. Bliziński kochał bardzo sztukę plastyczną i znał się na niéj. Słońce oświecało pokój z książkami, stanowiącemi piękną jego bibliotekę.

I kiedym czytał tę nową, ostatnią pracę Blizińskiego, anim przy-

puszczał, że za kilka miesięcy pokój ten kirem zostanie obity; a w tém miejscu, gdzie autor się przechadzał, wzniesie się katafalk, a na nim spocznie trumna z jego zwłokami!...

Rozmawialiśmy długo o komedyi, zastanawiając się nad obsadą ról.

— Odtworzenie postaci Leona przeznaczam Żelazowskiemu: on ją powinien zagrać doskonale....

Po chwili mówił daléj:

— A dla panny Stanisławy jest rólka Julci. Mała rola, ale wdzięczna. Poproś pan odemnie narzeczonéj, aby ją grała koniecznie... [1]).

Koniec 1892-go i początek 1893 roku spędził Bliziński na nerwowéj, gorączkowéj pracy około wykończenia komedyi, którą scena lwowska wystawiła w marcu.

Mieszkając wtedy we Lwowie, często odbiérałem od Blizińskiego listy zapowiadające jego przyjazd. Już miałem pewnego dnia wyjść na dworzec na jego spotkanie, gdy otrzymałem kartę korespondencyjną, w któréj krótko mi doniósł, że czuje się bardzo słabym i przybyć nie może. Polecił mi tylko opiekę nad próbami „Chwastu" [2]) w teatrze, zaklinając, aby komedyi nie grano w środę, bo dzień ten uważał w b. roku za feralny. Odpisałem natychmiast, uspakajając go, że wszystko się odbędzie według jego życzeń.

W poniedziałek d. 6 marca 1893 r. przyszło do skutku pierwsze przedstawienie „Chwastu". W nocy otrzymałem depeszę, że Bliziński zapadł na ciężkie zapalenie płuc. Wiadomość ta napełniła smutkiem wszystkich wielbicieli jego talentu. Z serdecznem współczuciem dla chorego autora zgromadziła się publiczność tego wieczora, z zapałem zabrali się do wykonania dzieła — artyści: wszyscy chcieli okazać względem Blizińskiego gorące, szczere przywiązanie, wszyscy pragnęli, aby pierwsze przedstawienie przyniosło pociechę i ulgę cierpiącemu autorowi.

Bliziński im dłużéj żył, im więcéj obserwował, tém głębiéj sięgał w duszę ludzką. „Kawaler marcowy", „Pan Damazy", „Rozbitki" — są temi punktami wytycznemi, świadczącemi o potężniejącéj coraz bardziéj jego twórczości.

---

[1]) Przytaczam wszystkie szczegóły, dotyczące ostatniego dzieła Blizińskiego, jako miłą po wielkim pisarzu pamiątkę. Stało się zadość jego woli: rolę Leona grał we Lwowie Żelazowski, postać Julci—Stanisława Dziryt.

[2]) Tytuł komedyi długo nie był zadecydowany. Bliziński miał kilkadziesiąt nazw wypisanych i nie mógł wybrać żadnéj. „Chwastem" zatytułował sztukę p. Tadeusz Pawlikowski, dzisiejszy dyrektor teatru w Krakowie.

W „Panu Damazym” jest prawda w kreśleniu charakterów oraz w umotywowaniu sytuacyi, jest piękno oryginalne w odtworzeniu głównéj postaci i innych figur, jest wybornie przeprowadzona psychologia zacnego szlachcica i otaczających go osób — jest tu odbite znamię rodzime. W „Rozbitkach” rysunek działających osób ma ciemniejsze tło, ale na niém wszystkie postaci plastycznie są rzeźbione. Trzy zwłaszcza akty komedyi należą do najlepszych, jakie Bliziński stworzył.

Upłynęło od napisania „Rozbitków” dużo czasu. Bliziński spokojnie obserwował wciąż życie, rzucał na papier humoreski lub komedye, ale nie zdobył się ani razu na rzecz o szerokim stylu. W głowie widocznie organizował się nowy pomysł, który niewyraźne z początku miał kształty, w robocie kilkakrotnie formę swą zmieniał, zanim dojrzał zupełnie.

„Chwast” wkracza już w dziedzinę utworów dramatycznych, które, jakkolwiek odznaczają się znamionami rodzimemi — mają w sobie, oprócz swojskiego widnokręgu, przedewszystkiém charakter ogólno-ludzki. Jest to właśnie najgłówniejszą i najważniejszą zaletą téj komedyi, że postacie, nie zatraciwszy w sobie nic z swojskości, są pomimo to zrozumiałemi dla wszystkich ludzi. Z komedyi Blizińskiego tylko „Chwast” w tłomaczeniu na obcy język, byłby tak samo dla wszystkich piękny i przystępny. Francuz, Anglik, Niemiec — każdy człowiek odczuje taką figurę, jak Drobisz, każdy zrozumié taką kobietę, jak Amelia, takiego mężczyznę słabego, jak Leon. Oni wszyscy mają prawo reprezentować uczucia człowieka w najróżniejszym ich objawie.

Stosunek kobiety do mężczyzny od niepamiętnych czasów dawał i ciągle daje pisarzom niewyczerpany temat do najrozmaitszych zagadnień, roztrząsań i rozwiązywań.

Z Francyi powiał prąd, dążący do rehabilitacyi kobiety upadłéj: Dumas, pochlebiając gustom zepsutéj, zmysłowéj publiczności paryskiéj, usilnie nad tém pracował i napisał „Damę Kameliową.” Za nim poszli inni. Ze świata fantazyi złe kobiety wkraczały śmiało w świat rzeczywisty, otwierały ramiona ku ludziom uczciwym i pragnęły tego samego, co cnotliwe kobiety, hołdu dla siebie. Zaprotestował wymownie przeciwko tym uroszczeniom Emil Augier w „Małżeństwie Olimpii,” ale nie zdołał cofnąć całkowicie tego szkodliwego prądu.

Późniéj daleko odezwały się trąbki, wzywające do odwrotu. Alfons Daudet ofiarowywa powieść: „Safo” synowi swemu, kiedy tenże będzie miał lat dwadzieścia, bo przypuszcza, że nieszczęsne losy bo-

hatera romansu odstraszą młodzieńca od rozpustnic, wysysających krew z ludzi. Paweł Bourget w przedmowie do „Ucznia" wstrząsa się, widząc upadek, prawie zdziczenie moralne społeczeństwa. My byliśmy od Francuzów szczęśliwsi. Nie powiem, żebyśmy od grzechu byli wolni, owszem złe nurtuje w pewnéj sferze i spustoszenie niesie, ale literatura nasza — mówię tu oczywiście o dziełach pierwszorzędnéj wartości — dzięki Bogu ustrzegła się zgnilizny.

Już Sienkiewicz w powieści: „Bez dogmatu" wskazał idealniejszą krainę i niewzruszoność cnoty niewieściéj.

Józef Bliziński poruszył w dramacie kwestyę związku z kobietą złą i rozstrzygnął pytanie kategorycznie i nieodwołalnie. Wyrok, jaki w „Chwaście" autor wydaje, jest potępiający, sprawiedliwy i głęboko umotywowany...

Nie za pomocą frazesów, czczego moralizatorstwa autor cel swój osiąga, lecz siłą akcyi, logiką wypadków, konsekwencyą rozwoju wszystkich postaci — przekonywa nas, że inaczéj załatwiać podobnych kwestyi, niż on to uczynił, niepodobna.

Cztery pary wprowadził w działanie, z których każda inną odznacza się charakterystyką.

Państwo Drobiszowie kochają się bardzo, choć są bezdzietni i choć pan małżonek jest trochę zanadto wrażliwy na wdzięki niewieście. Jako profesor konserwatoryum i kompozytor ma on sposobność poznawania różnych aspirantek do sztuki i bawi się temi stosuneczkami — w gruncie rzeczy niewinnemi — które jednak żonę pobudzają do gniewu.

Drobisz jest świetnie narysowaną figurą. Człowiek o złotém sercu, dobroduszny, kochający głęboko żonę — ma słabość do płci pięknéj, która nań działa jak ogień na zapałkę: wybucha nagle, ale téż prędko gaśnie. Rozmawiając z jedną kobietą, szuka oczami drugiéj — a gotów do trzeciéj, czwartéj, dziesiątéj smalić cholewki. Taki ma temperament bałamuta i usposobienie niepoprawne.

Drobisz przyznaje się otwarcie do swego kobieciarstwa, ale pseudomoralistów udających cnotę — bohater Blizińskiego zwie „pokątnymi kobieciarzami."

Pani Drobiszowa, jak i jéj mąż, ma w sobie dużo rysów rodzimych: dobroć téj kobiety i względność na słabostki małżonka odpowiadają jak najlepiéj usposobieniu Polki. Robi ona swemu panu częste wyrzuty, strofuje go i zachęca do poprawy, ale go nie przestaje kochać i być wierną. Dla tego panuje między nimi harmonia, drobne sprzeczki nie wywierają wpływu ujemnego na ich pożycie małżeń-

skie: jesteśmy, patrząc na tę parę, przekonani, że jéj nie rozdzieli nic do grobu.

Brzostowieccy są to znów egoistyczne natury, wyrachowane, zimne. Autor lekko te figury naszkicował tylko, usuwając je na plan drugi.

Całą siłę skupił autor przy tworzeniu trzeciéj pary. O nią to chodziło głównie.

Blizińskiego oburzał w najwyższym stopniu przywilej, jakim chciano obdarzyć upadłe kobiety, przeznaczając je na żony dla uczciwych ludzi [1]). Prawa, niecierpiąca obłudy natura Blizińskiego postanowiła zaprotestować przeciwko wprowadzaniu do rodziny tych, co własne rodziny porzuciły i skalały sromotnie. Trzeba takie Amelie uniemożliwiać w życiu, trzeba „chwast" wyrwać z korzeniami...

Bohaterka ostatniéj sztuki Blizińskiego nie jest Małgorzatą Gautier, bo takich nawróconych rzeczywistość nie posiada: Amelia jest wyrafinowaną łotrzycą, która dla pieniędzy domniemanych wyszła za mąż za Leona — a gdy ich nie znalazła opuszcza go nikczemnie, podle. A biedny zapaleniec, Leon, który do ostatniéj chwili wierzy w miłość jéj do siebie — za błąd popełniony strasznie cierpi: bo poślubił nieprzeznaczoną na żonę ladacznicę.

Wreszcie widzimy przed sobą czwartą parę, nie małżonków wprawdzie — ale dwoje gorąco kochających się młodych. Julcia, sierota w żałobie, tęskna i smutna, pociąga ku sobie młodego Brzostowieckiego, doktora medycyny, chłopca na wskroś zacnego. Tę parę pokazuje nam Bliziński z daleka i mówić jéj każe:

— Patrzcie: z naszéj miłości wykwitnie szczęście dla nas i dla innych!

Ci młodzi tchną urokiem, świeżością i ściągają na siebie uwagę pomimo, że ledwie autor kilku rysami tę parę naszkicował.

„Chwast" wywołał najsprzeczniejsze sądy. Wykształcona, inteligentna publiczność, oraz krytyka warszawska przyjęła „Chwast" bardzo gorąco; zrozumiano tu, co autor zamierzał i co przedstawił. Kraków, wskutek fałszywéj obsady ról [2]), wyniósł o sztuce błędne mniemanie. Najlepiéj wypadł „Chwast" we Lwowie.

---

[1]) Zdanie to opieram na wielokrotnych rozmowach w téj materyi z Blizińskim prowadzonych.

[2]) Na scenie krakowskiéj Drobisza postać dobroduszną, charakterystyczno-komiczną grał Kotarbiński, mimo że w personelu znajdował się doskonały wykonawca téj roli, Zboiński, który ją z wielkiém powodzeniem interpretował we Lwowie.

Kazał mi też artystom podziękować serdecznie Bliziński, kiedym przed nim składał ustne sprawozdanie z pierwszego przedstawienia... Zastałem chorego autora bardzo zmienionego.

Powitał mnie smutnym uśmiéchem...

— A powiédz pan prawdę... czy się sztuka podobała?...

Zapewniłem go, że „Chwast” wywarł silne wrażenie i że artyści grali świetnie. Był rad z tego...

— Podziękuj pan im wszystkim odemnie...

Uścisnął mi rękę, bo nie mógł więcéj mówić...

Wierzyliśmy wszyscy, znając żelazne Blizińskiego zdrowie, że się z téj choroby jeszcze dźwignie.

Ale kiedym znów go za miesiąc ujrzał, już śmierć stała przy łożu...

Był nieprzytomny... Ksiądz dawał ostatnie namaszczenie... Pierś chorego podnosiła się i opadała gwałtownie, nierówno...

Nie skończył jednak zaraz. Nastąpiło chwilowe za parę dni polepszenie. Chory odzyskał przytomność, a skoro go żona delikatnie zapytała, czy chciałby się spowiadać — odpowiedział wzruszonym głosem:

— Tak...

Godzinę pozostał sam na sam z księdzem... Po wyjściu kapłana Bliziński zalał się rzewnemi łzami i rzekł do żony:

— Jaki ten ksiądz dobry, jaki poczciwy...

Na twarzy chorego panowało zupełne uspokojenie...

Chrześcianin znalazł pociechę, bo był w gruncie religijny. Że tak jest, świadczy list do Zygmunta Sarneckiego, pisany w 1882 roku z Bóbrki: „Sam wierzę w Boga silnie i modlę się do Niego z głębi ducha... W tajemnicy wiekuistéj szanuję tajemnicę, któréj klucz spodziéwam się miéć po za grobem. Oburza mnie, że ów rozum, najdroższy dar, jaki Bóg dał człowiekowi, aby się wznosił ku Niemu, ignorują, nazywając nędznym rozumem ludzkim. Nie jestże to ubliżeniem Bóstwu?...”

Teraz szedł po ten klucz do rozwiązania tajemnicy... Śmierć zbliżała się powoli...

W nocy z dnia 28 na 29 kwietnia wyrażał niejednokrotnie gorące pragnienie życia...

— Ja nie chcę umiérać — mówił — ja mam tyle jeszcze do pisania... Pozwólcie mi wstać... Tam... przy biurku usiądę i wezmę się do roboty... Tyle mam jeszcze do zrobienia...

Zasypiał i znowu się budził.

— Jak ładnie na dworze... Tak chętnie przeszedłbym się po plantach...

Potém dyktował testament.

Żona, klęcząc przy chorym, poprosiła o błogosławieństwo. Bliziński spojrzał na nią gasnącym wzrokiem, uśmiéchnął się do wiernéj towarzyszki swojéj i cicho wyszeptał:

— Niech cię Bóg błogosławi!...

Były to ostatnie jego słowa. Skonał 29 kwietnia 1893 r. o godzinie 6 minut 50 rano.

Miał śmierć tak cichą i bez cierpień, jak spokojne było życie jego...

Wieść o śmierci Józefa Blizińkiego znalazła wszędzie żałobne, smutne echo. Na trumnę, w któréj spoczywały zabalsamowane zwłoki, zewsząd posypały się kwiaty. Tłumy ludzi przychodziły spojrzéć po raz ostatni na tę piękną głowę, która z siebie tyle złotych wysnuła myśli.

Pierwsze gorące wspomnienie wyszło od Michala Bałuckiego, który w liście do żony zmarłego zaznaczył niepowetowaną stratę, jaką literatura nasza przez zgon przedwczesny znakomitego komedyopisarza poniosła.

Za nim nastąpiły rzewne wynurzenia od literatów, artystów — od wszystkich, co kochali i wielbili Blizińskiego. A któż go nie kochał i nie wielbił?!...

Pogrzeb wspaniały odbył się 4 maja. W przemówieniach nad trumną ujawniły się te uczucia, które praca i twórczość pisarza w społeczeństwie naszém wzbudziły [1]).

IX.

Skromny, ukryty w cieniu, nie głoszący nigdy o sobie, był Bliziński sławny przez swe niepospolite dzieła, jakie stworzył.

---

[1]) Na pogrzebie Blizińskiego przemawiali: Michał Bałucki — imieniem kolegów; Maryan Gawalewicz — w imieniu rodzinnego miasta Warszawy; Zygmunt Sarnecki, jako najbliższy przyjaciel; Edmund Rygier — w imieniu artystów dramatycznych; d-r. Ignacy Rosner—imieniem krytyków teatralnych.

Wieczorem 4 maja teatr krakowski wystawił „Pana Damazego". Imię autora zamknęło szereg nazwisk zasłużonych dla sceny pisarzy, którzy widnieli na lożach starego teatru w Krakowie. Jaśniało to ostatnie nazwisko Bliziński przed oczami zapełniającéj po brzegi publiczności. A na scenie żyły nieśmiertelném życiem obdarzone kreacye „Pana Damazego"...

Po Fredrze objął dziedzictwo, które własną pracą i oryginalnym talentem pomnożył. Darów Bożych nie strwonił, do rozwoju literatury się przyczynił, piętno indywidualne na niéj wycisnął i w dziełach swoich do potomności przejdzie.

Społeczeństwo, dla którego pisał, znał, charakter tego społeczeństwa w utworach swoich uwydatnił.

Postaci Blizińskiego nie są figurami o przymiotach wyjątkowych: są to charaktery portretowane, rodzime, są to żywe wizerunki mieszkańców wiosek naszych.

Doskonale określa go Kazimierz Zalewski: „Kiedy Bałucki zna na wylot mieszczaństwo galicyjskie, ja nie powinienem się ruszać po za rogatki warszawskie; — Bliziński jest panem dworu i chaty wiejskiéj" [1]).

Pisał niewiele i bardzo powoli, ale wszystko studyował z natury, nic z pamięci—wszystko tworzył z modelu, jak artysta-malarz.

Oryginalnym był nawskroś, bo nawet dzieła Fredry poznał dopiéro w 46 roku życia! [2]).

Kocha ludzi, ale chce, aby byli dobrymi. Obejmuje swém sercem wszystkich,—a gołębie prawdziwie ma to serce...

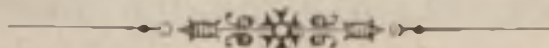
Cel widzi w zjednoczeniu wszystkich. Dlatego, choć szlachcic, choć stosunki go wiążą z konserwatystami, choć w duchu zachowawczym tworzy — nie zrywa z przeciwnym obozem, bo umysłem ogarnia szerokie widnokręgi i zaściankowéj polityki nie wyznaje. Będąc sam człowiekiem dobréj wiary, o złą nikogo nie podejrzéwa.

Przymioty własnego serca, miłość ideału, uczucie głębokie, jakiém jest do wszystkiego, co zacne, przejęty — wléwa w dzieła swoje, a że sam ma duszę czystą i pragnienie wzniosłe—więc i dzieła jego są piękne.

Wielki artysta był szlachetnym człowiekiem, utwory jego, równie wielkie, noszą na sobie téj szlachetności znamię niezatarte...

Adam Dobrowolski.

Kalisz, 18 stycznia 1894.



---

[1]) W jednym z ostatnich zeszytów *Revue d'art dramatique* Kazimierz Zalewski podaje treściwą charakterystykę głównych rysów twórczości Blizińskiego; charakterystyka ta cudzoziemcom tłómaczy wartość artystyczną dzieł i zaznajamia inteligentny ogół na zachodzie z niepospolitą indywidualnością twórcy „Chwastu". Zręczną i bardzo trafną sylwetkę po śmierci Blizińskiego napisał Antoni Mieszkowski w „Kuryerze Codziennym" z r. 1893 (n-r 119).

[2]) Pamiętnik.

O PRAWIE FABRYCZNÉM.

Akcye robotników żądających wynagrodzenia za kalectwa, poniesione przy pracy, opiérają się u nas jedynie na art. 1382 i następnych kodeksu Napoleona. W myśl artykułów tych, powód t. j. robotnik ma dowieść winy pracodawcy swego, winy, która spowodowała tak smutne dla niego następstwa, uniemożliwiające często na długo, a nawet na zawsze możność dalszéj pracy, jedynego źródła utrzymania robotnika i jego rodziny. I teorya wskazuje na to i praktyka dowodzi, że w niewielu zaledwie wypadkach robotnik jest w stanie dowieść winy swego pracodawcy, a przez to uzyskać od niego środki do utrzymania rodziny, dla którój sam już pracować nie może. Dlatego zdarza się nam słyszéć wciąż zdania prawników, że i w myśl kodeksu naszego robotnik nie ma obowiązku dowodzić winy pracodawcy, aby uzyskać przychylny dla siebie wyrok, że przeciwnie fabrykant ma dowieść, że nie winien jest wypadku danego, co już na korzyść zmienia położenie robotnika. Pan J. J. L. w numerze 19-ym „Gazety sądowéj" z r. 1893 streszczając pracę Sanzeta, zamieszczoną jeszcze w r. 1883 w czasopiśmie *Revue Critique de legislation et jurisprudence*, zdanie ostatnie stara się uzasadnić. Umowa, mówi on, na zasadzie art. 1135, zobowiązuje nietylko do tego, co w niéj jest wyrażone, lecz jeszcze do wszystkich następstw, jakie zwyczaj, słuszność lub prawo nadają zobowiązaniu podług jego natury. Nietylko słuszność zaś, ale i prawo przez liczne przepisy administracyjne i policyjne nakazują pracodawcy przedsięwzięcie wszelkich środków ostrożności, oraz należytéj organizacyi robót celem zachowania zdrowia i życia robotników. Zawarłszy umo-

wę z robotnikiem, właściciel przedsięwzięcia już przez to samo przyjmuje na siebie obowiązek zachowania środków, o których wyżéj, i w razie wypadku nieszczęśliwego dowód ciąży jego nie robotnika, on winien dowieść, że zrobił wszystko co słuszność i prawo nakazują, aby robotnika od wypadku uchronić. Jakkolwiek teorya ta, nazwana teoryą umowną, ponieważ wedle niéj obowiązek przedsiębiorcy wynagrodzenia za szkody wynika już z samego faktu zawarcia umowy z robotnikiem, to przecież u nas małe ma zastosowanie. Sądy żądają od robotnika dowodów winy pracodawcy, to téż w każdéj skardze powodowéj robotnik dowody te przytacza. W jednéj sprawie sąd Okręgowy wyraził zdanie, że sam fakt, iż nieszczęście zaszło w fabryce pozwanego, dostatecznym jest do zasądzenia od niego wynagrodzenia. Wyrażenie to wszakże za *desiderata* sądu uważać należy, gdyż zaraz dodaje on, że oddala powództwo, bo nie ma u nas prawa, któreby zobowiązywało pracodawcę do wynagrodzenia szkody powstałéj bez jego winy.

Gdyby nawet teoryę umowną przyjąć bez względu na wyraźną treść artykułu 1382, to i w takim razie los robotnika zaledwie słabo byłby zabezpieczony. Jeżeli jest trudném bardzo i często niemożliwém dla robotnika dowieść winy pracodawcy swego, to wcale tak trudném nie będzie dla tego ostatniego dowieść swéj niewinności. Jeżeli wypełniał wszystkie rozporządzenia policyjne i administracyjne, jeżeli budynki jego odpowiadały warunkom przez techników urzędowych stawianym, maszyny w dobrym były stanie, to zrobił wszystko, do czego był obowiązany, do nieszczęścia się nie przyczynił, niewinności swéj dowiódł i za skutki wypadku odpowiadać nie będzie. Jakkolwiek więc ważną jest rzeczą uwolnić robotnika od ciężaru dowodu, to wszakże nie rozstrzyga to kwestyi i nie czyni wcale zadosyć ani żądaniom teoryi, ani potrzebie życia praktycznego. Teorya żąda, aby byt robotnika i jego rodziny zabezpieczony był na wypadek kalectwa uniemożliwiającego mu dalszą pracę zupełnie lub częściowo, bez względu na to, czy była to wina czyjakolwiek, czy jéj nie było. Ani nieostrożność robotnika, ani nawet niedbalstwo jego nie zwalnia pracodawcy od obowiązku wynagrodzenia, gdyż nie można żądać od człowieka zajętego pracą, ciągłego baczenia na możliwość wypadku. Gdyby nieostrożność lub niedbalstwo wpływ stanowczy mieć mogło na prawo do zabezpieczenia bytu, zbyt często byłby go robotnik pozbawiony, zbyt często stawałby się żebrakiem. Tylko wtedy do wynagrodzenia za szkodę traci on prawo, gdy dowód istnieje, że sam rozmyślnie nabawił się kalectwa, aby następnie żyć cudzym kosztem bez troski. Prawodawca wszakże przy stanowieniu prawa odnośnego baczną winien

zwracać na to uwagę, aby obowiązek wynagrodzenia nie stanowił za wielkiego ciężaru dla przemysłowca, aby nie pozbawiał go możności prowadzenia przedsiębiorstwa, a zakładów danego kraju nie pozbawiał siły konkurowania z zakładami krajów innych. Ważną także jest rzeczą, aby przepisy o zabezpieczeniu robotnika nie stały w sprzeczności z zasadami ogólnego prawa.

Jak we wszelkich wszakże zadaniach społecznych, tak i w danóm nietylko idzie o to, aby możliwie zmniejszyć skutki złego, które się już stało, ale o to także, aby złemu zapobiedz. Zadanie ostatnie jest nawet od pierwszego ważniejsze, dlatego teorya i praktyka rozróżniają ochronę robotnika od zabezpieczenia go na wypadek kalectwa.

Nietylko wszakże kalectwo lub śmierć przy pracy pozbawia robotnika sposobu do życia, nędza idzie także za chorobą, starością, a dla rodziny i ze śmiercią naturalną męża i ojca. Wszystko to przewiduje teorya, a za nią starają się przewidzieć i prawodawstwa państw europejskich. Najdaléj w kierunku ochrony i zabezpieczenia robotnika poszło prawodawstwo niemieckie, nad którém pokrótce w porównaniu z u nas obowiązującém chcemy się zastanowić.

Przyczyny powodujące smutny stan klasy robotniczéj nietylko są natury materyalnéj; teorya wymienia i przyczyny moralne; Schönberg uważa je za ważniejsze nawet od pierwszych. Do przyczyn materyalnych należą głównie: 1) stosunki zarobkowe, gdyż jeżeli zarobek starczy nawet na utrzymanie robotnika i jego rodziny, jest niepewny i daje bardzo małe szanse powiększenia się; 2) zbyt długi dzień pracy. Przez dzień pracy w obszerniejszém znaczeniu rozumić się czas od rozpoczęcia do końca dziennéj pracy, w ściślejszém—ilość godzin rzeczywiście pracy poświęcona; prócz tego istnieje dzień normalny, t. j. przez prawodawstwo oznaczone *maximum* dziennego zajęcia; 3) rodzaj zajęcia może być szkodliwy dla zdrowia i niebezpieczny, może źle wpływać także przez swą jednostajność, gdyż w obecnym przemyśle fabrycznym przy podziale pracy, robotnik pracuje często mechanicznie, powtarzając ciągle jedne i też same ruchy, co nuży i władze umysłowe przytępia. Zajęcie czasami demoralizuje robotnika, jeżeli obie płci pracują w jednóm pomieszczeniu, a małoletni z dorosłymi; 4) zbytnia zależność od pracodawców spowodowana różnicą umysłowego rozwoju, a także materyalnego i społecznego stanowiska; 5) brak mieszkań tanich, odpowiadających koniecznym potrzebom rodziny robotnika. Brak mieszkań powoduje smutne następstwa dla zdrowia, moralności i dobrobytu klasy robotniczéj.

Z przyczyn moralnych wymienimy: codzienną i całodzienną pra-

cę kobiet za domem, za czém idzie i rozluźnienie węzłów rodzinnych, ciągłą pracę dzieci przeszkadzającą ich umysłowemu i fizycznemu rozwojowi; tutaj zaliczyć należy także niedostateczną pilność robotników dorosłych, zbyt łatwe z ich strony zrywanie umów bez dostatecznych powodów, zbyt wygórowane żądania związków robotniczych we względzie zmniejszenia dnia roboczego i powiększenia płacy, niedostateczne przygotowanie kobiet do zajęć domowych i ich nierząd. Do téj kategoryi należy i zachowanie się pracodawców nie zawsze a nawet rzadko troszczących się o byt robotników, o ich zajęcia po za zakładem przemysłowym, ich moralność i kształcenie małoletnich. Pracodawcy także często nie dotrzymują umów, zawartych z robotnikami co do terminu i wysokości zapłaty, długości dnia roboczego, wyzyskują sytuacyę na swą korzyść, co wszystko demoralizuje robotnika i do odwetu gō zachęca. Pracodawcy wreszcie dają zły przykład robotnikom przez swe próżniactwo i zbytki.

Usunięcie całkowite złego nie jest w mocy ludzkiéj, prawodawstwa wszakże przez swe rozporządzenia i ustawy starają się je zmniejszyć, stanowiąc przepisy o najmie robotników, ich stosunku do pracodawców, terminach i rodzaju zapłaty, długości dnia roboczego, pracy małoletnich i kobiet, pomieszczeniach fabrycznych i t. p., stowarzyszeniach robotniczynych, co razem stanowi tak zwane prawo fabryczne, a jest częścią ogólnéj ustawy przemysłowéj.

Prócz tego prawodawstwa zajmują się zabezpieczeniem bytu robotników na wypadek kalectwa, choroby i na starość. Zasadą przepisów fabrycznych jest do dzisiaj zasada wolności przemysłu. Każdy obywatel może wszędzie zakład przemysłowy otworzyć, a umowa z robotnikiem jest rezultatem swobodnego porozumienia się stron. Zasady te co do wolności otwierania zakładów uświęcone są w prawie ruskiém przez §§ 67, 87 i następne, w niemieckiém przez § 1 Ust. Przem. Znikła różnica między wsią a miastem, nie trzeba zezwoleń cechów lub stowarzyszeń, jakto wyraźnie powiadają art. 4 i 5 ust. niemieckiéj. Zasada swobodnego zawierania umów robotnika z przemysłowcem widnieje z artykułu 91 ustawy ruskiéj i 105 niemieckiéj. Artykuł 105 ustawy niemieckiéj brzmi: zawarcie umowy między fabrykantem i robotnikiem jest przedmiotem swobodnego porozumienia się. Art. 91 ustawy ruskiéj: najem robotników w zakładach przemysłu fabrycznego odbywa się na zasadzie ogólnych przepisów o najmie osobistym. Art. 91 obowiązuje i u nas, a kodeks Napoleona jedno tylko co do najmu osobistego wprowadza ograniczenie, bez którego człowiek mógłby się stać niejako niewolnikiem, art. 1780 zabrania najmować się na czas nieograniczony. Ten sam przepis znajdujemy i w art. 2214 Swodu, wedle

którego umowa o najem osobisty nie może być zawartą na dłużéj niż na lat 5.

Ale wolność przemysłu wedle teoryi dzisiaj panującéj nie jest tak absolutna, jak tego żądają zwolennicy manczesterskiéj szkoły, zasady *laisser faire, laisser aller*. Wolność ta ma granice, wywołane przez interesy państwa i społeczeństwa. Granice te wedle Schönberga [1]) są siedmiorakie: 1) Monopole państwowe wywołane przez interes państwowy i społeczny (jako to: prawo bicia monety, a w niektórych monopol tabaczny, wyrobu prochu, zapałek i inne); 2) obowiązkowe trzymanie się pewnych norm przy urządzaniu i budowli zakładów zagrażających bezpieczeństwu publicznemu lub prawom osób trzecich (jako to: przy budowie maszyn parowych, zakładów wydających woń przykrą, szlachtuzów i t. p.); 3) przepisy wydane w interesie klasy robotniczéj; 4) wydane dla zabezpieczenia praw innych przemysłowców (patenty, marki fabryczne, których nikt nie może używać prócz tego, komu są urzędownie przyznane); 5) przepisy mające na celu zabezpieczenie konsumentów przed sprzedażą szkodliwych dla zdrowia produktów; 6) prawa ograniczające zakładanie przedsiębiorstw pewnego rodzaju (jako to towarzystw akcyjnych); 7) wynikające z pobudek fiskalnych i mające na celu racyonalny pobór podatków.

Ograniczenia te wszakże charakterystycznie różnią się od dawniejszych, nie są one zasadą lecz wyjątkiem, nie tyczą się pewnéj klasy ludzi lecz wszystkich jednakowo obowiązują — spowodowane są przez interes ogólny nie prywatny danych jednostek lub grup społecznych. Jak widzimy ograniczenia wyliczone mają na celu zdrowie i bezpieczeństwo publiczne, interes klasy robotniczéj i prawa osób trzecich. Nie można przez to powiedzieć, iżby robotnicy specyalne mieli przywileje, gdyż co innego przywileje nadawać, a co innego brać słabszych w opiekę i od wyzysku chronić. Dla tego też artykuły 91 ustawy ruskiéj i 105 ustawy niemieckiéj do zasad, o których wspomnieliśmy dodają: „z ograniczeniami niżéj wymienionemi" a ograniczenia te mają na celu przeciwdziałanie przyczynom smutnego położenia robotników.

Już z tego widzimy, że ustawy przemysłowe ruska i niemiecka jedną mają zasadę, a jak niżéj zobaczymy i w szczegółach nie zbyt się różnią. Prawodawstwa fabryczne wierne wyrażonéj wyżéj zasadzie, mało zajmują się uregulowaniem pracy dorosłych robotników

---

[1]) Handbuch der politischen Oeconomie, t. II, str. 464.

mężczyzn, czego nie należy mieszać z pojęciem pełnoletności, gdyż za dorosłego robotnika prawodawstwo ruskie uważa tego kto 15 lat skończył, niemieckie wiek ten na lat 16 określa. Robotnicy dorośli mają potężny środek polepszenia bytu swego w związkach robotniczych. Robotnik sam chociaż prawnie równy pracodawcy swemu, faktycznie nie stanowi równéj strony w umowie, niższość umysłowa i zależność materyalna równość tę naruszają, związek wszakże robotników, mając zasoby i organizacye skutecznie przeciwdziała przewadze fabrykanta. Cel związków robotniczych jest głównie ekonomiczny — dążą one do tego, aby nie dać się wyzyskiwać przez przemysłowców a z konjunktury odnosić korzyści. Ilekolwiek razy położenie ekonomiczne na to zezwala, żądają podwyższenia zarobku i zmniejszenia ilości godzin pracy. Czuwają nad uregulowaniem popytu i podaży pracy w różnych miejscowościach państwa, a przemysłowcy, jak tego doświadczenie uczy, częstokroć ich żądaniom ustępują. Najszerzéj rozwinięta jest instytucya związków w Anglii *(trade Unions)* gdzie istnieją związki miejscowe z zarządem własnym, związki dla celów wspólnych łączą się i wspólny zarząd wybierają. Corocznie odbywa się kongres związków angielskich. Związki utrzymują kasy, skąd członkowie czerpią pomoc na wypadek braku roboty, choroby i starości. W Niemczech związki miejscowe łączą się w jeden związek i także mają kasy pomocy dla członków swoich. We Francyi tworzą się związki robotnicze od r. 1884.

Prawodawstwo fabryczne nie określa wysokości zarobku robotnika, wartość pracy normuje się stosunkiem popytu do podaży, wyraźnie wszakże prawo nakazuje, aby zapłata dopełniana była w gotowiźnie, nie wolno jest płacić kartkami, ani téż otwierać robotnikom kredytu na przedmioty różne a następnie potrącać z zarobku należność i — ostatni przepis ma to głównie na celu, aby nie powiększać bardziéj jeszcze zależności robotnika od pracodawców (art. 104 i 105 ustawy ruskiéj i 115 niemieckiéj) — wszelkie umowy przeciwne są nieważne (117 ust. niem.). Prawo niemieckie wyraźnie powiada, iż wartość tego, co na kredyt dane, nie może być przemysłowcowi zasądzona; w ustawie ruskiéj nie ma przepisu odpowiedniego, należy się go wszakże domyślać. Wedle art. 119*a* ustawy niemieckiéj, gminy mają prawo oznaczać termina zapłaty, które nie mogą być dłuższe nad miesiąc ani krótsze od tygodnia — prawo ruskie (art. 102) nakazuje, aby zapłata następowała raz lub dwa razy na miesiąc, albo też po skończeniu danéj roboty, stosownie do rodzaju umowy. Od przepisu zabraniającego dawać cokolwiek na kredyt robotnikowi, wyjątek stanowią przedmioty koniecznéj potrzeby, jako to: mieszkania, jedzenia

i t. p. (140 ustawy ruskiéj i 115 niemieckiéj); w przepisach tych jednak widzimy ważną różnicę: prawo niemieckie dozwala także zatrzymywać należność za pomoc lekarską i narzędzia pracy co wedle art. 107 ust. rob., przemysłowiec winien darmo dostarczyć robotnikowi.

O ile warunki inne nie są przewidziane, strona chcąca się zwolnić od umowy, winna o tém uprzedzić stronę drugą na dwa tygodnie naprzód (art. 100 ust. ruskiéj i 122 niemieckiéj). Przyczyny, które pozwalają pracodawcy oddalić robotnika mimo trwającéj jeszcze umowy, wyliczone są w art. 110 ust. ruskiéj i 123 niemieckiéj; przyczyn tych po szczególe wyliczać nie będę, są one niemal też same w obu ustawach a tyczą się opuszczenia pracy, spełnienia występków przeciwko własności, umyślnego niszczenia majątku właściciela, nieostrożnego obchodzenia się z ogniem i choroby zaraźliwéj, którą robotnik został dotkniętym. Art. 111 ust. ruskiéj i 124 niemieckiéj wyliczają wypadki kiedy robotnik może umowę zerwać przed terminem, przyczem prawo niemieckie dozwala mu wprost zajęcie opuścić, ruskie zaś daje mu prawo żądać rozwiązania umowy; jest to różnica zasadnicza. Niektóre z tych przyczyn są wynikiem zasad ogólnego prawa, jako to: jeżeli pracodawca warunków umowy nie dotrzymuje (p. 2 art. 111 ust. ruskiéj i art. 124 niem.) lub wynikają z istoty rzeczy np. jeżeli się robotnik do pracy stanie nie zdolnym (p. 1 art. 124), prócz tego prawodawca ruski zezwala robotnikowi na opuszczenie zajęcia na wypadek śmierci, choroby, lub wstąpienia do wojska członka jego rodziny, który na jéj utrzymanie pracował. Nie znajdujemy przepisu tego w prawie niemieckiém, które natomiast w art. 124*a* stawia ogólną zasadę, że obie strony mogą prócz wymienionych przyczyn żądać jeszcze rozwiązania umowy z powodów ważnych, jeżeli ta zawartą została na dłużéj niż 4 tygodnie. Oba prawodawstwa zezwalają robotnikowi na zerwanie umowy, jeżeli praca szkodliwą jest dla zdrowia, prawo jednak niemieckie warunkuje zezwolenie to, żądając aby niebezpieczeństwo przy zawarciu umowy nie było przewidywane. W art. 125 ust. niemieckiéj znajdujemy przepis nieznany ustawie ruskiéj, a zabraniający odmawiać robotników innemu przemysłowcowi, lub przyjmować takiego, którego umowa, poprzednio zawarta, jeszcze obowiązuje.

Normalny dzień pracy dla robotników dorosłych nie przez wszystkie prawodawstwa jest postanowiony. Prawo ruskie nie oznacza go wcale, wedle austryackiego zawiera on 11 godzin, przyczém przyjmuje się dzień w ściślejszém znaczeniu. W pośrodku stoi prawo niemieckie. W artykule 120*e* zamieszcza ono przepis następujący: „Przez postanowienie rady związkowéj dla gałęzi przemysłu, w których zbyt długa praca dzienna szkodliwie wpływa na zdrowie, może być ozna-

czony czas pracy, jéj początek, koniec i pauzy konieczne. Jednocześnie rada związkowa wyda przepisy właściwe do przeprowadzenia tych postanowień. Przepisy rady publikują się w gazecie urzędowéj i przedstawiają parlamentowi. Wiadomo, jak trudną do rozwiązania jest kwestya dnia normalnego w pracy w przemyśle, ilu strejków i rozpraw parlamentarnych była ona przedmiotem. Nie śmiemy kwestyi téj przesądzać, zdaje się jednak, że punkt wyjścia prawa niemieckiego jest najodpowiedniejszym wobec różnorodności rodzaju przemysłu, rozmaitego natężenia pracy i różnego niebezpieczeństwa dla zdrowia robotników. Max Hirsch utrzymuje, iż pomimo nieokreślenia czasu, w Niemczech już obecnie w wielu zakładach przemysłowych czas pracy nie dosięga 11 godzin.

Wszystkie prawodawstwa fabryczne obszernie traktują kwestyę regulaminu fabrycznego, do którego obecnie przechodzimy. Regulamin fabryczny jest niejako wyciągiem prawa fabrycznego, na którego zasadzie ustanawia się przez zarząd zakładu, ażeby zaś z prawem był zgodny, musi być władzy przedstawiony (art. 142 ross. 134*e* niem.) prawodawstwo ruskie wyraźnie mówi, że regulamin przez inspekcyę fabryczną musi być zatwierdzony, prawo niemieckie wyrażenia tego nie używa wprawdzie, pozwala wszakże odnośnéj władzy zażądać wprowadzenia zmian, jeżeli treść regulaminu w czémkolwiek sprzeciwia się wymaganiom prawa. Wywieszony w miejscu widocznέm regulamin obowiązuje obie strony jednakowo, t. j. pracodawcę i robotnika, który poddaje się jego przepisom już przez samo wstąpienie do fabryki, dlatego téż regulamin i każda w nim zmiana zaczynają obowiązywać dopiéro w 2 tygodnie od wywieszenia, aby każdy robotnik, na treść jego się nie zgadzający, mógł w czasie przez prawo ustanowionym miejsce wymówić (art. 134*a* ust niem.). Regulamin oznacza początek, czas trwania i koniec pracy dziennéj, przepisy co do obchodzenia się z maszynami, czas i sposób obrachunku i wypłat, wykaz świąt, warunki korzystania z zakładów, urządzonych przy fabryce dla wygody robotników i t. p. Nie chcę nużyć wyliczaniem wszystkich punktów regulaminu wedle prawa niemieckiego i ruskiego, nadmieniam wszakże, że tym przedmiotem zajmuje się artykuł 134*b* pierwszego, a 142 drugiego i że zachodzi ważna bardzo różnica w sposobie ich układania; wedle artykułu 134*d* prawa niemieckiego przed wydaniem regulaminu, treść jego winna być przedstawiona dorosłym robotnikom, którzy o nim zdanie swe wydają. Władzy przedstawia się regulamin wraz z opinią przez robotników wyrażoną. Przepisu odpowiedniego w prawie ruskiém nie znajdujemy, tutaj interesu robotników pilnuje inspekcya fabryczna. Wykroczenia przeciwko regulaminowi grożą robotnikom karami pieniężnemi. Kary

te wedle prawa niemieckiego (art. 134*b*) nie mogą przenosić $^{1}/_{2}$ dziennego zarobku, a wrazie cięższych przekroczeń całodziennego; wedle ruskiego kary dosięgają wysokości trzydniowego zarobku, a w razie powtarzania się wykroczeń, może robotnik być pozbawionym $^{1}/_{3}$ zarobku, jaki mu w terminie wypłaty przypadnie. Kary nie stają się, w żadnym razie własnością fabrykanta, muszą być one użyte na dobro robotników zakładu (152 ust. rus., 134*b* niem.). Zapłata kary nie zwalnia robotnika od wynagrodzenia fabrykantowi szkody, jaką mu czynem swym zrządził (143 rus., 134*b* niem.). Wedle prawa ruskiego (art. 134 i nast.), każdy robotnik otrzymuje książeczkę obrachunkową, do któréj wpisuje się zarobek jego, wypłaty, kary, warunki najmu i wyciąg z regulaminu; w Niemczech książeczki otrzymują tylko małoletni robotnicy.

Prawodawstwo niemieckie w artykule 105*a* i następnych tytułu VII Ustawy przemysłowéj, przedstawionéj tutaj wedle prawa z d. 1 czerwca 1891 r. obecnie obowiązującego, zajmuje się święceniem niedzieli i świąt. Art. 105*a* stawia ogólną zasadę, że robotnicy nie mogą być zobowiązani do pracy w niedziele i święta — z wyjątkami wskazanemi. Zarząd kraju ustanawia, które dni są świąteczne, stosownie do przepisów religijnych i zwyczajów miejscowych. Odpoczynek niedzielny i świąteczny trwać musi godzin 24—dwa po sobie idące święta zawiérać będą swobodnych godzin tylko 36, z wyjątkiem Bożego Narodzenia, Wielkiéj nocy i Zielonych Świątek, podczas których odpoczynek trwać musi godzin 48. Pracownicy handlowi mogą być obowiązani do pracy w ciągu godzin 5, co w porze przedświątecznéj może być przedłużone do 10, ze zwróceniem wszakże uwagi na czas odbywania nabożeństw w świątyniach. Wyjątki od ogólnego prawidła o święceniu niedzieli i świąt przewidziane są w art. 105*c*, 105*d* i następnych Ustawy. Wyliczać ich po szczególe nie będziemy, są one wywołane rodzajem pracy lub naturą przedsięwzięcia; dozwoloną jest praca w niedziele i święta, zawsze z zachowaniem możności uczęszczania na nabożeństwa, w wypadkach nagłych, w interesie bezpieczeństwa publicznego; dozwolonem jest czyszczenie maszyn, czego podczas robót wykonać nie można; przedsiębranie czynności dla zachowania materyału surowego i t. p. Daléj prawo zezwala na pracę w zakładach, które przerw w robocie nie znoszą, pracują przy pomocy wiatru lub wody, lub w pewnych tylko peryodach, a także tych, które produkują rzeczy dla zaspokojenia koniecznych potrzeb ludności. Warunki pracy świątecznéj w tych zakładach określa rada związkowa, ogłasza w gazecie urzędowéj i przedstawia parlamentowi (105*d*).

Oba prawodawstwa, o których mówimy, starają się możliwie zabezpieczyć zdrowie i życie robotników—zajmują się tą kwestyą art. 75—85

rus., 120*a* i następne niem. Rada związkowa i policya wydają w Niemczech przepisy bezpieczeństwo to mające na celu, art. 75 Ust. rus. zobowiązuje fabrykantów do trzymania się prawideł ustawy budowlanéj, prócz tego p. 1 art. 52 daje prawo komisyom gubernialnym do spraw fabrycznych wydawać przepisy, mające na celu bezpieczeństwo robotników. Dodamy tylko, że prawo niemieckie zwraca uwagę na dostateczne światło, ilość powietrza, na usunięcie tworzących się przy fabrykacyi pyłu i gazów, na rozdział płci, o ile to jest możliwe (120*b*).

Szczególną pieczą prawodawstwa otaczają małoletnich robotników, którymi obecnie pokrótce się zajmiemy. Przepisy, tyczące małoletnich, mają na celu ochronę ich zdrowia, moralności, ułatwienie im nabycia elementarnego wykształcenia i wydoskonalenia się w obranym fachu. Ażeby dać dziecku możność prawidlowego rozwoju fizycznego, prawo zabrania im najmować się do pracy w przemyśle przed skończeniem określonéj ilości lat — prawo ruskie wiek ten na lat 12 określa, niemieckie (art. 135) na 13, przytém dziecku, które lat 13 skończyło, pozwala ono w fabrykach pracować, o ile nie jest obowiązane do uczęszczania do szkół ludowych. Dla wyrostków, którzy w Rosyi lat 15, a w Niemczech 16 nie skończyli, zakréślony jest krótki dzień normalny—wynosi on, nie licząc pauz, w Rosyi godzin 8, w Niemczech dla tych, co lat 14 nie mają 6, dla starszych do 16 lat — 10. Nocna praca jest wzbroniona, nie może być ona rozpoczęta przed godziną oznaczoną i po za takąż przedłużona (art. 115 rus., 136 niem.); godziny te są $5^1/_2$ rano, 8 wieczorem. Podczas zajęcia jest kilka przerw, tak, że wedle ustawy rus., praca ciągła nie może trwać dłużéj, niż godzin 4 (art. 114), w Niemczéch trwa ona jeszcze krócéj (art. 136), w niedziele i święta oba prawodawstwa (art. 115 rus., 136 niem.) zabraniają pracy małoletnich. Art. 120*d* prawa niemieckiego zwraca uwagę na zachowanie szczególnéj czystości i urządzeń hygienicznych w zakładach, gdzie pracują małoletni, a art. 116 ust. rus. daje ministrom finansów i spraw wewnętrznych prawo wskazywać rodzaje przemyslu, do których przyjmować małoletnich nie wolno. Toż samo prawo przysługuje radzie związkowéj wedle art. 139*a* ustawy niemieckiéj; rada ma także możność zezwalać w razach wyjątkowych na odstępstwo od przepisów o długości dnia normalnego, przepisanego dla małoletnich, nie po za pewne jednak granice. Ze względu na moralność młodych robotników, zabrania prawo niemieckie w art. 106 przyjmować ich do pracy tym przemysłowcom, którzy za występki hańbiące byli skazani.

Jak już wyżéj wspomnieliśmy, w Niemczech każdy nieletni zaopatrzony być winien w książeczkę (art. 106—107), wydają się one jednak nie przez fabrykantów, jak książki obrachunkowe w Rosyi dla

dorosłych robotników, ale przez policyę na żądanie rodziców lub opiekunów, a w razie ich bezzasadnéj odmowy — na żądanie gminy; bez książeczki fabrykant nie może przyjąć nieletniego robotnika. Treścią książeczki zajmuje się art. 110 i 111 ust. Art. 111 zabrania zapisywać do książeczki uwagi przychylne lub szkodliwe dla jéj właściciela i wogóle czynić jakiekolwiek wzmianki o jego sprawowaniu się. Świadectwa oddzielne o jego sprawowaniu wydają się tylko na żądanie tak młodych jak i dorosłych robotników. Przypomniawszy sobie nasze książeczki służbowe, przez które każda gospodyni, bez względu na wykształcenie swe i charakter, może służącą przez świadectwo zgubić niemal, przyznać musimy, że przepisy ostatnie są wielkiéj wagi.

Prawo niemieckie pilnuje, aby młodzież do lat 18, przez pracę w przemyśle nie była pozbawiona możności kształcenia się ogólnego w szkołach ludowych i fachowego w fachowych i t. zw. *Fortbildungschule*, do których uczęszczanie na mocy postanowienia gminy może się nawet stać obowiązkowe (art. 120 i inne); prawo ruskie zezwala fabrykantom przy zakładach swoich otwiérać szkoły początkowe dla małych swych pracowników, wedle planu zatwierdzonego przez inspekcyę fabryczną wspólnie z dyrektorami szkół. Nie może przytém fabrykant przeszkadzać małoletniemu uczęszczać do szkół ludowych, znajdujących się blisko, przynajmniéj na 3 godziny dziennie. Jeżeli szkół blisko nie ma, inspekcya fabryczna winna starać się o ich otwiéranie, lub znosić się w tym względzie z dyrektorami szkół publicznych. Przepisy odpowiednie zawierają się w art. 120—125 ust. ruskiéj.

Prawo ruskie nie zajmuje się uregulowaniem pracy kobiét w zakładach przemysłowych, niemieckie stara się przez przepisy przeważnie w art. 137 ust. zawarte zmniejszyć zło, jakie z powodu ciągłéj pracy po za domem grozi zdrowiu kobiéty i życiu rodzinnemu. Kobiéty jak i małoletni w nocy pracować nie mogą — granice czasu są $5^1/_2$ rano, $8^1/_2$ wieczorem, dzień normalny wynosi godzin 11, a w soboty i wigilie świąt tylko 10; w ciągu pracy musi być przynajmniéj godzinna przerwa na obiad, a na żądanie prowadzących dom $1^1/_2$ godzinna. Położnice w ciągu 4 tygodni po rozwiązaniu, do pracy nie są dopuszczane stanowczo, w ciągu 2 tygodni następnych tylko za świadectwem lekarza, stwierdzającém, że praca zdrowiu ich nie zaszkodzi. W soboty i wigilie świąt dzień roboczy dla kobiét kończy się najpóźniéj o $5^1/_2$, co daje im możność czynienia odpowiednich dla rodziny swéj przygotowań; prócz tego do szkół fachowych, uczęszczaniu do których pracodawca nie może przeszkadzać, należą także i szkoły, w których dziewczęta uczą się robót kobiécych i gospodarstwa domowego; wreszcie rada związkowa może zabronić pracy kobiétom w niektórych ga-

łęziach przemysłu. Właściciele zakładów, w których pracują kobiéty i nieletni robotnicy, winni policyę zawiadamiać o początku i końcu pracy, pauzach i t. p. Nad wykonywaniem prawa czuwa inspekcya fabryczna, a przemyslowcom, wykraczającym przeciwko temu grozi kara pieniężna w Rosyi do 300 rs., w Niemczech do 2,000 marek.

Na tém kończymy przegląd prawa, mającego na celu opiekę nad robotnikami i przechodzimy do kwestyi zabezpieczenia bytu ich na wypadek kalectwa przy pracy, choroby i na starość. Państwa dla zabezpieczenia robotnika na wypadek kalectwa, trzymają się dwóch systemów, pierwszy — jestto nałożenie obowiązku na właściciela zakładu przemysłowego, aby w każdym wypadku utraty przez robotnika możności pracowania wskutek kalectwa, przy pracy odniesionego, zabezpieczył byt jego samego i jego rodziny. Państwo normuje tylko wysokość wynagrodzenia i jego rodzaj, pozostawiając przemysłowcowi możność zabezpieczenia swych robotników w prywatnych towarzystwach ubezpieczeń. Drugi system — jest ubezpieczenie robotników pod kontrolą państwa czyli t. zw. zabezpieczenie państwowe. Polega ono na tém, iż państwo zmusza przemysłowców, aby przez połączenie się ze sobą tworzyli kasy, do których każdy wnosi pewną kwotę stosunkowo do sumy, jaką corocznie wypłaca robotnikom i stopnia niebezpieczeństwa, jaki przedstawia rodzaj fabrykacyi. Z tych wkładów (premii) tworzy się fundusz, z którego zarząd kasy wypłaca robotnikom wynagrodzenie, ustosunkowane do większéj lub mniejszéj utraty przez niego zdolności do pracy. Państwo przez urzędników swych pilnuje, aby kasa wypełniała obowiązki względem robotników i w razie potrzeby wchodzi w prawa zarządu, przez co gwarantuje prawidłową działalność kas. Wynagrodzenie bywa dwóch rodzajów—wypłacenie jednorazowéj sumy i renta dożywotnia. Porównywając dwa systemy zabezpieczenia, sądzimy, że pierwszeństwo oddać należy zabezpieczeniu państwowemu, bo chociaż i przy systemie pierwszym ilość procesów rebotników z pracodawcami się zmniejsza, to wszakże ani przemysłowiec, ani prywatne towarzystwo ubezpieczeń nie dają gwarancyi wypłacalności ciągłéj, jaką to gwarancyę daje jedynie państwo. Co do rodzaju wynagrodzenia, to tylko rentę dożywotnią za właściwy sposób uważać można, gdyż suma, chociażby znaczniejsza, w rękach robotnika topnieje zbyt prędko, często ze szkodą raczéj, niżeli z pożytkiem dla niego. W każdym systemie pamiętać należy o tém, aby tylko umyślne zadanie sobie kalectwa pozbawiało robotnika prawa do wynagrodzenia.

Prawo zabezpieczenia robotników istnieje w Niemczech, Austryi, Szwajcaryi i Anglii; w pierwszych dwóch państwach wprowadzone jest państwowe zabezpieczenie robotnika, w dwóch drugich panuje system pierwszy, projekt ruski trzyma się tegoż systemu. Prawo niemieckie o zabezpieczeniu od wypadków (*Unfallversicherungsgesetz*) nosi datę 6 lipca 1884 r., obejmuje ono robotników i tych oficyalistów, którzy nie pobierają więcéj nad 2,000 marek rocznie (§ 1). Wynagrodzenie składa się ze zwrotów kosztów leczenia i z renty w razie niezdolności do pracy na przeciąg całego czasu trwania niezdolności. Renta wypłaca się, począwszy od 14 tygodnia po wypadku; wynosi ona w razie zupełnéj niezdolności 66²/₃ zarobku, jaki w ciągu ostatniego roku otrzymywał robotnik, w razie częściowéj—mniéj, stosownie do stopnia niezdolności. Pozbawionym renty być może robotnik tylko w razie udowodnienia, że skaleczył się umyślnie.

W razie śmierci robotnika, jego rodzina otrzymuje prócz kosztów pogrzebu rentę następującą: wdowa 20% zarobku zmarłego dożywotnio, lub do czasu powtórnego zamążpójścia, każde z dzieci 15% do skończenia lat 15-tu, co razem wszakże 60% przenieść nie może. Wstępni otrzymują 20%, jeżeli zmarły pracą swą ich utrzymywał.

Ciężar tworzenia kapitału pada wyłącznie na przemysłowców, łączących się w każdym okręgu w. stowarzyszenia, do których należą wszyscy fabrykanci danéj gałęzi przemysłu. Członkowie stowarzyszenia płacą składki stosownie do sumy, przez nich wypłacanéj rocznie osobom zabezpieczeniu podlegającym. Stowarzyszenia tworzą się przez fabrykantów dobrowolnie lub przez radę związkową i rządzą się statutem przez ogólne zgromadzenie członków ułożonym, którego treścią zajmuje się artykuł 17 ustawy. Ogólne zebranie ustanawia taryfę opłat, uwzględniając także stopień niebezpieczeństwa, jakie dane przedsiębiorstwo przedstawia. Do zarządu stowarzyszenia należą i przedstawiciele robotników, a spory rozstrzygają sądy polubowne, złożone z przedsiębiorców i robotników; sąd składa się z urzędnika państwowego i 4 członków po 2, z pomiędzy pracodawców i robotników; o każdym wypadku fabrykant zawiadamia policyę, która śledztwo wyprowadza, wysokość wynagrodzenia określa zarząd stowarzyszenia. Stowarzyszenia podlegają kontroli urzędu (zwanego *Reichsversicherungsamt*), mającego siedlisko w Berlinie i składającego się z 3 członków stałych, mianowanych przez cesarza na przedstawienie rady związkowéj i 8 niestałych, 4 wybiera z pomiędzy siebie rada związkowa, 2 fabrykanci i 2 robotnicy. Robotnicy mają prawo żądać także wynagrodzenia od fabrykantów i przełożonych, jeżeli ci umyślnym czynem swoim do nieszczęścia się przyczynili, a przez sąd karny przekonani o to

zostali, w każdym innym razie poprzestać muszą na wypłacanéj im rencie, stosownie do przepisów ustawy, o któréj mowa.

Z tego co wyżéj powiedziano widzimy, że robotnicy w tworzeniu kapitału potrzebnego na zabezpieczenie ich bytu żadnego udziału nie biorą. Jestto zupełnie słuszne, wypadki nieszczęśliwe w zakładach przemysłowych są nieuniknione, źródłem ich jest rodzaj pracy, robotnik w każdym razie najwięcéj z ich powodu cierpi, niesłusznóm-by więc było, aby, nie będąc im winien, ciężar finansowy ponosił. Każdy przemysłowiec, sumę, którą na cel zabezpieczenia robotników opłaca, ponieważ także wypadków nieszczęśliwych nie powoduje, ma prawo zaliczyć do kosztów produkcyi, tak że ostatecznie składają się na nie konsumenci.

Zabezpieczenie od wypadków nie czyni jeszcze zadosyć, jak to już wspomnieliśmy, potrzebom robotnika, niedołęstwo nie zawsze jest skutkiem nagłego wypadku, a starość sama przez się przychodzi. I na to zwraca uwagę teorya, autorowie zaś dzielą się na zwolenników obowiązkowego ubezpieczania się na wypadek niedołęstwa i na starość i na przeciwników tego kierunku. Pierwsi utrzymują, że nie obowiązani do tego, robotnicy tylko wyjątkowo ubezpieczać się będą, drudzy — że zabezpieczenie to nigdy dać nie może dostatecznéj pomocy, że stanowi ciężar znaczny dla tego kto i bieżące potrzeby z trudnością zaspakaja, że wreszcie czyni z ludzi biédnych dobroczyńców, bo wszyscy płacić muszą, a nie wszyscy z zapomóg będą korzystać. Nie można do ubezpieczeń, o których mowa, stosować zasady poprzednio wyrażonéj, bo niedołęstwo i starość nie zależne są od rodzaju pracy, za skutki ich przemysłowcy i konsumenci odpowiadać nie mają obowiązku. Zabezpieczenie tego rodzaju istnieje tylko w Niemczech, wprowadzone tam przez prawo z d. 22 czerwca 1889 r. *(Invaliditäts und Altersversicherung)*. Na mocy tego prawa musi się ubezpieczyć każdy robotnik i oficyalista nie pobierający więcéj nad 2,000 marek rocznéj pensyi. Składki opłaca robotnik, w części pracodawca, a wreszcie państwo. Ubezpieczenie, jakkolwiek obowiązkowe, nie koniecznie w instytucyach rządowych musi być zawarte: można ubezpieczyć się także w kasach prywatnych, dających jednak dostateczne gwarancye i założonych zgodnie z przepisanemi warunkami. Składka tygodniowa wynosi 14—30 fenigów, stosownie do wysokości zarobku i co za tém idzie, ewentualnych praw. Inwalida otrzymuje rentę od 115—415 marek, zależnie od wysokości składek i przeciągu czasu, przez jaki były opłacane, starcy rentę od 104—191 marek. Do renty ma prawo kto lat 70 skończył i 30 lat składkę opłacał.

Ubezpieczenie na wypadek choroby jest obowiązkowe, wedle prawa z 15 czerwca 1883 r.; prawo to obowiązuje obecnie w redakcyi z 10 kwietnia 1892 r., którą się posiłkowaliśmy. Kto podlega obowiązkowemu ubezpieczeniu wylicza § 1 wspomnionego prawa; przyjąć można, iż w zasadzie podlega mu każdy pracownik nie zarabiający więcéj na $6^2/_3$ marek dziennie i oficyalista, którego pensya nie przenosi 2,000 marek.

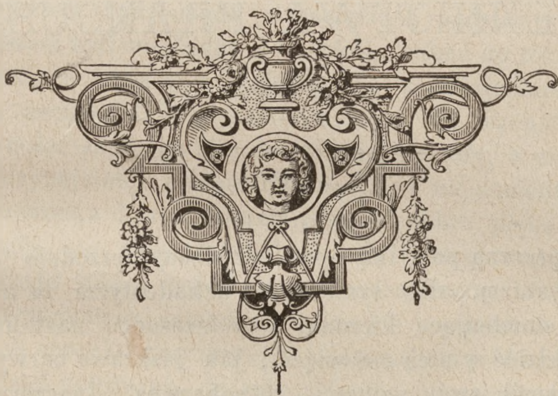
Prawo niemieckie wylicza 5 rodzajów kas, w których ubezpieczyć się można na wypadek choroby; są to: kasy miejscowe *(Ortskrankenkasse)*, fabryczne kasy zakładane przy wielkich przedsięwzięciach budowlanych, kasy związków przemysłowców i górnicze. Kasy miejscowe za typowe uważać należy i prawo szeroko o nich traktuje. Tworzą je gminy dla danéj gałęzi przemysłu, lub kilku, jeżeli pewien przemysł nie zajmuje 100 ludzi podlegających obowiązkowemu ubezpieczeniu się.

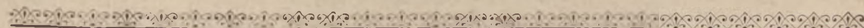
Każdy kto do pracy w przemyśle przystępuje, staje się przez to samo uczestnikiem kasy. Chory otrzymuje koszta leczenia, lub bezpłatne leczenie w szpitalu, a także wsparcie do końca 13 tygodnia choroby, poczém otrzymuje wsparcie z kas, o których poprzednio mówiliśmy. Termin ten może być jednak przedłużony, a wsparcie wynosi $^1/_2$ wysokości zarobku. W razie śmierci ubezpieczonego, rodzina otrzymuje na koszta pogrzebu sumę równającą się zarobkowi dziennemu, pomnożonemu przez 20. Zarządza kasą zarząd przez ogólne zebranie członków obrany, wedle statutu przez władzę zatwierdzonego. Statut określa wysokość wniosków, które w $^2/_3$ opłaca uczestnik, w $^1/_3$ pracodawca. Kasę fabryczną ma prawo założyć każdy przemysłowiec zajmujący 50 ludzi, a w fabrykacyach niebezpiecznych nawet mniéj; przemysłowcy mogą się łączyć dla założenia wspólnéj kasy, która może być i przez władzę nakazaną. Kto do zakładu wstępuje, a należy do kategoryi osób wyliczonych w § 1, już przez to samo staje się uczestnikiem kasy. Kasa ma ogólne zebranie, zarząd i statut zatwierdzony. Statut określa wnioski, których wysokość, jak i w kasach miejscowych, nie może przekraczać pewnéj granicy, nie mogą one przenieść 3% zarobku, a gdyby to nie starczyło, resztę dopłaca przemysłowiec, wnioski w $^2/_3$ opłacają uczestnicy w $^1/_3$ pracodawca, który sumę odpowiednią przy wypłacie strąca. Każdy winien być ubezpieczonym w kasie jednego rodzaju, a kto z podlegających ubezpieczeniu w żadnéj z wyliczonych kas nie jest ubezpieczony, ubezpiecza się w zarządzie gminy, przy któréj w tym celu utworzone są kasy mające fun-

dusze oddzielne od innych funduszów gminy. Uczestnicy opłacają składkę, która wynosi od $1^1/_2$ — 2% przeciętnego w danéj miejscowości zarobku; w razie choroby otrzymują na koszta leczenia lub bezpłatne leczenie w szpitalui wsparcie.

Z tego, com się przedstawić starał, widzimy, że każdy robotnik w Niemczech musi być ubezpieczonym na wypadek kalectwa przy pracy, choroby, na starość i niedołęstwo, nie wielkie przytém ponosząc ofiary.

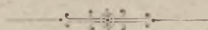
Feliks Kramsztyk.





DZISIEJSZE PRĄDY

PIŚMIENNICTWA FRANCUSKIEGO.



III.

Byłoby optyczną pomyłką—powiedzieliśmy uprzednio [1] — brać neochrystyanizm, albo symbolizm i dekadentyzm za trwałe, za stanowcze, za dominujące kierunki współczesnego nastroju duchowego Francyi i widzieć w nich coś więcéj, jak jaskrawe barwy na palecie, będącéj z saméj swéj natury — różnobarwną. Inaczéj rzecz się ma, gdy się przechodzi do sceptycyzmu i oględniejszym być wypada w naznaczaniu mu roli.

Sceptycyzm — to nie nowe ziarno trafunkiem przez wiatry na francuską zaniesione glebę, ale z dawien dawna się na niéj rozpleniło. Nie ma potrzeby schodzić aż do Montaigne'a, owego duchowego protoplasty, w którym, po upłynionych czterech wiekach, dzisiejsi Francuzi rozpoznać się mogą jak w zwierciedle. Bliższém jest spadkobierstwo po Wolterze i encyklopedystach. Nie myślimy zaprzeczać reakcyi, która się przeciw filozofii i doktrynom w najrozmaitszych formach zamanifestowała u każdego z trzech pokoleń następnych. W ostatnich czasach Emil Faguet obuchem na Woltera uderzał i nie ma żadnego z wybitniejszych pisarzy, któryby nie zerwał z ową płytką, wystarczającą sama sobie i pewną swych wyników filozofią, pozbawioną nietylko

[1]) Zobacz „Ateneum“, miesiąc kwiecień r. b., str. 117.

zmysłu historycznego, ale obcinającą raz na zawsze, skrzydła duchowéj naturze człowieka. Mimo téj reakcyi atoli, przewrót, dokonany przez nich był tak potężnym, tak dalekoniosłym, że jego piętno czerwonym znakiem wyżłobiło się na duchu ich wnuków. Ani pozytywizm Augusta Comte'a, choć natchnieniem swém pokrewny, ale już postęp dodatni znaczący, ani doktryna ewolucyi skwapliwie stosowana, choć na obcym gruncie wyrosla, nie zdołały zatrzéć téj głębokiéj bruzdy filozofii XVIII-go wieku. Odpowiadała ona przedziwnie charakterowi rasy czerstwéj, bystréj, czynnéj, kąpanéj w słońcu i winie, nie podobającéj sobie w mgłach północnych, w snach jałowych, w pajęczych tkaninach metafizyki, w bezgranicznym polocie fantazyi.

Nie jest bynajmniéj sprzecznością albo słów igraszką twierdzić, że realizm, potrzeba logiki i jasności doprowadziły Francuzów do sceptycyzmu i utrzymały przy nim. Raz zerwawszy z dogmatami wiary religijnéj, dającemi bądźcobądź niezachwianą podstawę dla wszechsyntezy, zmuszeni byli rozglądać się naokół, pukać do różnych drzwi, słuchać rozmaitych głosów, przyglądać się zagadnieniom życiowym z góry i dołu, uwzględniać dodatnie i ujemne ich strony. W braku wszelkiéj pewności szukając kanonu etycznéj prawdy, a nie znajdując go, chcieli przynajmniéj posiąść pewność, że nie zaniedbują żadnéj drogi, żadnego środka do rozpoznania prawdy, dobra, piękna.

Rozgałęziły się tedy, rozczłonkowały poszukiwania, metody, i każdy nieledwie pisarz puścił się oddzielną drogą. Jako rezultat, mamy taki indywidualizm intelektualny, że nie przesadzono wiele, nadając mu nazwę anarchii umysłowéj. Uderzającym jest brak całkowity wszelkich dzieł potężnych, któreby stanęły, jak słupy drogowe na gościńcu cywilizacyjnym. W dziedzinie filozofii cała działalność zogniskowała się około poszukiwań psychologicznych i ze względu na nowość metody nie możemy tu przynajmniéj narzekać na powolność zdobyczy. Bardziéj rażącą jest jałowość w sferze polityczno-socyologicznéj. Nietylko, że o syntezie Monteskiusz'a mowy dziś nie ma, ale nawet Tocqueville'a, nawet Prevost-Paradol'a przewidywać nie można. Zasady i instytucye wprost sobie przeciwne sąsiadują z sobą, a sceptycyzm nietylko ich nie ruguje, nie przywoływa do porządku, ale przyznaje się do jednakowéj względem nich obojętności. Historya ogranicza się do monograficznych materyałów dla przyszłych dziejopisarzy. Gdy jaki zuchwalszy myśliciel pokusi się zamknąć pewien okres historyczny, nawet drobniejszy, w karby systematu, bankrutuje, jak zbankrutował Taine w swojéj Historyi rewolucyi francuskiéj. Możnaby ten katalog przedłużyć.

Jak długo ten stan rzeczy potrwa, nie wiemy i nie sądzimy, ażeby ktokolwiek jego koniec, albo dalsze fazy rozwojowe przepowiedzieć był w stanie. Nadaje się sceptycyzm tak wybornie do charakteru i temperamentu narodowego i modeluje je znowu tak dobrze na swój obraz i podobieństwo, że społeczność nie uczuwa potrzeby jakiéjkolwiek zmiany. Wielkich pomnikowych dzieł nie stworzy, ale interesujących, ciekawych, odpowiadających potrzebom chwili i dających wierny jéj wizerunek, jest mnóstwo. „Wiem, że nie wiem", oto godło, pod którém kroczy dzisiejsze piśmiennictwo francuskie. Możnaby je bezwzględnie za tę pokorę ducha pochwalić, gdyby nie przeczuwało się w niém zniechęcenia, braku odwagi do energicznych nadal wysiłków i gdyby nie dźwięczało w niém urągowisko tym, co posiadają jakieś ścisłe zasady i jakiekolwiek ogólne *criterium*. Umysły dogmatyczne, jak np. Ferdynad Brunetière, są nietylko wyjątkowymi wpośród koryfeuszów piśmiennictwa, ale można go uważać, dotąd przynajmniéj, za białego kruka.

Sceptycyzm, jako oś obrotowa, wyrobił dla siebie formę nieodzowną—ironię. Przystoi mu ona lepiéj, aniżeli retoryczny pathos i oratorska pompa. Najznakomitsi krytycy, najbardziéj wpływowi publicyści, powieściopisarze i noweliści poczytni, są obecnie pełni prostoty, naturalności, a jedynie zaprawiają swą strawę solą atycką ironii. Władają też nią po mistrzowsku. Pełna wdzięku, swobody, lekkości natura Francuzów podobała sobie w niéj zawsze i obecnie przesiąkła już nią nawskroś. Dla pisarza nic wygodniejszego jak ta szermierka, co mu pozwala czynić wycieczki na prawo i lewo, zaczepiać o tysiące przedmiotów nie wyczerpując żadnego, stawiać zagadnienia nie rozwiązując ich, drwić z innych i z siebie samego, drażnić imaginacyę i nerwy, pobudzać a nie zaspakajać! Czytelnik znowu, nie wiedzący często, gdzie się poważne zapatrywanie kończy, a gdzie żart zaczyna, oszołomiony krzyżującemi się argumentami i wybrykami dowcipu, traci świadomość swéj bierności umysłowéj i nabiéra pochlebiającego mu uczucia indywidualnéj wyższości nad wszystkimi, których słabe strony są przed nim wyłuszczane.

Sceptycyzm nie jest atmosferą sprzyjającą poezyi. Nie ma też istotnie wielkiego poety narodowego obecnie we Francyi. W porównaniu z orlim lotem w obłoki Wiktora Hugo, jego epigonowie, czy to mitologiczny Lecomte de Lisle, czy filozofujący Sully Proudhomme, czy anegdotyczny Coppée, czy nakoniec ostatni pomazaniec Akademii, kunsztmistrz Herédia, są w całém słowa tego znaczeniu zaledwie *poetae minores*.. Ale w dziale krytyki działa on pobudzająco i jak lampa górnika rozświéca najciemniejsze krużganki podziemne. Krytyków

i essayistów znakomitych ma też Francya orszak wcale pokaźny. Nie mamy potrzeby szczegółowo czytelnikom ich przedstawiać, bo wielu z nich „Ateneum" poświęciło oddzielne studya, a sam piszący nakréślił tu także w organicznéj całości obraz stadyów, przez jakie przeszła francuska krytyka literacka [1]) *Non bis in idem.* Jest on także na miejscu w teatralnéj produkcyi i rozgościł się na dobre na scenie paryskiéj. Wielkim mistrzem jest zawsze jeszcze Henryk Meilhac, jeden zaprawdę z najdelikatniejszych talentów, jakimi francuskie piśmiennictwo poszczycić się może. Każdy jego znawca wymienić się także pośpieszy Henryka Becque [2]), który przed paru laty tyle hałasu swém rzekomém nowatorstwem wywołał, a w ostatnich czasach Juliusza Lamaitre'a i Henryka Lavedan'a.

Dwaj ostatni zajmują, jak wiadomo, i w krytyce miejsce wybitne — *longo intervallo* wprawdzie, bo J. Lemaitre jest w niéj wodzem, a H. Lavedan dopiéro ochotnikiem podjazdowym, a w dodatku jeszcze pierwszy z nich, ujawniając swą wielostronność, sprobował także sił swych w powieści. Nie mogło być inaczéj: wszystkie drogi piśmienniczéj twórczości prowadzą obecnie do powieści. Syntetyczne poglądy na społeczność, analityczne badania pewnych jego objawów, mikroskopijne rozpatrywania psychicznych głębin u jednostek, wszystko to do elastycznych ram jéj przedziwnie pasuje. Chociaż pod wpływem potężnego uderzenia wiosłem przez ruskich powieściopisarzy, powieść francuska zdawała się chwilowo kierować w stronę ewangelicznego humanitaryzmu, to niebawem powróciła do swego zwykłego łożyska i sceptycyzm, mniéj lub więcéj ironiczny, mniej lub więcéj pesymistyczny, nie przestał być jéj duszą. Zostawiając w spokoju całą chmarę podrzędnych romansopisarzy, albo nawet i celniejszych, ale chronologicznie już do wczorajszego dnia należących, a ograniczając się do tych, których świat inteligencyi francuskiéj uznaje za najsubtelniejszych społeczeństwa badaczy, przekonamy się, że na ich umyśle wypisany stoi wielki znak zapytania. Nie podobna obrać ich za przewodników, bo sami się przyznają, że nie wiedzą gdzie prawda, a gdzie błąd, nie podobna wymiarkować z ich książek, jakie będzie hasło, jaki ideał dnia jutrzejszego, bo rozbiérając duszę współczesną do naga, pokazują nam tylko jéj szkarady, albo co jeszcze okropniejszém — jéj próżnią. Czy się zatrzymamy nad powieścią J. Lemaitre'a, czy nad utworami Pawła

---

[1]) Patrz: „Krytyka i krytycy literaccy we Francyi". „Ateneum" za marzec 1891 r.

[2]) Patrz: „H. Becque i teatr pesymistyczny". „Ateneum", za grudzień 1890 r.

Hervieu, Maurycego Spronck'a, czy nakonice nad Oktawiuszem Mirbeau, albo Maurycym Barrès, zawsze tą samą oddychać będziemy atmosferą. Każdy z tych powieściopisarzy, wysoce interesujących i niepoślednich, ma swoje wyłączności, każdy spogląda na świat okolny pod innym kątem, ale wszyscy oni, i wszyscy ci, co po wydeptanym przez nich szlaku chodzą, są sceptykami i dlatego społeczność francuska grupuje się pod ich sztandarem.

Możnaby do tego samego wniosku dojść i odwrotną drogą, i pokazać, jak dalece pisarz dzierżący umysłowe berło utraca wpływ swój i znaczenie przewodnika, gdy naraz staje się dydaktycznym i dogmatycznym. Wyborny przykład tego daje na sobie Paweł Bourget. Wiadomo, jak nadzwyczajne, jak wyjątkowe stanowisko wyrobił sobie przez seryę powieści, w których zagłębiał skalpel w tajniki dusz dzisiejszych. Przyklaskiwano jego analizie dopóki autor posiadał sceptyczną neutralność pomiędzy wzajemnie wykluczającymi się pierwiastkami duchowemi. Ale gdy w powieści swéj *Terre promise*, a następnie w *Cosmopolis* coraz widoczniéj przechylać się zaczął ku dogmatom religijnym, jako podwalinie jedynéj dla poznania prawdy i przyswojenia jéj sobie, gdy stało się wiadomém, że następne jego utwory, które przygotowuje, śmiało i bez ogródek jego nawrócenie ukażą, natychmiast stanowisko jego uległo zmianie i gwiazda jego zbladła. Nie chcemy bynajmniéj mówić, że owe przyszłe prace Bourget'a nie będą miały powodzenia księgarskiego; przeciwnie, będą miały, jeżeli to możliwe, i większe jeszcze, bo się przyłączy do nich pieprzyk skandalu i co za kąsek to będzie dla uszczypliwości! Będą go publicznie, urzędowo wysławiać i hołd mu oddawać bracia po piórze, ale dość jest dzisiaj już przeniknąć do sfer umysłowych paryskich, stanowiących o reputacyach, dość jest nadstawić ucha temu, co się o nim mówi, aby zrozumiéć, że rola jego jest skończona i że wstępujące w życiowe szranki pokolenie nie od niego rozumu uczyć się zapragnie. Dziś już traktowany jest poufnie jako filister; jutro powtarzać to będą wszystkie francuskie wrony!

Skoro tedy sceptycyzm jest górą i skoro najznakomitsi powieściopisarze, *volens nolens*, około niego się grupują, nie będzie od rzeczy bliżéj się im przypatrzéć i zbadać świat przez nich analizowany.

IV.

Powieść Juliusza Lemaitre nosi tytuł *Les Rois*. Autor z góry uprzedza nas, że opowiadać będzie wymarzone wypadki, gdyż datą ich

jest rok 1900. Za blisko została ona postawiona, a gdy sześć lat, co nas od niéj dzieli, upłynie, trzeba będzie dla samego prawdopodobieństwa, o jaką ćwierć wieku jeszcze w dal ją posunąć. Mamy tu z wymarzoném jakiémś królestwem Alfanii do czynienia i chociaż stolicą jego jest Marburg, na żadnéj karcie geograficznéj go nie znajdziemy. Dynastya królów Alfanii zewnętrznie tylko jest podobna do tych królów Illyryi, z którymi zapoznały nas powieści Alfonsa Daudet. Tamten kreślił wizerunki królów na wygnaniu, które były portretami albo karykaturami ludzi rzeczywistych, których potrącaliśmy na bulwarach, opowiadał anegdotkę i zdarzenia dobrze znane z kroniki skandalicznéj trzeciéj stronicy dzienników. Inaczéj postępuje sobie Lemaitre. I u niego wprawdzie znajdują się na drugim planie, rzucone jakby od niechcenia, niektóre szczegóły z prawdziwego życia wyjęte i które mu są potrzebne dla nadania koloru miejscowego i prawdopodobieństwa. Ale główne figury, uosabiające społeczne czynniki i zasady, nie są i nie potrzebują być portretami. Autorowi nie chodzi o pokazanie nam ludzkiéj natury, stającéj w kolizyi z charakterem ich królewskości; przedstawia on tragiczną kolizyę dawnych i nowych prądów, dawnego i nowego świata, a osoba króla znajduje się postawioną wobec potężnych zagadnień społecznych, które pragnie, ale których nie jest w stanie rozplątać gwoli ogólnemu dobru. Zadanie, jakie sobie J. Lemaitre postawił, było wielkie i pojąć można, że go skusiło. Żyjąc w chwili chaotycznego ściérania się zasad i idei, będąc świadkiem zażartéj walki, jaka się toczy pomiędzy warstwami społeczeństwa, dotąd uprzywilejowanemi i pragnącemi swe przywileje i nadal zachować, a masą ludową, co się drze do równouprawnienia, co się daje wyzyskiwać warchołom i awanturnikom, nie dziwota, że każdy umysł głębszy musi się zapytać nietylko jakie będzie wyjście z tego zamętu i téj walki, ale gdzie jest *criterium* prawdy, w imię jakiéj zasady urzeczywistniona będzie owa sprawiedliwość najwyższa, ku któréj wyciągamy ramiona. Że się takie pytanie stawia, jest rzeczą konieczną, powiadamy, i rozumiemy, że w formie powieściowéj zagadnienia te wcielone w typy żyjące, rzucone w odmęt akcyi szybkiéj i dramatycznéj, muszą nabrać wypukłości i dosadności. Dyskusya schodzi z wyżyn abstrakcyi nieujętéj do sfery codziennego bytu, a którą możemy i musimy się zaprzątać, bo nas w swe delikatne macki chwyta ze wszech stron.

Ale oczywista, że w tego rodzaju sprawach olbrzymiego znaczenia, gdzie idzie o losy każdéj jednostki i całych społecznych organizmów, staje się koniecznem wziąć rolę stanowczą, wiedziéć czego się pragnie, w jakim celu się działa, co się uważa za białe, a co za czarne. Wolno również stać na gruncie tradycyonalnego konserwatyzmu,

przywilejów dla kasty wyższéj, prawa z bożéj łaski i biernego posłuszeństwa masy narodowéj, potrzebującéj zawsze pasterza, jak jest dozwoloném rzucić do kotła cały świat przeszłości, wyrobiony przez tradycyę wieków, i wywarzyć społeczeństwo o prawach jednolicie na każdą atomiczną monadę rozdzielonych, alboześrodkowanych w ręku państwa-opatrzności. Gdy się jednak ograniczymy do wykazania ujemnych stron jednych instytucyi, a praktycznego niepodobieństwa drugich, gdy pokażemy niepogadzalność dwóch systemów, nie przestając wciąż hołdowniczo kłaniać się jednym, wysławiając szlachetne aspiracye, drugich, to trzeba przyznać, niezadowolnimy nikogo, zgotujemy zawód dotkliwy tym wszystkim przynajmniéj, którzy spodziewali się jeżeli nie uzdrawiającéj recepty, to choćby wskazówki, rady, jasno sformułowanéj indywidualnéj opinii. Dyskusye w ogrodach Academa są pożądane, są uprawnione, ale gdy jedna część społeczeństwa chwyta drugą za gardło, gdy rozszalałe doktryny grożą obrócić świat cały w perzynę, chwila tak mało dla tych teoretycznych wyłuszczeń zdaje się właściwą, że je ludzie czynu z zasłużoną, często z przesadzoną gotowi są traktować surowością.

Takiém było, takiém być musiało stanowisko J. Lemaitra wobec skomplikowanego zagadnienia ustroju społeczeństw dzisiejszych. Wszakże w kwestyach czysto literackich, w kwestyach etycznych daléj, przywykł on pokazywać i wytykać *pro* i *contra*, ciągły amalgamat sprzecznych pierwiastków, różne strony jednéj i téj saméj kwestyi. Nietylko wahał się często w wyborze, ale bawił się widocznie, zaprzeczając swym własnym zdaniom, z kolei przyjmując jedne i drugie i dziesiąte. Posuwał do największéj subtelności rozszczepianie każdego włoska, każdego odcienia. Podziwialiśmy jego niewieście rysy inteligencyi. Drażniła nas nieraz ta chwiejność sądu, ta wrażliwość kalejdoskopowa, ale można mu było ją przebaczyć, bo była to igraszka intelektualnego sybaryty, któremu ze sceptycznym półuśmiechem było do twarzy. Sobie samym tedy przypisać musimy zawód, jakiśmy uczuli czytając „Królów" J. Lemaitre'a. Zapomnieliśmy widocznie, iż niemożliwą było rzeczą, żeby ów sceptyk z zasady, z natury, z powołania, z wyboru, wydal naraz, w kwestyach téj wszechludzkiéj wagi wyrok sędziego. Przypominamy sobie jeden ze świetnych, błyskotliwych jego felietonów, gdzie się przyznaje, iż spogląda na sędziego każdego, na człowieka rozstrzygającego nieodwołalnie, co jest słuszném, a co niém nie jest, jak na przedpotowego mastodonta, z podziwem, ze strachem!

Nie wydał też wyroku żadnego w zatargu pomiędzy monarchią tradycyonalną a demosem rozhukanym. Ograniczył się do lekkiego

naszkicowania figur uosabiających wśród panującego domu w Alfanii wszystkich działających pierwiastków. Stary Krystyan XVI, wychowany w ideach, które go namaszczały we własném sumieniu na pana i władcę samodzielnego swoich poddanych, uważający się w dobréj wierze za ich ojca i nie tracący z pamięci nigdy swéj misyi królewskiéj, stérawszy swe siły w półwiekowéj pracy, czuje wobec niezrozumiałych dla niego, niesfornych aspiracyi masy, potrzebę wypoczynku i abdykuje na rzecz swego syna, Hermana. Przeciwieństwo pomiędzy tym ojcem z jednéj bryły marmuru wykutym, a synem chwiejnym, rozmarzonym, szlachetnym, humanitarnym jest dramatyczne. Autor wypieścił sylwetkę tego idealisty na tronie, który tak mało czuje się królem, a tak całkowicie człowiekiem, i to człowiekiem nowożytnym, pokazał go zapatrzonym w ideał sprawiedliwości i dobra, nadającym narodowi swobody w teoryi nieposzlakowane, ale które wyzyskane i skoszlawione przez demagogów rewolucyjnych, rozdmuchują tylko niezadowolenie i prowadzą do buntów. Dla przywrócenia porządku, ten ukoronowany filantrop, o sercu co płomienieje miłością dla cierpiącego ludu, zmuszony jest uciekać się do krwawéj represyi. Jako nagrodę otrzymuje przekleństwo od tych, dla dobra których działał, a wszyscy przedstawiciele starego porządku rzeczy, ze złowrogiém urąganiem spoglądają na bezsilne szamotanie się Hermana z demosem, zbyt pośpiesznie uwolnionym z wędzidła. Wybornie oddane są trudności, z jakiemi ma do walczenia i jakie na każdym kroku spotyka ów reformator: instytucye i ludzie, którymi się posługiwać musi, zawodzą go, uniemożliwiają jego przedsięwzięcia, ubezwładniają. Gdy wskutek tragicznéj awantury, w którą tutaj wchodzić nie ma potrzeby, Herman zabity zostaje, stary król Krystyan XVI-ty bierze, dla uratowania władzy dla swego wnuczęcia, ponownie na siebie ciężar rządu i wszystkie dawniejsze figury urzędowe, o ciasnych mózgownicach i wyschłych sercach, wszystkie maryonetki i cała zewnętrznie świetna, a pusta i czcza wewnętrznie szata 900-letniéj monarchii pokrywa znowu organizm narodowy, okiełznany chwilowo, ale nieposkromiony, doprowadzony do rozpaczy... I nie wiedziéć, w najlepszéj wierze, wiedziéć nie można, co autor uważa za lepsze, za właściwe w chwili rozwojowéj, jak ta którą scharakteryzował, czy obstawać uparcie przy starym porządku rzeczy, zostawiając rozwiązanie nagromadzonych trudności ślepemu trafowi, czy też rzucić się śmiało do dzieła reform socyalnych. Znikąd światła, ani promyka światła. Ze złamaną wiarą w organiczny postęp społeczeństw ku sprawiedliwości i dobru, zasępieni pesymistycznėm zwątpieniem, nie przekonani ale wykolejeni, odkładamy na

bok książkę, która tylko estetyczno-literackie zadowolenie sprawia na czytelniku.

Nie jeden będzie zdania, być może, że to wystarcza, że nie jest bynajmniéj zadaniem powieści być traktatem politycznym i rozwiązywać zagadnienia, nierozwiązalne dla najpoważniejszych mężów stanu. Nie stawiamy téż takich wymagań i nie wyrzucamy autorowi jego nieudolności do rozwiązania kwadratury koła. Wyrzucamy mu po prostu jego zmysł super-krytyczny, jego sceptyczną niepewność, jego sztuczną neutralność pomiędzy sprzecznemi czynnikami. Pokazał, że w jaskini, w któréj jesteśmy zamknięci są z każdéj strony czyhające na nas smoki, jak się z niéj na otwarty gościniec wydostać, to już nie jego rzecz. Szkoła, do któréj J. Lemaitre należy, a on więcéj jeszcze niż ktokolwiek inny z téj szkoły, chlubi się z tego obiektywizmu, systematycznie przeprowadzonego. Ciekawém byłoby dowiedziéć się, czy eunuchowie w haremach Wschodu pysznią się ze swéj bezpłciowości!

Nie potrzeba zapewne dodawać, że postaci przesuwające się przez ową latarnię mągiczną są wszystkie wysokiego interesu psychicznego, pełne oryginalności i napiętnowane najświeższym „modernizmem", jeżeli wolno tak przetłómaczyć popularny obecnie neologizm francuski. Jest tam dwóch książąt najbliżéj tronu stojących, Otto cyniczny, o zwierzęcym materyalizmie, prawdziwy aż do szpiku kości, i Renaud, pełen fantazyi „cygan", igraszka losu, zamieszany pomiędzy mandarynów. Jest wspaniała postać królowéj Wilhelminy, więcéj królowéj, aniżeli kobiéty, która jednak potrafi w chwilach krytycznych obracać swą rolę żony i matki na korzyść idei królewskości, będącéj jéj działającą sprężyną. Jest bohatérka powieści, Frida Thalberg, entuzyastka polityczna, kochanka platoniczna króla Hermana, istota skomplikowana moralnie i umysłowo, zagadkowa nieraz dla czytelnika, jak i dla siebie saméj być musiała. Jest nakoniec fantastyczne widmo Luizy Michel, która w powieści inne nosi imię, sfanatyzowanéj apostołki idącéj odważnie do majaczejącego przed nią ideału przez morze krwi i morderstwa... Nad każdą z tych działających osób możnaby długie czynić uwagi i podziwiać talent, z jakim autor potrafił je uczynić żyjącemi. Nie potrzeba będzie krytykować melodramatycznego zakończenia powieści i katastrofy, gdzie dwaj królewicze jednéj nocy, ale z innéj ręki, z innych motywów śmierć ponoszą. Na scenie, na któréj utwór Lemaitra meteorycznie się przemknął, musiała ona być efektową; czytelnika zostawia chłodnym, zadziwionym raczéj niż wzruszonym. Nie potrzeba długiego zastanowienia, aby zrozumiéć, że autor taki tylko miał sposób wybrnięcia z intrygi, w którą się za-

plątał. Jestto zresztą rzecz całkiem podrzędna. Głównie chodziło tu o wykazanie zasadniczéj doktryny Lemaitre'a w zastosowaniu do najważniejszego ze współczesnych problematów. Targnął się na powieściowe upostaciowanie doniosłego pytania, ale ponieważ nietylko nie ma wiary w prawdę, ale nawet żadnych przekonań rozumowych stałych, pozytywnych, zatém powieść jego posłuży chyba za obraz owéj niepewności i chwiejności, jaka w tylu współczesnych umysłach panuje despotycznie. Ci, co przypuszczali, że przy świetle sceptycyzmu — świetle księżycowém, jak powiedziano obrazowo, błyszczącém ale zimném — bystrość, spostrzegawczość i jasność wizyi okaże się wystarczającą do rozkwitu twórczości umysłowéj, są zmuszeni obecnie uczynić ograniczenia i zastrzeżenia. Wyrafinowany sceptycyzm może nas bawić chwilowo, ale nie ma w nim materyału budulcowego.

V.

Jaskrawiéj jeszcze ukaże się istota sceptycyzmu powieściowego pod piórem innego romansopisarza — Pawła Hervieu. Jestto bez najmniejszego wątpienia jeden z najbardziéj utalentowanych autorów, posuwający subtelność analizy aż do chorobliwego udelikatnienia, ostry jak brzytwa, pełen spokoju przy operacyach najdrażliwszych, opancerzony tak silną ironią, że go żadna nikczemność, żaden upadek moralny nie zadziwia. Świat okolny gra dlań komedyą; nie myśli jéj przyklaskiwać, ale nie smuci się także nad łzami, co się sączą z pod uśmiechów. Nie jest bezmyślnym świadkiem, jak o tém jego pisma przekonywają, ale strzeże się wydania wszelkiego indywidualnego sądu. Jeżeli ma zamiar wyleczyć społeczność ze szpecących jéj oblicze trądów to, jak dotąd przynajmniéj, poprzestaje w trzymaniu przed nią zwierciadła. Zwierciadło to ma tę właściwość, iż jedynie ujemne rysy i brudy wywołuje na powierzchnię.

Paweł Hervieu jest historyografem dzisiejszego francuskiego towarzystwa, tak zwanego wyższego, wyborowego. Od czasu, jak je malował Oktawiusz Feuillet rozkład jego wewnętrzny musiał uczynić wielkie postępy: światy to bowiem całkiem odmienne. Gdy go malują bezpośredni uczniowie Feuillet'a, jak Henryk Rabusson, Karol de Berkeley, albo inni drugorzędni romansopisarze, moglibyśmy żywić złudzenie co do rozmiarów tego rozkładu; miernota jednakże i ckliwość tych utworów piśmienniczych nie nakazują oględności przy wysnuwaniu wniosków. Na właściwszą drogę wprowadzają powieściopisarze innego zakroju, jak Gyp albo Henryk Lavedau. Obrazy ich, to wpraw-

dzie szkice tylko dorywcze, porwane, doraźne wrażenia przynoszące, ale ich autorowie, obeszli z tylu stron stojący przed nimi model, tak bezlitośnie go wyszydzili, żè co do istnienia chronicznych ułomności żadnéj nam nie pozostawili wątpliwości. Ale Gyp ma w swoich nowelach, dyalogach i powiastkach pewną kobiécą niesystematyczność i fantazya jéj rozbrykuje się widocznie. Henryk Lavedau mą znowu ustaloną w paryskim świecie reputacyą „najdowcipniejszego z Francuzów”, a dla utrzymania takiéj reputacyi czuje pohop do drwinek i urągowiska, częstokroć mało nawet usprawiedliwionego.

Było więc miejsce dla powieściopisarza, któryby umiał i chciał zanalizować nastrój moralny i duchowy wyborowego świata francuskiego i oddawna, a szczególniéj od chwili gdy Bourget zawiódł pokładane w nim nadzieje, oczekiwano w formie powieściowéj, naszym dzisiejszym wymaganiom odpowiadającéj, pisarza, któryby jednoczył w sobie syntetyczny geniusz Balzac'a z analityczną bystrością i siłą Mériméego. Nie można się dziwić, że w obec tak wygórowanego żądania, urzeczywistnienie jego kazało na siebie czekać. Biorąc p. Pawła Hervieu za to czém jest bezspornie, za najbardziéj obiecującego z młodych powieściopisarzy i najbardziéj filozoficznego, trzeba przyznać, iż więcéj się zbliża do typu Prospera Mérimée aniżeli do Balzacowskiego. Jeżeli, jak się przepowiadać poważamy, nigdy się na stanowisko prawdziwie wielkie nie wzniesie, to winą tego będzie sceptycyzm, który krew jego wyziębił i szybowanie jego ducha sparaliżował.

Paweł Hervieu zna dobrze świat, który w powieściach swoich maluje, nie zewnętrznie, anegdotycznie, ale w duchowych jego posadach. Młody jeszcze, a wyglądający na młodzieniaszka, ma wyjątkową dojrzałość i wytrawność. Nie zmonopolizował on swego daru spostrzegawczego i talentu pisarskiego dla tego środowiska, w którém widzimy go teraz. Zaczął od typów nic z konwencyonalną koteryą nie mających wspólnego, jak o tém świadczy fantazya *Diogène-le-Chien*, gdzie uderzała już erudycya niespodziewana u tego sybaryty umysłowego, od obrazów przyrody jak *Alpe homicide*, na których tle dramat ludzki do maluczkich schodzi rozmiarów, od studyów natur wyjątkowych, bez równowagi umysłowéj jak w *Inconnu*, *Yeux verts et bleus* etc. Rozmaitość tych wycieczek pokazywała, że szukał swéj drogi i że szukał sam siebie. Z ławy uniwersyteckiéj przeszedłszy do zawodu dyplomatycznego, wyzuł się pospiesznie z fantazyi, uczuciowości i humoru a stał się nietylko na zewnątrz ale i w wyborze swych dalszych studyów typem „dystynkcyi.” Używamy tego ośmieszonego i słusznie ośmieszonego słowa dla tego tylko, że jest powszechnie zro-

zumiałem. Napisał dotąd wszystkiego trzy powieści i to niewielkich rozmiarów: *Flirt*, *Exercisée* i *Peints pas eux-mêmes*, a zapowiada czwartą *Ivraie humaine*. Nie wielki to tedy zasób liczbą, ale wystarczył do pozyskania mu miejsca wybitnego pomiędzy rzeszą piśmienniczą. Wszyscy krytycy, których opinia ma znaczenie, jak France, Faguet, Doumic, Ganderax, J. Lemaitre etc., widzą w nim mistrza, a jako fizyologa wyższych warstw towarzyskich, jedynie jego spostrzeżeniom i dyagnozie przypisują znaczenie.

Flirt jest pierwszą próbą Pawła Hervieu do malowania w całościowym obrazie osobistości, które stanowią tak zwany świat wyższy. Świat ten, wolny, przez posiadany majątek, od konieczności zarobkowania na życie, zdawałby się *ipso facto* uzdolnionym do pielęgnowania wszystkich estetycznych i intelektualnych stron swoich. Wiemy dobrze, że tak nie jest i że wśród tych uprzywilejowanych warstw dominującym czynnikiem jest chęć zaspokojenia materyalistycznego sybarytyzmu a sprężyną wprowadzającą w ruch machinę—próżność. Próżność ta przybiera rozmaite formy, jedne komiczniejsze od drugich; ale wszystkie pokazują czczość i próżnię tego świata, który za cackiem goniąc, postradał niepowrotnie jądro znaczenia i społecznego wpływu. Nie można wyrzucać powieściopisarzom, że osnuwają swe utwory na dwóch wyłącznie czynnikach: ambicyi i miłości, gdyż w nich istotnieześrodkowuje się życie warstw uprzywilejowanych. Gdy zaś się mówi m i ł o ś c i, to wiemy, że idzie po prostu o erotyczne zaspokojenie popędów płciowych, zamaskowanych pod grubą warstwą bielidła i różu. Nie dziwota, że klasy, które taki tylko widnokrąg mają przed sobą i takiemi posługują się środkami do zapełnienia próżni wewnętrznéj, zepchnięte zostały z naczelnego stanowiska. Autorowie francuscy oddawna pozbawili nas wszelkich złudzeń co do moralnéj wartości figur, które odtwarzali przed nami, ale aż do ostatnich czasów można było sądzić, że nie komedyanci to tylko, nie ślimaki i nie trupy wszyscy, co u nich żyją i działają, i wierzyliśmy, że choć skoszlawione i wykolejone ale że istniały tam przecie namiętności. P. Hervieu odejmuje nam tę małą nawet iluzyę. Nie miłość zaprząta jego bohaterów, ale jéj karykatura nowoczesna — flirt. Klotylda Messigny waha się w wyborze pomiędzy dwoma dobrymi swymi znajomymi, p. des Frasses i p. Treft, i nie wié którego z nich wybrać— za kochanka. Nie o męża tu chodzi, ale o kochanka. Mąż jest zawsze nie nieznaczącym działaczem, a raczéj, jak się trafnie p. Hervieu wyraża, usypia on na bezpieczeństwie pierwszego numeru hypoteki! Nie idzie tu wcale o gwałtowną miłość, ani uragan uginający szczyty dębów, ale zamężna kobieta wybiera kochanka po prostu jako rzecz nor-

malną, nieunikniona, jako rozrywkę wśród tego życia próżnego, czczego, zapełnionego aż po brzegi rozrywkami i zabawami nużącemi, rozstrajającemi nerwy, ogłupiającemi umysły, potęgującemi niższe instynkta natury ludzkiéj. Żadna siła potężniejsza nie przychodzi powstrzymać téj bydlęcéj tłuszczy o wysokiéj wykwintności formach na drodze upadku. Z uśmiechem wyrozumiałości i sympatyi ustępują sobie miejsca jedni drugim w tym wyścigu do rynsztoku, wiedząc, że prędzéj czy późniéj i dla nich będzie tam miejsce. Autor nie protestuje, nie oburza się, nie motywuje nawet przyczyn takiego moralnego stanu, lecz poprzestaje na zaznaczaniu symptomatów, które fatalistycznie prowadzić muszą do przewidzianego rezultatu. To połączenie nieposzlakowanéj zewnętrznéj przyzwoitości z cynizmem wyuzdanym, leżącym na dnie, nigdy nie zostało oddane z taką ścisłością, precyzyą rysów, z taką obiektywną bezstronnością jak pod piórem p. Hervieu. Ironia jego jest tak delikatna, tak ciągła, że czujemy ją raczéj aniżeli jesteśmy w stanie dotykalnie stwierdzić. Paweł Bourget, który jednocześnie pisał swe powieści psychologiczne, jak *Cruelle énigme* albo *Mensonges*, jest prawdziwym idealistą, gdy go się z tym pisarzem porównywa, i jego bohaterki wydają się naturami wyanielonemi. Chociaż autor „Flirtu" nie stawiał żadnego uogólnienia, to właśnie dla tego, że wybrał jako działaczy osoby pospolite, codzień spotykane, i że wypadków nadzwyczajnych w jego opowiadaniu nie było wcale, sprawić musiał na każdym uważniejszym czytelniku wrażenie przygnębiające, bo można było dojść do wniosku, że cały świat przeciętny tak żyje, myśli i czuje.

Inny jest zakres drugiéj powieści *l'Exorcisée*. Jest to dyagnoza pewnego wyjątkowego, nie powiemy psychicznego ale patologicznego wypadku. Znajdujemy pewną trudność w streszczeniu osnowy téj powieści, któréj wysoka wartość estetyczna polega właśnie na drobnych rysach uwydatniających dwie działające postaci. Pani St. Vrain des Ormes zbliża się i odpycha z kolei pana de la Malgue, który nie może czas długi zrozumiéć, o co istotnie téj pani idzie. Obsacza ją, staje się jéj spowiednikiem i dowiaduje się, że bez najmniejszéj chęci, oddała się człowiekowi, którego ani kochała ani pożądała. Wspomnienie to trapi ją i czuje się przez nie opętaną. P. de la Malgue leczy ją homeopatycznie z tego opętania i klinem klin wybija. Po dopełnionym egzorcyzmie rozłączają się, histeryczna kobieta czuje się oswobodzoną a mężczyzna żegna ją ironicznym ale pełnym szacunku ukłonem. I na tém basta! Powiedzieliśmy, że fakt to wyjątkowy, i nie ma powodu nad nim się rozszerzać. Co do nas, gdyby nie niczém nie zakłócona powaga autora i jego wykwintna ironia, mieli-

byśmy ochotę wziąć taką nowelę za jednę z owych *fumisteries*, o których mówiliśmy poprzednio i które towarzyszyły narodzinom dekadentyzmu. Osobiści przyjaciele autora, rozbierając szeroko i gruntownie ten utwór, przekonywają nas, że takie przypuszczenie byłoby niewczesne. Jesteśmy zatém upoważnieni do wniosku, że w sferach społeczeństwa, do których p. Hervieu nas wprowadza, pojęcia moralności, obowiązku, uczciwości zeszły do rzędu oklepanek, któremi wszystkie wyrafinowane istoty pogardzają i o których w dobrém towarzystwie mowy być nie może. Emil Augier zapytany o zdanie co do Pawła Bourget nazwał go w tym jędrnym języku, co w prostéj linii szedł od Moliera, *un cochon triste*. Był to sąd surowy a surowszym jeszcze wydaje się obecnie po upłynionych latach i wielu utworach wyższego polotu. Zapytać się można, coby powiedział o powieści takiéj jak *Exorcisée* i o jéj autorze? Dla niego, co miał ideał dodatni i co potrafił zakreślać granicę pomiędzy podłością a cnotą, brudem a czystością, sceptycyzm *à la* Hervieu byłby potworną ułomnością i postawieniem na jednym poziomie etycznym wzajemnie się wykluczających pierwiastków.

Ostatnią, najbardziéj skończoną powieścią młodego autora, tą, w któréj ironiczny jego sceptycyzm doszedł do najpełniejszéj krystalizacyi, jest *Peints par eux-mêmes*. Jest to, bez żadnéj przedmowy ze strony autora, bez żadnego wstępu i bez najmniejszego także epilogu, szereg listów kilkunastu osób zebranych w zamku hrabiostwa de Pontarmé wraz z odpowiedziami na nie. Mimo téj formy wykluczającéj akcyę, akcyi melodramatycznéj nawet przy końcu nie brak. Ale wysokim interesem całości są charaktery kréślące się w tych listach i sposób w jaki ta garstka wybrańców fortuny działa na stosunki swe wzajemne i na stosunki swe do reszty świata się zapatruje. Malowidło to, pomimo dyskretnéj barwy, całéj w półcieniach, przeraża swą ohydą. Egoizm dziki, zwierzęcy, zaspokojenie swych huci *per fas et nefas*, szukanie swego materyalnego interesu bez żadnego uwzględnienia interesów postronnych, nawet najbliższych, wzajemna pobłażliwość dla siebie owych rycerzy o miedzianém czole i owych ubrylantowanych prostytutek, uśmiech spotykających się z sobą augurów widoczny na ustach, najszumniejsze tytuły pokrywające najohydniejsze występki, a cała ta moralna zgnilizna okryta ponętną, o kunsztownych formach szatą — oto świat, który nam autor przedstawił nie we własnym opisie ale przez organ działających na jego scenie aktorów. *Après nous le déluge!* oto hasło, któreby posłyszéć można było od nich, gdyby jakieś wspólne wyznanie wiary ich łączyło.

Nie satyra to na wielki świat, satyra jakich każde piśmienni-

ctwo posiada podostatkiem i która jest okrzykiem oburzenia, protestacyą sumienia na widok zgrozy i upadku ludzi i społeczeństw. Powieść p. Hervieu w dziedzinie etycznéj dochodzi do takiego samego znaku zapytania, jakim się zakończyła u Juljusza Lemaitra analiza polityczno-spolecznego problematu. Widzimy, że nie ma ani rodziny, ani charakterów, ani idei przewodniéj wśród towarzystwa i leżą przed nami owoce zatrute téj moralnéj gospodarki. Ale gdy się pytamy o drugą stronę medalu, o siły przeciwdziałające, gdy się z trwogą rozglądamy o ratunek, o przystań bezpieczną, nie ma ich i autor przez brak wszelkiéj wskazówki udowadnia, że o ile jest łatwém wytykać ujemne strony sceptykowi i chłostać je zimną, nieubłaganą ironią, o tyle staje mu się niepodobném rozświecić przyszłość i znaleść hasło dla społeczności rozpadającéj się organicznie.

Jak łatwo zrozumieć, na tuziny, na setki liczą się esayiści i romansopisarze, wyznający te same zasady, albo lepiéj mówiąc, nie wyznawający żadnych, ograniczający się do urągowiska, do naigrawania się z otaczającego ich świata. Nie ma potrzeby wymieniać ich tutaj a tém mniéj rozbierać ich szczegółowiéj. Poprzestaniemy na poznajomieniu czytelnika z nowym pisarzem, którego debiut powieściowy znalazł ogromne powodzenie. Mówimy o panu Vandérem i o jego powieści *Cendre*. Widocznie jest to talent żywy, ale nie możemy znaleść w przedstawionych nam typach i wypadkach, tak samo jak w poglądach autora na stosunek jednostki do społeczeństwa, nic nowego. Zawiedziony w miłostkach swych Gilbert Mareuil traci energię życiowę i z popiołem w sercu mechanicznie tylko idzie po ścieżce żywota. Oryginalność autora polega na obniżeniu dyapazonu stylu i wprowadzeniu paryskiego *argot* do języka piśmienniczego: są tacy, co sobie w tém podobają. Ale nie ma dotąd poszlaki żadnéj, ażeby p. Vandérem miał na wyjałowionym przez sceptycyzm gruncie zasiać jakieś rodzajne ziarno.

VI.

Pełne niezaprzeczonego artyzmu powieści J. Lemaitre'a albo p. Hervieu nie siliły się bynajmniéj o wskazanie przyczyn wewnętrznego rozkładu dzisiejszego społeczeństwa: wystarczyło im dokonać z prawdziwą subtelnością analitycznéj sekcyi na trupie. Są jednak inni pisarze, duchowym nastrojem im pokrewni, którzy do tego samego ujemnego dochodząc rezultatu, poszli o jeden krok daléj i nazwali chorobę, na jaką świat dzisiejszy umiera. Ażeby tego przeglądu

nie przedłużać, wymienimy dwóch pisarzy mało znanego Maurycego Spronck'a i trudnego nieraz do zrozumienia Maurycego Barrès'a.

P. M. Spronck wydał przed dwoma laty powieść *Jacques Bernys*, która przychodząc po krytycznéj pracy jego noszącéj tytuł *Artistes littéraires*, wywarła silne wrażenie w kołach wyższéj inteligencyi francuskiéj choć wśród szerokiéj publiczności przeszła prawie niepostrzeżona. W powieści téj, będącéj rodzajem autobiografii jéj bohatera (a jak podejrzywano raczéj autora samego), widzimy u schyłku życia, żadnemi nadzwyczajnemi wypadkami nie nacechowanego, rozpamiętywania onego, a rozpamiętywania smutne. Jacques Bernys uskarża się, że nie znalazł w życiu oczekiwanych roskoszy dla tego, że stłumił w sobie zwierzęce instynkta a zbytecznie rozwinął intelektualne siły. Upoił się inteligencyą jak trucizną, stał się niezdolnym do czynu, stracił świeżość wrażeń w medytacyi, filozofowaniu, ciągłe usiłowania zrozumienia przyczyn, wnikania w istotę rzeczy, parcie się do świadomości uważa za źródło bankructwa moralnego jednostki. Potężny a systematyczny rozwój naszéj inteligencyi, naszych władz umysłowych, sprawia, że tracimy równowagę życiową, że się czujemy nieszczęśliwymi. Nie łatwą było rzeczą tezę taką wcielić w osobę powieściowego bohatera, bo by należało istotnie pokazać człowieka bujającego po wyżynach wiedzy. Ów Jacques Bernys pochlebia sobie widocznie, natomiast, oskarżając się o nadmiar inteligencyi. Nie udowodnił jéj w niczém. Rozbierał chorobliwie swoje najprzelotniejsze uczucia, ale taka hyperkrytyczność, prowadząca do mizantropii, nie może być uważana za jednoznacznik szerokiéj inteligencyi twórczéj. Autor nie przekonywa nas tedy bynajmniéj, gdy sądzi, że społeczeństwo współczesne choruje na nadmiar wiedzy. Nie zarzucimy mu, że się bije z wiatrakami i żąda niepodobieństwa. Ludzkość nie ma już przed sobą alternatywy wyboru i nie może powrócić nigdy do stanu biernéj wegetacyi umysłowéj. Ale możemy zająć właśnie wręcz przeciwne mu stanowisko i powiedzieć, że niski, niedokładny stan wiedzy współczesnéj pozbawia nas pewności moralnéj i czyni istotami chwiejnemi. Wiedza w obecnym swym szczeblu rozwojowym nie chce i nie może by pozytywną. Doświadczenie pokazało jéj fałsz i złudę owych rzekomych prawd i pewników, któremi dawniéj karmiła się ludzkość. Aby takich pomyłek uniknąć, nauka teraźniejsza ogranicza się do cząstkowych zdobyczy, do przelotnych postępów, zostawiając syntezę dalekim pokoleniom przyszłości. Czynić ją odpowiedzialną za jéj oględność i sumienność jest prawdziwém niezrozumieniem jéj natury i zadania. Obecne pokolenia, zrewolucyonizowane nagromadzonemi około nich ruinami, znajdować mogą pociechę raz w wyższości swéj umysło-

wéj nad dawniejszemi pokoleniami, całkiem żyjącemi w obłędzie, a następnie w poczuciu solidarném z przyszłemi, dla których dobra i światła pracują.

Dyagnoza p. Spronck'a, składająca winę na wiedzę, nie wytrzymuje krytyki. Surowiéj jeszcze wyrazić się mamy prawo o teoryach p. Maurycego Barrès'a, wyłuszczonych w drobnych broszurkach i pamfletach i w seryi powieści ideologicznych, bezimiennych i rozbierających zagadnienia psychiczne i socyologiczne. Powieści te narobiły wiele wrzawy w inteligentnych kółkach i koteryach Paryża, a przyczyniła się do niéj nietylko paradoksalność umysłowa autora, wykolejającego jakby umyślnie czytelnika dobréj woli prawdziwemi niedorzecznościami, ale i teoretyczna mglistość, którą ci i owi brali za głębokość. Po napisaniu trzech tomów, noszących tytuły: *Sous l'oeil des barbares— Un homme libre — Jardin de Berénice*, autor sam uznał potrzebę wyłuszczenia swéj idei przewodniéj. Wystarczy streścić tę osobistą jego glossę, aby go zupełnie zrozumiéć. Dopełnił zresztą i uwieńczył swoje teorye w ostatnim téjże natury utworze noszącym tytuł *Ennemi des lois*.

Maurycy Barrès przedsięwziął pisać romanse metafizyczne. Każda metafizyka musi posiadać ideę zasadniczą. Jego idea zasadnicza jest uczczenie swojéj własnéj „osobistości". Ten *culte du moi*, albo, jak go określono sprawiedliwie, ta *exespération du moi*, nie ma miéć nic wspólnego ze sceptycyzmem i autor zarzeka się, że nie pozostaje bynajmniéj na stanowisku krytycznéj negacyi, lecz, że przeciwnie, przynosi metodę dodatnią do poznania świata. Chcąc w formie powieściowéj przedstawić pojęcie, jakie sobie o świecie czynią ludzie dnia dzisiejszego, autor potrzebował trzech tomów. W pierwszym *Sous l'oeil des barbares* przeciwstawił owe *ja* światu, co je otacza i który względem niego jest barbarzyńcą, t. j. potęgą nieprzyjazną. Nie ma w życiu nic stałego, nic niezaprzeczenie posiadającego istnienie, oprócz naszego własnego *ja;* o niém wątpić nie możemy. Owo *ja* potrzebuje się wydzielić z pośród obcych pierwiastków i wytworzyć swoją odrębność. Przychodzi mu to z trudnością, gdyż znajduje się w ciągłém zetknięciu i zależności od otaczających indywidualności. W pierwszym tomie bezimienny bohatér powieści nabywa tedy świadomości swojego *ja* naprzód przez obcowanie wśród książek i autorów, następnie wśród wybryków młodocianych w Paryżu. Autor uważa za szczęśliwy pomysł to rozgraniczenie indywidualności swego bohatera od otaczającego go świata i w krótkiéj bezbarwnéj narracyi opowiada wypadki, jakie zaszły, kiedy on w długich komentarzach opisuje wrażenia i sądy, wywołane przez nie w bohaterze. Trzeba odczytać ową

pierwszą część trylogii w świetle krytyki, podanéj przez samego autora, żeby ją zrozumiéć przynajmniéj przybliżenie; dla zwykłego czytelnika była i będzie słowami i obrazami tak nikłemi, że się z pod wszelkiego rozbioru uchylają.

W drugiéj części trylogii, noszącéj tytuł *Un homme libre*, moglibyśmy tedy oczekiwać osobistości już ukształtowanéj, swojéj odrębności świadoméj, która, wchłonąwszy w siebie wszystkie pierwiastki człowieka, do asymilowania zdolne, uszlachetniona przez wiedzę i zetknięcie się z arcydziełami sztuki, staje do męskich, do obywatelskich czynów gotową. Ale zamiast tego, autor wolał nam dać genezę wytworzenia się owego człowieka wyswobodzonego. Jesteśmy świadkami, jak się jego *ja* wyosabnia i kształtuje od zewnętrznego świata niezależnie. Bohatér, ciągle bezimienny, jedzie wraz z przyjacielem do samotnéj rezydencyi wiejskiéj i tam oddają się obaj medytacyom nad swym charakterem, temperamentem, skłonnościami. Ten egzamin sumienia, prowadzony podług metody Ignacego Loyoli, przeplatany prostemi i nieprzyzwoitemi szczegółami, odnoszącemi się do hygieny, trawienia i t. d., ma jako karm' umysłową, odczytywanie pism Beniamina Constant'a i Sainte-Beuve'a! W ten sposób, dochodzić ma on do najwyższego wydoskonalenia swojego *ja*, wyzwala się z wszelkiéj zależności i wpływu od reszty świata, czuje swą własną wartość, wielkość, świętość *(sic!)* i po owym nowicyacie, podzielonym na dwa stadya, pobyt w Lotaryńskiéj samotni, w Medyolanie i Wenecyi na studyach malarzy włoskich, ma w sobie nareszcie wszystkie siły do powrotu pomiędzy ludzi. Nie będzie on nimi gardził, ale uważał, jako istoty innéj zupełnie natury i o nich nigdy się nie troszczył.

Możemy jednym skokiem przejść do ostatniéj części — *Jardin de Bèrénice*. Bohatér, który nareszcie został ochrzczony imieniem Filipa, pobudzony do czynu, obiéra sobie jako zawód — być deputowanym stronictwa Boulanger'a. Możnaby w tém widziéć nowe dziwadło, gdybyśmy sobie nie przypominali, że w rzeczywistości takie było stanowisko, jakie dla siebie samego obrał był p. Barrès Nie ma potrzeby streszczać téj powieści, gdzie autor coraz więcéj grzęznie w symbolu. Widzimy tam przeciwnika, kandydata, który się jednocześnie z nim o względy masy ubiega, uosabiającego płaskość i pospolitość; widzimy Bérénicę, skalaną dziewczynę, która w swojéj bezwiednéj prostocie uosabia, albo ma uosabiać duszę ludu. Filip rzuca ową duszę, sobie drogą, w objęcia przeciwnika i wkrótce umiéra ona. On sam, zniechęcony do zawodu politycznego, z chwilą, w któréj go posiadł, stara się o koncesyę hipodromu podmiejskiego.

Czytelnik, który miał cierpliwość iść za nicią téj osnowy, mógłby nas posądzić, że przedstawiamy mu, jako poważny utwór filozofującego pisarza—bezmyślny wybryk szaleńca. Byłoby to podejrzenie niesłuszne. P. Maurycy Barrès myśli i pisze na seryo. Można ubolewać, że symbole, któremi się posługuje, są tak ciemne, tak trudne do zrozumienia, iż się niełatwo da myśl przewodnią pochwycić. Ale jedna myśl dominująca, jedna zasada daje się wszelako z jego utworu wyprowadzić. Skoro nie ma wśród świata nic prawdziwego, skoro nie ma ani idei, ani przewodnika, na którymby jednostka mogła się oprzéć i skoro nie pozostaje mu wskutek tego, jak podnieść do najwyższéj potęgi swoje własne *ja*, osłonić je i zabezpieczyć przed wszystkiemi ubocznemi wpływami, zatém to nasze osobiste *ja* jest samo dla siebie świętością i jest upoważnione dawać samo sobie prawa. Taka doktryna nosi znaną nazwę: jestto anarchia. P. Barrès jest powieściowym wykładnikiem anarchii. Znaleźlibyśmy potwierdzenie tego sądu, rozbiérając bliżéj jego ostatni utwór „Nieprzyjaciel praw". Nie widzimy jednak tego potrzeby.

Kierunek piśmienniczy, za którego rozwojem szliśmy, doprowadził nas do ostatniego ogniwa. Sam czytelnik będzie w stanie go osądzić. Naszém zadaniem było dostarczyć mu do niego materyałów. Renan powiedział: *La France meurt des gens de lettres*. Uwaga to głębokiéj prawdy, gdy ją zastosujemy do pisarzy, kruszących ideały moralne, a stawiających na ich miejscu albo sceptyczny znak zapytania, albo anarchiczne rozprzężenie osobników.

N. T.



O POGLĄDACH FILOZOFICZNYCH

Jana Śniadeckiego.

(„Jan Śniadecki wobec współczesnéj metafizyki niemieckiéj i dzisiejszych dążeń filozoficznych", krytycznie przedstawiony przez d-ra Aleksandra Skórskiego, str. 302, 8°, we Lwowie, Gubrynowicz i Schmidt, 1890).

Autor téj sumiennéj i gruntownéj monografii, już w r. 1873-im wydał dysertacyę o filozofii Jana Śniadeckiego i otrzymał za nią stopień doktora filozofii. Wówczas w pochlebnéj dla autora recenzyi profesor Struve wyraził pragnienie, aby dr. Skórski powrócił do tematu swéj pracy i rozwinął swój szkic w obszerniejszém dziele („Wiek", 1873, nr. 114). Dopiéro po 17-tu latach stało się zadość temu i obecnie mamy przed sobą obszerną monografię, określającą nietylko treść filozoficznych poglądów Śniadeckiego, ale też i stosunek tych poglądów do pokrewnych im zapatrywań dawniejszych lub późniejszych pisarzy.

Stanowisko filozoficzne autora, wskazane w przedmowie, jest zależném od głównego kierownika jego pierwszych studyów, prof. Euzebiusza Czerkawskiego. Wpływ ten, szczerze przyznany w kilkanaście lat po opuszczeniu uniwersytetu, świadczy z jednéj strony o stałości przekonań autora, a z drugiéj o potędze pedagogicznéj długoletniego profesora filozofii w uniwersytecie lwowskim. Dla postronnych jednak osób, które nie korzystały z wykładów prof. Czerkawskiego, wielkąby dr. Skórski oddał przysługę, jeśliby trochę dokładniéj dał do zrozumienia, na czém to stanowisko polega, bo prof. Czerkawski bardzo mało

jest znany w literaturze filozoficznéj, a nawet wcale nieznany do roku 1889, jeśli mamy ufać bibliografii Estreichera.

Bliższe określenie swego stanowiska filozoficznego autor chciał nam dać, wskazując Lotzego, Dühringa i Wundta jako pisarzy, których dzieła przedewszystkiém na jego zdania wpłynęły. Ale i ta wskazówka w kłopot wielki wprawia czytelnika. Lotze był wprawdzie znakomitym filozofem i doskonałym przewodnikiem dla każdego pragnącego przyswoić sobie rezultaty współczesnéj filozofii. Ale Dühring i Wundt w zasadniczych kwestyach filozofii wyznawali przekonania wręcz przeciwne tym, których bronił Lotze. To też sam autor wypiéra się etyki Dühringa, konsekwentnie zaś musiałby w podobny sposób ograniczyć swoje uznanie dla Wundta. Jeśli w ten sposób pojmiemy stanowisko filozoficzne autora, jako zbliżone głównie do Lotzego, to zdaje się, że i ocena Śniadeckiego w całości potwierdzi nasz wniosek. Jestto stanowisko zupełnie inne, niż to, które zajmował Jan Śniadecki.

Jan Śniadecki, jak autor trafnie wykazuje, uważał zmysłowe wrażenia za podstawę wszystkich pojęć — krytykę Kanta za obłęd umysłu ludzkiego; nowsi zaś filozofowie, do których dr. Skórski należy, uważają krytykę Kanta za jeden z największych pomników filozofii, pojęcia zaś bynajmniéj nie za przeróbkę wrażeń zmysłowych, tylko za wynik od zmysłów niezależnéj działalności rozumu. Jan Śniadecki, równie jak Comte, uważał filozofię za rezultat porównawczego badania wszystkich nauk, — my zaś z autorem uznajemy filozofię za umiejętność niezależną, za podstawę wszelkiego umiejętnego badania. Jan Śniadecki wiarę religijną odłącza zupełnie od filozofii, i sądzi, że ludzkość zawsze będzie musiała bezwarunkowo wierzyć w mnóstwo prawd dla ścisłéj wiedzy niedostępnych—współczesna zaś filozofia nie zna takich granic wiedzy, i usiłuje naukowo badać i dowodzić wielu utwierdzeń, dawno już przez wiarę rozpowszechnionych.

Autor widzi główny cel filozofii Śniadeckiego w metodologii, i dostrzega źródło tych metodologicznych dążeń we wpływie, jaki na Śniadeckiego wywarła filozofia francuska XVIII wieku, a szczególniéj D'Alembert, którego Śniadecki czcił do końca życia (str. 24). Już w pierwszéj swéj pracy (O nauk matematycznych początku, znaczeniu i wpływie na oświecenie powszechne, 1781 r.) Śniadecki pojmuje istotę wiedzy tak samo jak D'Alembert, z którym w Paryżu łączyły go ściślejsze stosunki. „Umiéć co, jestto poznawać związek między rzeczami szczególnemi, wyciągnione stąd rozumowania znowu łączyć i stosować między sobą, a z nich powszechne wyciągać początki, które nas prowadzą do znajomości praw w naturze, a które oraz składają istotę miejętności, dając nam jednném wejrzeniem rozumu ogarniać niezliczo_

ne okoliczności i przypadki, które o zmysły uderzają" [1] (t. III, str. 168 wydania pism Jana Śniadeckiego przez M. Balińskiego).

Autor zwraca uwagę na pokrewieństwo zapatrywań Śniadeckiego i Comte'a, pod tym względem, że obaj unikali filozoficznego badania takich pojęć jak czas, przestrzeń, substancya, ruch, materya, liczba i traktowali je tylko tak, jak są używane w poszczególnych naukach przyrodniczych. Jednak Śniadecki wznosi się nad Comte'a o tyle, że czuje potrzebę psychologii i logiki, które u Comte'a jako osobne nauki podstawy nie mają. Słusznie autor uwydatnia podobieństwo, jakie zachodzi między Śniadeckim a Millem, ale trudno się zgodzić na to, że Mill był jedynie „najpopularniejszym uczniem Comte'a." Mill, choć jego logika istotnie była przecenianą, nietylko stoi znacznie wyżéj od Comte'a, ale także zawsze był w swych poglądach niezależnym, i o tyle tylko miał uznanie dla Comte'a, o ile kierunek myśli Comte'a z jego własnym kierunkiem się godził. Mill, ten szczególny w historyi nauk przykład najstaranniejszego i systematycznego wychowania, człowiek znajdujący się w ścisłym związku ze współczesnemi prądami, niesłusznie jest przez autora postawiony w jednéj linii z samoukiem, odludkiem, wrogiem ekonomii politycznéj, również jak i logiki, twórcą współczesnego pozytywizmu.

Dokładniéj autor rozbiéra stosunek Śniadeckiego do Kanta. We wszystkich dziełach Śniadeckiego, nawet w jego listach widnieje istotna nienawiść względem wielkiego mędrca królewieckiego.

Przytaczając dowody téj nienawiści, wspomina dr. Skórski ciekawy ustęp w listach Śniadeckiego wydanych przez Kraszewskiego [2]. Dnia 22 października 1814 roku pisze Śniadecki z Wilna do Mecherzyńskiego: „zaraził Kraków nieszczęśliwy kantyzm, który, gdy już wszędzie wyśmiano i wypędzono, znalazł w Krakowie przytułek." Zdanie to jest dlatego ciekawém, że właśnie podówczas w dziesięć lat po śmierci Kanta, prawie cała filozofia niemiecka była oparta na nim, i trzeba było wielkiego uprzedzenia, albo nieznajomości rzeczy, żeby tak sobie lekceważyć ojca filozofii XIX wieku. Autor nie rozbiéra dokładniéj kwestyi skąd się ta osobista prawie nienawiść wzięła, która Śniadeckiego doprowadziła nawet do śmieszności, gdy w swym liście z 20 kwietnia 1806 r. Czackiego upominał, aby młodym ludziom wysyłanym zagranicę w celach naukowych, nie pozwalać tracić czasu na po-

---

[1] Ustęp ten jest przytoczony przez d-ra Skórskiego z opuszczeniami, na których wiele traci, i z błędem ogarnąć, zam. ogarniać.

[2] „Listy Jana Śniadeckiego". Poznań. 1878, str. 193. Dr. Skórski cytuje ten ustęp, ale nie przytacza go.

znanie filozofii Kanta. Ustęp z tego listu zacytowany, ale nie przytoczony przez d-ra Skórskiego, zasługuje na przytoczenie, bo rzuca osobliwe światło na wyobrażenia Śniadeckiego o Kancie. Pisał on [1]: „filozofia Kanta jestto symptoma paroxyzmu i prawdziwa zaraza na umysł ludzki; dotknąwszy Niemcy północne zrobiła kilkaset waryatów; inne rozsądniejsze narody uniknęły téj choroby. Dlaczegóż chcemy zarażać Polaków marzeniami dawnych idealistów w nową nomenklaturę przebranych? Przędzę exagerowanych abstrakcyi, utkaną dystynkcyami wywietrzałéj metafizyki i terminami ciemniejszemi jedne jak drugie, bo nie mającemi znaczenia w rzeczach, nazwano filozofią, którą chciano zrobić jak kamień probierczy wszystkich umiejętności i nauk; chcąc oświecać ludzi, zbudowano dla nich otchłań ciemności i tam ich chciano pogrążyć."

Dr. Skórski nie uwzględnia zapatrywania dawniéj wyrażonego przez Teofila Ziembę [2], według którego w znacznéj mierze antypatyę Śniadeckiego do Kanta przypisać należy wpływowi I. H. Federa, którego filozoficznych wykładów słuchał Śniadecki w Getyndze, gdy, mając lat 22, w r. 1778-ym wyjechał zagranicę, aby się przygotować do objęcia profesury w Akademii krakowskiéj. Wtedy wprawdzie Krytyka czystego rozumu nie była jeszcze wydana, ale już w dysertacyi *De mundi sensibilis atque intelligibilis forma et principiis* (1770) Kant wyraził był niektóre zasadnicze poglądy swéj filozofii. Wiadomo zaś, jak późniéj Feder, dosyć powszechnie uznany podówczas autor podręczników filozoficznych, przyczynił się do wydania owéj słynnéj pierwszéj recenzyi Krytyki czystego rozumu w *Göttinger gelehrte Anzeigen* [3]) i późniéj do współki z Meinersem wydawał przeciwko Kantowi „Bibliotekę filozoficzną". Otóż jeśli Śniadecki czytał te dzieła, co jest dosyć prawdopodobném, skoro słuchał wykładów Federa, to bardzo

---

[1]) M. Baliński. „Pamiętniki o Janie Śniadeckim". Wilno, 1865, tom I, str. 398.

[2]) Teofil Ziemba. „Jan Śniadecki na polu filozofii". Kraków, 1871. Trudno pojąć dlaczego p. Skórski, tak szczegółowo uwzględniając zdania prof. Straszewskiego i prof. Struvego, zupełnie pominął tę rozprawę, która jakkolwiek niezbyt obszerna, z uznania godną ścisłością wskazuje literaturę o Śniadeckim, i szczególniéj rozbiéra stosunek Śniadeckiego do Kanta i kantystów. Czyżby dr. Skórski nie uznawał za pierwszy warunek wszelkiéj istotnie naukowéj pracy możliwie wyczerpujące poznanie literatury przedmiotu? Czy też uszła jego uwagi rozprawa p. T. Ziemby, drukowana na dwa lata przed pierwszą jego dysertacyą?

[3]) Autorem recenzyi był Garve, ale Feder ją poprawił, uzupełnił i jako profesor uniwersytetu w Getyndze, wydrukował w wydawnictwie krytycznêm tegoż uniwersytetu.

być może to pierwsze wrażenie pozostało mu na całe życie, tém bardziéj, że w późniejszym wieku ciągle zajęty sprawami administracyjnemi uniwersytetów, do których należał, nie wiele miał czasu na czytanie Kanta. Dr. Skórski nie rozstrzyga, a nawet nie uwzględnia także drugiéj kwestyi podniesionéj przez T. Ziembę, a przed nim przez Chłędowskiego, mianowicie z jakich źródeł Śniadecki zaznajamiał się z filozofią Kanta. Bo że nie zawsze znał go z pierwszéj ręki, o tém świadczy, jak trafnie spostrzegł T. Ziemba, zupełnie na seryo wyrażone przez Śniadeckiego twierdzenie, że Kant stworzył nazwę kategoryi, i że ustanowił takich kategoryi aż dwadzieścia pięć! (Śniad., „Dzieła”, t. III, str. 220, w rozprawie o Metafizyce).

Dr. Skórski natomiast wskazuje inne źródło, skąd Śniadecki mógł czerpać, mianowicie J. H. Jacobiego, którego Śniadecki dwukrotnie przytacza na poparcie swych twierdzeń.

Znany filozof J. H. Jacobi był jednym z głębszych krytyków Kanta, i podzielał zamiłowanie Śniadeckiego do filozofii szkockiéj. Dr. Skórski porównywa główne zarzuty Jacobiego z zarzutami Śniadeckiego i dochodzi do wniosku, że z Jacobiego czerpał uczony swe główne argumenty przeciwko filozofii Kanta. Także błędne pojęcie ścisłéj solidarności między niemieckim idealizmem początku XIX-go wieku a filozofią Kanta zawdzięcza Śniadecki Jacobiemu. Błąd ten w polemice Śniadeckiego grał wielką rolę, jak słusznie uwydatnia autor: „właśnie około téj mniemanéj tożsamości Kanta z Fichtem, Schellingiem i Heglem z jednéj, a szkołą romantyczną z drugiéj strony, obraca się cała na wylot ujemna krytyka Śniadeckiego wywarta na Kancie, a uprzedzenie to przebłyska ze wszystkich niemal słusznie czy nie słusznie podniesionych przeciwko niemu zarzutów.”

Po przedstawieniu stosunku Śniadeckiego do współczesnéj mu metafizyki niemieckiéj, zwraca się autor do wykazania stopniowego rozwoju filozoficznych zapatrywań samego Śniadeckiego. Po rozprawie „O nauk matematycznych początku” mija lat trzydzieści, nim Śniadecki znowu o filozofię potrącił w mowie „O instrukcyi religijnéj” (1811 r.). Śniadecki, jako rektor uniwersytetu wileńskiego, usiłuje przekonać młodzież, „że bez czystéj religii nie masz skutecznéj w ludziach siły na powściągnienie gwałtownych poruszeń namiętności i na zabezpieczenie od nich towarzyskiego porządku.” Ale ta „czysta religia” ma obudzać namiętność, gdyż według zdania Śniadeckiego „namiętność nie pokonywa się skutecznie tylko drugą namiętnością mocniejszą”. Słusznie dowodzi autor, że takiém pojmowaniem religii wyklucza Śniadecki przewodnictwo rozsądku ze wszystkich dzieł ludzkich. To téż nic dziwnego, że jako rektor wileński zmuszał Śniadecki

nauczycieli do spowiedzi wielkanocnéj [za co go pochwalił K. Dorszewski w mowie, mianéj we Żninie przy odsłonięciu pomnika braci Śniadeckich 24 maja 1866 r. [1])].

Autor uwydatnia okolicznościowy charakter pierwszych wystąpień Śniadeckiego na polu filozofii. Z początku chodziło mu głównie o polemikę z metafizyką niemiecką, a także o metodologiczne kwestye, wynikające z badań matematycznych lub przyrodniczych. Za warunek do napisania dobréj logiki uważał znajomość niepospolitą nauk ścisłych, osobliwie matematycznych i fizycznych, „bo tam najlepiéj się czerpają i wyświecają prawidła porządnego lub błędnego myślenia.” „Długoletnia rozwaga przedmiotów naukowych — pisze dr. Skórski — i dokładna znajomość dziejów ważniejszych pojęć umiejętnych, żywo już odczuć dały niezbędną potrzebę nieznanego mu jeszcze w żadnéj literaturze osobnego dzieła, któreby funkcye logiczne naszego umysłu łącznie z psychologicznemi ich warunkami wykładać miało.”

„Tym sposobem dawniejsze jego, tylko okolicznościowe refleksye metodologiczne, poczynają się już skupiać w jedno ogniwo, a coraz większe zajęcie się metodycznemi pytaniami w późniejszych jego pismach także dostrzegać się daje” (str. 89). Rzecz „O rachunku losów” czytana na sesyi literackiéj uniwersytetu wileńskiego, znamionuje znaczny postęp w metodologicznych poglądach Śniadeckiego, bo z szerszego stanowiska niż dotychczas, różne drogi dochodzenia prawdy są tu uważane i na stopień pewności każdorazowych myśli, tłomaczących przejawy świata lub życia ludzkiego, większy położony nacisk.”

Jednak tu, jak i w poprzednich pracach, Śniadecki nigdy nie zadał sobie tyle trudu, ażeby poprzéć szczegółowemi dowodami nadto stanowcze i ogólnikowe swoje twierdzenia. „Ale filozofia z samych twierdzeń złożona, nigdy filozofią właściwą nie jest, bo wykracza przeciwko pierwszym wymogom logicznym każdéj umiejętności.” Dlatego autor odmawia Śniadeckiemu prawdziwych zasług na polu saméj filozofii, przyznaje mu „większą samodzielność w pojmowaniu zadań logiki umiejętnéj, o ile ta nauka jest naturalnym wypływem głębszego ogarnienia wytworów ducha ludzkiego, o ile jest świadomém uchwyce-

---

[1]) K. Dorszewski. „Mowa na cześć Jana i Jędrzeja Śniadeckich ze Żnina”. Poznań, 1866. Mowa ta, rzucająca pewne światło na religijne zapatrywania Jana Śniadeckiego i opatrzona w druku licznemi przypiskami, również została pominięta przez d-ra Skórskiego, jak i rozprawa T. Ziemby. Przy szczupłéj u nas literaturze filozoficznéj, nawet drobniejsze prace na polu ojczystéj filozofii powinnyby zawsze być uwzględniane.

niem tych wszystkich jego formalnych sposobów, jakich się bezwiednie nawet trzyma w rozmaitych naukach."

Po tych ogólnych i obszernie uzasadnionych uwagach o poglądach filozoficznych Śniadeckiego, przystępuje autor do szczegółowego wyłożenia tych poglądów na przeszło 200 str. ścisłego druku w ósemce. Znajdujemy tu wykład szczegółowy teoryi logicznych Śniadeckiego i ich stosunku do innych filozofów. Mówiąc o współudziale wyobraźni w poznawaniach naszych, przypisuje autor Śniadeckiemu, że on pierwszy wypowiedział zdanie o logicznéj doniosłości wyobraźni. Otóż tutaj ulega autor wpływowi autorytetu jednego ze swoich „przewodników", wymienionych w przedmowie Dühringa, który jakoby „dawno u nas uznane ważniejsze znaczenie wyobraźni dla umiejętności dopiéro wymownie utrwalił" (str. 234). Istotnie Dühring w swym *Cursus der Philosophie* przypisuje sobie bardzo śmiało tę zasługę, skarży się, że doniosłość wyobraźni dla nauki jest niedostatecznie uznana i sądzi, że „siła twórcza fantazyi matematycznéj ledwie wzmiankowaną była co do swego znaczenia dla systemu pełnéj rzeczywistości, a zgoła dostatecznie zbadaną nie została"[1],— „dotychczas uwzględniano tę genetyczną siłę tylko co do fantazyi estetycznéj, fantazya zaś w umiejętnościach pozostała aż dotąd mało znaną, lub téż w podejrzanych jedynie wyrażeniach uwzględnianą rubryką".

Takie przechwałki u Dühringa nas nie dziwią, bo połowa jego dzieł ma za jedyne zadanie uwydatnienie ogromnéj w jego oczach doniosłości jego własnych dzieł i zapatrywań. Dühring cierpi oddawna na manię wielkości i nie rachuje się nigdy należycie z literaturą przedmiotów, o których pisze, jak mu to specyalnie na polu nauk społecznych udowodnił Engels. Ale autor, badający zapatrywania Śniadeckiego, łatwo mógłby się przekonać, że w dziele, wielce przez Śniadeckiego cenioném, w wielkiéj Encyklopedyi Diderota, już można znaleść wyraźną wskazówkę roli wyobraźni w matematyce. W artykule o wyobraźni napisanym przez Voltaire'a [2], czytamy: „W matematyce praktycznéj widzimy zadziwiającą wyobraźnię, a Archimedes miał przynajmniéj tyle imaginacyi, co Homer". Tylko Voltaire, skromniejszy od Dühring'a i więcéj oczytany, niż niewidomy pisarz niemiecki, wcale tego spostrzeżenia za oryginalne swoje odkrycie nie podaje. Tak samo Herbart w swéj Psychologii, wydanéj w 1816 roku pisał (§ 92): „Twórczość wyobraźni w najobszerniejszém znaczeniu jest rzeczą za-

---

1) Dühring, Cursus der Philosophie. Leipzig, 1875, str. 44—46.

2) Encyclopedie ou dictionnaire raisonné des scienses. des arts et des metiers tome VIII, Neufchatel 1765, str. 561.

sadniczą we wszelkiéj wynalazczości. Do samodzielnego myślenia w umiejętnościach potrzeba tyleż fantazyi, co i do tworów poetyckich; bardzo wątpić można, czy Newton, czy téż Szekspir więcéj posiadali fantazyi". I Herbart nie podawał tego zdania za nowe, bo wiedział, że conajmniéj Kant przedtém już w swéj antropologii wyobraźnię wskazał, jako niezbędny warunek genialnych odkryć. Więc niesłusznie d-r Skórski Śniadeckiemu przypisuje zasługę odkrycia doniosłości wyobraźni w naukach. Również niesłusznie, ufając Dühringowi, skarży się na to, że jeszcze dziś prawda ta, oddawna odkryta, nie jest dosyć uznaną. Tak popularne dzieła, jak wykłady filozofii Rabier'a, teorya hipotez Naville'a, zawiérają to oddawna i ciągle powtarzają, że bez wyobraźni nic nowego w naukach odkryć nie można. Elementarne te podręczniki, uznając doniosłość wyobraźni, wcale jednak nie lekceważą pedagogicznéj wartości teoryi sylogizmu, jak Śniadecki, a za nim d-r Skórski, który znowu w téj mierze na Dühringa się powołuje. Dühring i tutaj nie jest kompetentnym, i gdyby znał piękne studya nad logiką dedukcyjną Stanley Jevons'a, pojąłby, że wykład i zastosowania téj teoryi nie zawsze są tak bezpłodne, jak u scholastyków.

Pomijając kwestyę wyobraźni i syllogizmu, w których autor staje po stronie Śniadeckiego, pod wpływem Dühringa, całe przedstawienie filozofii Śniadeckiego i krytyczna ocena jego zapatrywań w zupełności zasługują na uznanie. Jeśli w krótkich słowach mamy streścić pogląd autora na Śniadeckiego, powiemy: filozofem Śniadecki nie był, tylko logikiem, i to logikiem wielce niekonsekwentnym w najważniejszych dla logiki teoryach, jak np. w kwestyi stosunku wrażeń zmysłowych do pojęć ogólnych. Jako logik, więcéj badał warunki prawdopodobieństwa, niż prawdy i często dochodził z jednéj strony do sceptycyzmu, z drugiéj do zastąpienia pospolitą wiarą umiejętnego badania filozoficznego. „Filozofia umysłu ludzkiego była dla niego pracą przymusową, wynikającą raczéj z ambicyi, niż z prawdziwego do filozofii zamiłowania. Jednak w literaturze polskiéj Śniadecki na długo zachowa swoje znaczenie, jako przedstawiciel jednostronnego kierunku, który późniéj w ościennych literaturach wywarł wpływ tak wielki na umysły ogółu. Wpływ ten tłómaczy się tém, że jedno z głównych żądań przedstawicieli takiego pozytywizmu, mianowicie wymaganie ścisłéj łączności między filozofią, a poszczególnemi naukami, całkowicie zasługuje na uznanie wszystkich filozofów. Więc d-r Skórski, wybiérając sobie za przedmiot badania Jana Śniadeckiego i przedstawiając tak dokładnie zarówno jego teorye, jak i oceniając wartość tych teoryi, pomimo dosyć ujemnych rezultatów, jakie to badanie wykazało, zasługuje na naszą wdzięczność.

Ale o ile można przyjąć z malemi zastrzeżeniami treść dzieła d-ra Skórskiego, o tyle znowu forma pozostawia bardzo wiele do życzenia. Jasności i poprawności stylu od badanego przez się pisarza autor się nie nauczył. Prócz takich wyrażeń, jak „napotkać na trudności” (str. IX), „uprawiać na szersze rozmiary” (str. XII), „te na każdy sposób czysto umysłowe kombinacye”, „nie trzymałem się w rezerwie, tylko wobec takich zdań co do niejednych kwestyi, które ledwo nie powszechnie są dzisiaj uznane od takich uczonych, co żadnym skrajnym nie hołdują we filozofii zasadom lub kierunkom”—znajdujemy, (autor powiedziałby „znachodzimy”), jeśli przejrzymy (u autora „przeglądnimy”) całe dzieło, wiele zdań dosyć ciemnych, jak np.:

„Było to (dowiedzenie oryginalności Śniadeckiego) nawet rzeczą niepodobną, bo nie tylko nowych we filozofii kierunków nie wytyczy, ale i dobrym pisarzem filozoficznym nie będzie ten, kto nie zagłębi się w jeden zaokrąglony system i nie potrzebując bynajmniéj polegać we wszystkiém na zdaniu jego twórcy, nie rozpatrzy się przedewszystkiém w całym zakresie filozofii i nie zda sobie sprawy dokładnéj ze wszystkich zagadnień, odnoszących się tak do saméj nauki, jak i życia ludzkiego” (str. XI przedmowy). „Mając mówić o tym drugim rzędzie wiadomości ludzkich, który na wierze spoczywa, zamierzając się zastanowić nad tém drugiém rzekomo wiedzy naszéj źródłem, które obok doświadczenia i przestrzegania w teoretyczno poznawczém stanowisku Śniadeckiego nie pomocniczą tylko, lecz równorzędną z tamtą empiryczną drogą gra rolę, będąc nadto wypełnieniem tych niedoborów, jakie z tą ostatnią są najczęściéj połączone, nie mogliśmy pominąć historycznego stosunku Śniadeckiego do wiary religijnéj, która w innych pismach jest uwydatniona, a sama w sobie pozostanie zawsze niejako prototypem wszelkich, nazwą wiary w przeciwieństwie do wiedzy oddawanych kategoryi w stopniowym poznawań ludzkich rozwoju i w krytycznéj takowych uwadze” (str. 259).

Zaiste czytanie takich próbek stylu jest cięższą gimnastyką umysłową, niż teorya sylogizmu, którą autor razem ze Śniadeckim i Dühringem za „średniowieczny ballast” (str. 180) poczytuje.

Prócz samego stylu, także zewnętrzny układ dzieła utrudnia czytelnikowi korzystanie z zawartych w niém cennych wywodów. Treść rozdziałów jest bardzo krótko podana tylko na początku każdego rozdziału i to w ten sposób, że np. rozdział V-ty, obejmujący str. 94, jest streszczony bodaj na pół stronicy (może trochę więcéj). Wobec wielkiego postępu nawet w zewnętrznéj formie dzieł naukowych, dziś nie

należałoby już wydawać tak obszernych monografii bez jasnych i szczegółowych wykazów treści, alfabetycznych spisów nazwisk cytowanych autorów i krótkiego zestawienia wyników, do których autor dochodzi. Kto chce się przekonać, czy d-r Skórski uwzględnił jakie dzieło, jest zmuszony przejrzéć stronica za stronicą całą książkę. Kto chce odnaleść jakiś ustęp, na którego treści mu zależy, również musi długo przewracać kartki, nim natrafi na to, czego szuka. Uchodzić mogła taka metoda w dawnych foliałach XV — XVI-go wieku, gdzie nawet tytułów często drukiem nie wyróżniano, bo wtedy książek było tak mało, że miano czas je czytać po kilka razy. Ale dziś, gdy nawet w obrębie ściśle naukowéj literatury przybywają corocznie dzieł tysiące lub setki, każdy ma obowiązek czytelnikowi ułatwić oryentacyą w swém dziele, i żałować wypada, że w téj formalnéj sprawie nie poszedł autor za przykładem Dühringa, którego zapatrywania tak ceni. Téj bowiem zasługi nikt Dühringowi nie odmówi, że wielce ułatwia swym czytelnikom dowiedzenie się, co on w każdéj kwestyi myśli.

Zanadto natomiast autor kierował się przykładem Dühringa co do obojętności, z jaką traktuje literaturę przedmiotu. Tylko prof. Struve i prof. Straszewski zostali uwzględnieni, a o Ziembie, Dorszewskim, Filopolskim („Uwagi nad pismem Jana Śniadeckiego o filozofii” w „Pamiętniku lwowskim” za październik 1819 r.), Chłędowskim („O filozofii” w „Haliczaninie” 1830 r.), Szczeniowskim („Athenaeum”, tom IV, 1844 r.) wcale nie wspomina.

Wiadomo, że przy każdéj pracy naukowéj poznanie i uwzględnienie literatury przedmiotu należy do ciężkich i nudnych obowiązków, gdyż doświadczenie uczy, że często więcéj niż połowa, a czasem nawet dziewięć dziesiątych autorów, piszących o jakimś przedmiocie, wcale kompetencyi nie mają, lub téż bezmyślnie powtarzają przeczytane zdania, lub téż własne swe zdania tak wyrażają, że ich zrozumiéć trudno. Ale przecież od tego obowiązku usuwać się nie można, jeśli chcemy, aby trud nasz własny miał charakter pracy naukowéj. Tém się różni praca naukowa od artykułu literackiego, że uczony stara się wszechstronnie poznać przedmiot, o którym sądzi, i wyraźnie wskazać, co do pracy swych poprzedników dodać zamierza — literat zaś myśli o tém, jakby najpiękniéj wyrazić pewne myśli, niezależnie od tego, czy one co nowego do zbiorowéj pracy naukowéj dodają, czy nie. Wolno po literacku traktować każdą kwestyę filozoficzną, gdy się pisze tak jasno i dobitnie, jak bracia Śniadeccy, bo zawsze wtedy jeśli nie nauka, to literatura piękna coś na tém zyska. Ale nam chudopacholkom,

uprawiającym niewdzięczną niwę historyi pojęć, nie wolno odrywać się od związku z naszymi poprzednikami, ani ich lekceważyć, szczególniéj gdy mamy do czynienia z jakim filozofem narodowym, o którym literatura jeszcze nie urosła do tak bajecznych rozmiarów, jak literatura filozofów starożytnych. Niewątpliwie dr. Skórski poprzedników swoich wyprzedził, o wiele gruntowniéj badając poglądy Śniadeckiego niż ktokolwiek przed nim, ale dzieło jego zyskałoby wiele, gdyby pod względem formy dokładniéj odpowiadało słusznym wymaganiom.

Londyn, 15 marca 1894 roku.

W. Lutosławski.



Z przeszłości ludu wybranego.

I.

W przedmowie do niedawno wydanéj w języku polskim „Historyi Żydów," autor jéj, p. Nusbaum, zamieścił następującą ocenę pierwszego tomu dzieła Renana *Histoire du peuple d'Israël*, którego tom ostatni wyszedł późniéj już znacznie, po zgonie znakomitego pisarza francuskiego.

„Po przeczytaniu książki Renana — pisze p. Nusbaum — światły czytelnik, pod wpływem krytycznych poglądów wielkiego myśliciela na naiwne podania prastaréj Biblii, zadaje sobie mimowoli pytania: Jeżeli, podług Renana, Jehowa należy do jednego rzędu mytów z wszystkiemi bożkami bałwochwalczych ludów, to któryż jest prawdziwym Bogiem? Jeżeli podług Renana objawienie było tylko zwykłem zjawiskiem przyrody na szczycie Synaju często widzialném, to gdzież jest boskość synajowego prawa, stanowiącego podstawę wszystkich objawionych religii?... Jakkolwiek wyższe umysły, w ostatnich rezultatach nowoczesnych badań naukowych, mogą znaleść dla siebie zadawalniającą odpowiedź na te pytania, to jednakże dla szerszego ogółu prawowiernych wyznawców jedynego Boga, podania biblijne, tak jak je uznane powagi komentują, bez jaskrawo odbijających uwag sceptycznych, muszą stanowić jedyne tło do historyi Żydów."

Nie mamy potrzeby odgadywać, jakie znaczenie szanowny p. Nusbaum przywiązuje do wyrazów „prawowierni wyznawcy jedynego

Boga.” O ileby jednak stosować się one miały do wyznawców chrystyanizmu, o tyle zastrzedzby się należało, że obawy i drażliwości polskiego historyka mozaizmu są najzupełniéj płonne. Nawet w téj cząstce świata naukowego, która niezawisłość poszukiwań ściśle historycznych chce i umié godzić z bezwzględną uległością tradycyom kościoła powszechnego, przedmiot ten oddawna rozstrzygnięty został na stronę swobodnego posługiwania się tekstem starego i nowego testamentu w badaniach ściśle umiejętnych. Na wzór znanego orzeczenia Chrystusa: „Oddajcież tedy co jest cesarskiego cesarzowi, a co jest bożego Bogu” (Mat., XXII, 17) ustaliła się w piśmiennictwie ludów zachodnich metoda zdolna odróżnić w Piśmie Św. to, co należy do prawd objawionych, nie podlegających roztrząsaniu, od tego, co stanowi materyał dowolnych badań krytycznych. Oto np. jak się o téj rzeczy wyraża jeden z „najprawowierniejszych wyznawców jedynego Boga,” posłuszny syn kościoła katolickiego, a zarazem i najznakomitszy znawca hebrajszczyzny biblijnéj, Franciszek Lenormant. W znaném jego dziele *Les origines de l'histoire d'après la Bible* czytamy: „w ciągu więcéj niż dwudziestopięcioletniéj pracy, poświęconéj nauce, nie zdołałem znaleść istotnéj sprzeczności między nauką i religią. Dla mnie są to dziedziny najzupełniéj różne, nie stające z sobą do walki. Zatarg między niemi nastąpiéby mógł tylko w razie, gdyby jedna z nich wkraczała w sposób zaborczy, w zakres drugiéj. Prawdy ich nie należą do jednéj i téj saméj sfery. Mogą one istniéć współrzędnie bez spychania się wzajemnego. Co do mnie, nie zgodziłbym się na poświęcenie jednych dla drugich i nigdy potrzebować tego nie będę. We względzie specyalnych zagadnień nadmienię, że jakkolwiek święcie wierzę w boskie początki Pisma Świętego i z zupełném poddaniem podpisuję się pod doktrynalne postanowienia kościoła w tym względzie, to przecież wiem zarazem, że postanowienia te zasadę objawienia stosują jedynie do rzeczy obchodzących kościół, dotyczących wiary i obyczajów, to jest wyłącznie do nauki o sprawach nadprzyrodzonych, zawartych w Biblii. We wszystkiém innném ziemski i najzupełniéj ludzki charakter pisarzy biblijnych jest widoczny. Każdy z nich pozostawił niezaprzeczone ślady swéj indywidualności w stylu swéj książki. Z punktu widzenia nauk fizycznych nie posiadali pisarze ci żadnéj wiedzy nadzwyczajnéj, nadludzkiéj; trzymali się opinii ogólnych i nawet przesądów swojego czasu. Zadanie Pisma Św., według świadectwa kardynała Baroniusza, polega na pokazaniu nam co się dzieje w niebiosach, nie zaś jak się niebieskie ciała obracają. Tém mniéj chodzić w niém może o nauczenie nas, jak się wypadki odbywają na ziemi i jaka jest zmienność ich kolei. Duch Święty nie zaj-

mował się wykrywaniem przed nami praw naukowych, ani wykładem historyi powszechnéj. We wszystkiém tém pozostawił on świat do rozpraw ludzkich... *Tradidit mundum disputationibus eorum.*

Bardzo być może, że Renan w dziełach swych przekraczał niekiedy owo rozgraniczenie mniéj więcéj jasno i bezspornie wytknięte przez Lenormant'a. Wykładając po swojemu stary testament, ujrzał się on nieraz w położeniu owego pielgrzyma, o którym powiada ks. Szymon Kozłowski w przedmowie do wileńskiego wydania z r. 1888 „Biblii" Wujka: „Pismo św., uważane odrębnie od nauki powszechnego Kościoła, staje się dla człowieka tylko jakby owym listem prywatnym, znalezionym w obcych stronach przez p i e l g r z y m a, dla którego, jako nieświadomego celu, ni okoliczności, w jakich był pisany, nie może obudzać wielkiego interesu, ani wyświadczyć rzetelnéj przysługi". Pomimo wszakże „pielgrzymki" téj omylności Renana, nie trzeba znowu zbytnio przeceniać wypływających stąd przekroczeń. Prosty zbieg zdarzeń chronologicznych, oraz wielka w społeczeństwie naszém poczytność prac mniejszych mistrzów francuskich, przy całkowitéj niemal nieznajomości mistrzów większych, okryły imię głośnego autora „Życia Jezusa" grubym jakimś cieniem posądzeń o kierunek ateistyczny, antyreligijny, w gruncie rzeczy najzupełniéj mu obcy. Alboż może być co piękniejszego i zarazem pobożniejszego — w rozumném słowa znaczeniu — nad jego wyznanie wiary, którém się kończy wstęp do „Historyi ludu izraelskiego": „Religie poszczególne, równie jak i filozofie poszczególnie są wogóle zwodnicze i zmienne; ale religia w ogólności, tak samo, jak i filozofia jest wieczną. Bez nadziei jakiéjkolwiek nagrody człowiek zawsze gotów będzie złożyć swe życie na ołtarzu obowiązku. Ofiara niesprawiedliwości bliźnich podnosi oczy ku niebu. Uczynek wspaniałomyślny, po którym nie oczekiwano żadnéj korzyści osobistéj, zawsze nas wzruszać będzie do głębi. Bóstwa nie zamieszkują wśród wieczystych śniegów, nie spotykamy ich na szczytach gór; żyją one w sercu człowieka. Nigdy ich stamtąd nie wypędzicie. Sprawiedliwość, prawda, dobro — są wynikiem siły wyższéj. Doskonalenie wiedzy wychodziło na zgubę jedynie fałszywym bogom. Bóg wszechświata, Bóg jedyny, którego milujemy, spełniając dobry uczynek, lub szukając jakiejkolwiek prawdy, ugruntowany jest na wieki."

II.

Pogląd powyższy, sam przez się wymowny i wzniosły, nabiéra większego jeszcze znaczenia i wdzięku w zestawieniu z doktryną Rena-

na o pewnych właściwościach „ludu wybranego" i w ogólności rasy semickiéj. Zatrzymamy się nieco nad tym przedmiotem, gdyż stanowi on niezbędne filozoficzne oświetlenie zagadnień, które p. Nusbaum poruszył.

W najdawniejszém i najuczeńszém ze swych dzieł, mianowicie *Histoire des langues sémitiques*, Renan usiłował wytknąć zasadniczo różnice w plemiennym charakterze semitów z jednéj strony, aryów, czyli indoeuropejczyków, z drugiéj. Twierdził, że pod względem skłonności umysłowych, uzdolnienia cywilizacyjnego i instynktów moralnych, semici o wiele są niższymi od narodów szczepu aryjskiego, Greko-rzymian, Celtów, Germanów, Słowian, Persów, Hindusów i t. d. Rasę indoeuropejską uważa Renan za uprzywilejowaną z pomiędzy mieszkańców ziemi; wobec niéj semici tworzą plemię podrzędniejsze, które dziś podupada, niknie i ustępuje przed indo-europejczykami. Jednakże pomimo tego upośledzenia w walce o ostateczne rezultaty postępu, rasie semickiéj należy się chwała wytworzenia, w czasach najstarożytniejszych, takiego pojęcia o Bogu, które wszystkie narody, za jéj przykładem i pod wpływem jéj działalności posłanniczéj, przyjęły i uświęciły. Monoteiza (jedynobóstwo)—ostateczna i powszechna już dziś niemal forma religijności rodzaju ludzkiego, jest, zdaniem Renana, wytworem najbardziéj górujących, a przyrodzonych darów duszy i serca rasy semickiéj. Misya semitów na widowni cywilizacyjnéj zaczęła się i skończyła na rozpowszechnieniu naczelnego tego pierwiastku religijnego. Jest rzeczą znamienną, że mozaizm, chrystyanizm i mahometanizm, trzy religie monoteistyczne, które dotychczas odegrywały największą rolę w historyi świata, a odznaczają się specyalną cechą trwałości i wzrostu, powstały pomiędzy ludami semickiemi. Zaledwie kilka dni podróży — powiada Renan—oddziela Jerozolimę od Synaju, Synaj od Mekki...

Wyższość pod tym względem semitów jest widoczna. Zachodzi więc tylko pytanie: skąd płynie i na czém się zasadza ich niższość w stosunku do aryów? Odpowiada na to Renan, a raczéj odpowiadał przed laty 40-tu, że o ile religia jest wytworem wyłącznie życia i ducha semitów i o ile w tém właśnie zawiéra się ich misya historyczna, o tyle nawzajem powiedzieć trzeba, że filozofia jest wrodzoną właściwością rasy indo-europejskiéj. Od najdawniejszych do najświeższych czasów, od głębin Indyi do krańców europejskiego zachodu i północy aryowie usiłowali wytłómaczyć sobie bóstwo, wszechświat i człowieka z pomocą systematów rozumowych. Szkoły filozoficzne, biorące początek z Grecyi i Hindostanu, górują tak dalece potęgą dociekań umysło-

wych nad tém wszystkiém, co w tymże kierunku zrobili semici, że nawet religia tych drugich, wyznająca jedynego Boga, ma w sobie coś ciasnego, oschłego i jakby omylnego wobec głębokich i rozległych rzutów myśli aryjskiéj. Bóg semicki, odosobniony od świata, rządzi i rozrządza nim najdowolniéj, raz po raz mieszając się do zagadnień tego świata i regulując lub niwecząc prawa przez siebie postanowione. Ponieważ wyłączność i nietolerancya są nadto głównemi cechami umysłów semickich, niemożebnym przez to staje się wśród nich szerszy rozwój spekulacyi filozoficznych, wtedy, gdy u aryów swoboda myśli wypływa, jakby z wyższego poczucia przeznaczeń ludzkich i z szerszych widnokręgów umysłu. Z tych powodów Renan nie wahał się twierdzić, że semici w porównaniu do rasy indo-europejskiéj, przedstawiają niższy stopień uspołecznienia ludzkiego. Doskonale pojmując zasadę jedności, semita nie może się zdobyć na zrozumienie wielości i rozmaitości. To go upośledza na wszystkich pozycyach życia, w których wolność jest jedynym, wszechwładnym niekiedy regulatorem działalności ludzkiéj.

Jakiekolwiek byłyby zalety lub usterki historyozoficznego tego wywodu, odbijał on w sobie w sposób mglisty, a w założeniach najogólniejszych, tradycyjną i, że tak powiem, katechizmową tezę nauki kanoniczno-kościelnéj. Jakoż w istocie przedstawia nam Renan plemię na ogół upośledzone, rasę niższą, semicką, z któréj jednak wyłania się idea, przeznaczona świat ogarnąć, nad nim zapanować: monoteizm. Ideę tę wyłonił z siebie jeden z ludów tego plemienia,, lud żydowski wniosek stąd naturalny, że musiał to być lud „wybrany”. Pomimo to wszakże, jest rzeczą oczywistą, że niezwykła ta selekcya jest tylko względną: ciężar ogólnéj, nad plemieniem semickiém zawieszonéj klątwy nieudolności, nie przestaje dotykać Izraela. Stąd znowu wypływa pewnik, że jeżeli Żydzi, pomimo fatalizmu niższości swéj plemiennéj, wypychającéj ich ze szranków ogólno-cywilizacyjnych, dali ludzkości najwyższe dobro, najwyższą prawdę, najwyższe piękno, pod postacią wiary jedynego Boga, uczynili to nie z siebie, nie w moc przyrodzonych, wewnątrz etnicznéj swéj organizacyi złożonych zaczynów, lecz otrzymali to z zewnątrz z góry. Religia ich była religią „objawioną...”

Naturalnie, były to konkluzye nie dla wszystkich pożądane — i nie dziw, że wobec nich, w chwili ukazania się „Historyi języków semickich”, wywiązał się dokoła dwu postulatów Renana: 1) o upodrzędnieniu rasy semickiéj, 2) o cudowném wśród niéj rozbłyśnięciu zbawczéj zasady monoteistycznéj, spór tak żywy i gorący, że podziśdzień niektóre jego części nie są pozbawione żywotnego ciepła.

III.

Przeciw upośledzeniu rasowemu wystąpił między uczonymi jeden z najznakomitszych hebraistów, profesor w Collège de France Franck, który w rocznikach paryskiéj Akademii nauk moralnych i politycznych (*Seances*, 1856, t. IV, str. 372 i nast.) zamknął całą tę kwestyę w ramach tak ściśle ograniczonych, że z nich nie prędko, a może i nigdy już nie wydobędzie się ona na szersze pole rozpraw poważnych, naukowych. Podstawy rozumowań prof. Francka są dziś powszechnie znane i nie potrzebują bliższego wyświetlenia. Ograniczając pole dochodzeń do jednego tylko wieku XIX-go, nie trudno okazać, że semici we wszystkich dziedzinach pracy cywilizacyjnéj nie pozostają w tyle za aryami, że z nimi nader skutecznie i z powodzeniem współzawodniczą zarówno w sztukach, jak i w naukach ścisłych, zarówno w zawodach praktycznych jak i idealnych. Zobaczymy poniżéj, że Renan *tacite* ustąpił przed oczywistością tych faktów i według nich zmodyfikował dążność swych prac późniejszych.

To samo, co prof. Franck w jednym zakresie, uczynił Max-Müller (w r. 1860) z zagadnieniem o roli ludów semickich, jako wyłącznych piastunów idei monoteistycznéj. Oto jest najtreściwszy zarys głównych punktów téj krytyki stanowczéj i zdawałoby się nieodpartéj. Gdyby—pisał Max-Müller — twierdzenie o wrodzonym popędzie semitów do monoteizmu zjawiło się przed laty kilkudziesięciu, spotkałoby się niewątpliwie z niewielu zarzutami. Wyrazu „semita”, „semicki” używano wtedy w bardzo ograniczoném znaczeniu; obejmowano nim jedynie Żydów i Arabów. Mając tylko z dwoma temi ludami do czynienia, dość słusznie utrzymywaćby można, że indywidualném przeznaczeniem, przez Opatrzność wytkniętém tym ludom, jest czy téż było opowiadanie wiary w jedynego Boga. Dziś wszakże ród ten s e m i c k i rozrósł się znacznie i składa się z następujących dwu wielkich gromad: po pierwsze, z pasterskiéj gromady Arabów, Hebrajczyków i plemion, zamieszkujących kraje z Palestyną ościenne (zwanych pospolicie Terahitami); powtóre, z gromady semitów osiadłych, złożonéj ze społeczeństw Fenicyi, Syryi, Mezopotamii i Jemenu. Owóż, pytamy, azaliż możliwą jest rzeczą podprowadzać pod wspólny instynkt monoteistyczny wszystkie te ludy, wyznające bogów takich, jak Elohim, Jehowah, Sabaoth, Moloch, Nisroch, Rimmu, Nebo, Dagon, Ashtaroth, Baal albo Bel, Baal-peor, Baal-zebub, Chemosch, Milcom, Adrammelech, Annamelech, Nibhaz i Tartak, Ashima, Nergal, Succothbenoth, słońce, księ-

życ, planety, wszystkie firmamenty, wszystkie wzgórza i wypukłości gruntu?...

Max-Müller wątpi, ażeby jakiekolwiek kryterynm wspólne wierzeń religijnych było w takich warunkach łatwém do znalezienia. Być może, powiada, że schodząc od warstw górnych umysłowego i moralnego życia ludów semickich, do warstw coraz niższych i najniższych, wykryjemy wreszcie jakieś ślady jedności religijnéj, jakieś pierwiastki *quasi*-monoteistyczne, do nich wszystkich należące i wyłącznie ich tylko cechujące. Przypuśćmy z Renanem (powiada), że pierwiastkami temi będą nieokreślone jakieś, niepewne, powiewne wyobrażenia o bóstwie, ujęte w wyrazy *jah* lub *el*,—westchnienie, żądza, potęga, czy coś w tym rodzaju. W takim razie, z jakiego powodu Renan sądzi, że w tych wezwaniach, wykrzykiwanych przez najdawniejszych kapłanów semickich przed pagórkami z kamienia lub przed „świętemi" studniami w pustyni, brzmi zasadnicza nuta czystego i nieposzlakowanego jedynobóstwa? Zwłaszcza, na jakiéj podstawie przeczy on istnieniu takiéjże saméj nuty w jakiéjkolwiek pierwotnéj religii aryjskiéj, u Greków i Rzymian, u Niemców i Celtów, u Persów i Hindusów, u Słowian i Litwinów? Dlaczegoby owe domniemane ogólno-semickie *jah* lub *el* miały być bardziéj monoteistyczne niż staro-aryjskie, w Wedach zapisane *ah* (lub *az* zendzkie), *diu* lub *bagh?*... I skąd pewność, że semickie źródłosłowy imion „Jahweh" czy też „Jehowa" lub „Eloh", „Elohim", mają charakter bardziéj monoteistyczny, niż aryjskie źródłosłowy imion „Asura", „Diaus-pitar", „Bóg"... Bo, co się tyczy dowodu, opartego na późniejszym rozwoju jednobóstwa w mozaizmie, chrystyanizmie i mahometanizmie, jest on bez żadnéj wartości, przedewszystkiém dlatego, że mowa tu o ostatniéj, najnowszéj formacyi, a powtóre, że najgłówniejsze z tych zjawisk dziejowych—chrystyanizm, urosło i rozwinęło się do znaczenia powszechnéj religii cywilizowanego świata nie na semickim gruncie i nie w semickiém otoczeniu, lecz wśród aryów i na glebie aryjskiéj.

Oprócz tego, jest rzeczą uznaną jednozgodnie przez znawców starożytności hebrajskich, że semici, pomimo narzuconego im, czy też proponowanego tylko instynktu monoteistycznego, często bardzo wpadali w najgrubszy politeizm. Nawet Żydzi, lud wybrany, najwięcéj rzeczywiście przechylający się ku monoteizmowi, nieraz ściągali na siebie gniéw Jehowy, składając ofiary innym bogom... Renan jakby nie spostrzega, spostrzedz nie chce, że mówiąc ogólnie o całym narodzie izraelskim, stosuje swe spostrzeżenia właściwie tylko do jego arystokracyi umysłowéj. Abraham, Mojżesz, Eliasz, Jeremiasz niezawodnie głęboko wierzyli w jedynego Boga, ale fakt ten bynajmniéj jeszcze nie

świadczy o tém, ażeby i cały naród żydowski miał w sobie przyrodzony popęd do monoteizmu. Słowem (kończy Max. Müller), autor „Historyi języków semickich” okazał wielką erudycyę i dużo talentu, zbiérając skrzętnie wszystkie ślady jednobóstwa, przechowane w kronikach plemienia semickiego, lecz nie przyczynił się do odkrycia słabych co prawda na ogół, lecz w niektórych miejscach bardzo wyraźnych wskazówek co do istnienia politeizmu u pierwotnych, patryarchalnych pokoleń żydowskich.

IV.

Renan zapewnia o sobie w kilku autobiograficznych notatkach, rozrzuconych w jego dziełach, że z zarzutami krytyków liczył się zawsze skrupulatnie. Nie często wszakże, a przynajmniéj nie prędko, wpływały one na zmianę raz przez niego powziętych przekonań i kierunków. W lat cztery po uwagach prof. Francka, w lat trzy po recenzyi Max-Müllera, ukazał się pierwszy tom rozgłośnych jego „Początków chrystyanizmu”, a w nim dwa główne, wyżéj wytknięte tematy „Historyi języków semickich” utrzymane zostały,—nie można powiedziéć, żeby w pierwotnéj świeżości i mocy, w każdym jednak razie bez nadwérężeń organicznych. Świadczy o tém między innemi następujący zarys obrazowy, który śmiało uważać można za pośrednią odpowiedź Renana przeciwnikom.

Poezya duszy (są jego słowa), wiara, wolność, zacność, poświęcenie, zjawiają się na świat wraz z dwiema wielkiemi rasami, stanowiącemi w pewnym względzie ludzkość: z indo-europejczykami i semitami. Pierwsze brzaski poczucia religijnego rasy indo-europejskiéj miały osnowę całkiem naturalistyczną. Ale był to naturalizm głęboki i moralny, coś w rodzaju miłosnego uścisku człowieka z przyrodą, jakaś poetyczność rozkoszna i tkliwa, pełna poczucia nieskończoności, słowem, genezyjny zarys tego wszystkiego, co geniusz germański i celtycki, geniusz takiego Shakspeare'a i Goethego wypowiedziéć miał późniéj. Nie była to religia i moralność rozumowa, uświadomiona, budząca się w zaraniu swego żywota. Promienna i wspaniała przyszłość szczepu przemawiała tu językiem tęsknoty, rozczulenia i wyobraźni — przedewszystkiém zaś językiem szczerości i powagi, które są kardynalnym warunkiem wszelkiéj wiary i wszekiego umoralnienia...

Pomimo to wszystko, religia rodzaju ludzkiego przyjąć się i zakwitnąć na tym gruncie aryjskim nie była w stanie, gdyż pierwotne te zarodki mitologiczne, z trudnością tylko wielką wykluć się mogły

z wielobóstwa i nie zdołały zdobyć się na symbol należycie jasny. Bramanizm przetrwał do dni naszych jedynie dzięki zadziwiającéj zdolności zachowawczéj, jaką Indye zdają się posiadać. Usiłowania buddyzmu przedarcia się na zachód, skończyły się na niczém. Druidyzm celtycki nie wydobył się z form gminnych, wyłącznie miejscowo-narodowych, bez donioslości ogólniejszéj. Początkowania reformatorskie Grecyi (orfizm, misterye) nie zaspokoiły pragnień duszy ludzkiéj, nie dały jéj dość pożywnego pokarmu. Persya zdobyła się wprawdzie na religię dogmatyczną, prawie monoteistyczną i umiejętnie zorganizowaną, jakkolwiek i tu prawdopodobnie nie obyło się bez naśladowań i zapożyczeń; w każdym razie Persya nie nawróciła świata na swoją wiarę, przeciwnie, sama uległa nawróceniu, skoro tylko na jéj granicach ukazała się chorągiew jednobóstwa, głoszonego przez mahometanizm.

Wskutek takich to kolei chwała wytworzenia religii ludzkości dostala się całkowicie rasie semickiéj. Zdala od głównych ówczesnych ognisk cywilizacyi i dziejów, pod namiotem, do którego nie dochodziły odgłosy swawoli zepsutego już i wtedy świata, koczujący patryarcha izraelski przygotowywał wiarę przyszłości, wiarę narodów. Silna odraza do zniewieściałéj obrzędowości syryjskiéj, wielka prostota rytuału, zupełny brak świątyń, bałwochwalstwo sprowadzające się do użycia nic nie znaczącego narzędzia wieszczbiarskiego *(terafim)*, oto na czém się zasadzała wyższość pastersko-patryarchalnego tego kultu semitów. Z pośród zaś wszystkich tych pokoleń semitów pasterskich, pokolenie Beni-Izrael zawczasu już miało przed sobą wytkniętą drogę przeznaczeń niezmiernych. Z prastarych stosunków z Egiptem, skąd poszły pożyczki nader dziś trudne do wymierzenia pod względem specyficznego ustosunkowania części składowych, wzmocnił się tylko jeszcze wstręt plemienia do bałwochwalstwa. „Zakon” (księga praw, *Tora*), od niepamiętnych czasów skreślony na tablicach kamiennych i przypisywany wielkiemu oswobodzicielowi pokolenia, Mojżeszowi, był już wykończonym kodeksem monoteizmu i w porównaniu z urządzeniami Egiptu i Chaldei, zawierał potężne zarodki umoralnienia, równości społecznéj” *(Or. du Chr.*, t. I, str. 6—8, wyd. 1891).

Z pierwszego rzutu oka na tę cytatę zdawaćby się mogło, że autor „Historyi języków semickich” nie uczynił Max-Müllerowi w okresie powstawania początków chrystyanizmu żadnego ustępstwa w punkcie téj części doktryny, która dotyczy monoteistycznego posłannictwa Żydów. Naprawdę atoli, w chwili, gdy przytoczone powyżéj słowa kreślone były, przekonanie Renana co do doniosłości i znaczenia owéj religijnéj misyi ludu izraelskiego uległy zmianie gruntownéj, lubo po-

średniéj tylko, bo wywołanéj rozchwianiem się drugiéj jego tezy, — téj, którą prof. Franck poddał krytyce zasadniczéj. Jakoż, od r. 1860 nie znajdujemy już w pismach Renana wzmianki o przyrodzonéj, rasowéj niższości semitów na gruncie cywilizacyjnego współzawodnictwa z ludami aryjskiemi. Bezwątpienia, samo znamie „niższości" (po odrzuceniu przymiotnika „przyrodzona" czy téż „wrodzona") utrzymane zostało i nadal, utrzymane nawet *usque ad finem* aż do trzeciego, przed samym zgonem Renana wydanego tomu „Historyi Izraela", — ale już najzupełniéj przeistoczone pod względem istoty, wewnętrznego znaczenia i przyczyn powodujących. Z pierworodnéj, plemiennéj i fatalnéj, stała się nieudolność ta nabytą, dziejową, kolejami żywota, jako skutek narzucona ludowi wybranemu. Różnica to olbrzymia, a nadzwyczaj charakterystyczna. W połączeniu z utrzymanym nienaruszenie, owszem wygórowanym jeszcze postulatem pierwszym (o posłannictwie religijném Żydów), drugi ten, już zmodyfikowany postulat (o historycznie wymotywowanéj, z życia wynikłéj, a z posłannictwem związanéj, niemocy Żydów na widowni cywilizacyjnéj) złożył się na całość zupełnie nową, na syntezę historyozoficzną nieporównanéj siły, piękności i powagi. Jest to przytém kamień węgielny wspaniałego pomnika, wzniesionego w pismach Renana wielkiéj, klęskami zoranéj przeszłości narodu żydowskiego. Godziwém jest przyjrzéć się mu nieco bliżéj.

V.

W księgach Izajasza znajduje się ustęp cudownie wzniosły. Według nieupoważnionych komentarzy Biblii jest to wizerunek nędz i niedoli proroka, kapłana, Hioba narodowego; według tłómaczenia ojców Kościoła widzićć w tém należy natchnioną przepowiednię niewinnéj męki i śmierci Chrystusa. Renan niedalekim jest od mniemania, że mogłaby to być poetycka metafora losów całego ludu izraelskiego, jego klęsk, zawodu, długiego pasma niedoli i jego w końcu zagłady politycznéj, przy jednoczesnym a ostatecznym tryumfie zasady, która ludzkość zbawiła...

„Oto wystąpił jako latorośl słaba, jako źdźbło powstające z wynędzniałéj ziemi. Nie miał ni krasy, ni piękności. Widzieliśmy go, a nie było na co spojrzéć. Od wzgardzonego, najpodlejszego z mężów, odwracała się twarz ludzka. Obarczony dolegliwością, złamany boleścią, za nic był miany. Prawdziwie, choroby nasze on w sobie nosił i cierpienia nasze wziął na siebie, a myśmy go poczytali jako trędowatego, od Boga ubitego i poniżonego. Ale on zranion jest za występ-

ność naszą i start jest za złości nasze. Dotknął go palec boży, który nam przebaczenie przyniósł; sinością jego jesteśmy uzdrowieni. Pobłądziliśmy jako owce, każdy z drogi swéj zeszedł, a Jehowa włożył nań nieprawość nas wszystkich. Zgnębiony, upokorzony, warg swoich nie otworzył. Grób jego policzon jest ze złośnikami. a śmierć jego pomiędzy dusze nieprawe. Ale że zdrady nie było w uściech jego, że pracowała dusza jego, że żywot swój dał za niezbożne, ujrzy potomność długowieczną i powiedzie się wola Pańska w ręce jego" (I z a j a s z, LIII, 1—10, tłóm. świeckie według tekstu hebrajskiego).

Promienna w następstwach, nieszczęśliwa w przebiegu przeszłość narodu izraelskiego, nie inaczéj przedstawia się w dwu głównych, ostatnich pracach Renana. Mniéj tu bezwątpienia poezyi i wzniosłości izajaszowéj, ale dosłowna niemal tożsamość myśli, a nawet tenże sam ton i koloryt uwydatnienia. Omawiając w IV tomie dzieła *Histoire du peuple d'Israel* (str. 9) ku zmierzchowi już zmierzający peryod twórczéj i wieszczéj działalności ludu wybranego, powiada nasz autor: „Jako państwo odrębne, Żydzi istnieć przestali. Więc i cóż stąd? — Alboż Jehowa opiekuje się jedném tylko maluczkiém jakiém państewkiem, skazaném na zwyczajne przejścia i upadki ludzkie. Nie o byt jednego plemienia tu idzie i nie o naczynie, w którém się przechowała idea zbawcza dla świata, lecz o samą tę ideę, o zasadę życia ludzkości całéj. Izrael — to społeczność ducha, nie zaś organizm materyalny. Kres życia politycznego, zniknięcie samoistności państwowéj, nie tylko nie pociągają za sobą zagłady religijnego życia w Izraelu, lecz przeciwnie, stają się istotnemi warunkami szerszego rozwinięcia ich przeznaczeń. W chwili, gdy Persya, Grecya, Rzym wystąpić mają kolejno na widownię dziejów, drobniutki lud Izraelski, niby owad mrówczy krajów południowych, wdzierać się zaczyna, rozpraszając się, do wnętrza wszystkich gmachów i dzieł starożytnego świata i zwalenie się jego przygotowuje. Prorocy i Zakon stary w długim szeregu lat pełnią w cichości i ukryciu swą rolę fermentów odwiecznych. I właśnie, zaledwie w gruzach legły starożytne cywilizacye wschodnie, greckie i rzymskie, z ruin ich wyrastają zaraz dwa nowe olbrzymie drzewa, Chrystyanizm i Islam — jedno i drugie wychodowane na gruncie judaizmu."

Dobitniéj jeszcze i mocniéj wyraża się Renan o tymże przedmiocie w IV tomie swych *Origines du christianisme* (str. 542). Jesteśmy oto w epoce bezpośrednio idącéj po zgonie Jezusa Chrystusa. Po znoszeniu jarzma niewoli egipskiéj i babilońskiéj, po mękach kilkakrotnéj odmiany wewnętrznéj, po nieskończonych walkach z wpływami postronnemi, które od zgonu Aleksandra Macedońskiego ze wszech stron

osaczać i nękać zaczynają drobniutką a skołataną łódź ziemskich przeznaczeń Izraela, uderza w nią pod koniec fala ostatnia, najgrubsza i najpotężniejsza: ciężki, ołowiany najazd rzymski. Lud wybrany raz jeszcze ugina karku, szuka czas jakiś ocalenia w zwyczajnéj taktyce wszystkich społeczeństw zgnębionych i wypchniętych z uczty życia — w pracy, w skupieniu się przy ognisku domowém i ołtarzu, w kompromisach wreszcie z fatalizmem i z sumieniem własném. Ale nie na wiele się to przyda i nie na długo wystarczy. Ów „ferment odwieczny" o którym wspomniał przed chwilą Renan, raz gdy się zakradnie do duszy narodu, już go nie opuszcza ani w dobréj ani w złéj doli. W dobréj — zagrzewa do czynów wiekopomnych, do dzieł nieśmiertelnych, do pieśni trwalszych od pomników z marmuru i żelaza; w złéj — popycha na rozdroża uniesień gorączkowych i stratnych, poduszcza do wysileń nadmiernych a jałowych, rzuca na pastwę namiętności głuchych i ślepych, niebaczących na to, że ani muru człowiek głową nie przebije, ani gołą pięścią miecza nie poskromi. Dla Judei straszny ten okres — konania już, nie życia — rozpoczyna się w saméj niemal chwili ponurego dramatu na Golgocie, a kończy się w r. 70 ery naszéj na okropnościach oblężenia i zburzenia Jerozolimy, w któréj agonia narodu całego przerzuca ster władzy w ręce przywódzców najskrajniejszych żywiołów nierządu, dogorywającego w szałach rozpaczy — w ręce Bar-Giorasa; Jana z Giszali. Represya też rzymska posuwa się do granic upadlającego rozbestwienia. Nie jest to zamknięcie ksiąg życia — lecz wdeptywanie jego rozgorzałych resztek w kałuże z krwi i błota. Świątynia i ołtarz Jehowy zrównany z ziemią, co żyje, od niemowlęcia do starca, ginie na pobojowisku, dobrowolnie się dusi w podziemiach, lub sponiewierane i zhańbione idzie do taczek niewolnictwa... Nad tą ziemią podziś dzień i na wieki noszącéj miano „świętéj," — gdzie powstały pierwsze zawiązki moralności wszechludzkiéj, gdzie smutek i niedolę bytu człowieczego opłakiwał Jeremiasz, gdzie rozbrzmiewały nigdzie już późniéj niedorównane psalmy Dawidowe, gdzie ziemię obiecaną zdala zaledwie oglądając umierał Mojżesz, gdzie się narodził Jezus z Nazaretu — nad ziemią tą zalega odtąd cisza bezbrzeżna, bezdenna, dziewiętnaście oto wieków skamieniałym swym wzrokiem zapatrzona na te góry, rzeki i jeziora martwe... I cóż na to Renan?

Ze zdrętwiałym spokojem uczonego, który wié, że inaczéj stać się nie mogło, ale też i z bladym, drżącym uśmiechem mędrca, który czuje, że powinnoby być inaczéj i być może kiedyś będzie, Renan powiada. Narody mają tylko jedno z dwojga do wyboru. Gdy chcą sobie zapewnić los spokojny, zadowolony, nikomu nieznany a długo-

trwały, niech żyją wyłącznie dla siebie. Jeśli zaś nielękają się przeznaczeń pełnych zamętu, burz i trosk śmiertelnych, niech pracują i działają dla ludzkości. Naród, wśród którego górują zagadnienia socyalne i religijne, z konieczności musi podupadać i tracić na siłach żywotnych. Społeczeństwa i ludy, które marzą o sprowadzeniu królestwa Bożego na ziemię, które żyją dla idei wzniosłych, oderwanych, które dążą ku celom niezwykle doniosłym i rozległym, już przez to samo poświęcają swe zadania bliższe, osłabiają i podkopują swój zawód ziemski, niweczą swą ojczyznę światową. Z Judeą stało się nie inaczéj, jak się późniéj stało z Grecyą, jak się stało z Italią, jak się zapewne stanie z Francyą. Nikt ognia bezkarnie nie nosi w swéj piersi. Gdyby Jerozolima chciała była pozostać siedzibą miernego, pospolitego obywatelstwa, cieszyłaby się prawdopodobnie do nieskończoności istnieniem swém lichém, zwyczajném, nie obciążającém kart historyi powszechnéj, ale że się dobijała o nieporównany zaszczyt stania się kolebką wiary rodu ludzkiego, nieochybnie paść musiała ofiarą takich Bar-Giorasów i takich Janów z Giszali — na pozór plag i potworów swéj ziemi, choć w rzeczywistości byli oni narzędziami jéj apoteozy. Zapaleńcy ci, których Józef-Flawiusz (Żydowin) wystawia nam jako rabusiów i morderców, byli niezaprzeczenie rządcami i wodzami a politykami ostatniego gatunku, ale umieli po bohatersku zgubić ojczyznę, dla któréj już nie było ocalenia. Szereg wstrząśnień i wybuchów gorączkowych oddawna zresztą wskazywał, że głęboka praca ducha, nurtująca łono Izraela, wybijająca mu na czoło kroplami krwawego potu, w którym się ludzkość odnowić miała—praca ta wcześniéj czy późniéj skończyć się musi na katastrofie okropnéj. Giszala, Bar-Gioras, o rok może, o dwa przed czasem podłożyli płomień pod drewniane bramy Jerozolimy ziemskiéj, ale oni również na całą przyszłość rozwarli wrota Jerozolimy nowéj, Jerozolimy wiecznéj. Pogrążoną w smutku i żałobie, opromienia dziś chwała o wiele świetniejsza i wspanialsza od téj, jaka ją okrywała za najpyszniejszych dni króla Salomona...

Tak się w rysach najogólniejszych przedstawia u Renana sprawa religijnego i cywilizacyjnego posłannictwa narodu żydowskiego. Wątpimy bardzo, czy za te swoje wywody autor „Historyi języków semickich,” „Dziejów Izraela” i „Początków Chrystyanizmu” rzeczywiście zasłużył na naganę, któréj mu p. Nusbaum udzielił. Głównem i bodaj czy nie jedyném źródłem poszukiwań, tłómaczeń, przypuszczeń i wniosków w tym zakresie, była i jest podziśdzień dla wszystkich Biblia — Pismo święte starego zakonu w tekscie pierwotnym, hebrajskim, wyniesionym z dogorywających rumowisk Jerozolimy przez tego

samego Żydowina zaklętego wroga Bar-Giorasow, zwolennika ugodowéj z nieprzyjaciółmi akcyi i polityki, którego pisma greckie uzupełniają szczupły materyał informacyjny o ostatnich przed rozproszeniem chwilach nieszczęśliwéj Judei. Badaniu tych dokumentów Renan poświęcił niepodzielnie całe pół stulecie pracowitego i po brzegi wypełnionego żywota. Że był w myślach i słowach pisarzem szczerym, rzetelnym, o tém nikt dziś nie powątpiewa. Czy zaś mógł wierzyć i rozumować po heretycku, któż z nas o tém sądzić i wyrokować będzie? Prawdopodobnie — i nawet tak jest: był heretykiem. Ale trudno przepomnieć, że najwyższa tegoczesna w tych materyach powaga, światły i wyrozumiały papież Leon XIII nie nad czyim innym — nad Renana grobem wyrzekł przerażające to w swéj głębokości pożegnanie: „potrzebni są heretycy...” Z pewnością potrzebni. Im rozleglejszy widnokrąg myśli, im wynioślejsza dziedzina prawdy, tém trudniejsze do uniknięcia wśród nich mgły i zawieje. Nie dość tego: tem mniéj i uniknięcie pożądane. Istność Boża sama jedna jest nieomylną: sądy o Niéj i wyobrażenia ludzkie z konieczności falować muszą po urwiskach błędów i zboczeń, to się wznosząc w wysileniach podniebnych, to spadając w wątpliwościach poziomych. Żądać tu ujednostajnienia i ciszy, to tyle co żądać przelania oceanu bez granic i ujęcia w skamieniałe ocembrowanie Martwego morza... A tymczasem, jak niemasz powietrza bez prądu, tak nie może być i życia bez ruchu; dla tego „heretycy są potrzebni.”

J. T. Hodi.

Grodzisk pod Warszawą, d. 31 grudnia 1894.



SPRAWY EKONOMICZNE.

III.

DROBNY PRZEMYSŁ WIEJSKI. — REFORMA TARYF OSOBOWYCH. — STOWARZYSZENIA SPOŻYWCZE.

Znaczenie drobego przemysłu wiejskiego.—Kwestyonaryusz Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu. — Różnice pomiędzy drobnym przemysłem wiejskim i miejskim.—Wyższość kmiecia nad mieszczaninem.—Związek drobnego przemysłu z rolnictwem.—Drobny przemysł w Cesarstwie.—Dworzanie i żołnierze.—Okręgi jednorodnego przemysłu drobnego.—Okolice Moskwy.—Gżela. — Zagarye.—S. Wielikoje.—Pawłowo i Worsma. — S. Krasnoje Kimry.—Związki drobnych przemysłowców. — Koronkarstwo. — Przekupnie. — Przewaga przemysłu drobnego nad fabrycznym. — Czy popieranie drobnego przemysłu wobec fabrycznego jest anomalią? — Bank przemysłu drobnego w Permie.—Reforma taryf osobowych.—Statystyka pasażerów w różnych krajach.—Pozorna doniosłość zamierzeń. — Nogi włościan i robotników w konkurencyi z drogami żelaznemi. — Klasyfikacya pasażerów we Francyi i Rosyi.—Taryfy osobowe w Belgii.—Stowarzyszenie spożywcze „Merkury". Słaby rozwój stowarzyszenia spożywczego w Królestwie. — Stowarzyszenie spożywcze w Anglii.—Robert Owen.—*Rochdale equitable pioners Society.* — *Rochdale-plan* i *Civil-service plan.*—Związki i kongresy stowarzyszeń. — Ideały angielskich spółek spółdzielczych.—Stowarzyszenie spożywcze we Francyi.—*Syndycat de Paris.*—*Nimes.* — *Le coup de 4 heueres.*— Stowarzyszenie spożywcze w Niemczech i innych krajach. — Zjazd przedstawicieli stowarzyszeń spożywczych w Warszawie. — Wydawnictwo Almanacha.

Przemysł drobny wiejski po rolnictwie zajmuje pierwsze miejsce, celem jego dotąd u nas jest nietyle zbyt, ile zaspokojenie potrzeb ludności mniéj zamożnéj. Z téj przyczyny przemysł drobny domowy jest nader ważnym czynnikiem dobrobytu ludności, znacznie donioślejszym od przemysłu wielkiego. A jednak, o ile często spotykamy się z pracami i wiadomościami o przemyśle fabrycznym, o tyle drobny

przemysł domowy przedstawia w literaturze polskiéj prawie zupełną *terra incognita*. Nie mamy dotąd ani jednego obszerniejszego, na faktach opartego, studyum o przemyśle domowym, w czém nasi sąsiedzi daleko hen po za sobą nas zostawili. Kwestyonaryusz Towarzystwa popiérania ruskiego przemysłu i handlu wydał przed laty nader słabe rezultaty, choć wydać mógł większe, bo chociaż badania o przemyśle drobnym domowym na większą skalę mogą być przedsiębrane przez ciała zbiorowe, dostatecznym funduszem rozporządzające, to nie mniéj i pojedyńcze usiłowania osób prywatnych i ciał choćby z małemi środkami, mogą znacznie przyczynić się do wyświetlenia obecnego stanu przemysłu domowego, zwłaszcza wiejskiego. Potrzeba tylko, aby inteligencya wiejska większą przejawiła energię w tym kierunku. Ona mogłaby być doskonałym pośrednikiem w dostarczaniu wiadomości o stanie przemysłu domowego, oraz zbiéraniu okazów tak pod względem formy, jak i pomysłowości, na szczególną zasługujących uwagę, które to okazy mogłyby być zawiązkiem muzeum drobnego przemysłu wiejskiego. Uważamy więc za pożyteczne, aby Towarzystwo popiérania ruskiego przemysłu i handlu jeszcze raz podniosło sprawę drobnego przemyslu wiejskiego, jeszcze raz wydrukowało i rozesłało znaczną liczbę egzemplarzy kwestyonaryusza, wraz z szczegółowém objaśnieniem i instrukcyą przy zbiéraniu wiadomości i okazów. Mamy niepłonną nadzieję, że nowe usiłowania lepsze wydadadzą rezultaty.

Przy grupowaniu zebranych wiadomości należy odróżnić przemysł domowy wiejski od drobnego przemysłu miejskiego, jako zasadniczo różniących się od siebie.

Przemysł domowy wiejski ma wielką przewagę nad przemysłem domowym w miastach i osadach, gdyż mieszkańcy wsi mają podstawę bytu w rolnictwie, przemysł zaś uprawiają jako dodatkowe zajęcie w chwilach wolnych od prac rolnych, lub téż przy współudziale tych członków swojéj rodziny, którzy nie mają zajęcia. Kmieć posiada grunt, chałupę, zwykle inwentarz, a często i materyał surowy, mogący miéć zastosowanie w przemyśle, gdy tymczasem mieszkańcy miast przemysł domowy muszą uważać za główne zajęcie, które ma zabezpieczyć, przynajmniéj w większéj części, egzystencyę, nie mają téż najczęściéj swéj chaty, ani materyału, któryby mogli przerabiać.

Mieszkaniec wsi może wyczekiwać ze sprzedażą swoich wyrobów, gdy mieszczanina warunki bytu zniewalają do natychmiastowego spieniężania przedmiotów swéj wytwórczości. Nakoniec wieśniak może wytwarzać taniéj niż mieszczanin. Dla tych przyczyn

przemysł domowy, acz nader pożądany w miastach, miasteczkach i osadach, rozwijać się może trudniéj, niż na wsiach.

W miastach rękodzielnicy i rzemieślnicy wytwarzają po większéj części przedmioty dla wiadomego nabywcy, na obstalunek, gdy wieś pracuje głównie dla rynku, nie znając *a priori* spożywcy i jego zapotrzebowań. Ponieważ rękodzielnik miejski najczęściéj wytwarza za umówioną naprzód cenę, jego więc ryzyko jest mniejsze i tym sposobem, choć w małéj części, równoważy szanse z wytwórcą wiejskim. Mieszkaniec miasta więcéj jest też ograniczony w wyborze zajęcia, posiada zwykle jeden fach, gdy tymczasem wieśniak, że tak powiemy, z przyrodzenia uzdolniony jest w szerszym zakresie. Oprócz głównego zajęcia przy roli, kmieć może jeszcze pracować w wielu pokrewnych kierunkach.

Rolnictwo przedstawia kombinacyę wielu zajęć, rolnik np. jest obeznany z obróbką drzewa, umié obchodzić się z koniem, jest silnym, więc zdatnym do ciężkiéj roboty. Łatwo mu być cieślą, kołodziejem, furmanem, powroźnikiem i t. p. i to stanowi jego przewagę nad mieszczaninem. Połączenie téż przemysłu domowego z uprawą roli, najlepiéj zabezpiecza byt kmiecia, zwłaszcza tam, gdzie ziemi mało, a ludność gęsta.

Uprawa roli i zajęcia z nią złączone dają stałe zajęcie najwyżéj w ciągu 6—7 miesięcy, w ciągu zaś pozostałych 5—6 miesięcy rolnik zajęty bywa tylko dorywczo, więc przy niedostatecznych środkach musi szukać dodatkowych lub postronnych zarobków, któreby podtrzymały egzystencyę własną i jego rodziny. Dodatkowe zarobki, najodpowiedniejsze dla kmiecia, mogą miéć źródło w przemyśle domowym, gdy zajęcia postronne po za ogniskiem domowém przedstawiają się głównie w trojakiéj formie, jako emigracya dalsza po za granicę kraju, jako emigracya blizsza do miast i praca na fabrykach.

Emigracya zagraniczna, zwłaszcza zamorska, jest niepowetowaną stratą dla kraju, pozbawiając go jednostek najsilniejszych, energicznych. Emigracya do miast—niepożądana, jako wytwarzająca proletaryat miejski, a co się tyczy fabryk, to istnieje zaledwie kilka gałęzi, które rzeczywiście potrzebują robotników, przeważnie w porze zimowéj, wolnéj od zajęć około roli, inne zaś fabryki, wytwarzając równomiernie przez cały rok, potrzebują robotnika stałego, fachowo uzdolnionego. Zresztą mała tylko cząstka może znaléść zajęcie w przemyśle wielkim, bo ludność mało i bezrolna jest kilkakroć, nawet kilkanaście razy liczniejsza od liczby robotników fabrycznych. Te fakta wskazują na konieczność utrzymania ludności wiejskiéj przy roli, dając jéj jednak możność bytu przez dodatkowe zarobki w przemyśle domowym.

Oswobodzenie włościan w Cesarstwie dało silny popęd w przemyśle. Nowe fabryki powstawały, jak grzyby po deszczu, powodując wielki brak robotnika. Wieśniacy, otrzymawszy „wolę”, zwabieni wysoką płacą w fabrykach, rzucali ziemię, opuszczając rodziny, które nie mogły podołać ciężkiéj pracy około roli, a po części, za przykładem mężów i ojców odbiegły od roli, pozbywszy się inwentarza żywego i martwego. Nagły i nadmierny wzrost zaofiarowania pracy, zniżył do $^1/_3$ zarobki na fabrykach i sprowadził nędzę dla większéj części robotników fabrycznych. Wielu chciałoby teraz powrócić do roli, lecz lecz to okazuje się prawie niemożebném wobec braku inwentarza, zapuszczonéj gleby i walącéj się chałupy.

Przemysł drobny domowy w Cesarstwie jest bardzo silnie rozwinięty, zwłaszcza w guberniach północnych i środkowych, t. j. mających wogóle ziemię o niskiéj kulturze. Datuje się od niepamiętnych czasów, a głośnemi krzewicielami byli dworzanie i żołnierze. Dworzanie jeszcze nawet w końcu pierwszéj połowy bieżącego stulecia, utrzymywali wielką liczbę służby, która obowiązana była uzdolnić się w jakiém rzemiośle lub fachu. Oprócz „izby panieńskiéj”, w któréj wzrastały i kształciły się w rękodziełach, a często i w sztukach młode poddanki, dworzanin miał nierzadko cały legion domowych rzemieślników, od cieśli i kowala do wykwintnego stolarza, powoźnika, malarza i t. p., którzy też daléj szerzyli rzemiosła po powrocie ze dworu. Żołnierze zaś przenosili z odległych stron znajomość poszczególnych rękodzieł, a niejednokrotnie dali początek różnym gałęziom wielkiego przemysłu, np. żelaznemu i bawełnianemu.

W guberniach północnych, a nawet środkowych zima długa, zajęcia około roli ograniczają się do $4^1/_2$—6 miesięcy w roku, wytwórczość rolna stosunkowo mała i niedostateczna dla zabezpieczenia bytu włościanina. To też drobny przemysł silnie się tam rozwinął, ale z drugiéj strony zarobki wieśniacze w przemyśle domowym są często tak małe, że mimowoli przypominają płacę chińczyka. W niektórych okolicach np. włościanki, szyjące kożuchy, zarabiają $3^1/_2$—7 kop. dziennie, przy czém parę razy w ciągu miesiąca muszą wędrować po nici, które kupują niekiedy w odległości kilkudziesięciu wiorst. Dlatego też rzemieślnicy w miastach, nie mogąc współzawodniczyć ze wsią, pracę swoję ograniczają do zyskowniejszego wykończania tylko, gdy pierwotnego obrobienia przedmiotu dokonywa wieś, jak to się dzieje np. w całym okręgu ślusarsko-nożowniczym około Pawłowa, a po części i w Tule.

Przemysłowiec drobny posiada zwykle kilka fachów, które zmienia stosownie do pory roku, lub zapotrzebowania. I tak, garncarze

latem lepią garnki, w zimie pracują w przemyśle leśnym, lub téż niektórzy z nich, umiejący czytać i pisać, na czas jarmarków przyjmują obowiązki subiektów handlowych. W gubernii wiackiéj w zimie wyrabiają łyżki drewniane, a latem są malarzami pokojowymi, w guberni niższo-nowogrodzkiéj latem ceglarze, zimą wyrabiają wojłoki. Kowale w Tichwinie w lecie spławiają drzewo. Koronkarki w gubernii twerskiéj latem wyrabiają cegłę i t. p.

Przemysł drobny bynajmniéj nie przeszkadza zajęciom rolnym; wieśniak poświęcać mu może zimę i część czasu letniego, wolną od robót polnych. W gubernii tulskiéj np. są całe gminy zajęte wyrobem bron, oprócz naturalnie uprawy roli, w październiku skupują materyał, t. j. głównie drzewo, które następnie suszą i zimą wyrabiają z niego części składowe, a dopiéro gdy śniegi zaczną tajać, zbijają brony i wywożą na targ; następnie pracują około roli, a po żniwach znowu zbijają brony i sprzedają. W okolicach Odessy kamieniarze wracają do zajęć około roli w czasie siewu i zbiorów. Nad Wołgą garbarze wiejscy nawet czas letni dzielą między roboty polowe i przemysł. Znaczna część tkaczy gubernii włodzimierskiéj porzuca warsztat na 2—3 miesiące letnie bez względu na znacznie wyższą w tym czasie płacę na fabrykach. W powiecie aleksandrowskim i pokrowskim téjże gubernii całe gminy zajęte są przemyslem jedwabnym, który włościanom daje $^3/_4$, gdy rolnictwo tylko $^1/_4$ część ogólnego dochodu, a mimo to w czasie robót polnych wszyscy rzucają warsztaty. Około Moskwy jest okrąg stolarzy-włościan, liczący przeszło 2,500 osób; jeszcze większą liczbę garncarzy liczy Gżela, a okrąg, gdzie włościanie wyrabiają kapelusze filcowe, szczotki i t. p. wyroby z włosia, tak nazwane Zagarje, liczy przeszło 50,000 drobnych przemysłowców. Wszyscy ci wiejscy przemysłowcy nie porzucają roli, uważając ją za fundament swego utrzymania. Nawet w miejscowościach z najbardziéj rozwiniętym i zyskownym drobnym przemysłem wiejskim włościanie nie zaniedbują uprawy roli.

Oprócz powyżéj wymienionych okolic mają jeszcze wielki rozgłos i inne strony. Tak np. sioło [1]) Wielikoje w gubernii jarosławskiéj, jest ogniskiem wiejskiego przemysłu lnianego, są tam kantory, rozdające tkaczom przędzę, blicharnie, wykończalnie i t. p. Około Pawłowa i Moskwy w gubernii niższo-nowogrodzkiéj w 150 wsiach znajduje się 13,000 ślusarzy i nożowników, których wyroby rozchodzą się aż po Wisłę, Niemen, do granic Chin, a nawet w Persyi, Afganistanie i Indyach. Sieło Krasnoje z okolicą (w gub. Kostromskiéj) liczy przeszło

---

1) W Cesarstwie wsi kościelne zowią się urzędownie siołami.

4,000 włościan-jubilerów i posiada nawet probiernię. Wyroby jubilerskie dla potrzeb ludności małozamożnéj, odznaczają się jednak gustem, nowemi formami, przy bajecznéj taniości, np. bransoletkę niby złotą można kupić za 10—15 kop., pierścień z drogim kamieniem za 5 kop. i t. p. Prócz wyrobów tanich, włościanie w Krasnem wyrabiają i cenniejsze złote i srebrne przedmioty i niejedna z warszawianek ani się domyśla, że jéj pierścionek i broszka — to wyrób włościański z nad Wołgi, kupiony tylko w eleganckim magazynie za potrójną cenę i drożéj nawet.

W miejscowościach południowych, z żyzną glebą i kwitnącém rolnictwem, przemysł drobny ogranicza się najczęściéj do potrzeb domowych i miejscowych, nie ma tu téj specyalizacyi przemysłu drobnego, jak w gub. północnych i środkowych. Każda rodzina włościańska stara się wytworzyć wszystko, co dla jéj bytu potrzeba — „wszystkobyśmy sami zrobili gdyby było z czego” powiada chłop ukraiński. Tamże silnie jest rozwinięta wzajemna pomoc sąsiedzka, buduje np. chłop stodołę, chlew i t. p., sąsiedzi pomagają mu zwykle bezinteresownie, za poczęstunek. Zimą włościanki zbierają się zwykle kolejno na wyprząd lnu lub wełny. Lecz i w wielu stronach o żyznéj glebie drobny przemysł specyalizuje się i pomyślnie rozwija się, w powiecie szackim gub. tambowskiéj więcéj niż połowa mężczyzn zajmuje się garbarstwem, krawiectwem i obróbką drzewa.

Przemysł domowy wiejski najbardziéj jednak jest rozwinięty w gub. moskiewskiéj i włodzimierskiéj, oraz sąsiednich z niemi okolicach. Wyroby drobnego przemysłu tych stron mają zbyt na całém terytoryum państwa a w części i zagranicą, zwłaszcza we Francyi i Stanach Zjednoczonych. Gubernia moskiewska liczy przeszło 200,000 drobnych przemysłowców wiejskich, skupionych w oddzielne jednorodne okręgi, tak np. 2,500 stolarzy zamieszkuje 87 wsi sąsiednich, 3,000 garncarzy tworzy okrąg Gżelski, w 26 wsiach zamieszkuje 1,200 szczotkarzy, w gminie Klenowskiéj 500 kapeluszników, we wsi Choticza 600 grzebieniarzy, w Sergiewskiéj osadzie przeszło 1,000 włościan wyrabia zabawki, a w jednym tylko powiecie bogorodzkim znajduje się 26,000 wiejskich warsztatów tkackich. W 60 wsiach niżnonowogrodzkiéj gub. 5,000 włościan wyrabia łyżki drewniane, 45 wsi rogoże, w Kimrach i okolicy jest do 20,000 szewców i t. p.

W niektórych rodzajach przemysłu drobnego, wymagających większego nakładu, lub oddzielnych warsztatów, przemysłowcy tworzą zwykle związki (artele) np. kilkunastu kowali składa po 2—3 rubli celem zbudowania kuźni wspólnéj, inni dla wystawienia pieca do wy-

palania cegły lub garnków. I na tém kończy się ich związek, ustanowiwszy koléj pracowania w związkowém pomieszczeniu.

Koronkarstwem zajmuje się w Cesarstwie przeszło 40,000 kobiet i dzieci, wyrabiających rocznie około 14 milionów arszynów i pólmiliona oddzielnych sztuk koronek za sumę $2^1/_2$ mil. rubli. Główne siedliska tego przemysłu są następujące: Jelec i Mceńsk w gub. orłowskiéj, Rjazań, Skopin, Michajłow w gub. rjazańskiéj, Bielew i Odojew w gub. tulskiéj, Kalazin i Torżok w gub. twerskiéj, Bałachna nad Wołgą i Podolsk w gub. moskiewskiéj. Znaczna część koronek tamtejszych sprzedaje się w Warszawie za pośrednictwem wędrownych przekupniów i w sklepach.

Plagą drobnego przemyslu wiejskiego są tak zwani „skupszczyki" t. j. przekupnie, którzy ciągłem obniżaniem ceny zmuszają przemysłowców do wytwarzania lichego towaru. Dzieje się to zwłaszcza z przedmiotami ogólnego użytku, niektóre bowiem gałęzie przemysłu domowego, wytwarzające przedmioty droższe, często odznaczają się gustem i dokładnością roboty. Kapelusze np. wyrabiane przez włościan pod Moskwą w niczém nie ustępują fabrycznym i powszechnie też przedają się w pierwszorzędnych magazynach za zagraniczne. Meble wyrabiane przez włościan wiackich poszukiwane są nawet przez bardzo zamożne domy. Tamże wyrabiane kamertony rozchodzą się po całém państwie jako zagraniczne.

Jak wielką rolę odgrywa w Cesarstwie drobny przemysł wiejski, przekonywa nas statystyka jednéj tylko gałęzi — garbarstwa.

W 1889 r. było w całém państwie 2,604 zakłady fabryczne, przygotowujące skóry i wyroby skórzane, w których pracowało 28 tysięcy robotników z wytwórczością 42 mil. rubli. Tymczasem w drobnym przemyśle skórzanym miało zajęcie 146 tysięcy włościan z roczną produkcyą na sumę 58 mil. rubli.

Wogóle na całém terytoryum państwa przemysł fabryczny zatrudniał w tymże czasie $1^1/_2$ miliona robotników, gdy w przemyśle drobnym pracowało $7^1/_2$—8 mil. ludzi.

Niejednokrotnie spotykaliśmy się z zarzutami, że w obec dobrodziejstw pary, elektryczności i t. p. anomalją jest popieranie drobnego, zwykle ręcznego przemysłu. Zarzut to niesłuszny, gdyż tak wielki, jak i mały przemysł mogą obok siebie istnieć i równolegle się rozwijać, a jeżeli już idzie o pierwszeństwo, to naturalnie przyznajemy je usiłowaniom maluczkich, wielkich przecież swoją gromadą. Drobny przemysł i dziś bardzo pomyślnie się rozwija we Francyi, Szwajcaryi, Wirtembergu, Austryi, Saksonii, ciesząc się opieką tak państwa, jak i gmin, korporacyi, osób prywatnych. Drobny przemysł powiększa

zasoby najliczniejszéj klasy społeczeństwa, czyni ją obfitszym spożywcą nawet wytwórczości fabrycznéj. To téż wielki przemysł winien raczéj współdziałać, nie zaś stawiać dziecinnych przeszkód stowarzyszeniom i ludziom dobréj woli, którzy poświęcają czas i pieniądze dla krzewienia drobnego przemysłu (patrz sprawozdanie sekcyi drobnego przemysłu Towarzystwa popiérania przemysłu i handlu).

Jakim sposobem rozkrzewić drobny przemysł w pośród ludności wiejskiéj? Wyborną na to odpowiedzią byłyby usiłowania sekcyi drobnego przemysłu, gdyby wykazywały obfitsze rezultaty. Pisząc to, bynajmniéj nie robimy zarzutu sekcyi, gdyż ona czyni, co może, a mogłaby zdziałać nieskończenie więcéj, gdyby rozporządzała nie tak mikroskopijnemi środkami, co znowu nie od niéj zależy. Dostarczyć potrzebnych funduszów mogłaby specyalna instytucya kredytowa np. na wzór utworzonéj w roku zeszłym w Permie „Banku drobnego przemysłu permskiego ziemstwa gubernialnego”. Bank ten ma za cel krzewienie przemysłu drobnego w gubernii, na co ziemstwo przeznaczyło mu 90,000 rubli, jako kapitał zakładowy.

Operacye banku permskiego stanowią: a) udzielanie zaliczeń drobnym przemysłowcom, b) przyjmowanie terminowych wkładów i c) zaciąganie przez bank pożyczek dla zwiększenia kapitału obrotowego.

Zaliczenia wydają się: a) oddzielnym drobnym przemysłowcom, stale osiedlonym i mającym tamże własność nieruchomą, prowadzącym przemysł swoją osobistą pracą, przy współudziale członków rodziny, lecz bez pomocy robotników najemnych.

b) Związkom drobnych przemysłowców (artelom) utworzonym na zasadzie zatwierdzonéj ustawy, lub umowy prywatnéj, z warunkiem, żeby członkowie, związek stanowiący, mieli stałe zamieszkanie, nieruchomość i prowadzili przemysł swoją osobistą pracą, lub przy pomocy członków rodzin, lecz bez współudziału najemników.

c) Składom wyrobów przemysłu drobnego, utworzonym w celu ułatwienia wymienionym w poprzednich dwóch punktach zbytu gotowych towarów i kupna odpowiednich materyałów, przez udzielanie zaliczeń na gotowe wyroby.

Zaliczenia powyższe bank wydaje na przeciąg czasu od miesiąca do lat trzech, w wysokości, nie przekraczającéj wartości materyału surowego przerabianego w ciągu roku przez drobnego przemysłowca, lub cały związek tychże.

Utworzenie analogicznéj instytucyi „Banku przemysłu drobnego” byłoby bardzo na czasie, lecz projektodawcy winniby oprzéć ustawę

wyłącznie na zasadach ekonomicznych, gdyż tylko one mogą dać instytucyi trwałą i szeroką podstawę.

Sprawa obniżenia taryf kolejowych za przewóz osób i ich bagaży weszła obecnie na porządek dzienny i w niedalekiéj przyszłości będzie rozstrzygnięta. Niepomiernie mały ruch osobowy, nie rosnący nawet w stosunku do zwiększającéj się corocznie siéci dróg żelaznych, spowodował wyznaczenie specyalnéj komisyi w łonie ministeryum finansów, celem zreformowania obowiązujących obecnie taryf osobowych.

Podług urzędowych danych przejechało w 1891 r. po drogach żelaznych:

w klasie	III-éj	30,195,000 osób,
,,	II-éj	2,022,000 ,,
,,	I-éj	386,000 ,,
	Razem	32,603,000 osób,

czyli, że w ciągu roku zaledwie co trzeci mieszkaniec państwa korzysta z usług kolei żelaznych. Jak więc niesłychanie mały jest ruch osobowy na drogach żelaznych w Rosyi, przekonywa nas poniższe porównanie, i tak przypada:

	na 100 mieszk.	na 1 kilom. dr. żel.
	pasażerów:	
w Wielkiéj Brytanii	2,283	25.304
Belgii	1.163	13,584
Szwajcaryi.	927	10.596
Niemczech.	870	10.390
Francyi.	625	7,353
Rosyi	30	996

Warunki ekonomiczne i wogóle społeczne powyższych państw bezwątpienia znacznie różnią się między sobą i wielce wpływają na stopień rozwoju ruchu pasażerskiego na drogach żelaznych, lecz znowu tak ograniczona, rzec można, minimalna ilość osób, podróżujących kolejami w Rosyi, bynajmniéj nie odpowiada ani obecnemu rozwojowi handlu, ani też ogólnym potrzebom ludności. Liczby powyższe, dotyczące państwa, przekonywają tylko o istnieniu sztucznych zapór, tamujących swobodną i pożądaną cyrkulacyę ludności. Główną przeszkodą zwiększenia się ruchu pasażerskiego jest wysokość taryf kolejowych, których obniżenie jest właśnie przedmiotem obradującéj obecnie komisyi.

Posiedzenia komisyi jeszcze nieukończone, lecz sądząc ze sprawozdań z obrad, pomieszczanych w urzędowym organie ministeryum, obniżenie taryf osobowych dotyczyć będzie tylko siódmego pasażera

i trzydziestego mieszkańca państwa, pozostali zaś muszą się zadawalniać obecną taryfą. Obniżenie cen biletów ma się rozpoczynać dla trzeciéj, najliczniejszéj klasy dopiéro po przejechaniu 160 wiorst, lecz w ogólnéj liczbie podróżujących tylko siódmy pasażer przekracza tę odległość, a więcéj nawet niż połowa ogranicza się jazdą krótszą od 50 wiorst.

Niewątpliwie projektowane obniżenie taryf, zwłaszcza tak znakomite, ma wielką doniosłość, ale jako dotyczące tylko małéj cząstki podróżujących nie będzie miało znaczniejszego wpływu na zwiększenie liczby pasażerów, a tém mniéj dochodu za bilety, na które zresztą i sama komisya nie liczy.

Pojmujemy troskliwość, aby nie naruszyć obecnych budżetów, dróg żelaznych, lecz sądzimy, że obawa, aby z obniżeniem cen biletów i na mniejsze odległości nie obniżył się téż i ogólny dochód od pasażerów, są nieuzasadnione, gdyż doświadczenie w innych państwach wykazało, że z uprzystępnieniem środków komunikacyjnych tak dla osób jak towarów, wzrasta ilość pierwszych i drugich, dających przychód znacznie przewyższający obniżkę.

Przy obecnych taryfach osobowych ważną konkurencyę drogom żelaznym robią... nogi, zwłaszcza nogi włościan i robotników, o czém się osobiście wielokrotnie przekonaliśmy. Bilet trzeciéj klasy na odległość 40 wiorst kosztuje 62½ kop., robotnik zaś np. fabryczny zarabia dziennie zwykle 25—30 kop., a więcéj nader rzadko, za przejazd więc koleją musiałby oddać zarobek 2—2½ dni. Naturalnie, wydatku tego ponieść nie chce i nie może, przekładając podróż *per pedes apostolorum*. Jedno z miast fabrycznych Cesarstwa, na przeszłą Wielkanoc opuściło około 20 tysięcy robotników, z których tylko 1,973 korzystało z usług drogi żelaznéj.

Obowiązujące taryty osobowe nietylko dla biédnych i niezamożnych są zbyt dotkliwe, że olbrzymia większość ludności państwa wyrzekła się usług kolei żelaznych i dla odbycia podróży własne mięśnie w ruch wprawia, ale téż taryfy są również uciążliwe i dla zamożniejszych, jeżdżących drugą i pierwszą klasą. Wiadomy fakt, że z ustanowieniem podatku od biletów, większość pasażerów klasy II zeszła do III i I klasy do II, a bezwątpienia, że ta zwyżka ceny biletów nie pozostała bez wpływu na ruch pasażerów nawet klasy trzeciéj, gdyż, gdyby téj zwyżki nie było, to zmniejszałaby się liczba zwolenników sportu pieszego.

Zagranicą, gdzie średnia długość drogi, przebytéj przez jednego pasażera jest znacznie krótsza niż w Rosyi, nie wspominając już o przeciągu czasu, użytego na przejazd równych odległości tamże

i w Cesarstwie, gdzie zatém dla tych i innych jeszcze przyczyn społecznéj natury, jest mniejsza potrzeba wygodniejszéj podróży, za granicą, mówimy, liczba jeżdżących I i II klasą jest jednak nierównie większą niż w Cesarstwie.

I tak na 100 pasażerów podróżowało:

	I klasą	II klasą	III klasą
We Francyi	8	36	56
W Rosyi	1,2	6,2	92,6

Przed laty, gdy zamierzano połączyć drogą żelazną dwie stolice państwa, hr. Kankrin silnie oponował budowie, oświadczając, że przeprowadzenie tak kosztownéj drogi jest niepotrzebne, zwiększy bowiem tylko w państwie włóczęgostwo i próżniactwo, lecz dziś chyba nikt już nie zapatruje się w podobny sposób na środki komunikacyjne. Ułatwienie i udostępnienie sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsce, łącznie z dostępną i sprawiedliwą dla wszelkich miejscowości taryfikacyą przewozu towarów jest najdzielniejszym środkiem rozkwitu sił wytwórczych, oraz znacznego i peryodycznego wzrostu budżetu państwa.

Temi zasadami kierowała się Belgia, zaprowadzając w roku zeszłym taryfy abonamentowe. Nawiasem wspomnimy, że małe to państewko posiada 4,728 kilometrów dróg żelaznych (3,250 kil. państwowych i 1,478 kil. dróg prywatnych), które w 1891 r. przewiozły 64 miliony osób, t. j. dwa razy więcéj, niż w Rosyi. W czerwcu więc r. z. Belgia ustanowiła taryfę abonamentową na 15 dni, oraz na 3, 6, 9 i 12 miesięcy. Abonament na 15 dni kosztuje w I klasie 50 fr., II klasie 38 fr. i III klasie 25 fr., roczny zaś temi klasami 800, 600 i 400 fr., co równa się opłacie dziennéj za III klasę w pierwszym razie w ilości $41^{1}/_{2}$ kop. i w drugim $27^{3}/_{4}$ kop. bez względu na przejechaną długość. Posiadacz biletu abonamentowego może podróżować po wszystkich kolejach państwowych i wszelkiemi, prócz specyalnych pociągami. Oto prawdziwie idealne uprzystępnienie komunikacyi, które, niestety, niełatwo znajdzie naśladowców.

Zapewne wielu z czytelników pamięta narodziny pierwszego w kraju stowarzyszenia spożywczego „Merkury", założonego przez J. Statkowskiego i A. Nagórnego, zwłaszcza chwilę otwarcia zapisów na udziały. Tłum otaczał dokoła stół założycieli, a i przedsionek Resursy obywatelskiéj, gdzie właśnie przyjmowano pierwsze wkładki, coraz szczelniéj zapełniał się przyszłemi członkami nowéj spółki spółdzielczéj.

Zainteresowanie się, że nie powiemy entuzyazm, dla stowarzyszenia spożywczego „Merkury" było ogólne, nietylko w Warszawie, lecz

i w innych miastach, w powołaniu bowiem do życia stowarzyszeń spółdzielczych dopatrywano się jednego ze środków polepszenia bytu i dźwignięcia z upadku. Tak ogólna sympatya dla zawiązywanéj instytucyi powtórzyła się jeszcze raz późniéj wobec poronionych niestety projektów utworzenia towarzystw pomocy dla niezamożnéj uczącéj się młodzieży, które istnieją z pożytkiem przy wszystkich niemal zakładach naukowych w Cesarstwie, i które to projekty jeszcze raz należałoby podnieść.

Otóż ćwierć wieku upłynęło od założenia pierwszego stowarzyszenia spożywczego w kraju i jakie osiągnęliśmy rezultaty? Bardzo, ale to bardzo małe. Istniejące bowiem kilkanaście stowarzyszeń spożywczych, bądź samodzielnych, lub jako oddziały innych spółek spółdzielczych, nie mogą zupełnie poszczycić się wynikami swéj działalności.

A jednak kraj nasz względnie ubogi, potrzebuje stokroć więcéj rozwoju stowarzyszeń spółdzielczych, aniżeli kraje tak bogate, jak Anglia i Francya, w których właśnie stowarzyszenia spożywcze olbrzymio się rozrosły.

Ojczyzną wogóle spółek spółdzielczych jest A n g l i a, w któréj téż i stowarzyszenia spożywcze najwyższego dosięgły rozwoju, za inicyatywą takich apostołów kooperacyi. jak Robert Owen, pastor anglikański Maurice, Vansittart Neale i Jerzy Jakób Holyake.

Rasa anglo-saksońska po wsze wieki odznaczała się przedsiębierczością, samodzielnością i wytrwałością w wykonaniu raz nakreślonego planu. Klasy pracujące w chwilach niedoli, najmniéj téż oglądają się za postronną pomocą, bądź państwową lub stowarzyszeń filantropijnych, w przekonaniu, że najlepszym i najpewniejszym środkiem polepszenia bytu jednostek jest rozwój stowarzyszeń spółdzielczych.

Pierwsze stowarzyszenia spożywcze w Anglii powstały w trzecim dziesiątku lat bieżącego stulecia za sprawą Roberta Owena, który wychodził z zasady, że charakter człowieka urabia się pod wpływem otoczenia, że zatém dla wykształcenia charakteru potrzeba polepszyć warunki bytu człowieka. Stowarzyszenia spółdzielcze, podług Owena, miały właśnie działać wychowawczo, przez obracanie zysku z obrotów wyłącznie na cele oświaty i przez bezinteresowną pracę jednostek na korzyść ogółu stowarzyszonych. Szlachetne jednak zamiary R. Owena nie wydały podówczas obfitych plonów. Pierwsze stowarzyszenia spożywcze upadły, bo nie mogły zadowolnić ogółu członków, którzy

w stowarzyszeniu się szukali przedewszystkiém bezpośredniéj i materyalnéj korzyści.

Po dwudziestu latach powtórnie podjęto pracę założenia stowarzyszeń spożywczych na nowych zasadach. Usilowania wyszły z pośród bezpośrednio zainteresowanych i tym razem wydały nader obfite owoce.

W hrabstwie Lancaster, o parę mil od Manchester, nad rzeką i kanałem Roch, leży nie wielkie obecnie, a małe przed pięćdziesięciu laty miasto Rochdale, słynne już podówczas z wyrobu flaneli i innych tkanin wełnianych. Lecz nietylko przemysł wełniany wsławił miasto. Byron posiadał tu starożytny zamek, Ryszard Cobden reprezentował miasto w parlamencie, tu téż na cmentarzu kwakierskim spoczywa wielki mówca izby gmin, John Brigth.

Otóż przed paru miesiącami pół wieku minęło, gdy podczas ogólnego zastoju w przemyśle zebrała się gromadka miejscowych, pozbawionych pracy tkaczy flaneli, celem obmyślenia środków wyjścia z krytycznego położenia. Było ich 28, z których jedni radzili prosić pomoc stowarzyszenia filantropijne, lecz im zarzucono, że byłoby to poniżeniem dla ludzi mających zdrowe ręce i chęć do pracy. Drudzy wskazywali na emigracyę, jako na środek wyjścia z nędzy, lecz i téj rady nie przyjęto, uważając emigracyę za niesprawiedliwą karę wygnania, chyba za występek urodzenia się biédnym. Postanowiono więc własnemi siłami rozpocząć walkę o byt, samym stać się wytwórcami, zobowiązując się co tydzień składać do wspólnéj kasy po 2 pensy.

Gdy nareszcie tych 28 tkaczy zebrało w roku następnym (1844) kapitał zakładowy w sumie 28 f. st., to sformowane z nich stowarzyszenie orzekło, że celem jego jest otwarcie sklepu dla przedaży artykułów spożywczych, odzieży, sprzętów domowych, budowa lub kupno domów dla członków, organizacya pewnych gałęzi przemysłu, celem dostarczenia pracy stowarzyszonym pozbawionym zajęcia. Jako dalsze cele wskazano nabycie własności ziemskiéj i utworzenie kolonii z szerokim zakresem samorządu i samopomocy, oraz materyalne popieranie innych podobnych usiłowań.

Gdyby podobny program ogłosila spółka lilipucich kapitałów w innym kraju, to uważanoby całe stowarzyszenie za farsę, lecz jak wiadomo rasę anglo saksońską cechuje wytrwałość w osiągnięciu zamierzonego celu.

W maleńkim domu o trzech oknach, w głuchéj uliczce Crapaud otworzono w 1844 r. za zebrane 28 f. st. sklepik spożywczy, który po roku liczył już 74 członków posiadających 180 f. st. kapitału zakladowego, z rocznym obrotem 710 f. st. i zyskiem za pierwszy rok 22 f. st. Obecnie

zaś siedzibą spółki jest wspaniały trzypiętrowy gmach własny, o 26 oknach frontu, ozdobiony zégarem wieżowym, którego cały parter zajmują własne sklepy spożywcze i inne pod ogólnym szyldem: *Rochdale equitable pioneers society limited.* W r. 1891 stowarzyszenie liczyło 11,647 członków z kapitałem zakładowym 372,000 f. st. i osiągnęło czystych zysków w tymże roku 52,200 f. st. Spółka posiada bibliotekę z 20,000 tomów, 18 czytelni, szkolne kasy oszczędności, kasy zaliczkowe i pogrzebowe, wielki młyn, przędzalnię i tkalnię, oraz 200,000 f. st., jako udział lub lokacya w 38 innych stowarzyszeniach.

Tak olbrzymi rozrost lilipuciego początkowo stowarzyszenia spożywczego, jak wyżéj powiedzieliśmy, był skutkiem zastosowania nowéj zasady podziału zysków stosunkowo do zakupów, a nie kapitału i przedaży towarów po cenie targowéj. System ten zowie się w Anglii *Rochdale-plan*, dla odróżnienia od drugiego systemu *Civil-Service-plan*, bardzo rozwiniętego w pośród urzędników, w armii i flocie.

Główna różnica ostatniego systemu polega na przedaży towarów nie po cenie targowéj, jak to ma miejsce w stowarzyszeniach utworzonych podług *Rochdale-plan*, lecz po cenach nieco wyższych, celem osiągnięcia znaczniejszych zysków, rozdzielanych stosunkowo do udziałów w kapitale zakładowym. Przytém udział członków stowarzyszenia ogranicza się zwykle do zebrania kapitału zakładowego, gdyż samo prowadzenie spółki spożywczéj powierzane bywa ludziom postronnym, dobrze z handlem obeznanym. Idee R. Owena są obce urzędniczym stowarzyszeniom spożywczym, a działalność ich administracyi skierowana wyłącznie do osiągnięcia jak najwyższych zysków. Nie ma tu bibliotek, budowy domów dla wdów i sierot, łodzi ratunkowych, odczytów, zabaw, wspólnych wycieczek i t. p., dla urządzenia których wydają znaczne sumy stowarzyszenia spożywcze oparte na *Rochdale-plan.*

W pośród urzędniczych i wojskowych stowarzyszeń spożywczych przodują: *Civil-Service supply Association* i *Army and Navy cooperative Society.* Ogólny obrót 8 stowarzyszeń tego rodzaju w r. 1879-ym przewyższał sumę 6 milion. funtów sterlingów.

Urzędnicze stowarzyszenia spożywcze przedają towary wyłącznie za gotówkę, gdy połowa spółek opartych na *Rochdale-plan* udziela krótkoterminowy kredyt, lubo w ostatnim dziesiątku lat coraz więcéj zmniejsza się liczba stowarzyszeń przedających towary na kredyt.

Z rozrostem liczby i obrotów stowarzyszeń spożywczych coraz jaskrawiéj wychodzi też na jaw różnica pomiędzy niemi. Jedne spółki dają towar lepszy i tańszy, osiągając większe zyski, gdy inne prze-

dają towary gorsze, drożéj, a mimo to wykazują mniejsze zyski. Różnice zależą od większéj lub mniejszéj umiejętności w kierowaniu spółką, oraz od wysokości obrotów, aby więc te różnice zmniejszyć, angielskie stowarzyszenia spożywcze utworzyły związki dla hurtownego zakupu towarów.

Pierwsze spółki nie udały się, dopiéro w r. 1863 za inicyatywą Abrahama Greenvood powstała w Manchester spółka spółdzielcza, dla zaopatrywania stowarzyszeń spożywczych towarami nabytemi hurtownie z pierwszéj ręki pod nazwą *North of England Cooperative Wholesale Industrial and Provident Society limited*, które w r. 1889 miało około 7 mil. f. st. obrotu. Do związku tego przystąpiło 811 stowarzyszeń spożywczych. Związek posiada 7 parostatków do przewozu towarów i 9 wielkich hurtownych składów.

Stowarzyszenia spożywcze w Szkocyi mają swój oddzielny związek *Wholesale* w Glasgowie, który w r. 1891 miał około 3 mil. f. st. obrotu i liczył 136 tysięcy członków.

W r. 1869 odbył się w Londynie pierwszy kongres stowarzyszeń spożywczych, na którym wybrano komisyę celem uorganizowania ogólnego związku angielskich stowarzyszeń spożywczych. Związek był uformowany w roku 1873-im w Newcastle, kieruje nim corocznie zbierający się kongres stowarzyszeń spożywczych i centralne biuro *(Central-Board)*, złożone z 53-ch członków i podzielone na 6 sekcyi terytoryalnych.

Związek stowarzyszeń spożywczych utworzono w celu zachęty do sumienności i ekonomii w wytwórczości i handlu. Podstęp i oszustwo winny być wyrugowane, a towary mają być wytwarzane i zaofiarowywane takie, za jakie się przedają. Daléj związek ma się starać o sunięcie zatargów pomiędzy robotnikami a spożywcami i wpływać na uregulowanie współzawodnictwa w handlu.

W 1889 r. związek został zaregestrowany w Manchester, do niego przystąpilo 949 stowarzyszeń spożywczych.

Oprócz celów humanitarnych związek ma inne jeszcze zadanie, jak np. handel towarami potrzebnemi stowarzyszeniom, oraz prowadzenie młynów, fabryk niektórych przedmiotów, głównie mydła, tkanin, obuwia i t. p. Zadania te w 1889 r. wyraziły się obrotem w sumie 9 milionów f. st. przy 2,500 robotnikach. W ostatnich latach związek stowarzyszeń spożywczych urządzal wystawy towarów, bądź przez siebie wytwarzanych, bądź tylko hurtownie na potrzeby stowarzyszeń nabywanych. Wystawy połączone były z olbrzymiemi zabawami, koncertami i różnemi uroczystościami. Słowem zadania, jakie sobie nakréśliły angielskie stowarzyszenia spożywcze, mają cechy przy swéj prak-

tyczności w najwyższym stopniu humanitarne i idealne. Pragną one polepszyć byt i uszlachetnić swych członków nie drogą gwałtownych wstrząśnień i przewrotów ale pracą u podstaw, przez oszczędzanie kieszeni uczestników, przez udzielanie jak największych ilości udogodnień życiowych za jaknajmniejszą sumę pieniężną, przez spotęgowanie poczucia korzyści bezinteresownéj pracy jednostek na korzyść ogółu i przez wykazanie wielkich rezultatów ze stowarzyszania się.

Największém stowarzyszeniem spożywczém w Anglii jest *Industrial Society* w Leeds, które w 1890 r. liczyło około 27 tysięcy uczestników i posiadało towarów za 700 tys. f. st. w 124 sklepach, oraz własnéj rzeźni i młynie parowym. Stowarzyszenie to zbudowało 323 domy dla członków z amortyzacyjną opłatą długu i corocznie ze swych zysków znaczne robi odliczenia na cele oświaty i użyteczności publicznéj.

Wogóle w 1891 r. było w Anglii 1,624 stowarzyszeń spożywczych, mających około 1,200,000 członków z kapitałem 13 mil. f. st. i roczną przedażą towarów na 48 mil. f. st. Czyste zyski stowarzyszeń w tymże roku dały 4,770,000 f. st.

Jakkolwiek apostołami kooperacyi francuskiéj byli Fourier, Buchez, Leclaire i Godin, to jednakże stowarzyszenia spożywcze we Francyi dopiéro w ciągu ostatnich dwudziestu lat więcéj się rozpowszechniły, lecz za to w stosunku niepomiernie rosnącym. Istnieją wprawdzie towarzystwa dawniéj założone, jak np. *Societé coopérative d'Hargicourt* (od 1848 r.), *Revendication* w Puteaux, *Boulangerie de la Flotte* (od 1864 r.) i t. d. w liczbie jednak niewielkiéj i z nader małą początkowo działalnością.

Stowarzyszenia powyższe, jak wyspy na oceanie, żadnym związkiem i wspólnością interesów nie złączone, małą téż miały doniosłość społeczną. Dopiéro w 1878 r. uorganizowało się pierwsze kółko stowarzyszeń spożywczych, w celu hurtownego zakupu towarów, w 1884 r. powstał *Syndicat de Paris* stowarzyszeń spożywczych.

Myśl ogólnego związku francuskich stowarzyszeń spożywczych powstała w Nîmes. W mieście tém istniały trzy stowarzyszenia spożywcze, ale każde oddzielnie działające; dopiéro na jedném z posiedzeń nowozałożonego *Société d'économie populaire* zaprojektowano zwołanie kongresu stowarzyszeń spożywczych.

Jakoż pierwszy kongres stowarzyszeń francuskich zebrał się w Paryżu 25 lipca 1885 r., obesłany przez 80 stowarzyszeń spożywczych i przez angielski kongres podówczas w Oldham obradujący, w osobach: generalnego sekretarza, Vansittart Neale i ucznia R. Owe-

na, historyografa angielskiéj kooperacyi J. J. Holyake. Kongres powołał do życia izbę doradczą *(chambre consultative)*, jako organ centralny stowarzyszeń spożywczych i izbę handlową *(chambre commerciale)*, w zawiadywaniu któréj pozostaje hurtowny skład towarów dla stowarzyszeń.

Urzędowa statystyka stowarzyszeń spożywczych we Frapcyi dotąd nie została ogłoszoną, wiadomo tylko, że liczba ich wynosi 942, bardzo nierównomiernie rozmieszczonych i tak np.: departament *Charente-inférieure* ma 113 stowarzyszeń spożywczych, w innych zaś 11 departamentach istnieje zaledwie po jedném stowarzyszeniu. Podług Hansa Crügera *(Die Erwerbs- und Wirthschafts-Genossenschaften in den einzelnen Ländern.* Jena, 1892), w 800 stowarzyszeniach spożywczych francuskich uczestniczyło 450,000 członków, którzy zakupili towarów za 190 milionów franków i dali zysków 19 mil. fr. Mając jednak pod ręką kilkanaście sprawozdań oddzielnych stowarzyszeń, sądzimy, że cyfry obrotu, podane przez Crügera, są daleko niższe od rzeczywistych.

Jak w Anglii, tak i we Francyi wiele stowarzyszeń spożywczych powstało bez żadnych zachodów, przeciągłych obrad, tworzenia komitetu, podkomitetów i delegacyi, zwykle przypadkowo, wpośród zwykłéj banalnéj rozmowy. Tak np. w 1884 r. trzech robotników w Paryżu zeszło się w handelku win dla wychylenia tradycyjnego *le coup de 4 heures.*

— Fi! jak można płacić tak drogo za wino, które nas truje! — zagadnął jeden z nich.

— Istotnie, gdyż w nim nie ma nic naturalnego oprócz koloru, i winiarz jeszcze ośmiela się twierdzić, że to jest prawdziwe, *fein* wino krajowe.

— Dlaczegóż więc nie złożymy się i nie kupimy wspólnie pół beczki? Rzucając do skarbonki obecną wartość każdéj wypitéj lampki, zdobędziemy się późniéj na całą beczkę wina zdrowego, niefałszowanego—odrzekł trzeci.

— Ach, idea! to kooperacya! Więc wciągnijmy towarzyszy i otwórzmy spółkę.

Tak zawiązało się jedno z najpotężniejszych stowarzyszeń spożywczych w Paryżu pod nazwą *La Moissonneuse.* W dzień otwarcia liczyło 19 członków, obecnie zaś ma ich około 14 tysięcy z obrotem 7 milionów franków.

W Niemczech w 1891 r. istniało 8,418 stowarzyszeń spółdzielczych, z tych 1,122 spożywczych. I tu nie znajdujemy statystyki

ogółu spółek, gdyż tylko 302 stowarzyszenia spożywcze ogłosiły obroty w sumie 63 milionów marek. Przypuszczalnie stowarzyszenia spożyw- w Niemczech liczą około miliona członków, którzy zakupują towarów za 250 milionów marek.

W Austro-Węgrzech istniało w 1888 r. 236 stowarzyszeń spożywczych, we Włoszech przeszło 600, w Belgii 53, w Danii 150, w Szwecyi 70, w Norwegii 170. W Rosyi było w 1891 r. 80 stowarzyszeń spożywczych, z tych 55 ogłosiło bilanse w „Wiestniku finansów".

Powiedzieliśmy wyżéj, że istniejące w Królestwie stowarzyszenia spożywcze bynajmniéj nie mogą poszczycić się osiągniętemi rezultatami, są małoznaczne swoją liczbą i swą działalnością. Największe z nich stowarzyszenie spożywcze „Merkury" w 1890 r. sprzedało towarów za 224 tysiące rubli, gdy np. stowarzyszenie spożywcze w Wrocławiu liczyło w tymże czasie przeszło 31 tysięcy członków, sprzedało w 48 swych sklepach towaru za 9 milionów marek i osiągnęło przeszło milion marek czystych zysków.

Na teraz nie będziemy rozbiérali przyczyn opornego wzrostu naszych stowarzyszeń spożywczych, uważamy jednak za bardzo pożyteczne i pilne zwołanie zjazdu przedstawicieli stowarzyszeń spożywczych w Królestwie, w celu między innemi:

a) utworzenia stałego biura informacyjno-statystycznego stowarzyszeń, któreby miało za jeden z głównych celów ułatwianie zawiązywania nowych stowarzyszeń;

b) ustanowienia agentury handlowéj, wspólnéj dla wszystkich stowarzyszeń prywatnych, lub też wprost otwarcia hurtownego składu dla tychże;

c) zastanowienia się nad możliwością i pożytkiem otwarcia kooperacyjnych piekarni i rzeźni, a także innych zakładów wytwórczych;

d) wydawnictwa Almanachu spółek spółdzielczych wogóle i w szczególności stowarzyszeń spożywczych.

Inicyatywę zwołania zjazdu mogłoby podjąć stowarzyszenie spożywcze „Mekury", które, jak mniemamy, nie napotka przeszkód w urzeczywistnieniu projektu.

L. Iwanicki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Charitas".

Pod powyższym nagłówkiem leży przed nami książka, pokaźna objętością, bo 585 stron druku zawierająca, treścią poważna, bo najwybitniejsi pisarzy nasi złożyli się na jéj całość, wydana w Petersburgu na rzecz, znajdującego się tamże, R. K. Towarzystwa Dobroczynności przy kościele ś. Katarzyny.

Miłosierdzie jest rzeczą świętą, to też do apelu stanął poważny zastęp mężów bez względu na przekonania religijne czy społeczne. W życiu codziennem nie spotykają się prawie ci ludzie z sobą, należący do przeciwnych a częstokroć wrogich obozów, lecz w tym wypadku, gdy szło o dzieło miłosierdzia, podali wszyscy dłoń bratnią i w jednym stanęli szeregu.

Dziwny obraz rozsunął się przed nami: Obok fioletów biskupich, widzimy jaskrawą postępowców barwę, ludzi głębokich, religijnych przekonań, przy zdecydowanych pozytywistach. I nikt nikogo nie potrąca, nie popycha, a że *concordia res parvae crescunt,* urosła księga piękna, cel piękny na względzie mająca.

Pomijając cel wydawnictwa, który już sam przez się powinien być zachętą dla rozumiejących znaczenie wyrazu: nędza! rozpatrywana książka nie należy do rzędu tych wydań zbiorowych, w których najczęściéj jest więcéj liczmanów niż prawdziwéj monety. Autorowie, do ksiąg podobnych, które nie idą na ich pożytek, zwykli dawać: co łaska

i dlatego wydawnictwa zbiorowe, w tym właśnie celu wydane, nie cieszą się zbytnio względami czytającéj publiczności.

Tym razem jednak rzecz się ma całkiem odmiennie.

Wybór artykułów odznacza się nietylko dobrocią pod względem zewnętrznéj formy artystycznéj, ale i treść ich, w dzisiejszych warunkach wydawnictw naszych, nieobojętną wcale dla nas być musi. Nie wiele tam czytelnik znajdzie rzeczy do chwilowéj tylko służących zabawy, za to stokroć więcéj tego, co do jego umysłu i serca przemówić potrafi.

Książkę rozpoczyna krótki artykulik ks. S. M. Kozłowskiego, arcybiskupa mohylowskiego, traktujący o „Ważności zakładów i stowarzyszeń dobroczynnych"; następnie idzie spora praca pióra St. Tarnowskiego o „Leonie XIII-ym". Autor sprzeciwia się twierdzeniu niektórych, że Kościół nigdy nie przebywał tak ciężkich czasów, jak w téj chwili. Stokroć gorszemi były: schyzma zachodnia, oderwanie się Lutra, rewolucya wielka, uwięzienie papieża przez Napoleona i zabór jego państwa, wreszcie upadek władzy świeckiéj papieża za Piusa IX-go i wydana przez Prusy wojna Kościołowi. Wszystko zdawało się grozić ostatniém rozbiciem Kościoła, ale oto ster nawy Piotrowéj dostaje się w ręce niepośledniéj miary męża, jakim jest Leon XIII-ty — i świat się nawraca ku niemu. W krótkich zarysach, lecz dzielnie skreśloną jest działalność dzisiejszego namiestnika Chrystusa, jako kardynała i papieża. Wielki obraz w ramy małe ujęty został, lecz autor nie pominął żadnego wybitniejszego rysu. — Ks. Michał Nowodworski, bp. płocki: „Co robić?" zapytuje, widząc w dobie dzisiejszéj upadek moralności i daje odpowiedź nie nową, lecz radę starą, wskazując Tego, który rzekł: „beze mnie nic nie możecie!" Daléj widzimy parę ciekawych listów ks. Hołowińskiego, podanych przez b-pa Albina Symona; „Kilka wspomnień klasztornych", „Z wycieczek po Galicyi, Czechach i Włoszech" barwnie opowiedzianych przez ks. Karola Niedziałkowskiego. Do niezwykle miłych pogadanek, ze względu na wiele wspomnień wzruszających serca nasze, jest opis wycieczki Zygmunta Glogera p. t. „Trzy dni nad Szczarą". Do takich zaliczamy: „Wspomnienie Polesia z przed lat pięćdziesięciu" Niesłuchowskiego i ciekawą wiadomość podaną przez ks. Kłopotowskiego: „Wspomnienie o siostrach miłosierdzia w Żytomierzu". Nieobojętném będzie dla nas: „Poselstwo polskie w Petersburgu 1720 roku" dr. Prochaski, zawarta tam charakterystyka dyplomacyi dwóch dworów i pierwszy opis nadnewskiéj stolicy, jako téż ceremoniału dworu Piotrowego, podany nam przez posła króla Augusta. Wilhelm Bogusławski obdarza nas obszerną pracą. „Wizerunek czynności i zasług Towarzystwa przyjaciół nauk po-

znańskiego", a Piotr Chmielowski, na podstawie nieznanych dotąd listów, kreśli kartkę z „Dziejów Pielgrzyma".

Suchy wykaz tytułów prac zawartych w książce, o któréj mowa, nie może nic powiedziéć o ich rzetelnéj wartości, ale dość wspomniéć nazwiska: Karłowiczów, Korzonów, Chlebowskich, Jeżów, Pawińskich, Tretiaków i t. d., ażeby być pewnym, że każdy artykuł po nad zwykłą miarę wychodzi. Co kto lubi, z wyjątkiem tylko rzeczy błachych, odnajdzie w téj *silva rerum*. Przed oczyma naszemi przesunie się i ponura twarz Cromvela i wiele miłych swojskich postaci i rzeczy. Kto lubi dźwięki lutni, to od czego Marya Konopnicka, Deotyma, lub stary nasz pieśniarz Adam Pług? Historya, powieść, nowela, podróże, poezye i rzeczy społeczne, wszystko to barwnym pasem przewija się przed nami, a rzec śmiało możemy, że nie masz tam rzeczy miernych lub obojętnych. Jednym z bardzo ciekawych, przynajmniéj dla mnie, artykułów jest „Dwie wizyty pasterskie odbyte przez JE. ks. biskupa Symona". Z nich się dowiadujemy o parafiach katolickich w Rosyi, o koloniach polskich i ich uczuciu religijném, z jakiém przyjmowano biskupa.

Zważając na cel, w jakim książka wydana została, na pomieszczone w niéj prace, którym nic prawie do zarzucenia nie mamy, na staranną korektę i druk wyraźny, mamy nadzieję, że książka ta w każdym polskim domu się znajdzie, że nikomu obcém nie jest zdanie: *Res sacra miser!* *Kazimierz Gliński.*

Aleksander Raciborski. „Ogólny zarys systemu filozofii." Tom I. Lwów. Nakładem autora, 1892, str. XX i 235.

Prof. Raciborski ze Lwowa w książce pod powyższym tytułem rozpoczyna systematyczny wykład kursu filozofii. O ile uprawniona jest nazwa „systemu filozofii", można będzie sądzić dopiéro po wyjściu dalszych tomów; ten, o którym mowa, prócz wstępu wyjaśniającego pogląd autora na filozofią wogóle, zawiéra tylko 1-szą część „teoryi poznania". Część ta, oprócz pierwszych dwóch rozdziałów p. t. „Czém jest poznanie?" i „Przeciwieństwo podmiotu i przedmiotu", po części i trzeciego „Czém jest wrażenie", zajmuje się poprostu pewną stroną psychologii fizyologicznéj; znajdujemy tu wykład przeważnie faktyczny o wrażeniach ustrojowych, mięśniowych, smakowych i powonieniowych, dotykowych, słuchowych i wzrokowych, a nareszcie o prawie psychologicznem Webera i jego krytykę. Są to niezawodnie rzeczy

niezbędne, jako przygotowanie do teoryi poznania i obrobione przez autora na podstawie licznych prac doświadczalnych najnowszych, ale nie należące do niéj, tylko do psychologii; jako faktyczne zaś nie podlegają dyskusyi. Zostaje mi więc poddać próbie poglądy autora, wypowiedziane we wstępie, oraz w wykluczonych wyżéj rozdziałach.

Już utożsamienie psychologii z teoryą poznania świadczy o empirystycznem usposobieniu autora; stwierdza to podane we wstępie określenie filozofii, jako „nauki o najogólniejszych prawach zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych, względnie do myślącego podmiotu, czyli jak nieco niżéj czytamy (z zastrzeżeniem o niezupełnéj ścisłości): „Filozofia jest nauką o najogólniejszych prawach ducha i materyi" (str. VII).

Określenie takie przypuszcza zawczasu, że „duch i materya" lub ściśléj mówiąc „zjawiska zewnętrzne i wewnętrzne" poddane są pewnym prawom, a więc rozwiązuje dogmatycznie i w duchu empiryczno-przyrodniczym zagadnienie, którego zbadanie krytyczne stanowi jeden z rozdziałów teoryi poznania i metafizyki. Wprawdzie autor w sposób bardzo szeroki, a nie zupełnie dla nas jasny pojmuje wyraz prawo, skoro posługuje się nim nawet w określeniu ideału („ideały są zbiorami pewnych praw", str. XVIII), którego pojęcie jest niejako przeciwieństwem pojęcia prawa w zwykłém znaczeniu, jak wolność jest antytezą konieczności. Że dogmatycznie przyjmuje p. Raciborski wszechwładność prawa, wynika to z następującego określenia (str. 3): „to co nazywamy porządkiem, jest wynikiem zastosowania pewnych praw." Pojęcie porządku jest szersze, niż pojęcie prawa. We wszelkie zjawisko, które chcemy zbadać, powinniśmy wprowadzić jakiś porządek; jest to koniecznym warunkiem naszéj umysłowości: nie możemy się zoryentować inaczéj w chaosie wyobrażeń, jak tylko grupując je według pewnych kategoryi. Ale nie wynika stąd ani żeby prawo (pojęte w znaczeniu przyrodniczém) miało być jedyną kategoryą, przy któréj pomocy wprowadzamy ów porządek, ani tém bardziéj, iżby istniało w saméj naturze rzeczy. Postępowanie istoty wolnéj według jakiegoś celu jest niezawodnie pewnym porządkiem postępowania, jak niemniéj poddawanie się jéj pod jakiś uznany przepis moralny lub prawny, chociaż żadne z tych zjawisk nie należy do kategoryi praw [1]).

Ściślejsze oznaczenie zakresu filozofii zbliża autora do stanowiska

---

[1]) Przytoczony zaś przez autora przykład deski przestrzelonéj kulami najlepiéj wykazuje, w jaki to sposób sami wnosimy porządek w bezładnie rozrzucone w rozmaitych odległościach od celu ślady pocisków, kreśląc pewne linie dowolne i oznaczając „prawo zjawiska".

nieco nawróconych już do metafizyki angielskich wyznawców pozytywizmu, jak Lewes: „filozofia, powiada p. Raciborski, powinna być wspólnym wynikiem wszystkich działów wiedzy ludzkiéj, powinna być zarazem ich najogólniejszym łącznikiem, powinna być wreszcie nicią przewodnią w poszczególnych badaniach, przez podawanie im pewnéj metody, ujmowanie ich w pewien system i przez wskazywanie im pewnego celu" (str. VIII). Chociaż gdzieindziéj daje on zupełnie Comte'owskie określenie: „Filozofia jako system całościowy powinnaby obejmować ogół wiedzy ludzkiéj, opracowanéj i przedstawionéj jednolicie, według pewnego sposobu badania, całościowo i wyczerpująco" (str. XIX) i tylko słabością sił ludzkich, oraz przepisanym dla katedry zakresem usprawiedliwia przyjęty przez siebie podział zwykły na psychologię, logikę, teoryę poznania, metafizykę, estetykę i etykę.

Psychologię i logikę pomija autor jako umiejętności, które, opierając się na pewnych danych, mogą stać ponad stronnictwami filozoficznemi.

Metafizykę określa zgodnie z tradycyą jako „naukę o istocie wszechrzeczy" (str. XIV), czyli o „istocie zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych względnie do myślącego podmiotu" (XV). Powinna ona być wedle autora tylko dalszém zastosowaniem wyników, do których nas doprowadziła teorya poznania. „Wątpiąc jednak, czy jest to możliwe dla ograniczonych i na stanowisko bezwzględności wznieść się nie mogących władz poznawczych człowieka, nie rozszerzyłem odpowiednio mego określenia filzofii, aby w niéj zrobić miejsce na tak pojętą metafizykę", powiada p. Raciborski (str. XV—XVI); przyznając jednak wpływ metafizyki na etykę i estetykę, a z drugiéj strony widząc w niéj „raczéj szereg zapytań niż odpowiedzi" i nie mogąc wśród rozmaitych sprzecznych rozwiązań zdecydować się na jakiekolwiek, pomija zupełnie metafizykę, pragnie natomiast znaleść podstawy dla etyki i estetyki „w naukach przyrodniczych, a przedewszystkiém w psychologii".

To wyrzucenie metafizyki z systematu filozofii jest zupełnie w duchu pozytywizmu i zdaniem naszém, jest największym grzechem, jaki popełnił pozytywizm względem filozofii, pojętéj jako naukowy pogląd na świat. Mania naukowości, stanowiąca niejako chorobę endemiczną drugiéj połowy naszego stulecia, wymagająca, żeby tak artykuły wstępne, jak i krytyka literacka, poezya, zarówno jak i metafizyka były „naukowemi", przyczyniła się do odmówienia téj ostatniéj przez Comte'a i jego zwolenników przymiotu naukowości. Umysł jednak

ludzki nie może się obejść bez odpowiedzi na te pytania, z których, jak uważa p. Raciborski, składa się metafizyka, a kolosalny wpływ tych odpowiedzi i ogólnego poglądu na świat na dziedzinę czynu, na przekonania życiowe czyni nieobojętnym ich wybór. Odrzucając zaś rozwiązania, które w ciągu tysiącoleci wypracowały najlepsze umysły ludzkie i zawieszając czarném suknem owe palące znaki zapytania, jak to chciał uczynić Comte, wywołamy jedno z dwóch: albo dogmatyzacyą hypotez i formułek przyrodniczych z podniesieniem ich do godności metafizyki, co widzimy w pozytywizmie angielskim, francuskim i naszym w ostatniém pokoleniu; albo przyjęcie pierwszego lepszego zabobonu, do którego skłonność zawsze znajduje się w głębszych zakątkach najpozytywniejszych umysłów, a za wszelką zasłoną człowiek chętnie szuka czegoś tajemniczego. Materyalizm i spirytyzm podają sobie chętnie rękę z uszczerbkiem dla godności myśli ludzkiéj. Oczywiście, że i jeden i drugi stanowią najgorszy rodzaj metafizyki, który tylko ujemnie wpłynąć może na etykę i estetykę. Czy nie lepiéj więc, nie zrażając się tém, że metafizyka nie jest tak pewną jak matematyka, że jest raczéj szeregiem pytań niż odpowiedzi, poddać te pytania i proponowane dotąd odpowiedzi ściślejszemu badaniu, oświetlić je krytycznie i historycznie, niż puszczać na manowce umysły, które bez nich nigdy się nie obchodziły i nie obejdą? Wszak hypotezy i teorye zmieniają się w każdéj gałęzi wiedzy, a niekiedy i w przyrodoznawstwie myśl odbywała wahania to w jednę, to w drugą stronę, podobnie jak w dziejach filozofii. Jeśli zaś historya wiedzy ścisłéj nie wykazuje tak licznych po sobie idących systematów każdéj gałęzi szczegółowéj, to dlatego, że bardzo niewiele z jéj zagadnień dręczyło ludzkość od tak dawna, jak pytania metafizyczne.

Po odrzuceniu psychologii, logiki i metafizyki w zakresie wykładu zostają: teorya poznania (któréj pierwszą część, a właściwie, jak wspomniałem już, psychologią fizyologiczną organów zmysłowych zawiera tom niniejszy), etyka i estetyka. Te działy stanowić mają treść dalszych tomów „Ogólnego zarysu systemu filozofii".

Pierwsza część oparta jest na nowszych badaniach fizyologicznych i patologicznych i zawiéra wiele ciekawego materyału faktycznego, z którego skorzystać istotnie może czytelnik lub uczeń. Słabą stronę stanowią natomiast uogólnienia. Autor podał wprawdzie rozdział p. t. „Ogólne wyniki", ale ta złożona z samych cudzysłowów rekapitulacya jest tylko nużącém powtórzeniem na 30 stronicach tego, co było już powiedziane na 200 poprzednich, bez najmniejszéj próby syntezy lub nawet uogólnienia.

Nie zgadzając się w wielu punktach z autorem, z prawdziwą je-

dnak radością witamy tę nową próbę oryginalnie i naukowo opracowanego wykładu systematycznego filozofii. Polecamy go publiczności, która dotąd zazwyczaj korzystała z lichych kompendyów tłómaczonych z francuskiego (Juliusza Simona lub Boiraca), w których niedołężnie skompilowane wiadomostki rozprowadzone są wodą eklektyzmu do stopnia rozcieńczenia, wymaganego przez prawowierność kolegiów i Sorbony. *Wł. M. Kozłowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Włodzimierz Zagórski.* **Poezye.** Z teki Chochlika. Nowa serya. Warszawa. T. Paprocki, 1894, str. 194. — P. Włodzimierz Zagórski jest t. zw. u nas popularnie humorystą, był redaktorem kilku po kolei pism „humorystycznych", w których sam bardzo dużo, jeżeli nie wszystko pisywał, wydal dwa zbiorki poezyi, mających przeważnie charakter żartobliwy i satyryczny. Humoru w estetycznêm znaczeniu tego wyrazu naprawdę nie posiada, gdyż jeden ze składowych tegoż pierwiastków, uczucie głębokie i rzewne dość słabo jest w nim rozwinięte, kiedy ostrze satyrycznego dowcipu i zdolność do wnikania w przepaściste zagadnienia filozoficzno-moralne wybitnie się w twórczości jego zaznaczają. Jakoż i w obecnym zbiorku spotykamy najczęściéj już-to temata, które są ulubionymi motywami pism „humorystycznych", a właściwie żartobliwo-satyrycznych, już-to poważne refleksye nad losem i obowiązkami ludzi. Zręcznie i śpiewnie kreśli autor rozmowę miłosną, przerwaną nagle ukłóciem panny przez komara („Ten trzeci"), szynkowniany obrazek („Hebe"), wędrownych grajków, którzy za jedzenie i napój bawią ludzi i u szynkarek mają nawet powodzenie („Tercet"), dowcipnie prowadzi „Rozmowę pijaka z księżycem", drwiąco maluje spijanie śmietanki życia za młodu i pocieszanie się na starość, że wszystko jest głupstwem („Lukier"), lub też chwalbę dawnych dobrych czasów („Bywało") i t. p. Mamy tu także dłuższy poemacik satyryczny p. t. „Poradnik dla konkurentów"; ale w nim po za powtarzaniem starych już i wyszarzarzanych konceptów, po za nieznośnemi makaronizmami polsko-francuskiemi, trudno się dopatrzyć nowych jakichś spostrzeżeń, delikatniejszego smaku i szczęśliwych wyrażeń. Nie warto było uwieczniać tego utworu w formie książkowéj, niechby sobie spoczywał w numerach, którego z pism „humorystycznych", gdzie był pierwotnie pomieszczony i gdzie ukazując się kawałkami, w pewnych odstępach czasu, nie raził jednostajnością zwrotów.—

Z poezyi treści filozoficznéj najważniejsze miejsce w tym zbiorku należy się „Królowi Salomonowi”, który przed laty był już w osobnéj książeczce drukowany i wtedy został w „Ateneum” oceniony. Jako zakończenie tego poematu podaje p. Zagórski „Psalm tęsknoty”. Opowiada tu poeta dzieje swych wątpliwości religijnych przy rozważaniu ustroju świata i głuchéj rozpaczy, w jakiéj go one pogrążały:

I nie objawił mi cię, wielki Boże,
Ten świat, którego nędza i brzydota
Wyrazem myśli twojéj być nie może,
Ani to życie, co się tam szamota
Na znikomości toniach — słoma krucha,
A jest ciał męką i strapieniem ducha

Przedstawia następnie poszukiwanie rozwiązania zagadki w wywodach wiedzy materyalistycznéj i jéj niemoc w sprawie odpowiedzi na pytanie o pierwszą przyczynę wszechrzeczy.

Wtedy mię porwał ten huragan szlochów,
Co się dobywał z tego łez padołu.
Brzemienny skargą uciśnionych prochów
I z łkaniem duchów zmieszany pospołu.
Wnikał mi w duszę, nawskroś ją przewiewał
I roztkliwioną do buntu zagrzewał.

I zwątpił poeta o istnieniu Stwórcy i straszno było w „odbożonym świecie”, a jego samego uciskała „gorzka świadomość, że się rozkłada duch”, co w nim gościł, „jako proch w otchłań lecący nicości”. Tęsknota do nieśmiertelności, poczucie pustki w tym świecie atomów, wróciły mu wiarę i zawołał „hardo”:

Przez tę skrę boską, co we mnie zaklęta,
Tęskni do źródła, skąd wzięła poczęcie...,
Przez ten głód prawdy, co ziemi odjęta
Przez to wszechdobra i bóstwa pojęcie...
Przez to, że myślą w nieskończoność płynę —
Jam duch, nad ziemską wywyższony glinę.

Pesymizmu się tedy wyrzeka i składa dzięki Bogu za to, że „dał tu i owdzie miejsce do wytchnienia, gdzie powój ciernie oplata i głogi”, gdzie „ptaszków kapela ponure myśli piosnką rozwesela”, gdzie „czasami bywa przyjaźń stateczna, a miłość szczęśliwa”, gdzie wiarą w nieśmiertelność, krzepiąc ducha, „jad ziemskiego odtruwa cierpienia i śmierć nadzieją życia opromienia.” I tak dochodzi poeta do ukojenia i pogody wewnętrznéj. — Z innych motywów należy chyba uwydatnić jeszcze naiwność i szczerość młodocianego uczucia, opisanego w poemaciku p. t. „W wagonie”. Jedzie młodzian do szkół pełen ro-

jeń o romantycznych przygodach w podróży. Długo samotnie czas spędza, aż na jednéj stacyi wsiada piękna kobieta. Młodzian pragnąłby rozpocząć rozmowę, ale nie ma odwagi, nie ma tematu, któryby mu utorował drogę do wyjawienia tego, co czuje. Po uporczywéj z samym sobą walce zdobywa się zaledwie na wymówienie słowa „pani!" jako wstępu do przemowy, ale po wstępie ani wyrazu jednego dodać już nie może. Zmieszanie jego podoba się widocznie kobiécie, lecz i ona nie przemawia ani słowa, wysiada, i tylko gdy pociąg rusza daléj, a młodzian ku niéj z wagonu wyciąga ramiona, ona patrzy w tę stronę, uśmiecha się życzliwie i od ust całusa posyła. I tak w duszy młodzieńca pozostało tylko miłe, tęskne wspomnienie, bo już nigdy w życiu kobiéty téj nie widział. — Prostotą i szczerością odznacza się także wiersz „Podlotek". — Z przekładów zamieszczonych w zbiorku warto wyszczególnić jednoaktowy dramacik Franciszka Coppéego p. t. „Ojcze nasz", piękną i wzniosłą ideą przebaczenia opromienionym; rzecz dzieje się za czasów upadku komuny paryskiéj; siostra księdza, zabitego przez komunistów, ma w swych rękach jednego z ich przewódców; po strasznéj z sobą walce — ocala go przed ścigającém wojskiem wersalczyków.

— *Karol Baudelaire.* **Kwiaty grzechu.** Z portretem i życiorysem autora. Przełożyli z francuskiego *Adam M-ski* i *A. Lange.* Warszawa, Hieronim Cohn, 1894, str. 111. — Baudelaire umarł w r. 1867. Za życia rozgłosu nie miał, po śmierci dopiéro pozyskał sobie zwolenników wśród najmłodszego pokolenia poetów, którzy go sobie wzięli za patrona i przezwali się dekadentami. W pierwszéj młodości należał do jego wielbicieli i naśladowców Paweł Bourget, tak odmienne od dawniejszych wypowiadający obecnie pojęcia i uczucia. Są krytycy, niepospolici nawet, którzy sławę Baudelaire'a jako poety uważają za mistyfikacyą artystyczną. Bywają pisarze — powiada np. Edmund Scherer, jeden z głębszych umysłów krytycznych — co posiadają pewne talenta, nie będąc przecież artystami, nie mogąc utworzyć dzieła; Baudelaire zaś nie ma nic, ani serca, ani dowcipu, ani myśli, ani słowa, ani rozumu, ani fantazyi, ani werwy, ani nawet zręczności wykonania. Jest on dziwacznym z niemocy. Jedynym jego czynem jest, że się przyczynił do stworzenia estetyki rozpusty, poezyi miejsc brudnych. Sprowadziwszy zgniliznę ciała i duszy, wyczerpawszy się, nabrawszy niesmaku do siebie samego, zaczynają to opiewać. Czują się nieczystymi i tém się chlubią, przybierają pozę i odkrywają swą zgniliznę, jak rycerz swe rany zaszczytne; — albo też udają mizantropię, roztkliwiają się nad swém własném upodleniem, starają się pospo-

litość sprzedajnéj miłości podnieść, zaprawiają ją goryczą pesymistyczną. Rozwiozłość poczytuje się tu za wolność, bezwstyd za siłę, niedorzeczność kojarzy się z afektacyą." Sąd to zbyt bezwzględny i niesprawiedliwy. Samą estetyką rozpusty niepodobna sobie wytłómaczyć wpływu wywieranego na umysły młode. Cynicznych wierszy nie brakowało nigdy, ani w starożytności klasycznéj, ani w wiekach średnich, ani za czasów Odrodzenia, a jednak autorowie ich albo poszli w zapomnienie, albo téż z lekceważeniem są wspominani. Nie było w nich tego pierwiastku, który nadaje choć trochę poezyi najpospolitszym nawet objawom życia, nie było tęsknoty za ideałem, nie było tego gryzącego poczucia, że człowiek się zbydlęca, kiedy chuciom tylko zwierzęcym hołduje. Nie twierdzę bynajmniéj, żeby poezye Baudelaire'a mogły zachować trwałe znaczenie w dziejach twórczości, żeby je do niepożytych wiekiem arcydzieł zaliczono, żeby w nich dusze zdrowe, silne, proste smakować mogły, ale uważać je muszę za bardzo znamienny przejaw doby zwątpienia i wyczerpania, kiedy wielkie idee poddano krytyce i wartość naukową czy społeczną zakwestyonowano, kiedy hasło używania materyalnego, jeśli nie w teoryi, to w praktyce, znajdowało tłumy zwolenników, kiedy drwiono z zapału, wyszydzano naiwność i uczuciowość, kiedy zamiast uciech życia normalnego starano się o przyprawienie ich wszelkiemi wyszukanemi, sztucznemi przydatkami. Wśród takiéj atmosfery duchowéj, nawet dusza szlachetna w gruncie sponiewierać się mogła, brnąc razem z innymi w błocie z przenajróżniejszych obrzydliwości złożoném, a jednak zachowawszy w głębi pragnienie rzeczy wyższych i podnioślejszych, bolała nad sobą samą i żale swe, tęsknoty, bóle i zawody składała w pieśni. Pomawiać wszystkie dusze tego rodzaju o wydwarzanie, o popisywanie się tylko swoją zgnilizną, nie wydaje mi się rzeczą słuszną. Nie znam dobrze życiorysu Baudelaire'a, ażeby módz zapewnić o szczerości jego tęsknot, ale nie sądzę, ażeby próżnym tylko popisem były takie np. westchnienia za urokiem minionych uczuć szczerych i niewinnych, jakie znajdujemy w wierszu: *Moesta et errabunda:*

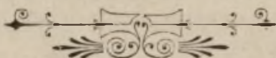
Jak wy daleko, raje wonne i pogodne,
    Gdzie radość, miłość kwitną pod jasnym błękitem,
Gdzie wszystko, co się kocha, jest kochania godne,
    Gdzie w czystą rozkosz serce nurza się z zachwytem!
Jak wy daleko, raje wonne i pogodne!

O, miłości dziecinnych raju umajony!
    Skoki, śpiewy, całunki i kwiecia równianki
I tętniące z za wzgórzy dźwięczne skrzypiec tony,
    I wieczorne po gajach wesołe hulanki —
Ty miłości dziecinnych, raju umajony!

Pełny uciech przelotnych, czysty raju wiosny,
Czyś ty już dalszy od nas, niż Indye i Chiny?
Czy może cię przywołać jeszcze krzyk żałosny?
Czy mógłby cię ożywić srebrny głos dziewczyny?
Niewinny, pełny uciech raju naszéj wiosny! (Przekł. *Ad. M-skiego*).

Nie same obrazy rozpusty, przesycenia, nudy przedstawia nam Baudelaire; nie brak mu nuty rzewności i serdeczności, nie brak zamiłowania w prostych, zwyczajnych widokach natury i ludzi. Dość przeczytać, takie ładnie przełożone na język nasz wiersze, jak: „Zaproszenie do podróży", „Wodotrysk", „Harmonia wieczorna", ażeby przyznać, że w duszy Baudelaire'a tkwiło poczucie piękna, że miał on i fantazyę i serce. Odczytując znów cykl wierszy o winie („Dusza wina", „Wino gałganiarza", „Wino samotnika"), przekonywamy się, że nie samolubne tylko cierpienia wyśpiewywał poeta francuski, lecz mając spółczucie dla nędzy wogóle, potrafił je ładnie, bez deklamacyi wyrazić. W wyborze „Kwiatów grzechu" nie zawsze może kierował się wydawca trafnym instynktem; kilka pięknych rzeczy pominął, a kilka takich umieścił, które mogłyby być opuszczone tam, gdzie nie o całość, lecz o część tylko poezyi Baudelaire'a chodziło. Przekłady obu tłómaczów są wogóle staranne i wiernie zazwyczaj zachowują formę oryginału. Tu i owdzie znajdzie się niewłaściwe wyrażenie, lub zwrot mniéj szczęśliwy. Np. nie bardzo może się podobać wiersz: „bezmierną głębię b r u ż d z i s z wesoło" (str. 22), albo: „są jako pożyczanéj potęgi d z i e r ż a w a" (str. 61), „stuk głuchy, jak k l e c ą c y c h rusztowanie młotów", „i pod dźwięk tych ł o s k o t ó w monotonnych p i e s i e ń" (str. 64), „i w sercu swém umieści z d a l a o c z u słońca" (str. 66), monstrancy*um* (str. 67, zam. monstrancya), zakasasz r ę k a w a (str. 87, zam. rękawy). Czasami znów rytm szwankuje: „nawet k i r m i a ł s w ą t ę c z g r ę" (str. 96), gdzie nagromadzenie jednozgłoskówek brzmi niemile. Wogóle jednak przekład zaliczyć należy do udatnych.

— **Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego**, Zarys literacki *Piotra Chmielowskiego*. Wydanie czwarte, poprawione i powiększone, z ilustracyami. Zeszyt I (6 arkuszy wielkiego formatu 8-to), opuścił prasę i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Dzieło to wyjdzie w 3 zeszytach. Cena dla płacących z góry za całość rs. 3, z przesyłką rs. 4; w prenumeracie rs. 4, z przesyłką rs. 5. Składy główne w Warszawie: u Gebethnera i Wolffa, oraz u Teodora Paprockiego; w Petersburgu: u K. Grendyszyńskiego.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nowe szkoły rzemieślnicze. — Wymowna potrzeba tych szkół. — Przyszła opieka nad terminatorami.—Artykuł o bonach-cudzoziemkach.—Mniemane zepsucie i wpływy francuskie.—Szkodnicy z miasta.—Okrucieństwo.

Najwyżéj zatwierdzona ustawa szkół rzemieślniczych ma wkrótce wejść w wykonanie w całém państwie. Dla rzemieślników, oraz przemysłu w naszym kraju posiadać ona może duże chyba znaczenie, o ile szkoły zakładane będą. Od zastrzeżenia takiego zaczynamy, mając w pamięci, że pomimo wydanéj przed paru laty ustawy normalnéj szkół technicznych i rolniczych, do udziału w zakładaniu których prawo powoływało instytucye społeczne i osoby prywatne, dotychczas nie słychać o funkcyi szkół zawodowych na zasadzie owéj ustawy. Towarzystwo osad rolnych założyło wprawdzie szkołę rolniczą w Sobieszynie, lecz myśl szkoły i fundusze na nią wskazał testament Kickiego, zmarłego jeszcze w r. 1878; z ustawy więc nie korzystano u nas wcale.

Nowe prawo o szkołach rzemieślniczych ma, zdaje się, na celu taki typ szkoły, któraby zastąpiła do pewnego stopnia terminowanie u majstra. Przyjmować ona będzie chłopców w wieku od 11—14 lat, ze świadectwami z ukończenia szkoły elemnetarnéj, lub tylko z umiejętnością czytania i pisania, a obok wiadomości praktycznych, potrzebnych w daném zajęciu rzemieślniczém, program obejmuje jeszcze wykład teoretyczny rysunków ręcznych, geometrycznych i matematyki. Kurs nauki obliczono na cztery lata. Szkoła nie da wprawdzie wychowańcowi świadectwa czeladniczego, lecz ułatwi i skróci mu praktykę u majstra cechowego.

Co do programu, to obejmie on religię, język ruski, arytmetykę, technologię rzemiosła, buchalteryę, rysunki ręczne i techniczne. Z rzemiosł zalecane są przedewszystkiém: ślusarstwo artystyczne i budowlane, kowalstwo, giserstwo, bronzownictwo, zegarmistrzowstwo, stolarstwo, szewctwo, introligatorstwo, krawiectwo i t. d., z uwzględnieniem potrzeb miejscowych. Na zajęcia praktyczne przeznaczono dziennie 6½ godzin. Potrzeby miejscowe wskażą, w jakiém rzemiośle uczniowie kształcić się specyalnie będą. Szkoły będą miały po trzy klasy.

Rozkład zajęć wzorowanym zostanie na szkołach przemysłowych, to jest uczniowie pracować będą w warsztatach, z wyjątkiem 3-ch godzin, poświęconych zajęciom w klasie; odrabianie lekcyi w domu w zwykłe dni szkolne, ma być całkowicie wykluczone. Do wykładów wiadomości teoretycznych i zajęć praktycznych w szkole powinny być 3 osoby: nauczyciel-inspektor, który otrzymał co najmniéj średnie wykształcenie techniczne, jeden nauczyciel z takiém samém wykształceniem i drugi z wykształceniem przepisaném dla nauczycieli szkół miejskich. Kierunek zajęć praktycznych w szkole spoczywać ma w rękach inspektora, nauczyciel technik winien być specyalnie wykwalifikowany w stolarstwie lub ślusarstwie.

Zatwierdzony przez władzę ministeryalną etat z dwoma oddziałami ślusarskim i stolarskim wyniesie rocznie 7,465 rub.; w razie zaś, gdyby w szkole prowadzona była nauka jednego tylko rzemiosła — 6,505 rub. rocznie.

Obecna faza téj kwestyi polega na wyjaśnieniu warunków, wśród których nowe prawo funkcyonować zacznie i kuratorowie okręgów naukowych mają dostarczyć ministeryum oświaty wskazówek i wiadomości, jakie miejsca najbardziéj potrzebują szkół rzemieślniczych i które istniejące szkoły mogłyby być przemienione na szkoły nowego typu. Jednocześnie kuratorowie porozumiewają się z zarządami miejskiemi, urzędami rzemieślniczemi i cechami, o ile te instytucye zechcą przyjść z pomocą przy organizacyi nowych szkół.

Sprawa więc stanęła na porządku dziennym i była już roztrząsaną na posiedzeniach obywateli w kilku naszych miastach. I tak: w Warszawie komisya, zwołana przez prezydenta miasta, obmyśléć ma fundusze na utrzymanie tych szkół. Mieszkańcy Lublina, którzy już oddawna starali się o założenie szkoły rzemiosł, przeznaczyli 3,000 rubli rocznie na jéj utrzymanie.

W Kaliszu odczytano odezwę p. kuratora okręgu naukowego zebranym 40 obywatelom, lecz całe prawie zgromadzenie było przeciwne urzeczywistnieniu projektu szkoły rzemieślniczéj, „niczém zresztą opo-

zycyi nie motywując" — jak pisze korespondent „Kur. Warsz." Dopiéro przemówienie niektórych osób, a zwlaszcza d-ra Dreckiego, wpłynęły dodatnio. Postanowiono wyasygnować z kasy miejskiéj rub. 1,000 rocznie.

Naturalnie, że jeżeli w większych i zamożnych stosunkowo miastach udzielenie funduszów na szkołę rzemieślniczą spotkało pewien opór, to cóż dopiéro mówić o mniejszych, w fundusze i w inicyatywę obywatelską mniéj zasobnych. W Krasnymstawie, gdy zebranym w magistracie obywatelom zaproponowano otworzenie szkoły, projekt ten jednozgodnie odrzucony został. Odmowę umotywowano brakiem funduszów, albowiem miasto, zyskawszy przed jedenastu laty zezwolenie na założenie progimnazyum 4-klasowego, przeznaczyło już z funduszów swoich, w Banku państwa lokowanych, odpowiednią na ten cel sumę i na otworzenie progimnazyum cierpliwie czeka.

Słusznie na to odpowiedziano, że lepiéj mieć wróbla w garści, aniżeli szczygła na dachu, boć progimnazyum w bliskiéj przyszłości otwarte zapewne nie będzie. Podnoszono jeszcze tę sprawę w kilku miastach: w Turku, w Końskich i t. d. Jedne miasta, tłómacząc się brakiem pieniędzy, wymawiają się od utrzymania szkoły z funduszów kasy miejskiéj, drugie udają się do władzy z prośbą o przyłączenie do rejonu szkoły innych miast i osad, w danym powiecie położonych, by tym sposobem wydatek na utrzymanie szkoły rozdzielony został pomiędzy kilka miast. Tak, mniéj więcéj, przedstawia się początek téj sprawy, która, bądź co bądź, przyczyniéby się mogła do fachowego podniesienia stanu rzemieślniczego, oraz odpowiedziéć interesom wielu miejsc i okolic kraju, gdzie przemysł rzemieślniczy skutkiem przestarzałéj rutyny, braku wzorów i wykształcenia upada, nie czyniąc zadość potrzebom mieszkańców. Niedawno przecież rozpisywano się o potrzebie szkół rzemieślniczych, ubolewano nad tłumném dążeniem żywiołu prowincyonalnego do Warszawy; narzeka się ciągle na produkcyę tandety rzemieślniczéj, oraz wskazuje, że miasteczka, osady i wsie potrzebują gwaltownie zdolniejszych nad obecnych rzemieślników.

Podniesienie przeto jakości produkcyi rzemieślniczéj, oraz wykształcenia fachowego téj klasy jest potrzebą, która do przekonania ojców miast naszych przemówić powinna. Wprawdzie większość miast naszych nie jest bogata i musi wyrzekać się nieraz tak pożytecznych instytucyi, jak szkoły i szpitale, oraz odwoływać się systematycznie do dobroczynności publicznéj, do teatrów amatorskich, widowisk i t. p. Lecz przecież reforma gospodarstwa i finansów, któraby powiększała środki, na cele społeczne, niezbędne, nie należy do cudów. Oprócz tego, jak z faktycznego przebiegu projektu szkół rzemieślniczych wi-

dzieliśmy, opozycya obywateli, nieumotywowana zresztą niczém, może być przełamana, jak to w Kaliszu uczynił dr. Drecki, dobrze już dla interesów swego miasta zasłużony. Ci obywatele są to najczęściéj porządni i dobrzy ludzie, którzy obawiają się nowości, choćby tak niewinnéj, jak szkoła rzemieślnicza.

„Co nam, panie dobrodziaju, po jakiéjś szkole—powiedzą. Chłopak powinien chodzić nie do szkoły, lecz do majstra, jak było dotąd i było dobrze.”

Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby nie wymagano od nich pieniędzy, gdyby szkoła gotowa, ze wszystkiemi utensyliami z nieba spadła.

Na szczęście instynkt pożytku społecznego wydaje jednostki, które posiadają dar czynu i słowa. Nakłonią, przekonają, wymogą one nareszcie na ospałych obywatelach zgodę i współdziałanie i popchną naprzód sprawę.

Odczyt p. Osmały „O wykształceniu terminatorów rzemieślniczych w Warszawie” ilustruje właśnie wymownie stan téj sprawy i brak wszelkiéj ciągłości pod względem wykształcenia. Uderza tu gwałtowny ubytek uczniów w klasach wyższych. W roku szkolnym 1891/2-im do szkół niedzielno-rzemieślniczych uczęszczało 544-ch terminatorów szewckich; z téj liczby w klasie I-éj figuruje 404, w II-éj 108, w III-éj 26, w ostatniéj zaś zaledwie 6-ciu. To téż w ogólnéj liczbie wszystkich uczniów, uczęszczających do szkół niedzielno rzemieślniczych w Warszawie, rozkład ich procentowy w klasach zastanawia brakiem proporcyi. I tak na 1870 uczniów w klasie I-éj zapisano 1079 (57%), w kl. II-éj 522 (28%), w kl. III-éj 226 (12%), w kl. IV-téj 63 (3%). Słuszne jest zdziwienie prelegenta, skąd się biorą wykwalifikowani czeladnicy, kiedy szkoła tak niewielu z nich daje a przepis wymaga kwalifikacyi naukowych. W r. np. 1892-im cech szewcki wyzwolił 594-ch czeladników, szkoła zaś dała świadectwa 6-ciu uczniom! Z ogólnéj cyfry 11,598 terminatorów wszystkich rzemiosł uczęszczało do szkół 1870, czyli przypada jeden uczeń na siedmiu terminatorów. Z liczby uczniów nieznaczny znów zaledwie procent, jak widzieliśmy, kończy szkołę; stosunek zaś tych wykwalifikowanych do całéj liczby terminatorów trzebaby wyrazić w jakimś nieznacznym ułamku procentowym. Rzecz jasna, że nie może być mowy ani o rozwoju rzemiosł, ani o konkurencyi z produkcyą zagraniczną, gdzie oświata coraz większe robi postępy.

Wymowa tych kilku nawet cyfr mogłaby chyba każdego przekonać o potrzebie szkół rzemieślniczych. Jeżeli taki jest stan wykształ-

cenia rzemieślniczego w Warszawie, to czegóż się spodziewać w innych miastach.

Z zakresu spraw rzemieślniczych zanotujemy jeszcze, że ministeryum finansów opracowało kontrolę nad nauką i bytem uczniów rzemieślniczych. Należéć ona będzie do urzędów miejskich, cechów i administracyi. Oprócz tego mają być specyalne sądy do rozstrzygania sporów między rodziną uczniów a majstrami. Prawo oznacza przywileje rodziców, którzy oddają dzieci do majstrów rzemieślniczych, oraz deleguje specyalnych opiekunów do czuwania nad dolą uczniów. Zadaniem ich będzie strzedz, ażeby uczniowie znajdowali się w warunkach hygienicznych, nie byli używani do robót postronnych, chodzili do szkoły i t. d. Prawo to ma być wprowadzone w maju roku przyszłego.

Co do przytułku dla rzemieślników i robotników fabrycznych, to zaznaczyć trzeba, że zebrano dotąd na ten cel 23,000 rub. i że magistrat ma podobno zamiar ofiarowania placu pod budowę przytułku.

Pani Walerya Marrené, zawsze czujna na kwestye wychowania i interesa kobiet dotyczące, poruszyła sprawę bon cudzoziemek, nie nową wprawdzie i roztrząsaną oddawna, lecz nie mniéj do dziś dnia żywotną.

Argumentami, zaczerpniętemi z pedagogii, dowodzi autorka znaczenia przykładu w życiu dziecka, a ten przykład cudzoziemskiéj nauczycielki nie zawsze bywa budujący. „A jednak wbrew tyloletnim doświadczeniom, wbrew nowym zdobyczom nauki, dotąd po większéj części pierwotne wychowanie naszych dzieci znajduje się w rękach cudzoziemek.

Niepotrzebnie tylko tak wyrobiona autorka odzywa się tak nagannie i lekceważąco o obyczajach i „etyce francuskiéj.” „O ile zaś etyka francuska różni się od naszéj — pisze — świadczy najlepiéj literatura powieściowa, dająca nie raz miarę moralnych pojęć autorów, cieszących się powszechném uznaniem.”

Pomijając już wzgląd, że krytyka obyczajów danego społeczeństwa po za obrębem warunków, w których ono żyje, nie może być słuszną, powieść francuska jest właśnie najwątpliwszéj wartości świadectwem przy stawianiu stopnia moralności tego społeczeństwa. Toć rzecz wiadoma, że znaczny odłam téj powieści liczy na klientelę w kosmopolitycznym półświatku. Pisarze serbscy lub bulgarscy dostarczaliby także w własnym interesie podobnego towaru Europie, gdyby język ich posiadał polor i rozpowszechnienie francuskiego. Nie chodzi tu o obronę wyobrażeń i obyczajów francuskich, lecz o sprostowanie bardzo popularnego a fałszywego u nas poglądu. Każdy gogo

z Warszawy lub Płocka, każda kokietka z pretensyonalnego salonu i powiatowego saloniku wzoruje się na tak zwanéj „francuskiéj swobodzie obyczajów," dających ich lekko-głupkowatéj konduicie mniemaną cechę wyższości, wolnomyślności i mody; wszyscy znów moraliści piorunują u nas od dawnych czasów na tamtejsze zepsucie.

I jedni i drudzy nie zrobią tego prostego, w oczy bijącego spostrzeżenia, że przecież wielkie społeczeństwo, ażeby się mogło utrzymać na wysokim poziomie cywilizacyi i dobrobytu, musi podejmować nieustannie nieskończoną liczbę wysiłków pracy, inicyatywy i pomysłowości; że gdyby mężczyzni byli tylko eleganckimi samcami, zajętymi doskonaleniem teoryi „wolnéj miłości," które to określenie, nawiasowo dodajmy, pospolitość ludzka najfałszywiéj pojęła, kobiety zaś strojnemi i wdzięcznemi samicami — wiązania budowy społecznéj załamałyby się oddawna, jak się to stało ze społeczeństwami takiemi, które tych wysiłków podjąć nie umiały. Może tam nie być moralności, którą zalecają dogmaty, lecz musi być choćby ta, którą zaleca hygiena, to jest wstrzemięźliwość i zdrowie, a przez nie zdolność do pracy i do polotu umysłu. Nie zgadzamy się téż z panią Marrené, kiedy pisze: „My uczymy nasze dzieci, iż nie należy zwracać uwagi na pozór, że ubiór nie stanowi człowieka, tymczasem francuska dawać im będzie wprost przeciwne nauki, a inaczéj być nie może, skoro we Francyi suknia stanowi szczyt marzeń kobiety, suknia daje urodę, znaczenie towarzyskie, miłość, szczęście."

Ponieważ ludzie są tak usposobieni, że źle i lekkomyślnie mogą postępować przez naśladownictwo i próżność, nie należy im więc mniemanych obrazów téj próżności i powierzchowności wskazywać tam, skąd wzory czerpać lubią. To dotyczy praktycznego widzenia rzeczy. Lecz po za tém szanowna autorka nie ma chyba i faktycznéj racyi. Wszyscy prawie gruntowniejsi obserwatorowie obyczajów francuskich zgadzają się, że usposobienie rdzennéj i lepszéj części tego społeczeństwa jest skromne, oszczędne i pracowite, z wyjątkiem jaskrawéj cechy szowinizmu i lekkomyślności polityczno-narodowéj. Nawet pani Zapolska, która po przyjeździe swoim do Francyi w każdéj paryżance widziała Gabryelę Bompard, zmieniła w skutek dłuższego tam pobytu bardzo radykalnie swoje opinie i przeciwstawiała w listach późniejszych skromność strojów zamożniejszych nawet, lecz do poważnéj warstwy mieszczaństwa należących paryżanek wręcz przeciwnéj skłonności płci pięknéj z Warszawy.

Tę krótką wycieczkę usprawiedliwiają wpływy dobre i złe, które zawsze idą do nas z Francyi. Po za tém p. Marrené dobrze uczyniła,

przypomniawszy uwadze publicznéj sprawę bon cudzoziemek. Dodaćby jeszcze należało, że społeczeństwo ubogie powinno mieć przedewszystkiem obowiązek dostarczania pracy własnym swoim członkom, którzy jéj często nie mają. Bardzoby też było pięknie, gdyby dzieci nasze wychowywano w zasadzie „niezwracania uwagi na pozory.” Coś innego jednak dostrzega się, i pod względem zamiłowania pozorów i zewnętrzności przewyższamy może cudzoziemców.

Z nadejściem ciepła warszawiacy, naturalnie, że i mieszkańcy innych większych miast, robiąc tłumne, w ostatnich latach coraz powszechniejsze wycieczki zamiejskie, odświeżają sobie wprawdzie wyobraźnię i zdrowie, lecz w tych spacerach *extra muros* nie wszyscy zachowują się tak, jakby tego przyzwoitość, oraz poszanowanie cudzego dobra i praw wymagały.

Doszło do tego, że mieszkańcy okolic podmiejskich występują na zebraniach z żądaniem zastosowania energicznych środków przeciw publiczności świątecznéj, która, nie zważając na szkody, stąpa po polach i łąkach, niszczy roślinność, wkracza do sadów i ogrodów, skąd bez zatargów nie ustępuje. W niektórych gminach projektowano nawet zaprowadzenie w dni świąteczne osobnych stróżów do strzeżenia pól i inne środki ochronne, które jednak albo nie były skuteczne, albo nie weszły w wykonanie, i teraz znów sprawa stanęła na porządku dziennym.

A sprawa ta jest dla mieszkańców miasta chyba kompromitującą i przyczynia się z pewnością nieco do antagonizmu między nimi a wieśniakami. Ci ostatni mają przecież łatwy odwet w ręku, bo dostarczając produkty swoje do miasta fałszują je przez tak naturalny środek, jak woda.

Chociaż robiliby to i bez myśli o odwecie, to jednakże o szkodnikach, niszczących pola podmiejskie, można powiedzieć: mała rzecz, a wstyd. Sprawa ta dotyczy zresztą nietylko warszawiaków. Mieszkańcy podmiejscy wszędzie obawiają się zbytniéj swobody swoich współobywateli, czyli, jak ich nazywają, mieszczuchów. Bez chęci przyczepiania dużych słów do małych rzeczy, powiedzieć jednak trzeba, że dość powszechne u nas lekceważenie cudzéj pracy i wysiłków pozostało takiém, jakiém było. Ci letnicy i majówkowicze, na których się skarżą wieśniacy, wylegając w niedziele na podmiejskie łąki i pola, nie przestrzegają granicy między swojém pragnieniem przyjemności, a poszanowaniem cudzego mienia. Zapiszmy tu dla kontrastu wypadek, jak chłop nasz, pokrzywdzony na własności, jéj dochodzi. Z Kalisza donoszą np., że przywieziony tam do szpitala Mateusz Jezierski opowiada, iż trzech włościan z kolonii Stok wzięło go do lasu celem

poszukiwania skradzionych im koni. W lesie powiedzieli mu, iż należy do bandy kradnącéj konie i wié zapewne, gdzie są te, które im zginęły. Ponieważ Jezierski zaprzeczał, włościanie złamali mu najprzód jeden palec, aby okrucieństwem wymódz na nim zeznanie, a ponieważ to nie skutkowało, złamali mu drugi palec, następnie nogę. Już chcieli złamać mu drugą nogę, kiedy jeden z włościan powstrzymał ich, zauważywszy, iż chyba podejrzany musi być niewinny, skoro mimo tak strasznego bólu, nie wydał nikogo. Wówczas porzucili go w lesie i odjechali.

Nie wiele by się zyskało oburzeniem na takie okrucieństwo, choć to oburzenie pohamować nie łatwo. Wytłómaczenie faktu, mniéj więcéj może trafne, nie byłoby trudne, lecz i z tego nie wielka pociecha. Pisarze europejscy, między nimi i Zola, niemiłosiernie zdarli zasłonę z pseudo-sielankowéj natury chłopa. Zamiast tradycyjnego, pełnego cnoty i poezyi przywiązania do ziemi i swojéj chudoby, wskazano jego bezmierną chciwość. Z drugiéj znów strony, pominąwszy literackie widzenie rzeczy, słuszność zaleca dodać, że kradzież koni stała się plagą stosunków wiejskich, i że podejrzany o nie na litość rozjuszonéj gromady liczyć nie może. Okrucieństwa w takich wypadkach nie są rzadkie, choć o podobném torturowaniu jak przytoczone w ucywilizowanych krajach nie często się słyszy. Amerykanie mają swoje prawo *lynch'u* czyli doraźnéj sprawiedliwości, a raczéj odwetu, według którego jednak winny karany bywa za przestępstwo, o którém mają przekonanie. Tę rozgałęzioną u nas kradzież koni trudno wytępić policyi, pomimo jéj gorliwości; wzajemna więc czujność mieszkańców jest konieczną — niech się jednak strzegą tak barbarzyńskiego podeptania ludzkości i sprawiedliwości, jak w wypadku powyższym.

B. Lut.





Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński.*** — Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Мая, 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Witosław Halek.* **Wieczorne pieśni.** Przełożył z czeskiego *Władysław Fiast* („Bibl. powsz.", nr. 87). Warszawa, T. Paprocki i S-ka, str. 47.
2. *A. Kłobukowski.* **Kwestya upadającéj własności ziemskiéj**, Warszawa, 1894, 8-vo, str. 40.
3. **Dobre chęci w sklepiku.** Napisał *A. Kwiatkowski.* Warsz., 1894, str. 83.
4. **Chemiczne badanie wody.** Przełożył dr. *Sewer. Sterling.* Warsz., 1894, str. 29.
5. **Galicyjskie Towarzystwo kredytowe ziemskie.** Napisał *Artur Bardzki*, adw. przys. Warsz., 1894, 8-vo, str. 90.
6. **Pamiętniki kwestarza** przez *Ignacego Chodźkę* (wyd. 10-te, z portretem autora i 3-ma drzeworytami). Odessa, nakładem Józ. Zawadzkiego, 1894, 8-vo, str. 247 (cena kop. 50).
7. *Sewer.* **Przybłędy.** Nowella. Warsz., nakł. S. Lewentala (1894), 8-vo, str. 172.
8. *Ernest Deiches.* **Koniec Morstina.** Studyum historyczne z czasów Jana Sobieskiego. Krak., 1894, 8-vo, str. 131.
9. *Andrzeja Zbylitowskiego* **Epitalamium** na wesele Zygmunta III, 1592, wydał *Jan Łoś.* Krak., nakł. Akademii, 1893, 8-vo, str. 18.
10. Skarbczyk IV. **Dumy i pieśni.** 100 śpiewów z ust ludu. Zebrał *Zygmunt Gloger.* (Wydawnictwo „Gazety Świątecznéj" i Księgarni krajowéj K. Prószyńskiego). Warsz., 1894, 8-vo, str. 80.
11. **Gorzałka.** Z niemieckiego przełożyła *M. Twardowska.* Warsz., nakł. „Gazety Świątecznéj" i Księgarni krajowéj K. Prószyńskiego, 1894, str. 58.
12. **O wzroście** i wadze dzieci klas biednych w Warszawie. Skreślił dr. *Wiktoryn Kosmowski.* Warsz., 1894, 4-to, str. 20.
13. Dr. *G. H. F. Nuttal.* **Zabiegi hygieniczne** przy chorobach zakaźnych. Przełożył dr. *Sewer. Sterling.* Warsz., nakł. księg. E. Kolińskiego, 1894, str. 64.
14. **O wyborze miejscowości klimatycznych**, a w szczególności o Gleichenbergu. Napisał dr. *Stanisław Bulikowski.* Lwów, 1893, str. XI i 86.
15. Dr. *S. Zeisel.* **Chemia** (nieorganiczna i organiczna). Z niemieckiego przełożył dr. *M. Flaum* (z 261 drzeworytami w tekście). Warsz., nakład. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. VIII i 789.
16. **Dzieje filozofii** w zarysie. Napisał dr. *Maurycy Straszewski.* Krak., 1894, zeszyt VI (ark 21—26).
17. *L. Szepielewicz.* **Kudruna.** Studyum historyczno-literackie (po rusku). Charków, 1894, 8-vo, str. 142 (cena rs. 1 kop. 50).
18. **Prace ludowe** *Józefa Grajnerta.* Powiastki i opowiadania („Pod pręgierzem". „Niewinność czy zbrodnia?" „O zbójniku Doboszu"). Warsz., nakł. księg. J. M. Bazewicza, 1894, 8-vo, str. 52 (cena kop. 12).
19. **Miłość** w poezyi romantycznéj przez *Antoniego Pileckiego.* Odczyt. Warsz., 1894, 8-vo, str. 52.
20. *Ignacy Dąbrowski.* **Felka.** Nowella. Warsz., nakład. T. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 203.
21. **Znużone dusze.** Studyum. Napisał *Arne Garborg.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 379.
22. Kanonik *Duilhé de Saint-Projet.* **Apologia** naukowa wiary chrześciańskiéj. Przekład poprzedzony słowem wstępném JE. ks. *Michała Nowodworskiego*, biskupa płockiego. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. XVIII i 435.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

